

RACHEL CAINE

**ŻONA
MORDERCY**

Czuły mężczyzna, kochający tata, seryjny morderca.
Mąż Giny Royall okazał się potworem.
Czy mogła o tym nie wiedzieć?

FILIA

RACHEL CAINE

**ŻONA
MORDERCY**

Przełożyła
Kinga Markiewicz

FILIA

Dla Lucienne, która natychmiast uwierzyła.

Prolog

Gina Royal

Wichita, Kansas

Gina nigdy nie zapytała o garaż.

Przez wiele lat ta myśl co noc nie pozwalała jej zasnąć, pulsując pod powiekami. „Powinnam była zapytać. Powinnam była wiedzieć”. Nigdy jednak nie spytała, nie miała o niczym pojęcia i ostatecznie to właśnie doprowadziło ją do zguby.

Zwykle była w domu o trzeciej po południu, ale jej mąż zadzwonił, by przekazać, że coś wypadło mu w pracy i to ona będzie musiała odebrać Brady’ego i Lily ze szkoły. Nic nie szkodzi – nadal miała mnóstwo czasu na posprzątanie wszystkiego przed zabraniem się za obiad. Był kochany i przeprosił ją za to, że zakłóca ustalony porządek jej dnia. Mel potrafił być wyjątkowo czarujący, a ona zamierzała mu to wynagrodzić. Postanowiła, że przyrządzi mu jego ulubione danie: wątróbkę z cebulką, podaną z dobrym pinot noir, którego butelkę postawiła już na blacie. Potem spędzą razem rodzinny wieczór, obejrzą film na kanapie z dziećmi. Może ten nowy o superbohaterze, którego tak bardzo się dopominały, choć Mel ostrożnie podchodził do tematu tego, co warto obejrzeć. Lily zwinęłaby się w ciepły kłębek u jej boku, a Brady wylądowałby rozciągnięty na kolanach ojca, z głową opartą o bok kanapy. Tylko giętkim maluchom mogło być w tej pozycji wygodnie. Spędzanie czasu z rodziną było ukochaną rozrywką Mela. A raczej drugą w kolejności, zaraz po stolarstwie. Gina miała nadzieję, że nie wymyśli jakiejś wymówki, żeby wymknąć się wieczorem i majstrować w swoim warsztacie.

Normalne życie. Wygodne życie. Nie idealne, rzecz jasna. W końcu żadne małżeństwo nie było idealne, prawda? Ale Gina była zadowolona, przynajmniej przez większość czasu.

Nie było jej w domu zaledwie pół godziny, wystarczająco długo, aby pojechać do szkoły, odebrać dzieci i pośpiesznie wrócić. Gdy wjechała w zakręt i zobaczyła migające światła na swojej ulicy, jej pierwszą myślą było „O mój Boże, a jeśli w którymś domu wybuchł pożar?”. Ten pomysł przeraził ją, lecz w następnej sekundzie pomyślała nieco samolubnie „Obiad strasznie się opóźni”. Błahostka, ale strasznie irytująca.

Ulica została całkiem zablokowana. Naliczyła trzy radiowozy stojące za barykadą, których mrugające reflektory zalewały niemal identycznie wyglądające, parterowe domy krwistoczerwonym i niebieskim światłem. Kawalek dalej stały zaparkowane karetka pogotowia i wóz strażacki, najwyraźniej bezczynne.

– Mamo? – zapytał siedmioletni Brady z tylnego siedzenia. – Mamo, co się dzieje? Czy to *nasz dom*? – W jego głosie słychać było ekscytację. – Pali się?

Gina zwolniła, próbując ogarnąć malującą się przed nią scenę: zryty trawnik, spłaszczony klomb irysów, zmiążdżone krzewy. W poprzek kanału ściekowego leżała poturbowana skrzynka pocztowa. *Ich* skrzynka. *Ich* trawnik. *Ich* dom.

Na samym końcu tego szlaku zniszczenia znajdował się bordowy SUV, z którego silnika nadal z sykiem unosiła się para. Był w połowie zakleszczony w znajdującej się od frontu ceglanej ścianie ich garażu – warsztatu Mela – i opierał się chwiejnie o stertę gruzu, która była wcześniej częścią ich solidnego, ceglanego domu. Gina zawsze wyobrażała sobie ich dom jako trwałą ostoję, mocną i taką *normalną*. Kupa cegieł i połamanych płyt kartonowo-gipsowych wyglądała wręcz nieprzyzwoicie. Bezbronnie.

Wyobraziła sobie trasę SUV-a, który przeleciał nad krawężnikiem, skosił skrzynkę pocztową, przejechał slalomem przez ogródek przed domem i wbił się w garaż. Robiąc to, w końcu wcisnęła stopą hamulec własnego samochodu na tyle mocno, aby poczuć wstrząs rozchodzący się po całym kręgosłupie.

– Mamo! – wrzasnął jej prawie do ucha Brady, a ona odruchowo uniosła dłoń, aby go uciszyć. Dziesięcioletnia Lily siedząca obok niej

wyszarpnęła z uszu słuchawki i wychyliła się do przodu. Rozdziawiła usta na widok ich zniszczonego domu, ale nie odezwała się ani słowem. Oczy miała rozszerzone pod wpływem szoku.

– Przepraszam – powiedziała Gina, choć ledwie docierało do niej, co mówi. – Coś się stało, kochanie. Lily? Nic ci nie jest?

– Co się dzieje? – spytała Lily.

– Nic ci nie jest?

– Nie! Co się dzieje?

Gina nie odpowiedziała. Skierowała swoją uwagę z powrotem na dom. Oglądając zniszczenia, czuła się dziwnie obdarta i odsłonięta. Dom zawsze wydawał się jej taki bezpieczny, niczym twierdza, która została teraz naruszona. Bezpieczeństwo okazało się być iluzją, mniej wytrzymałą od cegły, drewna i płyty regipsowej.

Sąsiedzi wyszli na ulicę, aby popatrzeć i poplotkować, co tylko pogorszyło sytuację. Nawet stara pani Millson, emerytowana nauczycielka, która rzadko wychodziła z domu. Była największą plotkarą w sąsiedztwie. Nigdy nie przepuściła okazji do snucia domysłów na temat prywatnego życia ludzi mieszkających w zasięgu jej wzroku. Miała na sobie wyblakłą podomkę i z trudem opierała się o balkonik. Obok niej stała opiekunka. Obie sprawiały wrażenie zafascynowanych.

Do samochodu Giny podszedł policjant, a ona błyskawicznie opuściła szybę i posłała mu przeproszający uśmiech.

– Panie władzo, to mój dom, ten, w który wjechał SUV – powiedziała. – Mogę tu zaparkować? Muszę obejrzeć zniszczenia i zadzwonić do męża. To po prostu *straszne!* Mam nadzieję, że kierowca nie został poważnie ranny... Był pijany? Ten zakręt bywa niebezpieczny.

Gdy się odezwała, wyraz twarzy policjanta zmienił się z obojętnego w skupiony. Zupełnie nie rozumiała dlaczego, ale wiedziała, że to nie może świadczyć o niczym dobrym.

– To pani dom?

– Tak, zgadza się.

– Jak się pani nazywa?

– Royal. Gina Royal. Panie władzo...

Odsunął się o krok i oparł dłoń o rękojeść broni.

– Proszę wyłączyć silnik – powiedział, dając sygnał drugiemu

policjantowi, który podbiegł do nich truchtem. – Sprowadź panią detektyw. Natychmiast!

Gina oblizwała usta.

– Panie władzo, chyba źle mnie pan zrozumiał...

– Proszę pani, niech pani *natychmiast* wyłączy silnik. – Padł tym razem wypowiedziany szorstkim tonem rozkaz. Zaparkowała samochód i przekręciła kluczyk w stacyjce. Silnik zgasł, a ona usłyszała szum rozmów dobiegający od strony zaciekawionych gapiów gromadzących się na chodniku. – Proszę trzymać ręce na kierownicy. Żadnych gwałtownych ruchów. Czy ma pani ze sobą w aucie jakąś broń?

– Nie, oczywiście, że nie. Przecież są tutaj moje dzieci, proszę pana!

Nie zdjął ręki ze służbowego pistoletu, a ona poczuła nagły przypływ wściekłości. „To jakiś absurd. Pomylili nas z kimś innym. Niczego nie zrobiłam!”

– Proszę pani, zapytam ponownie: czy ma pani jakąś broń? – Podenerwowanie w jego głosie stłumiło jej wybuch i zastąpiło go lodowatą paniką. Na sekundę odjęło jej mowę.

– Nie! – udało jej się w końcu wykrztusić. – Nie mam żadnej broni.

– Co się dzieje, mamó? – spytał Brady wysokim głosem pełnym niepokoju. – Dlaczego ten policjant jest na nas taki zły?

– Nic się nie stało, kochanie. Wszystko będzie dobrze. – „Trzymaj ręce na kierownicy, ręce na kierownicy”... Rozpaczliwie pragnęła przytulić syna, ale nie odważyła się tego zrobić. Wiedziała, że Brady nie uwierzył w fałszywy, ciepły ton jej głosu. Sama w niego nie wierzyła. – Zostań na swoim miejscu, dobrze? Nie ruszaj się. Oboje się nie ruszajcie.

Lily wpatrywała się w policjanta stojącego obok samochodu.

– Czy on nas zastrzeli, mamó? Będzie do nas strzelał?

Wszyscy widzieli filmy, na których ludzie giną od postrzałów, niewinni ludzie, którzy zrobili nie to, co trzeba, powiedzieli nie to, co trzeba, znaleźli się w złym miejscu, o złym czasie. Wyobraziła to sobie bardzo wyraźnie... jej umierające dzieci i siebie samą, niemogącą zrobić nic, aby to powstrzymać. Jaskrawy rozbłysk światła, krzyki, ciemność.

– Oczywiście, że nie będzie do ciebie strzelał! Kochanie, błagam, nie ruszaj się z miejsca! – Odwróciła się w stronę policjanta i powiedziała: – Panie władzo, proszę, oni się pana boją. Nie mam pojęcia, o co tu chodzi!

Kobieta ze złotą policyjną odznaką wiszącą na szyi minęła barykadę,

policjanta i stanęła tuż przy szybie Giny. Miała zmęczoną twarz i posępne, ciemne oczy. Jednym spojrzeniem ogarnęła sytuację.

– Pani Royal? Gina Royal?

– Tak, proszę pani.

– Jest pani żoną Melvina Royała? – Nienawidził być nazywany Melvinem, tylko Melem, ale ten moment nie wydawał się odpowiedni, aby poinformować o tym kobietę, więc Gina tylko kiwnęła twierdząco głową. – Nazywam się detektyw Salazar. Proszę wyjść z pojazdu i trzymać obie ręce na widoku.

– Moje dzieci...

– Na razie mogą zostać tam, gdzie są. Zajmiemy się nimi. Proszę wysiąść.

– Co tu się, na litość boską, dzieje? To *nasz* dom. To jakieś szaleństwo. To my jesteśmy *ofiarami!*

Strach – nie o siebie, lecz o dzieci – sprawił, że zachowała się nieracjonalnie. Usłyszała dziwną nutę w swoim głosie, która ją zaskoczyła. Mówiła jak ktoś niespełna rozumu, zupełnie jak ci niczego nieświadomi ludzie w wiadomościach, wobec których odczuwała jedynie litość i pogardę. „Nigdy nie mówię w ten sposób w chwili kryzysu”. Jak często o tym myślała? Lecz tak właśnie było. Brzmiała zupełnie jak oni. Panika załopotowała w jej piersi niczym uwięziona ćma. Nie mogła spokojnie oddychać. To wszystko działo się zdecydowanie za szybko.

– Ofiara. Na pewno. – Detektyw otworzyła drzwi samochodu. – Niech pani wyjdzie. – Tym razem bez żadnego „proszę”. Policjant, który wezwał detektyw, odsunął się, choć jego dłoń nadal spoczywała na broni. *Dlaczego* traktowali ją w ten sposób? Jak jakąś kryminalistkę? „To na pewno pomyłka. Straszna, głupia pomyłka!” Instynktownie sięgnęła po torebkę, ale Salazar błyskawicznie ją chwyciła i podała policjantowi. – Ręce na maskę, pani Royal.

– Dlaczego? Nie rozumiem, co...

Detektyw Salazar nie dała jej szansy na dokończenie zdania. Obróciła Ginę i popchnęła ją w stronę samochodu. Gina powstrzymała upadek wyciągniętymi rękami, uderzając nimi o nagrzaną, metalową maskę. Miała wrażenie, jakby dotknęła kuchennego palnika, ale nie odważyła się odsunąć. Była kompletnie oszołomiona. To jakaś pomyłka. Potworna pomyłka, za którą w następnej chwili będą ich przeproszać, a oni

łaskawie wybaczą im tak grubiańskie zachowanie, a potem będą się śmiać i zaproszą ich na mrożoną herbatę... może zostało jej jeszcze trochę tych cytrynowych ciasteczek, o ile Mel wszystkich nie zjadł. Uwielbiał te swoje ciastka...

Wciągnęła ze świstem powietrze, gdy dłoń detektyw Salazar przemknęła bezosobowo po tych częściach jej ciała, których nie miała prawa dotykać. Gina próbowała stawiać opór, ale pani detektyw przyparła ją z powrotem ze znacznie większą siłą.

– Pani Royal! Niech pani nie pogarsza sprawy! Proszę mnie posłuchać. Jest pani aresztowana. Ma pani prawo zachować milczenie...

– *Słucham? To mój dom! Ten samochód wjechał w mój dom!*

Jej syn i córka byli świadkami tego upokorzenia. Wszyscy sąsiedzi się na nich gapili. Niektórzy wyjęli telefony komórkowe. Robili zdjęcia. Nagrywali filmiki. Wrzucali to potworne naruszenie godności osobistej do internetu, żeby znudzeni ludzie na całym świecie mogli z niej kpić. Później nie będzie już miało żadnego znaczenia to, że wszystko okaże się pomyłką. W internecie nigdy nic nie ginie. Ciągle ostrzegała przed tym Lily.

Salazar mówiła dalej, recytując jej prawa, których w tej chwili najwyraźniej nie była w stanie pojąć, a Gina nie stawiała oporu, gdy detektyw przycisnęła jej ręce do pleców. Nie wiedziała nawet, od czego zacząć.

Dotyk metalowych kajdanek na jej wilgotnej skórze przypominał zimny policzek, a Gina walczyła z dziwnym, piskliwym szumem w głowie. Czuła, jak pot zalewa jej twarz i szyję, ale wszystko działo się jakby w oddali. „To się nie dzieje naprawdę. Nie może dziać się naprawdę. Zadzwońię do Mela. Mel rozwiąże ten problem, a potem wszyscy będziemy zrywać boki ze śmiechu”. Nie mogła pojąć, jakim cudem w przeciągu zaledwie minuty lub dwóch przeszła od normalnego życia do... tego.

Brady wrzeszczał i próbował się wydostać z samochodu, ale policjant trzymał go w środku. Lily sprawiała wrażenie zbyt oszołomionej i przerażonej, aby ruszyć się z miejsca. Gina spojrzała w ich stronę i powiedziała zaskakująco racjonalnym tonem:

– Brady. Lily. Wszystko w porządku. Proszę, nie bójcie się. Wszystko będzie dobrze. Po prostu róbcie to, co wam każą. Nic mi nie jest. To

wszystko to jedna wielka pomyłka, okej? Wszystko będzie dobrze. – Dłoń detektyw Salazar zaciskała się boleśnie na jej ramieniu, a Gina odwróciła głowę w jej stronę. – Proszę. Cokolwiek wam się wydaje, że zrobiłam, *nie zrobiłam tego!* Proszę upewnić się, że moim dzieciom nic nie jest!

– Zrobię to – odparła Salazar nieoczekiwanie łagodnym głosem. – Ale musisz pójść ze mną, Gina.

– Czy to... myśli pani, że to ja to zrobiłam? Że wjechałam tym autem w nasz dom? Nie zrobiłam tego! Nie jestem pijana. Jeśli pani myśli, że... – Urwała, bo zobaczyła mężczyznę siedzącego na noszach obok karetki, wdychającego tlen. Sanitariusz opatrywał ranę na jego głowie, a w pobliżu kręcił się policjant. – Czy to on? Czy to kierowca? Jest pijany?

– Tak – potwierdziła Salazar. – Zupełny przypadek, o ile można tak nazwać jazdę pod wpływem alkoholu. Zaczął pić wcześniej, skręcił nie tam, gdzie trzeba – twierdzi, że próbował wrócić na autostradę – i za szybko wjechał w zakręt. I wylądował z maską w waszym garażu.

– Ale... – Gina czuła się kompletnie zagubiona. Całkowicie, potwornie zdezorientowana. – Ale skoro macie jego, to czemu...

– Wchodzi pani czasami do swojego garażu, pani Royal?

– Ja... nie. Nie, mój mąż zmienił go w warsztat. Zastawiliśmy drzwi wejściowe szafkami z kuchni. Wchodzi do niego bocznymi drzwiami.

– Więc drzwi z tyłu nie podnoszą się do góry? Już w nim nie parkujecie?

– Nie. Mąż zdemontował mechanizm, więc trzeba wejść bocznymi drzwiami. Mamy krytą wiatę na samochód, więc nie muszę... chwileczkę, o co tu właściwie chodzi?

Salazar posłała jej spojrzenie. Nie było już gniewne, a raczej niemal skruszony. Niemal.

– Coś pani pokażę i chcę, żeby mi to pani wytłumaczyła, dobrze?

Obeszła z Giną barykadę i poszła chodnikiem, gdzie czarne ślady opon jechały zygzakiem po błotnistych koleinach po ogródku, aż do miejsca, z którego tył SUV-a wystawał skandalicznie ze sterty czerwonych cegieł i gruzu. Na tej ścianie musiała wisieć tablica z narzędziami Melvina. Zobaczyła powyginaną piłę przysypaną kredowobiałym pyłem z połamanych płyt regipsowych i przez chwilę była w stanie myśleć tylko

o jednym. „Mel się wścieknie. Nie mam pojęcia, jak mu o tym wszystkim powiedzieć”. Kochał swój warsztat. To było jego sanktuarium.

Wtedy odezwała się detektyw Salazar.

– Chcę, żeby wytłumaczyła mi pani ją.

I wskazała palcem.

Gina uniosła wzrok ponad maskę SUV-a i zobaczyła naturalnej wielkości nagą lalkę wiszącą na haku wciągarki na środku garażu. Przez ułamek sekundy o mało co nie roześmiała się na widok tej gorszącej sceny. Lalka dyndała na drucianej pętli założonej na szyję, z bezwładnymi rękami i nogami. Nie miała idealnych proporcji, widocznie była wadliwa, w dodatku dziwnie pozbawiona koloru... I po co ktoś miałby malować jej twarz tym paskudnym, sinym odcieniem, zdzierać kawałki skóry, sprawiać, by oczy wyglądały na czerwone i wyłupiaste, a język wystawał ze spuchniętych ust...

I wtedy dotarła do niej okropna prawda. To nie jest lalka.

Mimo swoich najszczerzych chęci zaczęła krzyczeć i nie mogła przestać.

Rozdział pierwszy

Gwen Proctor

Cztery lata później

Stillhouse Lake, Tennessee

– Zaczynaj.

Nabieram głęboko powietrza cuchnącego prochem strzelniczym i starym potem, zajmuję pozycję, skupiam się i pociągam za spust. Moje ciało przygotowuje się na wstrząs. Niektórzy mrugają odruchowo przy każdym strzale. Odkryłam, że ja zwyczajnie tego nie robię. To nie kwestia przeszkolenia, tylko biologii, ale dzięki niej czuję, że mam nad wszystkim jeszcze większą kontrolę. Jestem wdzięczna za tę przewagę.

Ciężki rewolwer kaliber .357 Magnum ryczy i odbija w tył, rozprawdzając po moim ciele znajome wstrząsy, ale nie skupiam się ani na hałasie, ani na sile odrzutu. Liczy się tylko cel na końcu strzelnicy. Gdyby hałas mnie rozpraszał, to ciągły warkot broni innych strzelców – mężczyzn, kobiet, a nawet kilku nastolatków zajmujących inne stanowiska – już dawno zepsułby moją celność. Nawet przez wielkie, wygłuszające słuchawki ustawiczny ryk wystrzałów przypomina wyjątkowo gwałtowną burzę.

Kończę rundę, otwieram magazynek, usuwam puste łuski i odkładam pistolet na podpórkę z zaciągniętą blokadą i lufą skierowaną ku dołowi. Zdejmuję okulary ochronne i odkładam je.

– Skończyłam.

– Proszę się odsunąć – mówi zza moich pleców instruktor. Robię, co każe. Bierze do ręki moją broń i ogląda ją, kiwa głową, po czym wciska odpowiedni guzik, aby arkusz z tarczą strzelecką podjechał w naszą

stronę. – Zasady bezpieczeństwa ma pani w małym palcu – mówi głosem podniesionym na tyle, by można go było usłyszeć przez hałas i barierę w postaci słuchawek, które oboje nosimy. Jest już nieco zdarty, ponieważ facet krzyczy przez większość dnia.

– Mam nadzieję, że moja celność jest równie dobra – odkrzykuję.

Wiem, że tak. Widzę to już w chwili, gdy arkusz jest w połowie drogi na lince wyciągu. Otwory w papierze furkoczą, wypełniając najmniejszy, czerwony okrąg.

– Sam środek – mówi instruktor, unosząc kciuki. – Perfekcyjne zaliczenie. Świetna robota, pani Proctor.

– To dzięki panu odbyło się to w tak bezbolesny sposób – odpowiadam w rewanżu. Odsuwa się, robiąc mi miejsce, a ja zamykam magazynek i odkładam broń do zasuwanej na zamek błyskawiczny futerału.

– Prześlemy pani wyniki do urzędu i wkrótce powinna pani odebrać swoje pozwolenie na broń. – Instruktor to młody mężczyzna z krótko ostrzyżonymi włosami, były wojskowy. Ma miękki, łagodny akcent, który mimo że jest południowy, nie posiada wyraźnej melodyjności typowej dla Tennessee. Pewnie jest z Georgii. Miły, młody mężczyzna, co najmniej dziesięć lat młodszy od tych, z którymi umawianie się na randki uważałam za stosowne. Pod warunkiem, że bym to robiła. Zawsze jest uprzejmy. I zawsze zwraca się do mnie per „pani Proctor”.

Ściska moją dłoń, a ja odwzajemniam uśmiech.

– Do zobaczenia, Javi.

To przywilej związany z moim wiekiem i płcią. Mogę mówić do niego po imieniu. Przez cały pierwszy miesiąc zwracałam się do niego „panie Esparza”, dopóki dyskretnie mnie nie poprawił.

– Do zobaczenia... – Coś przykuwa jego uwagę, a bijący z niego spokój zmienia się w nagłą czujność. Przebiega wzrokiem przez strzelnicę i woła donośnym głosem: – Wstrzymać ogień! Wstrzymać ogień!

Czuję, jak przypływ adrenaliny drażni każdy nerw w moim ciele, i zastygam w całkowitym bezruchu, oceniając sytuację, ale tu nie chodzi o mnie. W nierównych odstępach czasu wszystkie wystrzały milkną, a ludzie opuszczają broń. Instruktor zatrzymuje się przy czwartym stanowisku, gdzie stoi tęgi mężczyzna z półautomatem. Javi każe mu opróżnić magazynek i cofnąć się.

– Co ja takiego zrobiłem? – pyta facet zadziornym tonem. Ze

skołatany mi nerwami biorę torbę i powoli kieruję się w stronę drzwi. Uświadamiam sobie, że mężczyzna nie posłuchał instrukcji Javiego. Zamiast tego przyjął postawę obronną. Kiepski pomysł. Twarz Javiego zastyga w bezruchu, a wraz z nią zmienia się język jego ciała.

– Proszę natychmiast opróżnić magazynek i odłożyć broń na półkę.

– Nie ma powodu. Wiem, co robię! Przecież strzelam od lat!

– Widziałem, jak celuje pan z naładowanej broni w innego strzelca. Zna pan zasady. Lufa zawsze musi być skierowana w stronę ziemi. Proszę opróżnić magazynek i odłożyć broń. Jeśli nie posłucha pan moich instrukcji, każę pana usunąć ze strzelnicy i będę zmuszony wezwać policję. Rozumie pan?

Uśmiechnięty, pełen spokoju Javier Esparza stał się teraz kimś zupełnie innym. Siła opanowania kryjąca się za jego rozkazem eksploduje w pomieszczeniu niczym granat ogłuszający. Stwarzający problemy strzelec szarpie się z bronią, wyjmując magazynek i ciska go wraz z pistoletem na blat. Zauważam, że lufa w dalszym ciągu nie jest skierowana ku ziemi.

Głos Javiego znów jest spokojny i zrównoważony.

– Sir, kazałem panu opróżnić magazynek.

– Zrobiłem to!

– Proszę się odsunąć.

Mężczyzna przygląda się, jak Javi sięga po broń, wyjmując ostatni nabój i kładzie pocisk na blacie obok magazynka.

– W ten sposób giną ludzie. Jeśli nie wie pan, jak poprawnie opróżnić amunicję, musi pan poszukać nowej strzelnicy. Jeśli nie potrafi pan przestrzegać zaleceń instruktora, proszę poszukać nowej strzelnicy. Może faktycznie powinien pan poszukać innego miejsca. Ignorując zasady bezpieczeństwa, naraża pan siebie i wszystkich pozostałych, rozumie pan?

Twarz mężczyzny nabiera niezdrowego odcienia czerwieni. Zaciska dłoń w pięści.

Javi odkłada broń w ten sam sposób, w jaki została położona wcześniej, odwraca ku ziemi, a potem celowo przekłada tak, aby leżała na drugim boku.

– Okno wyrzutnika powinno być skierowane ku górze.

Javi robi krok w tył i patrzy mu prosto w oczy. Ma na sobie dzinsy

i niebieską koszulkę polo, a mężczyzna jest ubrany w koszulkę moro i stare, wojskowe spodnie z demobilu, ale to jasne jak słońce, który z nich jest żołnierzem.

– Skończył pan na dzisiaj, panie Getts. Proszę nigdy nie strzelać pod wpływem gniewu.

Jeszcze nigdy nie widziałam człowieka, który byłby o włos od użycia jawnej, bezmyślnej przemocy lub dostania potężnego zawału serca. Ręka drga mu nerwowo, a ja wiem, że zastanawia się, jak szybko uda mu się dopaść do broni, załadować ją i wystrzelić. Atmosfera gęstnieje, a ja bezwiednie odsuwam zamek błyskawiczny torby, którą trzymam, kalkulując w myślach dystans – zupełnie jak on – by przygotować swą broń do strzału. Jestem szybka. Szybsza od niego.

Javier jest nieuzbrojony.

Napięcie opada, gdy jeden ze strzelców stojących w bezruchu przy stanowisku robi krok do przodu, wchodząc pomiędzy mnie a rozwścieczonego faceta. Jest niższy od Javiego i gościa z czerwoną twarzą. Ma włosy w kolorze piaskowego blondu, które dawniej były pewnie krótko przycięte, a teraz sięgają mu uszu. Jest smukły, ale nie przesadnie umięśniony. Znam go z widzenia, choć nie wiem, jak się nazywa.

– Hej, proszę pana, niech pan wyluzuje – mówi z akcentem, który w moich uszach nie brzmi jak z Tennessee, tylko bardziej ze Środkowego Zachodu. Dość swojsko. Jego głos jest spokojny i opanowany, podszyty rozsądkiem. – Pan instruktor po prostu wykonuje swoją pracę, tak? I ma rację. Jak zaczniesz pan strzelać w złości, to nigdy nie wiadomo, co się może stać.

To niesamowite móc patrzeć, jak z Gettsa uchodzi cały gniew, zupełnie jakby ktoś wyciągnął z niego zatyczkę. Bierze kilka głębokich wdechów, a jego twarz znów przybiera w miarę normalny odcień. Kiwa sztywno głową.

– Niech to szlag – mówi. – Chyba za bardzo mnie poniosło. To się już więcej nie powtórzy.

Drugi mężczyzna kiwa głową i wraca na swoje stanowisko, unikając zaciekawionych spojrzeń wszystkich obecnych. Zaczyna sprawdzać własną broń, która jest skierowana we właściwą stronę, czyli ku ziemi.

– Panie Getts, porozmawiajmy na zewnątrz – proponuje Javier, co jest

uprzejmą i poprawną reakcją, ale twarz Carla znów wykrzywia się w grymasie, a ja widzę, jak na skroni pulsuje mu żyła. Zaczyna protestować, po czym wyczuwa ciężar wpatrzonych w siebie oczu wszystkich pozostałych strzelców, czekających w milczeniu i obserwujących rozwój sytuacji. Wchodzi z powrotem do boksu i ze złością pakuje do torby swój sprzęt.

– Pieprzony, głodny władzy, meksykański imigrant – mamrocze pod nosem, po czym idzie sztywnym krokiem do drzwi. Wciągam powietrze, ale Javi kładzie dłoń na moim ramieniu w przyjacielskim geście, gdy drzwi zatraskują się za nim z hukiem.

– Zabawne, że ten dupek posłuchał białego faceta zamiast instruktora strzelnicy – mówię. Wszyscy w pomieszczeniu są biali, nie licząc Javiera. W Tennessee nie brakuje kolorowych, ale sądząc po składzie ludzi na strzelnicy, człowiek nigdy by się tego nie domyślił.

– Carl to dupek, a ja i tak go tu nie chciałem – odpowiada Javi.

– To bez znaczenia. Nie możesz pozwolić, żeby tak się do ciebie odnosił – mówię, bo mam ochotę przywalić Carlowi pięścią prosto w zęby. Wiem, że nie skończyłoby się to dobrze, ale nadal mnie korci.

– Może sobie mówić, co tylko chce. Takie są przywileje mieszkania w wolnym kraju. – Mimo to Javi sprawia wrażenie zadowolonego. – Co nie znaczy, że nie wyciągnę wobec niego żadnych konsekwencji, proszę pani. Otrzyma listowne zawiadomienie zabraniające mu wstępu na tę strzelnicę. Nie z powodu tego, co powiedział, ale dlatego, że nie ufam mu, że będzie się zachowywał odpowiedzialnie wśród innych strzelców. Jesteśmy upoważnieni do tego, aby odprawiać ludzi ze względu na ich niebezpieczne lub agresywne zachowanie, i czasami jesteśmy wręcz zmuszeni to robić. – Na jego ustach pojawia się nikły uśmiech. Ponury i zimny uśmieszek. – A jeśli za jakiś czas będzie chciał porozmawiać ze mną na parkingu, to nie ma sprawy. Możemy to zrobić.

– Możliwe, że weźmie ze sobą posiłki.

– To byłby dopiero ubaw.

– Kim był ten mężczyzna, który wkroczył do akcji? – Kiwam głową w jego kierunku. Zdążył już założyć słuchawki ochronne. Jestem ciekawa, bo nie wygląda na typowego bywalca strzelnicy, a przynajmniej nie w chwilach, w których przychodzi postrzelać.

– To Sam Cade. – Javi wzrusza ramionami. – W porządku gość. Jest tu

nowy. Trochę się zdziwiłem, gdy to zrobił. Większość ludzi nie kiwnęłaby palcem.

Wyciągam dłoń, a on potrząsa nią w uścisku.

– Dziękuję, sir. Prowadzi pan wyjątkowo bezpieczną strzelnicę.

– Jestem to winny każdemu, kto tu przychodzi. Proszę na siebie uważać – mówi, po czym odwraca się do czekających strzelców i donośnym głosem sierżanta wydaje z siebie okrzyk: – Strzelnica jest pusta! Wznović ogień!

Wymykam się przy akompaniamencie huku wystrzałów. Starcie pomiędzy Javim a drugim mężczyzną zepsuło mi nieco dobry nastrój, ale gdy odkładałam słuchawki na stojak na zewnątrz, nadal jestem niesamowicie podekscytowana. Pełna licencja. Myślałam o niej od bardzo dawna, pełna ciekawości i niepokoju co do tego, czy powinnam umieścić swoje nazwisko w oficjalnym rejestrze. Od zawsze miałam przy sobie broń, ale noszenie jej bez pozwolenia wiązało się z ciągłym ryzykiem. W końcu poczułam się tu na tyle dobrze, że postanowiłam zrobić ten krok.

Mój telefon zaczyna dzwonić, gdy otwieram drzwiczki samochodu. Prawie upuszczam aparat, otwierając bagażnik i wkładając do środka torbę.

– Halo?

– Pani Proctor?

– Panna Proctor – poprawiam bezwiednie rozmówcę, po czym zerkam na numer. Z trudem tłumię jęk. Gabinet dyrektora. To numer, do którego w przygnębiający sposób zdążyłam się już przyzwyczaić.

– Z przykrością muszę stwierdzić, że pani córka Atlanta...

– Ma kłopoty – dokańczam zdanie za kobietę po drugiej stronie. – A zatem dziś musi być wtorek. – Zdejmuję panel z podłogi. Pod spodem znajduje się kasetka wystarczająco duża, by pomieścić broń. Wkładam do środka pistolet, zatraskuję wieczko, po czym przykrywam dywanikiem, żeby ją ukryć.

Kobieta po drugiej stronie linii wydaje z siebie pełen dezaprobaty, gardłowy odgłos, i mówi nieco wyższym tonem:

– To nie jest zabawne, pani Proctor. Dyrektor prosi, aby przyszła pani w celu przeprowadzenia poważnej rozmowy. To już czwarty incydent w ciągu trzech miesięcy, a Lanny zachowuje się w sposób

nieakceptowalny dla dziewczynki w jej wieku!

Lanny ma czternaście lat. Jest w idealnym wieku do stwarzania problemów, ale nie mówię tego na głos.

– Co się stało? – pytam tylko, przechodząc na przód samochodu, i wsiadam do środka. Muszę zostawić przez chwilę otwarte drzwi, żeby wypuścić z wnętrza duszące gorąco. Nie udało mi się zająć jednego z zacienionych miejsc na wąskim parkingu strzelnicy.

– Dyrektor woli pomówić o tym osobiście. Musi pani odebrać córkę z gabinetu. Została zawieszona na tydzień.

– Na *tydzień*? Co takiego zrobiła?

– Jak już wspominałam, dyrektor woli pomówić o tym osobiście. Powiedzmy, za pół godziny?

W pół godziny nie wyrobię się z prysznicem i pozbyciem się zapachu strzelnicy, ale może tak będzie lepiej. Woń prochu z pewnością nie zaszkodzi mi w tej konkretnej sytuacji.

– W porządku – odpowiadam. – Przyjadę.

Mówię ze spokojem. Wydaje mi się, że większość matek wpadłaby we wściekłość, lecz mając w pamięci całą serię katastrof w moim życiu, coś takiego nie zasługuje nawet na uniesioną brew.

Gdy tylko się rozłączam, rozlega się odgłos przychodzącej wiadomości. Zakładam, że to Lanny, która będzie próbowała opowiedzieć mi tę historię ze swojego punktu widzenia, zanim usłyszę mniej optymistyczną wersję.

Jednak wiadomość nie jest od Lanny. Odpalając jeepa, dostrzegam na ekranie imię swojego syna. Connor. Przesuwam palcem w dół i odczytuję wiadomość, która jest zwięzła i na temat. „Lanny wdała się w bójkę. 1”. Sekundę zajmuje mi rozszyfrowanie ostatniego fragmentu. Numer jeden znaczy, że wygrała. Nie wiem, czy jest dumny, czy wściekły: dumny, bo siostrze udało się obronić, czy wściekły, bo ten incydent może doprowadzić do tego, że znów wyrzucą ich ze szkoły. To uzasadniona obawa. Miniony rok składał się z krótkich okresów spokoju przeplatanych rozpakowywaniem i ponownym pakowaniem pudeł, a ja nie chcę, żeby ten spokojny czas tak szybko się skończył. Dzieciaki zasługują na odrobinę oddechu, poczucie stabilności i bezpieczeństwa. Connor zmaga się już ze stanami lękowymi. Lanny regularnie się buntuje. Żadne z nas nie jest takie jak przedtem. Staram się za to nie

obwiniać, ale to trudne.

Z całą pewnością to nie jest *ich* wina.

Szybko odpisuję i wrzucam wsteczny. W ciągu ostatnich kilku lat często zmieniałam auta, robiąc to z konieczności, ale tego jeepa... po prostu uwielbiam. Kupiłam go tanio za gotówkę na Craigslist. Szybki i anonimowy zakup. Jest idealny do jeżdżenia po stromym, zalesionym terenie wokół jeziora oraz po wzgórzach, które ciągną się aż do spowitych mgłą gór.

Jeep to prawdziwy wojownik. Miewał gorsze momenty. Skrzynia biegów potrzebuje naprawy, a układ kierowniczy trochę szwankuje, ale nie licząc zniszczeń i całej reszty, udało mu się przetrwać i jakoś daje radę. Symbolizm tej sytuacji wcale mi nie umknął.

Jeep kołysze się nieco, gdy zjeżdżam po stromym wzgórzu, mijając rzucające chłodny cień sosny i ponownie wjeżdżając w ostre, popołudniowe słońce. Strzelnica leży na zboczu. Gdy skręcam na prowadzącą w dół drogę, moim oczom stopniowo ukazuje się jezioro. Światło odbija się i załamuje w zmarszczkach i na falach głębokiej, niebiesko-zielonej wody. Stillhouse Lake to ukryta perła. Dawniej było to drogie, chronione osiedle, lecz po finansowej zapaści fundusz wspólnotowy zaczął świecić pustkami, więc teraz brama jest stale otwarta. Budka strażnika przy wejściu stoi pusta, nie licząc pajaków i pojawiających się tam od czasu do czasu szopów. Mimo to wokół nadal unosi się iluzja bogactwa: stoi tu gromada wysokich, luksusowych domów, choć wiele innych budynków mieszkalnych przeistoczyło się obecnie w mniejsze domki. Na wodzie unoszą się łódki, lecz pomimo wspaniałej pogody trudno nazwać to tłokiem. Ciemne sosny sięgają czubami nieba, gdy pędzę obok nich po wąskiej drodze. Znów ogarnia mnie poczucie ostatecznej przynależności do tego miejsca.

Na przestrzeni kilku ostatnich lat nie znalazłam zbyt wielu miejsc, które dawały mi poczucie choćby minimalnego bezpieczeństwa, a już z pewnością żadnego nie nazwałabym domem. Jednak ta przestrzeń – jezioro, wzgórze, sosny, półdzikie odosobnienie – relaksuje tę część mnie, która nigdy tak naprawdę nie zaznaje spokoju. Gdy zobaczyłam je po raz pierwszy, pomyślałam: „Oto właściwe miejsce”. Nie przykładam wagi do dawnego życia, ale poczułam tu zrozumienie. Akceptację. Przeznaczenie.

„Do diabła, Lanny, nie chcę opuszczać tego miejsca tak szybko tylko

dlatego, że nie umiesz się dostosować. Nie rób nam tego”.

Gwen Proctor to czwarta tożsamość, którą przyjąłam od chwili wyjazdu z Wicity. Gina Royal należy do przeszłości. Nie jestem już tamtą kobietą. W rzeczywistości z trudem udaje mi się ją rozpoznać. Słabe stworzenie, które się poddawało, udawało, przechodziło do porządku dziennego nad problemem, gdy tylko się pojawiał. Które pomagało w dokonaniu przestępstwa, choć całkiem nieświadomie.

Gina już dawno umarła, a ja wcale za nią nie płaczę. Czuję się tak bardzo zdystansowana, że nie rozpoznałabym dawnej siebie, nawet gdybym minęła ją na ulicy. Cieszę się, że uciekłam z piekła, z którego istnienia ledwie zdawałam sobie sprawę, choć przecież w nim płonęłam. I że wyciągnęłam z niego dzieciaki.

One również odnalazły się na nowo – nawet jeśli zostały do tego zmuszone. Pozwoliłam im wybrać nowe imiona za każdym razem, gdy musieliśmy się przenieść, z żalem odrzucając jednak co niektóre z wymyślniejszych. Tym razem nazywają się Connor i Atlanta – w skrócie Lanny. Już prawie wcale nie popełniamy pomyłek i nie używamy naszych prawdziwych imion. Lanny mówi o nich „więzienne imiona”. Nie do końca się myli, choć nienawidzę faktu, że moje dzieci muszą tak myśleć o wczesnych latach swego dzieciństwa. Że muszą nienawidzić ojca. Jasne, że na to zasługuje, ale one nie.

Wybór własnych imion to jedyny element kontroli, który mogę im przekazać, wlokąc ich z miasta do miasta, ze szkoły do szkoły, zwiększając dystans i czas dzielący nas od okropieństw przeszłości. Ale to nie wystarcza. Nigdy nie wystarczy. Dzieci potrzebują bezpieczeństwa i stabilizacji, a ja nie nigdy nie potrafiłam im tego zapewnić. Nie wiem, czy kiedykolwiek znów będę w stanie im je dać.

Mimo to, udało mi się uchronić je przed wilkami: chronienie potomstwa przed pożarciem przez drapieżniki to najważniejsza i najbardziej podstawowa funkcja bycia rodzicem. Nawet przed tymi, których nie widzę.

Droga prowadzi mnie wokół jeziora, obok starego koryta rzeki, aż do naszego domu. Nie do domu, jak to zwykle myślałam o tych sprawach, ale do *naszego* domu. Przywiązałam się. Z długofalowego punktu widzenia nie jest to mądra decyzja, ale nic nie mogę na to poradzić. Jestem zmęczona ucieczką, tymczasowym wynajmem mieszkań,

przybieraniem kolejnych fałszywych tożsamości i nowymi, niedoskonałymi kłamstwami. Pojawiła się przede mną szansa: dostałam cynk o tym miejscu i kupiłam dom za gotówkę na urządzonej rok temu aukcji komorniczej, na którą prawie nikt nie przyszedł. Jakaś obrzydliwie bogata rodzina wybudowała go jako swą wymarzoną, rustykalną samotnię, po czym porzuciła na rzecz dzikich lokatorów, aż wreszcie budynek obrócił się w ruinę. Razem z dziećmi uprzątnęliśmy go, dokonaliśmy napraw i stworzyliśmy z niego nasz dom. Pomalowaliśmy ściany na własne kolory – odważne, a przynajmniej w pokoju Connora. „To – pomyślałam – jest pewny znak, że czynimy z tego miejsca prawdziwy dom: koniec z beżowymi ścianami i nijakimi dywanami typowymi dla wynajmowanych pomieszczeń. Jesteśmy u siebie. Zostajemy”.

Najlepszą rzeczą w naszym domu jest sekretna kryjówka. Przez wzgląd na entuzjazm Connora nazywam ją Wojskowym Schronem na wypadek Apokalipsy Zombie, ponieważ wyposażyliśmy ją w sprzęt zwalczający zombiaki oraz tablice, na których widnieje napis

ZAKAZ PARKOWANIA DLA ZOMBIE, WSTĘP WZBRONIONY POD KARĄ ĆWIARTOWANIA.

Krzywię się i staram nie zagłębiać za bardzo w ten temat. Mam nadzieję, choć wiem, że próżną, że wszystko, czego Connor dowiedział się o śmierci i ćwiartowaniu, pochodzi z filmów i programów telewizyjnych. Twierdzi, że nie pamięta zbyt wiele z czasów, gdy był jeszcze Bradym... a przynajmniej mówi tak, gdy pytam. Po tamtym dniu już nigdy nie wrócił do szkoły w Wichicie, więc szkolni dręczyciele nie mieli szansy wykrzyczeć mu tej historii prosto w twarz. Razem z Lanny zostali przekazani pod opiekę mojej matki mieszkającej w Maine, w odległym i spokojnym miejscu. Swoją komputera trzymała zamkniętą w szafce i rzadko kiedy go używała. Dzieci nie dowiedziały się zbyt wiele w trakcie swojego półtorarocznego pobytu u babci. Czasopisma i gazety trzymano z dala od nich, a jedyny telewizor w domu był ściśle kontrolowany przez moją matkę.

Mimo to wiem, że dzieciaki znalazły sposób na dokopanie się do jakichś szczegółów dotyczących tego, co zrobił ich ojciec. Na ich miejscu zrobiłabym to samo. Bardzo możliwe, że chwilowa obsesja Connora

związana z apokalipsą zombie stanowi jego enigmatyczny sposób na uporanie się ze wszystkim.

To o Lanny martwię się najbardziej. Była wystarczająco duża, aby wiele zapamiętać... Wypadek. Aresztowania. Procesy sądowe. Odbywane w pośpiechu rozmowy, które moja matka przeprowadzała przyciszonym głosem z przyjaciółmi, wrogami i nieznajomymi.

Lanny na pewno pamięta pełne nienawiści wiadomości, które zasypały skrzynkę pocztową mojej mamy.

Najbardziej martwi mnie jednak sposób, w jaki pamięta ojca, ponieważ czy tego chce, czy nie, czy w to *wierzy*, czy nie, Mel był dobrym ojcem dla swoich dzieci, a one kochały go z całego serca.

W rzeczywistości nigdy do końca nie był tym człowiekiem. Bycie dobrym ojcem stanowiło tylko maskę, którą nosił, aby ukryć czającego się pod spodem potwora. Nie znaczy to jednak, że dzieci zapomniały, jak to jest być kochanym przez Melvina Royała. Pamiętam, jak bardzo wydawał się serdeczny i ciepły, bezpieczny. Gdy poświęcał czemuś swoją uwagę, poświęcał ją całkowicie. Kochał ich i mnie, a człowiek miał poczucie, że tak w istocie jest.

Okazało się, że to nie mogła być prawda. Nie w kontekście tego, czym był. Widocznie byłam całkiem ślepa. Robi mi się niedobrze, gdy dociera do mnie ogrom mojego niezrozumienia.

Zwalniam, gdy drugi, wielki samochód wyjeżdża z ostrego zakrętu z naprzeciwka – należy do Johansenów. To ludzie czerpiący wielką dumę ze swojego pojazdu. Ich czarny SUV lśni idealną czystością. Na karoserii nie ma ani jednego pyłku. To by było na tyle w kwestii jazdy terenowej. Macham im, a starsza para odwzajemnia się tym samym gestem.

Postawiłam sobie za zadanie poznać naszych najbliższych sąsiadów już w pierwszym tygodniu po przeprowadzce, ponieważ wydało mi się to świetnym środkiem ostrożności, dzięki któremu mogłam szybko ocenić, czy stanowią zagrożenie, czy mogą być potencjalnym wsparciem w razie nagłej potrzeby. Według mnie nie są ani jednym, ani drugim. Są po prostu... sąsiadami. „Większość ludzi zwyczajnie zabiera miejsce”. Głos zjawia się w mojej głowie i znika. Przeraza mnie, bo nienawidzę przypominać sobie brzmienia głosu Melvina Royała. Nigdy nie powiedziałaby czegoś takiego w domu ani przy mnie, ale widziałam nagranie procesu, na którym te słowa padły z jego ust. Z całkowitą

beztroską wypowiedział się tak o kobietach, które rozszarpał na strzępy.

Mel zaraził mnie niczym wirus, a ja w głębi duszy czuję tę przyprawiającą o mdłości pewność, że już nigdy do końca nie wyzdrowieję.

Piętnaście minut schodzi mi na manewrowaniu stromą drogą prowadzącą do głównej autostrady, która wije się między drzewami niczym wstęga. Drzewa przerzedzają się, są niższe i rosną coraz rzadziej. Jeep przejeżdża obok drewnianej, wyblakłej od słońca tabliczki z napisem Norton. Prawy górny róg znaku został oderwany przez naboje od śrutówki. Typowe. Gdyby pijacy nie strzelali do znaków drogowych, nie można byłoby uznać tego za prawdziwą prowincję.

Norton to klasyczne, małe miasteczko z Południa Stanów, pełne rodzinnych biznesów z determinacją walczących o przetrwanie tuż obok budynków przerobionych na sklepy z antykami. Wszyscy są zależni od kruchej sytuacji ekonomicznej. Sieciówki powoli przejmują rynek. Old Navy. Starbucks. Plaga żółtych łuków McDonald's.

Szkoła to pojedynczy kompleks trzech budynków stłoczonych w mały, ciasny trójkąt z salą, w której odbywają się zajęcia sportowe i nauki humanistyczne. Melduję się u samotnego strażnika na służbie – jest uzbrojony w krótką broń palną, co jest tu powszechnym zwyczajem – siedzącego w swojej małej budce, i odbieram wyblakłą przepustkę, po czym idę dalej.

Jest już po dzwonku obwieszczającym porę lunchu, a młodzi ludzie rozsiani po terenach wokół szkoły jedzą, śmieją się, flirtują, dręczą się nawzajem i dokuczają sobie. Normalne życie. Lanny nie będzie pośród nich. Connora również, jeśli choć trochę znam swojego syna. Podaję przez interkom swoje nazwisko i sprawę, w której tu przyszłam, po czym sekretarka wpuszcza mnie do środka, gdzie uderza we mnie znajoma woń znoszonych tramppek, płynu do mycia podłóg Pine-Sol i jedzenia ze stołówek.

Zabawne, że wszystkie szkoły pachną tak samo. Znowu czuję się, jakbym miała trzynaście lat i coś przeskrobała.

Wchodząc do gabinetu administracji gimnazjum, natykam się na zgarbionego na jednym z twardych, plastikowych krzeseł Connora, gapiącego się na swoje buty. Mogłam się tego domyślić. Unosi wzrok, gdy otwierają się drzwi, a ja dostrzegam ulgę odmalowującą się na jego

opalonej twarzy.

– To nie była jej wina – mówi, zanim zdążę się przywitać. – Mamo, to *naprawdę* nie była jej wina. – Ma teraz jedenaście lat, a jego siostra czternaście – trudny wiek nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach.

Jest blady, wygląda na wstrząśniętego i zmartwionego, co mnie niepokoi. Widzę, że znów obgryzał paznokcie. Jego palec wskazujący krwawi. Głos ma ochryply, zupełnie jakby płakał, choć jego oczy wyglądają w miarę normalnie. „Potrzebuje pomocy psychologa” – myślę, ale terapia oznacza więcej wyczerpujących raportów, a raporty oznaczają komplikacje, na które nie możemy sobie pozwolić. Nie teraz. Jeśli *naprawdę* tego potrzebuje, jeśli zauważę, że cofa się do stanu, w którym był trzy lata temu... Zaryzykuję. Nawet jeśli będzie to oznaczać, że zostaniemy znalezieni, a błędne koło nowych nazwisk i adresów znów zacznie się toczyć.

– Wszystko będzie dobrze – mówię, przytulając go do siebie. Pozwala mi się objąć, co nie zdarza się często, ale w pobliżu nie ma żadnych świadków. Jego ciało zamknięte w moim uścisku jest sztywne i mocne. Puszczam go szybciej, niż zamierzałam. – Powinieneś iść na lunch. Zajmę się twoją siostrą.

– Już idę. Nie mogłem... – Nie kończy, ale wiem, co chciał powiedzieć. „Nie mogłem zostawić jej samej”. Jedną rzecz w przypadku moich dzieci jest pewna: pomimo kłótni i sprzeczek zawsze trzymają się razem. Nie zawiedli swojego zaufania od dnia, w którym doszło do *Zdarzenia*. Właśnie tak staram się o nim myśleć – z dużej litery, pisane kursywą – zupełnie jak nazwa horroru, czegoś, co zostało usunięte z naszego życia i możemy o tym zapomnieć. Coś fikcyjnego i odległego.

Czasem to pomaga.

– Idź – ponaglę go łagodnie. – Do zobaczenia wieczorem.

Connor odchodzi, oglądając się przez ramię. Chyba nie jestem obiektywna, ale uważam, że jest przystojnym chłopcem o błyszczących, bursztynowych oczach i brązowych włosach, które należy przyciąć. Ma wyrazistą, inteligentną twarz. Zaprzyjaźnił się z kilkoma osobami z gimnazjum Norton Junior High, co przyjął z ulgą. Łączą ich typowe dla ich wieku zainteresowania grami wideo, filmami, programami telewizyjnymi i książkami. Nawet jeśli są odrobinę dziwaczne, to

w dobrym tego słowa znaczeniu, ponieważ wynikają z żarliwego entuzjazmu i wyobraźni.

Lanny stanowi większy problem. O wiele większy.

Biorę głęboki wdech, wypuszczam powietrze i pukam do drzwi gabinetu pani dyrektor Anne Wilson. Gdy wchodzę do środka, Lanny siedzi na krześle pod ścianą. W oczy od razu rzuca mi się jej poza – ramiona skrzyżowane na piersi i spuszczone głowa, typowe dla milczącego, biernego oporu.

Moja córka ma na sobie workowate, czarne spodnie ozdobione łańcuchami i klamerkami oraz porwaną, wyblakłą koszulkę z zespołem Ramones, którą najwyraźniej ukradła z mojej szafy. Świeżo ufarbowane na czarno włosy zwisają wokół jej twarzy. Nabijane ćwiekami bransoletki i obroża na szyi lśnią. Są nowe, podobnie jak spodnie.

– Pani Proctor – mówi dyrektorka, zapraszając mnie gestem dłoni do zajęcia wyściełanego fotela stojącego przed jej biurkiem. Lanny siedzi z boku na jednym z twardych, plastikowych krzeseł – to prawdopodobnie krzesło hańby, które zostało wypolerowane na błysk przez tuziny, jeśli nie setki, krnąbrnych, nastoletnich tyłków. – Chyba domyśla się pani, w czym tkwi połowa problemu. Myślałam, że zgodziłyśmy się co do tego, że Atlanta nie będzie już nosiła w szkole tego rodzaju ubrań. Obowiązuje nas regulamin dotyczący stroju, którego musimy przestrzegać. Proszę wierzyć, że nie podoba mi się to w takim samym stopniu, co pani.

Pani dyrektor Wilson to czarnoskóra Amerykanka w średnim wieku o naturalnych włosach i niekrępowanym podejściu do swojej tuszy. Nie jest złym człowiekiem i nie próbuje uczynić z tego incydentu moralnej kruczaty. Kieruje się zasadami, a Lanny? No cóż. Moja córka jest kiepska w przestrzeganiu zasad. I respektowaniu granic.

– Goci wcale nie są niebezpiecznymi oszołomami – mamrocze pod nosem Lanny. – To jakaś gówniana propaganda.

– Atlanta! – mówi ostrym tonem dyrektor Wilson. – Wyrażaj się! Rozmawiam z twoją matką, a nie z tobą.

Lanny nie podnosi wzroku, ale doskonale wiem, że przewraca epicko oczami pod tą kurtyną czarnych włosów.

Zmuszam się do uśmiechu.

– Nie miała tego na sobie w momencie, gdy rano wychodziła z domu. Bardzo mi przykro.

– *A mnie wcale nie jest przykro* – wtrąca Lanny. – *To jakaś pieprzona głupota, że mówią mi, w co mam się ubierać! Co to, szkoła katolicka?*

Wyraz twarzy dyrektor Wilson nie zmienia się.

– *Do tego, jak sama pani widzi, dochodzi jej nastawienie.*

– *Mówi pani o mnie tak, jakby mnie tu w ogóle nie było! Jakbym nie była człowiekiem!* – woła Lanny, podnosząc głowę. – *Już ja pani pokażę nastawienie.*

Szok wywołany widokiem jej twarzy sprawia, że wzdragam się, zanim udaje mi się nad sobą zapanować. Jasny podkład, czarna kredka do oczu i szminka w trupim odcieniu błękitu. Do tego kolczyki w kształcie czaszek.

Przez chwilę nie mogę oddychać, bo jej twarz przekształca się w coś innego, w kogoś innego, kto wisiał na grubym kablu, z włosami przyklejonymi do głowy, wybałuszonymi oczami, z resztkami skóry na ciele w tym samym odcieniu...

„*Wsadź to do pudła. Zamknij. Nie możesz do tego wracać*”. Doskonale zdaję sobie sprawę z tego, że Lanny zrobiła to celowo. Patrzymy na siebie z wyzwaniem w oczach. Lanny ma dziwny talent do wynajdywania moich słabych punktów i wyprowadzania mnie z równowagi. Odziedziczyła go po ojcu. Dostrzegam go w kształcie jej oczu, w sposobie w jaki przechyla głowę. I przeraża mnie to.

– *Do tego dochodzi kwestia bójki* – ciągnie dyrektor Wilson.

– *Nie spuszczam wzroku z córki.*

– *Nic ci nie jest?*

Lanny pokazuje mi swoją prawą pięść i zdarte kłykcie. *Ała*. Na jej błękitnych ustach majaczy cień uśmiechu.

– *Powinnaś zobaczyć tę drugą laskę.*

– *Ta druga laska* – mówi dyrektor Wilson – *ma podbite oko. Oraz rodziców w typie ludzi, którzy numer do prawnika mają na szybkim wybieraniu.*

Ignorujemy ją, a ja kiwnięciem głowy daję Lanny znak, żeby kontynuowała.

– *To ona uderzyła mnie pierwsza, mamó* – mówi Lanny. – *Mocno. Po tym, jak mnie popchnęła. Powiedziała, że gapię się na jej głupiego chłopaka, czego wcale nie robiłam – jest okropny, a tak w ogóle to on gapił się na mnie. To nie moja wina.*

– Gdzie jest ta druga dziewczyna? – Spoglądam na dyrektor Wilson. – Dlaczego jej tu nie ma?

– Pół godziny temu została zabrana przez rodziców do domu. Dahlia Brown to wzorowa uczennica, która przysięga, że nie ma z tym nic wspólnego. Ma świadków, którzy mogą poprzeć jej słowa.

W gimnazjum zawsze znajdują się świadkowie, którzy powiedzą wszystko, czego chcą od nich przyjaciele. Dyrektor Wilson z pewnością o tym wie. Wie również, że Lanny jest tu nowa i odstaje od reszty. A to dlatego, że moja córka przyjęła gotycki styl częściowo jako mechanizm kontroli: odpycha innych, zanim sama zostanie odepchnięta. W ten dziwny sposób radzi sobie z sekretnym horrorem, jakim jest jej dzieciństwo.

– To nie ja wszczęłam bójkę – mówi Lanny, a ja jej wierzę. I chyba tylko ja. – *Nienawidzę tej pieprzonej szkoły.*

W to również jestem w stanie uwierzyć.

Ponownie kieruję uwagę na kobietę siedzącą za biurkiem.

– Jeśli dobrze zrozumiałam, chce pani zawiesić Lanny, ale tę drugą dziewczynę już nie?

– Nie mam innego wyboru. Biorąc pod uwagę złamanie regulaminu dotyczącego stroju, bójkę i jej nastawienie względem całego incydentu...

– Wilson czeka, wyraźnie spodziewając się nadchodzącej kłótni, ale ja tylko kiwam głową.

– W porządku. Czy otrzymała jakieś prace domowe?

Nie sposób przeoczyć ulgę, która odmalowuje się na twarzy dyrektorki, że siedzący przed nią rodzic, który cuchnie prochem strzelniczym, nie zamierza robić scen.

– Tak. Zadbałam o to. Może wrócić na zajęcia w przyszłym tygodniu.

– Chodź, Lanny – mówię, wstając. – Porozmawiamy o tym w domu.

– Mamo, ja niczego...

– W domu.

Lanny wzdycha, łapie plecak i zgarbiona wychodzi z gabinetu. Ufarbowane na czarno włosy skrywają wyraz jej twarzy, który z pewnością nie należy do przyjemnych.

– Jeszcze jedno. Potrzebuję konkretnego zapewnienia, zanim pozwolę Atlancie wrócić do szkoły – mówi Wilson. – Kierujemy się polityką zerowej tolerancji, a ja naginam ją, bo wiem, że jest pani dobrą osobą

i chce, aby córka się przystosowała i znalazła swoje miejsce. Ale to ostatnia szansa, pani Proctor. Naprawdę ostatnia. Bardzo mi przykro.

– Proszę mnie tak nie nazywać. Panna Proctor wystarczy. – Podnoszę się i podaję jej rękę. Ściska ją rzeczowo, w całkiem bezosobowy sposób. Dzisiaj traktuję bezosobowy uścisk ręki jako coś pozytywnego. – Porozmawiamy w przyszłym tygodniu.

Na korytarzu Lanny usiadła dokładnie na tym samym krześle, które wybrał jej brat. Pewnie jest jeszcze ciepłe od jego ciała. Robią to specjalnie czy to tylko instynkt? Czy za bardzo się do siebie zbliżają? Czy moja paranoja i ciągła czujność sprawiły, że tak się zachowują?

Biorę głęboki wdech i wypuszczam powietrze. Ostatnią rzeczą, na jaką mam ochotę, jest zagłębianie się w życie dzieci. Mają tego serdecznie dość.

– Chodź. Zmywajmy się, jak to mówią nastolatki.

Lanny wygląda na urażoną.

– Phi. Wcale nie. – Waha się i wbija wzrok w buty. – Nie jesteś zła?

– Wręcz przeciwnie, jestem wściekła. Mam zamiar zajadać wszystkie swoje smutki w Kathy's Kakes. A ty razem ze mną. Czy ci się to podoba, czy nie.

Lanny jest w wieku, gdy okazywanie entuzjazmu wobec czegośkolwiek, nawet urwania się ze szkoły, by móc zjeść naszprycowane masłem ciasto, jest mało fajne, więc ogranicza się do wzruszenia ramionami.

– Wszystko jedno. Chcę w końcu opuścić to miejsce.

– Mogę wiedzieć, skąd wzięłaś te wszystkie rzeczy, które na sobie masz?

– Jakie rzeczy?

– Serio? Tak masz zamiar to rozegrać?

Lanny przewraca oczami.

– To tylko ciuchy. Jestem prawie pewna, że wszystkie dziewczyny noszą je do szkoły.

– Zaskakująco mało chce dołączyć do fanek Marilyn Manson.

– Kogo?

– Dzięki tobie poczułam się jak stary zgred. Kupiłaś je przez internet?

– A jeśli nawet, to co?

– Nie użyłaś mojej karty kredytowej, prawda? Wiesz, jakie to niebezpieczne.

– Nie jestem idiotką. Zaoszczędziłam trochę kasy i kupiłam kartę przedpłaconą, tak jak mnie uczyłaś. Kazałam wysłać paczkę do skrzynki pocztowej w Bostonie i nadałam ją ponownie. Dwa razy.

To rozluźnia mroczny supeł niepokoju w mojej piersi. Kiwam głową.

– W porządku. Porozmawiajmy o tym przy kaloriach.

W rzeczywistości nasza dyskusja nie dotyczy niczego konkretnego. Kawalki domowego ciasta są ogromne i pyszne. Nie ma sensu wściekać się w trakcie jedzenia takich delicji. Kathy's Kakes to popularne miejsce. Wokół nas siedzą rozkoszujący się swoimi smakołykami ludzie. Ojciec z trójką małych dzieci wisi na telefonie, a maluchy wykorzystują chwilę jego nieuwagi, by porozrzucić wszędzie okruchy po babeczkach i usmarować sobie buzie jaskrawym, niebieskim lukrem. W rogu siedzi zapracowana młoda kobieta z tabletem. Gdy odwraca się, żeby podłączyć go do prądu, dostrzegam kolorowy tatuaż na jej ramieniu wystający spod koszulki. Starsza para siedzi przy herbacie podanej w wyszukanych filiżankach i wysokiej, piętrowej paterze uginającej się pod ciężarem łakoci. Zastanawiam się, czy picie herbaty wymaga od człowieka, aby sprawiał wrażenie, że śmiertelnie go to nudzi.

Nawet Lanny łagodnieje nieco do czasu, gdy kończymy jeść. Niebieskotrupia szminka zdążyła zetrzeć się z jej ust, dzięki czemu wygląda prawie normalnie. Prowadzimy ostrożną rozmowę o cieście, weekendzie i książkach. Dopiero gdy ponownie ruszamy w drogę do Stillhouse Lake, jestem zmuszona zepsuć nasz dobry nastrój.

– Lanny... posłuchaj. Inteligentna z ciebie dziewczyna. Dobrze wiesz, że jeśli będziesz się tak wyróżniać, ktoś w końcu zrobi ci zdjęcia i opublikuje je w mediach społecznościowych. Nie możemy do tego dopuścić.

– Od kiedy to moje życie jest *naszym* problemem, mamó? Och, no tak. Już pamiętam. Od *zawsze*.

Zrobiłam wszystko, co w mojej mocy, aby ustrzec dzieci przed najgorszymi następstwami *Zdarzenia*, tak samo jak moja mama, gdy zostałam oskarżona o współudział. Miałam nadzieję, że cokolwiek Lanny zapamiętała lub czego się dowiedziała, przypominało raczej wąski strumyczek, aniżeli toksyczną falę, w której zostałam zanurzona. Moja matka była zmuszona powiedzieć Lanny i Connorowi – wtedy jeszcze Lily i Brady'emu – że ich ojciec był mordercą, że zostanie osądzony i trafi

do więzienia. Że zabił wiele młodych kobiet. Nie zdradziła im szczegółów, a ja nie chciałam, żeby kiedykolwiek je poznały. To już przeszłość, a ja wiem, że nie dam rady dłużej utrzymywać najgorszego w tajemnicy przed Lanny. Czternaście lat to zdecydowanie zbyt młody wiek, aby w pełni pojąć deprawację Melvina Royała.

– Żadne z nas nie może się wychylać – mówię. – Dobrze o tym wiesz, Lanny. To dla naszego bezpieczeństwa. Rozumiesz to, prawda?

– Jasne – odpowiada, rozmyślnie odwracając wzrok. – Bo ktoś wiecznie próbuje nas znaleźć. Ci mityczni obcy, których tak bardzo się boisz.

– Oni nie są... – Biorę wdech i ponownie przypominam sobie, że kłótnia do niczego nas nie zaprowadzi. – Przestrzegamy tych zasad z konkretnego powodu.

– Twoich zasad. Twoich powodów. – Kładzie głowę na oparciu siedzenia, jak gdyby znudziło ją jej podtrzymywanie. – Wiesz, jeśli zostanę gotką, to i tak nikt mnie nie pozna. Ludzie będą się gapić na makijaż, nie na twarz.

Celna uwaga.

– Możliwe, ale tutaj, w Norton, zostaniesz za to wyrzucona ze szkoły.

– Edukacja domowa nadal jest popularna.

To byłoby najłatwiejsze rozwiązanie. Wiele razy poważnie się na tym zastanawiałam, ale papierkowa robota ciągnęła się w nieskończoność, a my aż do niedawna stale się przemieszczaliśmy. Poza tym chcę, żeby moje dzieci prowadziły życie towarzyskie. Żeby były częścią normalnego świata. Zdążyły już doświadczyć wystarczająco dużo okropności.

– Może uda nam się osiągnąć kompromis – mówię. – Pani Wilson nie sprzeciwia się farbowaniu włosów. Postaw na bardziej stonowany makijaż, pozbądź się dodatków, nie zakładaj wyłącznie czarnych ciuchów. Nadal możesz być dziwna. Tylko nie *nienormalna*.

Lanny natychmiast się ożywia.

– Czy w takim razie mogę założyć sobie konto na Instagramie? I dostać prawdziwy telefon zamiast tego głupiego ustrojstwa z klapką?

– Nie przeciągaj struny.

– Mamo. Ciągłe powtarzasz, że chcesz, żebym była normalna. *Każdy* korzysta z mediów społecznościowych. Nawet dyrektor Wilson ma lamerski profil na Facebooku, pełen głupich zdjęć z kotami i dziwnych memów. A do tego Twittera!

– Cóż, przecież jesteś buntowniczką protestującą przeciwko establishmentowi. Nie powinnaś mieć z tym problemu. Bądź inna dzięki odmowie podążania za trendami.

Mój argument nie przeszedł, a ona rzuciła mi zdegustowane spojrzenie.

– A zatem chcesz, żebym była totalnym społecznym pariasem. Cudownie. Istnieje coś takiego jak funkcja anonimowa. Wcale nie muszę wpisywać swojego nazwiska. Przysięgam, zadbam o to, żeby nikt nie wiedział, kim jestem.

– Nie. Bo po jakichś dwóch sekundach od utworzenia konta zapełni się ono całą masą selfie. Z oznaczonymi miejscami.

Najtrudniejszą rzeczą w tym opętanym wizerunkiem świecie było niedopuszczenie do tego, aby zdjęcia dzieci wyciekły do sieci. Wszędzie są oczy, które nas wypatrują i nigdy się nie zamykają. Nawet nie mrugają.

– Rany boskie, ale jesteś upierdliwa – burczy pod nosem Lanny. Zwija się w kłębek i wygląda przez okno na jezioro. – W dodatku przez twoją paranoję musimy mieszkać na tym zadupiu. No chyba że masz zamiar spakować nas i przenieść do jeszcze większej wiochy.

Pomijam milczeniem tę część o paranoi, bo jest prawdziwa.

– Nie sądzisz, że to zadupie jest piękne?

Lanny nie odpowiada. Nie rewanżuje się żadną kąśliwą uwagą, co uważam za drobne zwycięstwo. W dzisiejszych czasach cieszę się z każdego zwycięstwa.

Skrećam w żwirowany podjazd i wjeżdżam na wzgórze w stronę domku. Lanny zdążyła wysiąść, zanim jeszcze wcisnęłam hamulec.

– Alarm jest włączony! – krzyczę w ślad za nią.

– Też mi coś! A kiedy nie jest?

Lanny jest już w środku. Słyszę, jak wciska szybko sześciocyfrowy kod. Wewnętrzne drzwi się zatrząskują, zanim do moich uszu dociera sygnał oznajmiający brak zagrożenia, ale Lanny nigdy się nie myli. Connorowi zdarza się to od czasu do czasu, bo nie jest wystarczająco uważny – wiecznie buja z głową w chmurach. Zabawne, jak bardzo zamienili się miejscami na przestrzeni tych czterech lat. To Connor prowadzi bogate życie wewnętrzne, stale z książką w ręku, a Lanny obnosi się z dumą ze swoim pancerzem ochronnym, prosząc się o kłopoty.

– Twoja kolej na pranie! – przypominam, wchodząc do domu tuż po

Lanny, która jak zwykle trzaska już dobitnie drzwiami swojej sypialni. – Prędzej czy później będziemy musiały porozmawiać! Dobrze o tym wiesz!

Nieprzyjemna cisza za drzwiami wyraźnie się z tym nie zgadza. To bez znaczenia. Gdy coś jest ważne, nigdy się nie poddaję. Lanny wie o tym lepiej niż ktokolwiek inny.

Resetuję kod alarmu i odkładam swoje rzeczy na właściwe miejsce. Lubię mieć porządek i nie musieć marnować czasu w chwili zagrożenia. Czasami wyłączam światła i przeprowadzam ćwiczenia na wypadek kryzysu. „W korytarzu wybuchł pożar. Gdzie jest wyjście ewakuacyjne? Gdzie znajduje się wasza broń?” Wiem, że to obsesyjne i niezdrowe, ale również praktyczne jak cholera.

W myślach odtwarzam wszystkie kroki, które powzięłabym, gdyby jakiś intruz włamał się przez drzwi od garażu. „Weź nóż z kuchennego bloku. Odetnij mu drogę. Dźgaj, dźgaj, dźgaj. Gdy zatoczy się do tyłu, przetnij mu ścięgna w kostkach. Wtedy padnie”.

W trakcie każdej takiej próby widzę atakującego nas Mela – Mela, który wygląda dokładnie tak samo jak w trakcie procesu, ubrany w grafitowy garnitur, który kupił mu prawnik, niebieski, jedwabny krawat i poszetkę pasującą do jego błękitnych oczu. Wygląda jak dobrze ubrany, normalny mężczyzna. Fasada jest wręcz doskonała.

Nie było mnie w tłumie w trakcie jego wystąpienia w sądzie, ale wszyscy zgodnie stwierdzili, że wyglądał jak całkiem niewinny człowiek. Siedziałam w areszcie w oczekiwaniu na własny proces. Fotografowi udało się jednak uchwycić go we właściwej chwili, gdy odwrócił się i spojrzał na tłum, na rodziny ofiar. Nadal wyglądał tak samo, ale jego oczy stały się bezduszne i pozbawione życia. Na widok tego zdjęcia ogarnęło mnie dziwne poczucie, że w jego ciele żyło coś zimnego i obcego, wyglądając na zewnątrz. Że ów potwór nie czuł już potrzeby, aby się kryć.

Gdy wyobrażam sobie atakującego nas Mela, właśnie to wyziera z tego twarzy.

Po zakończeniu ćwiczeń upewniam się, że wszystkie drzwi są zamknięte. Connor ma własny kod, a gdy wraca do domu, nasłuchuję dźwięku wciskanych guzików i resetowania. Potrafię odróżnić, kiedy się myli, a kiedy zwyczajnie zapomina. Pilot służący do ustawiania systemu i umożliwiający dodzwonienie się do komisariatu policji w Norton

trzymam stale w kieszeni. Sięgnięcie po niego to mój pierwszy krok na wypadek sytuacji awaryjnej.

Siadam przed komputerem w sypialni, w której urządziłam gabinet. To dość mały pokój z wąską szafą, w której leżą zimowe ubrania i zapasy, zdominowany przez poobijany, wspaniały sekretarzyk z żaluzjową pokrywą, który uratowałam ze sklepu ze starociami pierwszego dnia pobytu w Norton. Według daty zapisanej ołówkiem na szufladzie, pochodzi z 1902 roku. Jest cięższy od mojego samochodu. Na przestrzeni lat ktoś używał go jako stołu warsztatowego, ale jest tak wielki, że z łatwością mieści komputer, klawiaturę, myszkę i małą drukarkę.

Wpisuję swój kod dostępu i wciskam klawisz uruchamiający algorytm wyszukiwujący. To całkiem nowy sprzęt, kupiony w momencie przeprowadzki do Stillhouse Lake; został wyposażony we wszelkiego rodzaju narzędzia służące do włamywania się do systemów komputerowych przez hakera o pseudonimie Absalom.

Przez wiele dni, tygodni i miesięcy po procesie Mela, gdy siedziałam w więzieniu i przeżywałam własny sądowy koszmar, Absalom należał do wielkiej grupy internetowych trolli, które mnie prześladowały, analizując każdy aspekt mojego życia w poszukiwaniu świadczących o winie poszlak. Jednak *prawdziwa* burza rozpętała się po tym, gdy zostałam oczyszczona ze wszystkich zarzutów. Dokopał się do każdego szczegółu z mojego życia i udostępnił go w sieci. Stworzył armie internetowych trolli, które bez ustanku atakowały mnie, moich przyjaciół i sąsiadów. Znalazł moich najdalszych krewnych i opublikował w sieci ich prywatne adresy. Nękał dwóch żyjących kuzynów Mela i doprowadził jednego z nich na skraj samobójstwa.

Przekroczył granicę, w momencie gdy trolle, których pchnął w moją stronę, zaatakowały moje dzieci.

Dostałam od niego niezwykłą wiadomość tuż po rozpoczęciu tej potwornej kampanii: szczerzy e-mail, w którym opowiadał o traumatycznych przeżyciach z własnego dzieciństwa, o bólu i tym, że dręczył mnie, aby odpędzić własne demony. Zapoczątkowanej przez niego reakcji łańcuchowej nie dało się zatrzymać. Kruczjata zaczęła żyć własnym życiem. Jednak Absalom pragnął mi pomóc, i co więcej, rzeczywiście *mógł* to zrobić.

Uciekaliśmy wtedy z Wichity, zdesperowani i pełni obaw, a jego

propozycja pomocy okazała się punktem zwrotnym. Był to moment, w którym z pomocą Absaloma odzyskałam kontrolę nad swoim życiem.

Absalom nie jest moim przyjacielem. Nie rozmawiamy i podejrzewam, że w jakimś stopniu nadal mnie nienawidzi. Ale pomaga. Tworzy fałszywe tożsamości. Wynajduje dla mnie bezpieczne kryjówki. Robi, co może, aby kontrolować niekończące się internetowe nękanie. Gdy kupuję nowy komputer, odwzorowuje poprzednią zawartość z kopii zapasowych, które przechowuje w chronionej chmurze, więc nie tracę żadnych danych. Pisze dostosowane do mnie algorytmy wyszukiujące, które umożliwiają mi śledzenie Patrolu Psycholi.

Płacę mu za usługi. Nie ma potrzeby, byśmy zostawali kumplami. Nasza relacja jest czysto biznesowa.

Gdy algorytm jest zajęty wyszukiwaniem, przygotowuję sobie kubek gorącej herbaty z miodem i popijam z zamkniętymi oczami, szykując się na atak. Kiedy to robię, zawsze mam w pobliżu określone rzeczy: naładowaną broń, telefon z numerem Absaloma na szybkim wybieraniu w razie wystąpienia jakiegokolwiek problemu, i na końcu plastikowy worek na śmieci, do którego mogę zwymiotować w razie potrzeby.

Wszystko dlatego, że to, co robię, jest wyjątkowo trudne. Przypomina wkładanie ręki do pieca hutniczego pełnego bezmyślnej nienawiści i podłej furii. Gdy się cofam, zawsze jestem wstrząśnięta i poparzona do żywego.

Mimo wszystko trzeba to robić. Codziennie.

Czuję, jak napięcie wydostaje się z mojej głowy, prześlizgując po kręgosłupie i ramionach niczym zimny wąż, po czym schodzi do żołądka, gdzie ciąży jak kamień. Nigdy nie jestem w pełni przygotowana na rezultaty wyszukiwania, ale dzisiaj próbuję być spokojna, spostrzegawcza i zdystansowana, jak zawsze zresztą.

Pojawiło się czternaście stron wyników wyszukiwania. Górny link jest nowy. Ktoś rozpoczął wątek na Reddicie, i teraz makabryczne opisy, spekulacje oraz głosy domagające się sprawiedliwości zaczynają się od nowa. Zaciskam zęby i klikam.

„Gdzie się teraz podziewają Mali Pomocnicy Melvina? Z przyjemnością złożyłbym wizytę tej zakłamaney paniusi z kościoła”. Lubią nazywać mnie „paniusią z kościoła”, ponieważ nasza rodzina należała do jednej z największych kongregacji baptystów w Wichicie, choć Mel nie

uczęszczał regularnie na msze. Zwykle to ja pojawiałam się tam z dziećmi. Na ten temat opublikowano mnóstwo ironicznych zdjęć – dwuczęściowe kolaże przedstawiające mnie i dzieci w kościele, i zdjęcia z miejsca zbrodni z martwą kobietą z garażu.

W niedzielne poranki Mel zwykle się wymigiwał, mówiąc, że ma sporo rzeczy do zrobienia w warsztacie. „Rzeczy do zrobienia”. Na chwilę muszę zamknąć oczy, bo za tymi słowami kryje się okrutny żart. Nigdy nie uważał kobiet, które torturował i mordował, za ludzkie istoty. Uważał je za przedmioty. Rzeczy.

Otwieram oczy, biorę głęboki wdech i przechodzę do następnego linka.

„Mam nadzieję, że Gina i jej dzieci zostaną zgwałceni i powieszeni jak kawałki mięsa, żeby ludzie mogli na nich pluć. Bestialski Mel nie zasługuje na rodzinę”. Do tego dołączone jest zdjęcie z miejsca zbrodni przedstawiające czyjeś zastrzelone i porzucone w rowie dzieci. Bezwzględna hipokryzja wręcz zapiera dech. Ten troll wykorzystuje czyjś osobisty koszmar, aby zwrócić uwagę na mój. Nie dba o dzieci. Chodzi mu wyłącznie o zemstę.

W pełnym obrzydzenia pośpiechu czytam resztę.

„Widzieliście jego córkę? Lily? Grzmociłbym ją, aż padłaby trupem”.

„Spalić ich żywcem i ugasić truchła szczynami”.

„Mam pomysł. Trzeba znaleźć jakiś działający wychodek, utopić dzieciaki w gównie, a potem wysłać jej wskazówki co do tego, jak je znaleźć”.

„Co możemy zrobić, żeby cierpiała? Jakieś sugestie? Ktoś widział może ostatnio tę sukę?”

I tak dalej, i tak dalej. Opuszczam Reddit i wchodzę na Twitter, gdzie znajduję jeszcze więcej gróźb, nienawiści i jadowitej krytyki – tyle że w formie zwięzłych zdań liczących po sto czterdzieści znaków. Przerzucam się na blogi. Wchodzę na 8chan. Fora internetowe poświęcone makabrycznym zdarzeniom. Strony, które są świątyniami dla zbrodni popełnionych przez Mela.

Zabójstwa niewinnych młodych kobiet są na nich ukazane niczym pospolita rozrywka. Informacja historyczna. Na szczęście ci kawiarniani detektywi nie stanowią zagrożenia. Rodzina Mela jest dla nich bez znaczenia w całej tej sprawie. Nie są nastawieni na to, aby nas zniszczyć.

Ci, którzy bardziej interesują się *nami*, zaginioną rodziną Melvina Royała... mogą być niebezpieczni.

I są ich całe setki, a może nawet tysiące – wszyscy oni rywalizują między sobą o wymyślanie coraz to nowych, potwornych sposobów na *ukaranie* mnie i dzieci. *Moich dzieci*. To chory, wyzuty z jakichkolwiek resztek sumienia koszmar. Żadna z tych osób nie zdaje sobie sprawy, że mówi o ludziach, o prawdziwych ludziach, którym może stać się krzywda. Którzy krwawią. Którzy mogą zostać zamordowani. A jeśli nawet przejdzie im to przez głowę, mają to kompletnie gdzieś. Wśród tej nikczemnej zbieraniny istnieją działające na nerwy szumowiny, które są prawdziwymi, pozbawionymi wszelkich skrupułów socjopatami.

Drukuję wszystko, podkreślając nazwy użytkowników i pseudonimy, i zaczynam porównywać z bazą danych, którą prowadzę. Większość loginów na liście należy do starych wyjadaczy. Z jakichś powodów mają bzika na naszym punkcie. Część to nowi, fanatyczni pomagierzy, którzy dopiero co odkryli zbrodnie Mela i chcą zemsty „w imieniu ofiar”, ale w rzeczywistości nie ma to nic wspólnego z ofiarami Mela. Rzadko kiedy napotykam na wzmiankę o ich nazwiskach. Dla tej konkretnej zgrai samozwańców obrońców ofiary nie miały żadnego znaczenia, ani teraz, ani za życia. To wymówka do uwolnienia najbardziej podłych wewnętrznych impulsów. Pod wieloma względami ci trolle w niczym się nie różnią od Mela – jednak w odróżnieniu od niego, oni prawdopodobnie nie działaliby pod ich wpływem. Prawdopodobnie.

Z drugiej strony, to dlatego trzymam broń, aby przypomnieć sobie, że gdyby się do tego posunęli, gdyby odważyli się zaatakować moje dzieci, zapłaciliby za to wysoką cenę. Już nigdy więcej nie pozwolę, aby ktoś je skrzywdził.

Zatrzymuję się na chwilę, bo kimkolwiek jest osoba ukrywająca się pod pseudonimem fuckemall2hell, udało jej się natknąć na fragment sądowego dokumentu, na którym widnieje jeden z naszych starych adresów. Zamieściła w sieci nazwę ulicy, wyśledziła rodziny ofiar, wezwała dziennikarzy i rozesłała ściągalne plakaty z naszymi zdjęciami ozdobione słowami ZAGINIENI: CZY KTOŚ WIDZIAŁ TYCH LUDZI? To strategia, którą te prymitywy niedawno przybrały – granie na uczuciach, okazywanie autentycznego człowieczeństwa i troski. Żeruje na dobrych intencjach ludzi, by wykurzyć nas z kryjówki, aby drapieżcy

mieli do nas łatwiejszy dostęp.

Bardziej martwię się jednak o niewinnych ludzi mieszkających pod adresem, który udostępnił. Mogą nie mieć pojęcia, co się będzie działo. Wysłałam anonimowego maila do detektywa w tamtym rejonie – niechętnego sprzymierzeńca – zawiadamiając go, że adres znów jest w użyciu, i liczę na odzew. Mam nadzieję, że rodzina mieszkająca w tym domu nie obudzi się i nie znajdzie paczek z zepsutym mięsem i martwych zwierząt przybitych gwoździami do frontowych drzwi, że nie dostaną mnóstwa brutalnych filmów naszpikowanych torturami ani nie doświadczą przerażających gróźb w listach, w internecie, telefonach i miejscach pracy. Doskonale pamiętam szok towarzyszący odkryciu zalewu nienawiści wymierzonej w mój pusty dom, choć sama siedziałam bezpiecznie w areszcie, a dzieci zostały odesłane do Maine.

Jeśli obecni właściciele mają dzieci, modłę się, aby nikt się na nie nie wziął, tak jak na moje. Plakaty na słupach telefonicznych. Ich zdjęcia wysyłane do amatorów pornografii w charakterze modeli. Wymierzona w nich nienawiść nie miała końca. To dryfująca swobodnie toksyczna chmura moralnego oburzenia i mentalności rozwścieczonego tłumu, której wszystko jedno, kogo krzywdzi. Liczy się wyłącznie fakt, że to robi.

Adres odkryty przez tego trolla wiedzie do ślepego zaułka. Nie może naprowadzić go na ślad naszego nowego domu ani tożsamości. Między wskazanym przez niego miejscem a obszarem, w którym się obecnie znajduję, jest co najmniej osiem urywających się tropów, co jednak wcale nie przynosi mi ulgi. Stałam się w tym dobra z czystej konieczności, ale nie jestem jak *oni*. Nie napędza mnie ta sama chora determinacja. Jedyne, czego pragnę, to przeżyć – i zapewnić dzieciom tak duże bezpieczeństwo, jak tylko się da.

Kończę sprawdzanie, strząsam stres z ramion i dłoni, dopijam zimną herbatę i wstaję, aby przejść się po gabinecie. Mam ochotę wziąć do ręki broń, ale to wyjątkowo kiepski pomysł. Mało bezpieczny i podyktowany paranoją. Wpatruję się w milczący połysk rewolweru i ochronę, którą obiecuje, ale wiem, że to też kłamstwo. Takie samo jak to, które wciskał mi Mel. Broń nikomu nie zapewnia ochrony. Ona tylko wyrównuje szanse.

– Mamo?

Słyszę czyjś głos od progu i odwracam się zbyt szybko, czując, jak wali mi serce, zadowolona, że nie mam przy sobie broni, bo zaskakiwanie mnie nie jest najlepszym pomysłem. W drzwiach stoi Connor, wlokąc za sobą szkolny plecak. Sprawia wrażenie, jakby nie zauważył, że mnie wystraszył. A może jest do tego tak przyzwyczajony, że przestało go to obchodzić.

– Wszystko w porządku z Lanny? – pyta, a ja zmuszam się do uśmiechu i kiwam głową.

– Tak, skarbie, nic jej nie jest. Jak było w szkole? – Słucham go tylko jednym uchem, pochłonięta myślami o tym, że nie usłyszałam tego, jak wszedł, dźwięku wbijanego kodu ani odgłosu resetowania. Za bardzo pograżyłam się we własnych myślach. To niebezpieczne. Powinnam zachować większą czujność.

Nie odpowiada od razu. Wskazuje na komputer.

– Skończyłaś Patrol Psycholi?

Kompletnie mnie tym zaskakuje.

– Gdzie to usłyszałaś? – pytam, chwilę później odpowiadając na własne pytanie. – Od Lanny?

Wzrusza ramionami.

– Szukasz prześladowców, prawda?

– Prawda.

– Mamo, w internecie każdy ma styczność z hejterami. Nie powinnaś brać tego na poważnie. Po prostu ich ignoruj. W końcu zostawią cię w spokoju.

Pod wieloma względami to najbardziej wkurzająca rzecz, jaką można powiedzieć. Zupełnie jakby internet był baśniową krainą zamieszkiwaną przez zmyślonych ludzi. Zupełnie jakbyśmy sami byli zwykłymi ludźmi. To rzecz, którą chyba tylko tak młody nastolatek może powiedzieć – automatyczne założenie, że jest się bezpiecznym. Kobiety, a nawet dziewczęta w wieku Lanny nie myślą w ten sposób. Tak samo rodzice. Albo ludzie w starszym wieku. Ten sposób myślenia obnaża pewną ślepą ignorancję względem tego, jak niebezpieczny potrafi być świat.

Robi mi się słabo, gdy uświadamiam sobie, że pomogłam mu uformować to nastawienie przez nadmierne izolowanie i ochronę. Ale co innego mogę zrobić? Poddawać bezustannemu zastraszaniu? To w niczym nie pomoże.

– Dzięki za opinię, o którą nie prosiłam. Robienie tego wcale mi nie przeszkadza. – Sortuję papiery i chowam do teczki. Zawsze prowadziłam zarówno elektroniczne, jak i papierowe archiwum. Z mojego doświadczenia wynika, że dla policji wygodniejsza jest ta druga wersja. Funkcjonariusze mają wtedy poczucie, że to namacalny dowód, w odróżnieniu od danych na ekranie komputera. Poza tym, w przypadku zagrożenia, możemy nie mieć czasu, aby wydrukować je na czas. – Patrol Psycholi skończony – mówię, po czym zatrząskuję i zamykam szufladę. Klucz wrzucam do kieszeni. Jest dołączony do breloka z alarmem i zawsze znajduje się w moim posiadaniu. Nie chcę, aby Connor albo Lanny zyskali dostęp do tych teczek. Po moim trupie. Lanny ma własnego laptopa, ale z aktywowaną funkcją ścisłej kontroli rodzicielskiej, która nie tylko nie pokazuje jej wyników wyszukiwania, ale także powiadamia mnie, gdy próbuje wpisać hasła dotyczące swojego ojca, morderstw i wszystkiego, co jest z tym związane.

Na chwilę obecną nie mogę zaryzykować kupienia Connorowi komputera, ale presja, aby zapewnić mu dostęp do internetu, rośnie w zastraszającym tempie.

Lanny otwiera gwałtownym ruchem drzwi swojego pokoju i przelatuje obok gabinetu, uskakując przed Connorem w korytarzu. Nadal ma na sobie spodnie w gotyckim stylu i koszulkę Ramones, a czarne włosy powiewają za nią w powietrzu. Pewnie idzie do kuchni po typową popołudniową przekąskę w postaci wafli ryżowych i napoju energetycznego. Connor patrzy w ślad za nią. Nie wygląda na zaskoczonego. Raczej zrezygnowanego.

– Ze wszystkich sióstr na świecie akurat moja musi ubierać się jak postać rodem z *Miasteczka Halloween* – mówi. – Stara się wyglądać na mniej ładną niż jest w rzeczywistości.

Zaskakujące spostrzeżenie jak na chłopaka w jego wieku. Mrugam, gdy ze zdumieniem odkrywam fakt, że pod tymi workowatymi spodniami, niechlujnymi włosami i trupim makijażem kryje się śliczna dziewczyna. Wysoka, zaokrąglająca się we właściwych miejscach. Jako matka zawsze będę uważać ją za piękną, ale teraz zaczną robić to również inni. Jej kontrowersyjny styl trzyma ludzi na dystans i zmienia standardy, według których jest oceniana. Sprytna i jednocześnie łamiąca serce strategia.

Connor odwraca się i idzie do swojego pokoju.

– Zaczekaj! Connor! Zresetowałeś alarm?

– Jasne, że tak – odkrzykuje bez zatrzymywania się. Drzwi jego pokoju zamykają się ze swoistą stanowczością, lecz bez użycia siły. Lanny wraca ze swoimi waflami ryżowymi i napojem energetycznym, i siada z klapnięciem na małym krześle stojącym w rogu mojego gabinetu. Odstawia napój na podłogę i salutuje drwiąco.

– Wszyscy w komplecie, starszy sierżancie – mówi, po czym siada ciężko w pozycji, która jest fizycznie nieosiągalna dla nikogo powyżej dwudziestu pięciu lat. – Dużo o tym myślałam i chcę pójść do pracy.

– Nie.

– Mogę pomóc podreperować domowy budżet.

– Nie. Twoją pracą jest chodzić do szkoły. – Muszę się ugryźć się w język, żeby powstrzymać się od narzekania, że dawniej moja córka lubiła chodzić do szkoły. Lily Royal lubiła szkołę. Chodziła na zajęcia teatralne i należała do kółka informatycznego. Jednak Lanny nie mogła się wyróżniać. Nie mogła mieć zainteresowań, które czyniły ją wyjątkową. Nie mogła mieć nowych przyjaciół i zdradzić im czegokolwiek choćby odrobinę zbliżonego do prawdy. Nic dziwnego, że szkoła stała się dla niej piekłem.

– Ta dziewczyna, z którą wdałaś się w bójkę... Rozumiesz chyba, że to nie może się powtórzyć? Dlaczego zawsze musisz wplątać się z coś takiego?

– Wcale się w nią nie wdałam. To ona zaczęła. A co, chcesz, żebym przegrała? Żebym dała się stłuc na kwaśne jabłko? Myślałam, że popierasz samoobronę!

– Chcę, żebyś spokojnie odeszła.

– No jasne, *ty* byś tak zrobiła. Odejść, tylko tyle umiesz. A nie, sorry, *ty* wieszcznie *uciekasz*.

Nie ma nic bardziej przykrego niż nastoletnia pogarda. Jest jak bolesne ukłucie, które utrzymuje się przez bardzo długi czas. Staram się nie pokazać jej, że ma rację, ale nie ufam swojemu głosowi. Biorę filiżankę i idę do kuchni. Wypłukanie resztek fusów przynosi mi chwilową poprawę nastroju. Lanny idzie za mną, ale nie robi tego z zamiarem kolejnego ataku. Po tym, jak się ociąga, wiem, że żałuje swoich słów i nie bardzo wie, jak je cofnąć. Ani czy w ogóle chce.

Gdy odkładam filizankę i spodek do zmywarki, mówi:

– Myślałam o tym, żeby pójść pobiegać...

– Samej? Wykluczone – odpowiadam automatycznie, po czym uświadamiam sobie, że właśnie na to liczyła. Przeprosiny bez przepraszania. Nie znoszę faktu, że muszę pozwalać im jeździć szkolnym autobusem. Samotna wycieczka wokół jeziora? Nie ma mowy. – Pójdziemy razem. Tylko się przebiorę.

Zakładam legginsy i zarzucam luźną koszulkę na sportowy stanik. Do tego grube skarpety i dobre buty do biegania. Gdy wychodzę na zewnątrz, Lanny jest zajęta rozciąganiem. Ma na sobie czerwony sportowy stanik, żadnej koszulki i czarne legginsy ze wzorem w kolorowe romby po bokach. Patrzę na nią, aż w końcu wzdycha, bierze koszulkę i zakłada ją przez głowę.

– Nikt normalny nie biega w T-shirtach – rzuca z pretensją w głosie.

– Masz oddać mi tę koszulkę z Ramones. To klasyk. Założę się, że nie znasz tytułu ani jednej ich piosenki.

– *I Wanna Be Sedated* – odparowuje błyskawicznie Lanny. Nie komentuję tego. Przez pierwsze pół roku po *Zdarzeniu* Lily dostawała mnóstwo środków nasennych. Całymi dniami nie mogła spać, a gdy w końcu udawało jej się zapaść w niespokojną drzemkę, budziła się z krzykiem, z płaczem dopominając się mamy. Mamy, która siedziała w więzieniu. – No chyba że wolisz *We're A Happy Family*?

Milczę, ponieważ wybierane przez nią piosenki trafiają w samo sedno. Wyłączam alarm, otwieram drzwi i krzyczę do Connora, żeby go zresetował. Burczy coś od strony korytarza, a ja mam nadzieję, że to oznacza „tak”.

Lanny wybiega naprzód, ale doganiam ją na końcu zwirowanego podjazdu i biegnąc sprężystym krokiem, kierujemy się drogą na wschód. To idealna pora dnia. Powietrze jest ciepłe, słońce wisi nisko, jezioro jest spokojne i usiane łódkami. Mijają nas zmierzający w odwrotną stronę biegacze, a ja przyśpieszam tempo. Lanny z łatwością dotrzymuje mi kroku. Z werand machają do nas sąsiedzi. Cóż za przyjacielskość. Odwzajemniam się tym samym gestem, ale to zaufanie to tylko pozory. Mam świadomość, że gdyby ci dobrzy ludzie wiedzieli, kim naprawdę byłam, czyją byłam żoną, to zachowywaliby się zupełnie jak nasi starzy sąsiedzi... nieufni, podejrzliwi, zniesmaczeni, bojący się przebywać

w naszej obecności. Postać Melvina Royała rzuca długi, mroczny cień.

Jesteśmy w połowie drogi wokół jeziora, gdy zdyszana Lanny zatrzymuje się gwałtownie, aby oprzeć się o pień sosny. Nie czuję się zmęczona, ale palą mnie mięśnie łydek i bolą biodra, więc rozciągam się i biegnę lekko w miejscu, podczas gdy moja córka próbuje złapać oddech.

– Nic ci nie jest? – pytam. Lanny rzuca mi wredne spojrzenie. – To znaczy tak?

– Tak – odpowiada Lanny. – Wszystko jedno. Dlaczego musimy biegać tak, jakbyśmy się przygotowywały do olimpiady?

– Dobrze wiesz, dlaczego.

Lanny odwraca wzrok.

– Z tego samego powodu, dla którego w zeszłym roku zapisałaś mnie na krav magę do tego czubka.

– Myślałam, że lubisz krav magę.

Wrusza ramionami, nadal wpatrując się uważnie w pierzaste liście paproci obok butów.

– Nie lubię myśleć, że tego potrzebuję.

– Skarbie, ja też nie, ale musimy stawić czoła faktom. Czyhają na nas niebezpieczeństwa, a my musimy być gotowi. Jesteś wystarczająco dorosła, żeby to wiedzieć.

Lanny prostuje się.

– No dobra. Wygląda na to, że jestem. Postaraj się tym razem nie zostawić mnie w tyle, Terminatorze.

To dla mnie trudne. W czasach gdy jeszcze byłam Giną, ale już po *Zdarzeniu*, wzięłam się za bieganie. Było to katorżnicze i wyczerpujące zajęcie aż do chwili, w której w końcu udało mi się rozwinąć odpowiednią siłę całego ciała. Teraz, kiedy przestaję się hamować, biegnę tak, jakbym czuła na karku czyjś oddech albo uciekała w obawie o własne życie. Nie jest to zdrowe ani bezpieczne, a ja mam świadomość, że doprowadzanie się do takiego stanu to forma ukarania samej siebie, a także przejaw strachu, z którym żyję na co dzień.

Mimo najlepszych intencji zdarza mi się zapomnieć. Nawet nie zdaję sobie sprawy z tego, że Lanny zwalnia, utykając i łapiąc z trudem oddech, dopóki nie dobiegam do zakrętu. Wtedy dociera do mnie, że biegnę sama w cieniu rzucanym przez sosny. Nie wiem nawet, w którym momencie ją zgubiłam.

Kończę bieg rozciąganiem się przy drzewie i przycupnąwszy na leżącym nieopodal starym głazie, czekam. Dostrzegam ją w oddali, jak idzie powoli, kuśtykając odrobinę, i czuję nagły przypływ poczucia winy. Co ze mnie za matka, że tak bardzo zajeżdżam własne dziecko?

Ten szósty zmysł, który się we mnie rozwinął, sprawia, że nagle zalewa mnie fala adrenaliny. Prostuję się i odwracam głowę.

Ktoś tu jest.

Dostrzegam czyjąś sylwetkę stojącą w cieniu sosen, a moje nerwy – wiecznie niespokojne – napinają się jak postronki. Ześlizguję się z głazu i przyjmuję dogodną pozycję, stając twarzą w twarz z cieniem.

– Kto tam?

Postać parska cierpkim, nerwowym śmiechem i wyłania się z ukrycia. To starszy mężczyzna ze skórą przypominającą ciemny, suchy papier, siwymi baczkami i srebrzystymi, kręconymi włosami przylegającymi ciasno do głowy i zwisającymi uszami. Opiera się ciężko na lasce.

– Pani wybacz. Nie chciałem jej nastraszyć. Patrzyłem tylko na łódki. Lubię ich kształt, choć sam nigdy nie byłem żeglarzem. Całe życie spędziłem na suchym lądzie. – Ma na sobie starą kurtkę z wojskowymi naszywkami. Artyleryjskimi. Nie z drugiej wojny światowej, ale z Korei i Wietnamu, jednego z tych mniej określonych konfliktów zbrojnych. – Nazywam się Ezekiel Claremont i mieszkam zaraz tutaj, na wzgórzu. Jestem tu od dawna. Wszyscy po tej stronie jeziora mówią na mnie Easy.

Jest mi wstyd za to, że z góry założyłam najgorsze, więc wychodzę mu naprzeciw i podaję dłoń. Ma silny, suchy uścisk, ale pod spodem jego kości sprawiają wrażenie kruchych.

– Witaj, Easy. Jestem Gwen. Mieszkamy tu na wzgórzu, niedaleko Johansenów.

– Ach tak, wy jesteście ci nowi. Miło was poznać. Przepraszam, że dotąd tu nie zajrzałem, ale teraz rzadko kiedy spaceruję. Nadal dochodzę do siebie po tym, jak sześć miesięcy temu złamałem biodro. Proszę się nie starzeć, młoda damo – starość to prawdziwy wrzód na dupie. – Odwraca się w momencie, w którym Lanny zatrzymuje się kilka metrów od niego i zgina w pół, opierając dłonie na udach. – Dzień dobry. Dobrze się czujesz?

– Wspaniale – mówi zdyszczanym głosem Lanny. – Wręcz fantastycznie. Dzień dobry.

O mały włos wybucham śmiechem.

– To moja córka, Atlanta. Wszyscy mówią do niej Lanny. Lanny, to pan Claremont. W skrócie Easy.

– Atlanta? Urodziłem się tam. Wspaniałe miasto, pełne życia i bogatej kultury. Czasem za nim tęsknię. – Pan Claremont kiwa stanowczo w stronę Lanny, która odwzajemnia się tym samym po posłaniu mi ostrożnego spojrzenia. – Cóż, muszę już wracać do domu. Wejście na to wzgórze zajmuje mi trochę czasu. Moja córka nalega, żebym go sprzedał i przeniósł się w jakieś dogodniejsze miejsce, ale nie jestem jeszcze gotowy na to, aby pożegnać się z tym widokiem. Wiecie, co mam na myśli, prawda?

O tak.

– Nic ci nie będzie? – pytam, bo widzę jego dom, a dla mężczyzny ze złamanym biodrem i laską pokonanie takiego dystansu wydaje się imponujące.

– Nie, dziękuję. Jestem stary, nie niedołężny. Poza tym lekarz mówi, że to dobre dla zdrowia. – Parska śmiechem. – Z mojego doświadczenia wynika, że to, co dla człowieka dobre, nigdy nie jest przyjemne.

– Rany, to prawda – zgadza się Lanny. – Miło było pana poznać, panie Claremont.

– Easy – poprawia ją, rozpoczynając wspinaczkę. – Biegajcie ostrożnie!

– Będziemy – mówię, uśmiechając się szeroko do córki. – Ścigamy się przez resztę drogi.

– Daj spokój! Ledwie powłóczę nogami!

– Lanny.

– Dzięki, ale wolę się przejść. Możesz biec, jeśli chcesz.

– Żartowałam.

– Och.

Rozdział drugi

Prawie udało nam się dotrzeć do domu, gdy w moim telefonie rozlega się dźwięk przychodzącej wiadomości. Numer jest anonimowy, co sprawia, że włoski na moim karku momentalnie stają dęba. Zatrzymuję się i schodzę z drogi. Lanny biegnie truchtem, mijając mnie.

Przesuwam palcem po ekranie i otwieram wiadomość. Jest od Absaloma. Pierwsza litera to jego zaszyfrowany podpis w postaci Å, a potem: „Czy przebywasz gdzieś w pobliżu Missoula?”.

Nigdy nie pyta o nasz dokładny adres, a ja nigdy mu tego nie mówię. Odpisuję: „Czemu pytasz?”.

„Ktoś udostępnił w sieci pewną rzecz. Chyba źle coś zrozumiał. Spróbuję to zablokować i odwrócić uwagę. Kiepska sprawa dla każdego, kogo oznaczyli. CYÅ”.

To standardowy sposób zakończenia rozmowy przez Absaloma. I tak jest w istocie, bo nie otrzymuję już żadnej nowej wiadomości. Zakładam, że, podobnie jak ja, używa telefonów na kartę. Jego numer zmienia się co miesiąc, dokładnie jak w zegarku, i nie da się go rozpoznać, choć symbol użytkownika ciągle pozostaje ten sam. Nie stać mnie na kupno aż tylu nowych telefonów, więc używam swojego przez sześć miesięcy, a dzieci swoich przez rok. Odrobina stabilności w niestabilnym świecie.

Jednak w chwili, w której ktoś jest bliski wpadnięcia na nasz ślad, niszczyć i kasować wszystko – telefony, konta e-mail, wszystko. Jeśli dochodzi do tego, że ktoś ponownie zaczyna węszyć wokół miejsca naszego przebywania, Absalom daje mi znać, pakujemy się i wyjeżdżamy. Od kilku lat to nasza standardowa praktyka. Jest do bani, ale jesteśmy do niej przyzwyczajeni.

Musimy być przyzwyczajeni.

Uświadamiam sobie, że oczekuję na przyjscie tej upragnionej licencji na broń z niemal fizycznym głodem. Nie jestem jednym z tych pajaców, którzy odczuwają potrzebę noszenia na plecach karabinu AR-15 w trakcie robienia zakupów w spożywczym. Ci ludzie żyją w dystopijnej fantazji, gdzie są bohaterami w świecie pełnym niebezpieczeństw. W pewnym sensie ich rozumiem. Czują się bezradni, zagubieni w niepewnej rzeczywistości. Nie zmienia to faktu, że to nadal fantazja.

Ja żyję w prawdziwym świecie, w którym jedyną rzeczą odgradzającą mnie od skłonnej do przemocy, zorganizowanej bandy wściekłych ludzi jest noszona przeze mnie broń. Nie czuję potrzeby demonstrowania tego faktu. Nie chcę być zmuszona do jej użycia. Mimo wszystko, jestem zwarta i gotowa.

Jestem w pełni oddana kwestii naszego przetrwania.

Lanny świętuje z dziką radością, a ja pozwalam jej na to małe zwycięstwo. Zatrzymujemy się przy skrzynce pocztowej, w której leżą głównie ulotki reklamowe. Lanny przestała już utykać, a po bolesnej sztywności mięśni nie ma śladu, ale nadal spaceruje szybkim krokiem, gdy ja jestem zajęta sortowaniem kopert. Udaje mi się przejrzeć jedynie dwie, gdy uświadamiam sobie, że ktoś idzie w naszą stronę. Moje ciało momentalnie przybiera obronną pozycję.

To mężczyzna ze strzelnicy, ten, któremu udało się obłaskawić Carla Gettsa, aby z morderczego szału przestawił się na małą awanturę. *Sam*. Zaskakuje mnie jego widok. Czy kiedykolwiek zauważyłam go wcześniej w tej okolicy? Chyba jedynie z oddali. Wygląda znajomo. Najwyraźniej musiałam zobaczyć go tu kiedyś, jak biegał albo spacerował, jak reszta mieszkańców.

Idzie w naszą stronę, z rękami w kieszeniach i słuchawkami w uszach. Zauważa, że mu się przyglądam, macha do mnie i kiwa głową na powitanie, po czym mija naszą dwójkę, zmierzając w kierunku przeciwnym do trasy, którą przebiegłyśmy wokół jeziora. Nie spuszczam z niego wzroku do momentu, aż przekracza niewielkie wzniesienie prowadzące do domów znajdujących się powyżej – najpierw obok domu Johansenów, potem kawałek dalej nad naszym, aż w końcu dociera do domu szeryfa Grahama i znika. Zwyczajnie wybrał się na spacer. Ale skąd właściwie wyszedł?

To chyba obsesja sprawia, że muszę poznać odpowiedź na to pytanie.

Wchodząc do domu, odwracam się, aby wpisać kod alarmu. Dotykam palcami klawiatury, lecz chwilę później dociera do mnie, że wcale nie muszę wpisywać kodu, bo alarm wcale nie piszczy. W ogóle nie jest włączony.

Zastygam w bezruchu w drzwiach, blokując drogę Lanny. Próbuje przepchnąć się do środka, ale rzucam jej wściekłe spojrzenie i przykładam palec do ust, po czym wskazuję na klawiaturę.

Jej zaróżowiona od słońca i wysiłku twarz tężeje. Robi krok w tył, a potem kolejny. Trzymam zapasowy zestaw kluczyków samochodowych w donicy tuż za drzwiami, które teraz wyjmuję, rzucam w jej stronę i wołam bezgłośnie: „Uciekaj!”.

Nie waha się ani sekundy. Dobrze ją przeszkoliłam. Odwraca się na pięcie i biegnie do jeepa, a ja zamykam za sobą frontowe drzwi. Cokolwiek dostało się do środka, chcę, aby skupiło swoją uwagę wyłącznie na mnie. Kładę listy na znajdującej się najbliżej płaskiej powierzchni, uważając, aby nie narobić żadnego hałasu. Szybko kalkuluję w myślach wszystkie dostępne opcje.

Od małego pistoletu schowanego pod kanapą dzielą mnie zaledwie cztery kroki. Klękam i przyciskam kciuk do zamka, a wieczko odskakuje, wydając z siebie ciche, metaliczne kliknięcie. Wyciągam sig sauera. To moja ulubiona i najbardziej niezawodna broń. Jest załadowana i gotowa do użycia. Utrzymując nerwy na wodzy i z palcem zdjętym ze spustu, przemieszczam się po cichu przez kuchnię i korytarz, kierując na dół.

Słyszę dźwięk odpalanego jeepa, który odjeżdża z chrzęstem opon na żwirze. „Dobra dziewczynka”. Wie, że musi prowadzić samochód przez pięć minut. Jeśli nie dam jej sygnału, że zagrożenie minęło, wezwie policję, po czym pojedzie do naszego wyznaczonego miejsca spotkania oddalonego o niemal dziewięćdziesiąt kilometrów stąd i znajdzie w ziemi skrytkę z pieniędzmi oraz nowymi tożsamościami. Jeśli znajdzie taka potrzeba, może zniknąć bez nas.

Przełykam z trudem ślinę, bo zostaję sama z obawą, że coś strasznego przydarzyło się mojemu synowi. Zbliżam się do swojej sypialni. Zaglądam do niej ukradkiem, ale nie dostrzegam niczego nadzwyczajnego. Wygląda dokładnie tak samo jak ją zostawiłam, wliczając w to buty rzucone bezładnie do kąta.

Sypialnia Lanny znajduje się po tej samej stronie, naprzeciwko głównej łazienki, którą dzielimy. Przez jedną, mrozącą krew w żyłach sekundę przechodzi mi przez myśl, że ktoś splądrował jej pokój, ale potem przypominam sobie, że nie sprawdziłam go rankiem przed wyjściem na strzelnicę. Łóżko zostawiła nieposłane, a porozrzucane ubrania zajmują połowę miejsca na podłodze.

Connor. Tętno w moich skroniach zaczyna walić szybciej. Nie potrafię nad nim zapanować mimo całej swojej samokontroli. „Boże, proszę, nie, tylko nie odbieraj mi dziecka”.

Drzwi jego pokoju są zamknięte. Wywiesił na nich znak WSTĘP WZBRONIONY, W ŚRODKU JEST ZOMBIE, ale kiedy powolutku i ostrożnie naciskam klamkę, okazuje się, że zamek jest otwarty. Mam dwie opcje: wejść powoli albo błyskawicznie.

Wchodzę natychmiast, z hukiem otwierając drzwi i wyciągając broń szerokim łukiem, po czym opieram się ramieniem o odbijające się od ściany drzwi i napędzam swojemu synowi potężnego stracha całym tym przedstawieniem.

Connor leży na łóżku ze słuchawkami w uszach. Słyszę muzykę z miejsca, w którym stoję. Huk drzwi odbijających się od ściany sprawia, że zrywa się z miejsca i wyszarpuje słuchawki. Zaczyna wrzeszczeć na widok broni, a ja natychmiast ją opuszczam. Mimo to udaje mi się dostrzec w jego oczach paniczny strach.

Sekundę później strach znika, zastąpiony przez wściekłą furję.

– Jezu Chryste, mam! Co to ma, do cholery, być?

– Przepraszam – mówię. Tętno skacze mi jak szalone, reagując na wyrzut adrenaliny do krwioobiegu wywołany szokiem. Ręce mi się trzęsą. Ostrożnie kładę pistolet na jego komodzie, z komorą spustową do góry i odwróconą lufą. Regulaminowo, jak na strzelnicy. – Skarbie, przepraszam! Myślałam... – Nie chcę mówić tego na głos. Z trudem biorę drżący oddech i kucam na podłodze, przyciskając dłonie do czoła. – Dobry Boże. Zapomniałeś go włączyć, kiedy wyszliśmy.

Słyszę, jak muzyka urywa się w połowie solówki, a słuchawki upadają z łoskotem na podłogę. Łóżko skrzypi, gdy Connor siada na jego krawędzi i spogląda na mnie. Po upływie chwili zbieram się na odwagę, aby na niego zerknąć. Oczy mam czerwone i szczypiące, choć wcale nie płaczę. Nie robiłam tego od bardzo dawna.

– Mówisz o alarmie? Zapomniałem go włączyć? – Wzdycha i zgina się w pół, zupełnie jakby bolał go brzuch. – Mamo. Musisz przestać wariować, bo w końcu zabijesz któreś z nas, rozumiesz? Mieszkamy na kompletnym pustkowiu – żaden z tutejszych mieszkańców nie zamyka drzwi!

Milczę. Ma rację, to jasne. Zareagowałam przesadnie, i to nie po raz pierwszy. Wycelowałam naładowaną broń we własne dziecko. Jego gniew jest zrozumiały, tak samo jak postawa obronna. Tyle że on nie widział zdjęć, na które natrafiam w trakcie przeglądania internetowych wpisów podczas Patrolu Psycholi.

To ulubione hobby szczególnej podgrupy prześladowców. Niektórzy z nich są świetni w przerabianiu zdjęć w Photoshopie. Biorą makabryczne zdjęcia z miejsc zbrodni i nanoszą nasze twarze w miejsce ofiar. Zmieniają obrazki z dziecięcą pornografią tak, aby przedstawiały moją córkę lub syna traktowanych z bestialskim okrucieństwem.

Zdjęciem, które mnie prześladowa, i wiem, że już zawsze będzie mnie prześladowało, jest to przedstawiające młodego chłopca w wieku Connora, okaleczonego i storturowanego, leżącego we własnym łóżku w kłębowisku przesiąkniętych krwią prześcieradeł. Pojawiło się niedawno okraszone napisem „Boża sprawiedliwość dla morderców”.

To dobrze, że Connor jest na mnie zły. To dobrze, że czuje się niesprawiedliwie obwiniony i ograniczony głupimi, niepotrzebnymi, paranoicznymi zasadami. Nic nie mogę na to poradzić. Muszę chronić go przed realnymi potworami.

Nie mogę mu jednak tego wytłumaczyć. Nie chcę pokazywać mu tego świata, rzeczywistości, która płynie pod nim niczym czarna rzeka. Pragnę, aby pozostał w świecie, w którym chłopiec może zbierać komiksy, przyklejać na ścianach plakaty z filmów fantasy i przebierać się za zombie w Halloween.

Nie mówię ani słowa. Podnoszę się, gdy wreszcie czuję się na siłach, i biorę pistolet. Wychodzę i bezgłośnie zamykam za sobą drzwi.

– Poczekaj, aż powiem o tym opiece społecznej! – woła zza nich mój syn, a ja mam nadzieję, że żartuje.

Idę do schowka, wkładam sigę z powrotem i zamykam, po czym dzwonię do córki i każę jej wrócić do domu, resetując jednocześnie alarm. Kwestia przyzwyczajenia.

Kończę rozmowę, biorę pocztę i idę z nią do kuchni. Desperacko potrzebuję napić się wody. W ustach mam suchy, metaliczny posmak, przypominający zwietrzałą krew. Popijając wodę, przeglądam ulotki, prośby o datki na cele charytatywne i druki reklamowe lokalnych przedsiębiorstw. Zatrzymuję się na czymś, co nie pasuje do reszty: jasnobrażowej kopercie z moim nazwiskiem i adresem wydrukowanymi na wierzchu oraz stemplem pocztowym z Willow Creek w Oregonie. To mój ostatni anonimowy adres. Cokolwiek się w niej znajduje, musiało przebyć długą drogę, aby do mnie trafić.

Nie dotykam jej. Otwieram szufladę i wyjmuję parę nitrylowych rękawiczek. Zakładam je, a potem ostrożnie i starannie rozcinam górny brzeg koperty, i wyciągam ze środka drugą, standardową.

Błyskawicznie rozpoznaję adres zwrotny i upuszczam nieotwartą kopertę na kuchenny blat. To nie jest świadoma decyzja, nie bardziej niż gdybym uświadomiła sobie nagle, że trzymam w ręku żywego karalucha.

List jest z El Dorado, więzienia, w którym Mel oczekuje na egzekucję. Czeka już naprawdę długo, a prawnicy mówią mi, że minie co najmniej dziesięć lat, zanim jego apelacje zostaną uchylone. W dodatku Kansas nie przeprowadziło ani jednej egzekucji od ponad dwudziestu lat. Nie można zatem jednoznacznie określić, kiedy jego wyrok wreszcie się uprawomocni. Dopóki to nie nastąpi, Mel siedzi i rozmyśla. Głównie o mnie.

Do tego dochodzą listy. Kryje się w nich pewien schemat, który udało mi się rozgryźć, i właśnie dlatego nie od razu sięgam po kopertę.

Wpatruję się w nią tak długo, że zaskakuje mnie dźwięk otwieranych drzwi wejściowych i pisk alarmu. Szybkie palce Lanny kasują kod i ustawiają nowy.

Nie ruszam się z miejsca, zupełnie jakby koperta mogła zaatakować, gdybym choć na sekundę spuściła z niej wzrok.

Lanny kładzie kluczyki do donicy i mija mnie w drodze do lodówki. Wyciąga butelkę wody i pije łąpczywie, po czym mówi:

– Niech zgadnę. Ten bezmózg Connor zapomniał włączyć alarm. Znowu. Zastrzeliłaś go?

Nie odpowiadam. Nie robię ani kroku. Kątem oka widzę, że gapi się na mnie. Jej mowa ciała ulega zmianie, gdy orientuje się, co jest grane.

Zanim jednak udaje mi się odgadnąć, co planuje, moja córka chwytą

kopertę z blatu.

– Nie! – Odwracam się ku niej, ale jest już za późno. Zdążyła wsadzić pomalowany na czarno paznokieć pod zaklejony brzeg i rozedrzyć kopertę, ujawniając zawartość w postaci jasnego papieru. Wyciągam rękę, aby ją wyszarpnąć, ale Lanny robi zwinny krok w tył, wyraźnie wściekła.

– Czy do mnie też pisuje? Albo do Connora? – pyta. – Często dostajesz od niego listy? Mówiłaś, że on nigdy nie pisze! – Słyszę uczucie zdrady w jej głosie i nienawidzę go.

– Lanny, oddaj list. Proszę. – Próbuję mówić władczy i opanowanym głosem, ale w środku aż trzęsę się ze strachu.

Lanny skupia wzrok na moich dłoniach, które pocą się pod osłoną niebieskich rękawiczek.

– Jezu, mamo. Przecież i tak siedzi w więzieniu. Nie musisz zachowywać żadnych, cholernych dowodów.

– Proszę.

Upuszcza rozdartą kopertę i rozwija list.

– Proszę, nie – szepczę, całkiem pokonana. Robi mi się niedobrze.

Mel kieruje się pewnym wzorcem. Wysłał dwa listy ukazujące perfekcyjnego, cudownego, *dawnego* Mela, którego poślubiłam: troskliwego, uroczego, zabawnego, wspaniałomyślnego i zaangażowanego. Oddały obraz mężczyzny, którego udawał, aż do ostatniej, pełnej czułości miłosnej deklaracji. Nie zaprzeczał w nich, że jest niewinny, ponieważ zdaje sobie sprawę, że nie może tego zrobić. Dowody nigdy temu nie przeczyły. Może jednak, i zrobił to, pisać o swoich uczuciach do mnie i dzieci. O swojej miłości, trosce i opiekuńczości.

Tak wyglądały dwa z trzech listów.

Dzisiaj przyszedł trzeci.

Widzę dokładny moment, w którym Lanny zostaje odarta ze wszystkich złudzeń i dostrzega potwora kryjącego się za tymi starannie wykaligrafowanymi słowami. Jej dłonie drżą niczym igła sejsmografu sygnalizująca zbliżające się trzęsienie ziemi. Dostrzegam pełen osłupienia, przerażony wyraz jej oczu.

I nie mogę go znieść.

Wyjmuję kartkę z jej nagle niestawiającej oporu ręki, składam ją

i upuszczam na blat. Zamykam córkę w uścisku ramion. Przez chwilę jej ciało jest sztywne, a potem rozluźnia się przy mnie, przyciskając gorącą twarz do mojej, dygocząc pod wpływem wstrząsających jej ciałem dreszczy.

– Ciii – szepczę jej do ucha i głaskam po czarnych włosach tak, jakby znów była bojącą się ciemności sześciolatką. – Ciii, kochanie. Już dobrze.

Kręci głową, odsuwa się i wychodzi do swojego pokoju, zamykając drzwi.

Spoglądam na złożoną kartkę papieru i czuję przypływ nienawiści tak silnej, że prawie rozrywa mnie na pół. „Jak śmiesz”, mówię w myślach do człowieka, który napisał te słowa, który skrzywdził nimi moje dziecko. „Jak śmiesz, ty pieprzony draniu”.

Nie czytam tego, co napisał do mnie Melvin Royal. Wiem, co znajduje się w liście, bo czytałam poprzednie. To list, w którym pozbywa się maski i mówi, jak bardzo go rozczarowałam, że odebrałam mu dzieci i nastawiłam je przeciwko niemu. Opisuje, co mi robi, jeśli kiedykolwiek dostanie taką szansę. Jest bardzo kreatywny. Szczegółowy. Odrażająco bezpośredni.

A potem, zupełnie jakby wcale nie groził, że zamorduje mnie w brutalny sposób, zmienia temat i pyta, jak się mają dzieci. Pisze, że je kocha. Oczywiście, że kocha, ponieważ w jego mniemaniu są jego własnym odbiciem, nie prawdziwymi, samodzielnymi ludźmi. Gdyby je teraz spotkał, odkryłby, że to nie małe, plastikowe laleczki, które wcześniej kochał... staliby się dla niego czymś *innym*. Potencjalnymi ofiarami, jak ja.

Wsuwam list z powrotem do koperty, biorę ołówek, zapisuję na niej datę i wkładam do większej koperty zwrotnej. Po wszystkim czuję się o niebo lepiej. Mam wrażenie, jakbym pozbyła się bomby. Jutro odeślę cały pakunek z powrotem ze znaczkiem NIE MA TAKIEGO ADRESU, a następnie zostanie przekierowany wraz z dołączonymi instrukcjami, aby przesłać go FedExem do agenta Biura Śledczego w Kansas zajmującego się sprawą Melvina. Jak dotąd, BŚ nie zdołało odkryć, w jaki sposób udaje mu się wysyłać te listy z obejściem więziennych procedur skanujących. Nadal żywię nadzieję, że w końcu im się uda.

Lanny myli się co do powodu, dla którego zakładam rękawiczki. Nie chodzi o zachowanie dowodów. Noszę je z tego samego powodu, dla

którego robią to lekarze: aby zapobiec infekcji.

Melvin Royal to śmiertelna, zakaźna choroba.

Reszta dnia upływa w zwodniczo spokojnej atmosferze. Connor ani słowem nie wspomina o incydencie w swojej sypialni. Lanny w ogóle się nie odzywa. Włączyli grę komputerową. Gdy oni są zajęci, mam czas dla siebie. Przygotowuję obiad, jak każda normalna matka. Jemy w milczeniu.

Następnego dnia Lanny siedzi zamknięta w pokoju, ponieważ została zawieszona w zajęciach. Postanawiam, że nie będę jej przeszkadzać. Słyszę, jak w kółko ogląda jeden program telewizyjny. Connor poszedł do szkoły. Drażni mnie fakt, że pozwoliłam mu wyjść samemu na przystanek autobusowy. Obserwuję go z okna, dopóki nie wsiądzie do środka. Rozzłościłoby go ponad miarę, gdybym go tam odprowadziła i zaczęła.

Gdy wraca po południu do domu, wychodzę na zewnątrz, aby się przywitać, ale pod przykrywką grzebania w niewielkim kwiatowym ogródku przed domem, tak jakby jego powrót był czymś zupełnie przypadkowym. Wysiada z autobusu przygnieciony ciężkim plecakiem, a tuż za nim wychodzi dwóch chłopców. Cała trójka rozmawia, a ja przez sekundę martwię się z powodu szkolnych dręczycieli. Jednak wszystko wskazuje na to, że się przyjaźnią. Nieznajomi chłopcy mają blond włosy. Pierwszy jest mniej więcej w wieku Connora, a drugi starszy o rok lub dwa. Ten drugi jest niepokojąco wysoki i zwalisty, ale macha mu przyjaźnie na pożegnanie i uśmiecha się szeroko. Patrząc, jak obaj odchodzą szybkim krokiem, kierując się na szlak po lewej. Z całą pewnością nie są dziećmi Johansenów, starszych ludzi z dorosłymi dziećmi, które od chwili naszej przeprowadzki odwiedziły ich dokładnie jeden raz. Nie, to muszą być dzieci oficera policji, pana Grahama. Graham jest umundurowanym członkiem sił policyjnych Norton. W odróżnieniu od mojej, jego rodzina należy do dawnych mieszkańców Tennessee. Z tego, co słyszałam, jest ostatnim z kilku pokoleń ludzi, którzy mieli tu swoje majątki na długo przed tym, jak ziemię wokół jeziora zmieniły się w tereny rekreacyjne dla bogaczy. Muszę wpaść do

niego z wizytą, przedstawić się, ocenić go i spróbować zawiązać cichy sojusz. W którymś momencie może mi być potrzebne wsparcie policji. Próbowałam już kilka razy, ale nikt nie otworzył mi drzwi. To całkiem zrozumiałe. Policjanci pracują w różnych godzinach.

– Cześć. Jak było w szkole? – pytam Connora, gdy mijają mnie, powłócząc nogami. Przyklepuję mocniej rozgrzebaną ziemię wokół klombu kwiatów.

– W porządku – mówi bez entuzjazmu. – Mam na jutro referat do napisania.

– Z czego?

Poprawia plecak, aby leżał wygodniej.

– Z biologii. Wszystko w porządku. Dam sobie radę.

– Chcesz, żebym go przeczytała, po tym jak skończysz?

– Nie trzeba.

Wchodzi do środka, a ja się podnoszę i strzepuję ziemię z palców. To jasne, że się o niego martwię. Martwi mnie strach, którego mu (i sobie) napędziłam wczoraj. Martwi mnie to, czy potrzebuje więcej wizyt u szkolnego psychologa, czy nie. Stał się milczącym, introwertycznym dzieckiem, co przeraża mnie równie mocno co wybuchy gniewu Lanny. Nie wiem, o czym myśli przez większość czasu, a gdy zdarzy mi się dostrzec wyraz twarzy albo ułożenie głowy, które tak bardzo przypominają mi o jego ojcu, zamieram w środku z zimna, czekając, aż ten potwór wyjrzy z jego oczu... ale jeszcze nigdy się to nie zdarzyło. Nie wierzę w to, że zło można odziedziczyć.

Nie mogę w to wierzyć.

Robię pizzę na kolację. Jemy ją i oglądamy razem film, a wtedy rozlega się dźwięk dzwonka do drzwi, po którym następuje głośne, energiczne pukanie. Czuję ściskanie w gardle i jednym susem zrywam się z kanapy. Lanny chce się podnieść, a ja ruchem ręki bezgłośnie pokazuję jej i Connorowi, aby poszli na koniec korytarza.

Patrzają na siebie.

Znów rozlega się pukanie, tym razem głośniejsze. Zniecierpliwione. Biegnę myślami do pistoletu w schowku pod kanapą, ale zaraz potem powoli odsuwam zasłonę i wyglądam na zewnątrz.

Policja. Na naszym ganku stoi funkcjonariusz policji. Przez chwilę mam wrażenie, że dławi mnie dawne uczucie niepokoju. Znów jestem

Giną Royal. Stoję na naszej starej ulicy w Wichicie, z rękami skutymi kajdankami na plecach, patrząc na makabryczne dzieło swojego męża i słuchając własnego wrzasku.

„Przestań”, mówię sobie w duchu, po czym pozwalam, aby słowo rozbrzmiało we mnie niczym rozkaz Javiego o wstrzymaniu ognia na strzelnicy. Wyłączam alarm i otwieram drzwi, starając się nie myśleć o tym, co może się zaraz stać.

Na ganku stoi wielki, blady policjant w nienagannym mundurze ze spodniami w kant. Przewyższa mnie o głowę, jest szeroki w barkach, a na twarzy ma nieufny, niedający się odczytać wyraz, który doskonale znam. Rozdają go w pakiecie z odznaką.

Uśmiecham się do niego pomimo szalejącej we mnie paniki.

– Panie władzo, w czym mogę pomóc?

– Dzień dobry. Pani Proctor, zgadza się? Przepraszam, że nachodzę panią w ten sposób. Mój syn powiedział mi, że pani chłopak zgubił to dzisiaj w autobusie. Pomyślałem, że go pani zwróć. – Wręcza mi mały srebrny telefon z klapką. W mgnieniu oka rozpoznaję telefon Connora. Oznaczam kolorami ich telefony, żeby się nie myliły, a ja mogła odróżnić, który jest który. Ogarnia mnie złość na syna z powodu jego bezmyślności, a potem dopada prawdziwy strach. Zgubienie telefonu oznacza utratę naszej ścisłej kontroli informacji, choć jedynymi numerami w pamięci urzędnika są te do jego znajomych, do mnie oraz Lanny. Mimo wszystko, to wyłom w naszym murze bezpieczeństwa. Chwila nieuwagi, która może nas drogo kosztować.

Nie mówię niczego w porę, nawet zwykłego „dziękuję”, a oficer Graham przestępuje z nogi na nogę. Ma grubokościstą twarz, jasnobrązowe oczy i pełen zakłopotania uśmiech.

– Miałem zamiar wpaść do pani i się przywitać. Ale jeśli to nieodpowiednia pora...

– Nie, nie, oczywiście, że nie. Przepraszam, ja... to znaczy, dziękuję za zwrócenie zguby. – Lanny wróciła i zdążyła zastopować film, a ja odsuwam się na bok, wpuszczając go do środka. Potem zamykam drzwi i odruchowo uzbrajam alarm. – Napije się pan czegoś? Oficer Graham, zgadza się?

– Tak, proszę pani, Lancel Graham. Proszę mi mówić Lance, nie ma potrzeby silić się na grzeczności. – Ma gruby, staroświecki akcent

z Tennessee, taki, który bierze się z faktu niewychylania nosa dalej niż próg własnego domu. – Jeśli ma pani mrożoną herbatę, to byłoby miło.

– Oczywiście. Słodzona?

– A czy jest jakiś inny rodzaj? – Natychmiast zdejmuje kapelusz i bezwiednie masuje się po głowie, mierzwiąc włosy. – Brzmi wspaniale. Mam za sobą długi, męczący dzień.

Nie jestem przyzwyczajona do tego, by odruchowo zapalać do kogoś sympatią, a wygląda na to, że bardzo stara się mnie urzec, czym wzbudza moją czujność. Wkłada wiele wysiłku w to, aby być uprzejmym, pełnym szacunku i porusza się w sposób, który sprawia, że jego szeroka postura i mięśnie są wizualnie mniejsze niż w rzeczywistości. Pewnie jest cholernie dobry w swojej pracy. W jego głosie słyhać specyficzne brzmienie. Założę się, że umie zagadać do podejrzanego bez konieczności użycia siły. Nie ufam takim zaklinaczom węży... ale podoba mi się przyjazny uśmiech, który posyła moim dzieciom. To na razie wystarcza.

Przechodzi mi przez myśl, że powinnam być cholernie wdzięczna, że to *policjant* zwrócił telefon Connora. Jest co prawda chroniony hasłem, ale gdyby dostał się w niepowołane, sprytnie ręce, mógłby wyrządzić wiele szkód.

– Dziękuję panu bardzo za zwrócenie telefonu Connora – mówię, nalewając oficerowi Grahamowi mrożonej herbaty z dzbanka z lodówki. – Przysięgam, że nigdy wcześniej go nie zgubił. Cieszę się, że pański syn go znalazł i wiedział, czyją jest własnością.

– Przepraszam, mam – odzywa się mój syn od strony kanapy. Sprawia wrażenie markotnego i zaniepokojonego. – Nie chciałem go zgubić. Nie wiedziałem, że gdzieś mi się zapodział!

Większość nastolatków tęskniłaby za swoim telefonem, gdyby rozstała się z nim na trzydzieści sekund, ale moje dzieci są zmuszone żyć w obcym świecie, w którym nie mogą używać go do niczego więcej prócz podstawowych rzeczy. Dla nich nie istnieje coś takiego jak smartfony. Powiedziałabym, że z ich dwójki to Connor interesuje się bardziej nowinkami technicznymi. Ma swoich nerdowskich kolegów, którzy z nim piszą. Lanny jest... znacznie mniej towarzyska.

– Nic nie szkodzi – mówię szczerze, bo, na litość boską, w tym tygodniu napadłam na swojego biednego syna w taki sposób, że starczy mu na całe życie. Owszem, zapomniał zresetować alarm. Tak, zgubił telefon.

Ale to się zdarza. Muszę wyluzować i przestać się zachowywać tak, jakby każde potknięcie było zabójcze. To tylko stresuje mnie i dzieci.

Oficer Graham przysiadła na jednym z barowych stołków przy ladzie i sączy herbatę. Wygląda na zadowolonego i posyła mi przyjacielski uśmiech, unosząc brwi w wyrazie aprobaty.

– Pyszna herbata, proszę pani. W taki dzień w radiowozie jest strasznie gorąco. Może mi pani wierzyć, że smakuje.

– Nie ma za co. Proszę mi mówić Gwen. Jesteśmy sąsiadami, zgadza się? Pańscy synowie to koledzy Connora, tak?

Mówiąc to, zerkam na Connora, ale wyraz jego twarzy pozostaje zamknięty. Bez przerwy obraca telefon w dłoniach. Czuję ukłucie wyrzutów sumienia, gdy myślę, że pewnie martwi się tyradą, którą mu zaserwuję, gdy nasz gość sobie pójdzie. Z bezlitosną jasnością dociera do mnie fakt, że byłam zbyt agresywna w stosunku do dzieci. Wreszcie udało nam się osiedlić w pięknym, spokojnym miejscu. Nie musimy się już zachowywać jak zwierzęta, na które ktoś stale poluje. Między nami a adresem, który tamten troll znalazł w internecie, znajduje się osiem urwanych tropów. *Osiem*. Najwyższy czas odejść od stanu najwyższego pogotowia, zanim dokonam w swych dzieciach zniszczeń, których już nie da się naprawić.

Lancel Graham rozgląda się teraz po naszym domu z wyrazem zaciekawienia na twarzy.

– Świetnie się urządziliście – mówi. – Powiedziano mi, że dom został całkowicie zdemolowany. Zaraz po egzekucji komorniczej, zgadza się?

– Rany boskie, to był totalny bajzel – wtrąca Lanny, zaskakując mnie. Zwykle nie garnie się do włączenia w rozmowę z kimś obcym. Szczególnie z kimś w policyjnym mundurze. – Zniszczyli wszystko, co się dało. Szkoda, że nie widział pan łazienek. Obrzydlistwo. Musieliśmy nosić białe, plastikowe skafandry i maski, żeby w ogóle tam wejść. Rzygałam *całymi dniami*.

– Pewnie imprezowały tam jakieś dzieciaki – mówi Graham. – Dzieci lokatorzy mieliby nieco więcej poszanowania dla tego miejsca, no chyba że byliby cały czas na haju. A skoro już o tym mowa, muszę pani powiedzieć, że nawet tutaj mamy problem z narkotykami. Na wzgórzach nadal gotują metamfetaminę, ale w dzisiejszych czasach bardziej opłaca się handlować heroiną. I oxi. Proszę mieć oczy szeroko otwarte. Nigdy

nie można być pewnym, kto ćpa albo handluje. – Milknie, unosząc szklanekę do ust. – Nie znaleźliście żadnych narkotyków w trakcie sprząwania?

– Cokolwiek znaleźliśmy, od razu się tego pozbyliśmy – mówię, co jest zgodne z prawdą. – Nie otwierałam żadnych pudełek ani toreb. Każda rzecz, co do której mieliśmy wątpliwości, została wyrzucona. Połowę rzeczy wynieśliśmy do śmieci, a resztę wymieniliśmy na nowe. Wątpię, żeby cokolwiek się zachowało.

– Dobrze. Bardzo dobrze. Cóż, na tym polega większość mojej pracy w Norton. Narkotyki i związane z nimi kradzieże, od czasu do czasu jazda pod wpływem alkoholu. Mało tu brutalnych zbrodni, na całe szczęście. Zamieszkała pani w bezpiecznym miejscu, pani Proct... Gwen.

„Owszem, nie licząc heroinowej epidemii”, myślę sobie, ale nie mówię tego na głos.

– Cóż, zawsze miło jest poznać swoich sąsiadów. Silne więzy czynią społeczność silniejszą, prawda?

– Prawda. – Wypija herbatę, wstaje i wyciąga wizytówkę z kieszeni. Kładzie ją na blacie i stuka w nią dwoma palcami, jakby chciał przytwierdzić ją do stołu. – Są na niej moje numery telefonów, do pracy i komórkowy. Jeśli któreś z was będzie miało jakieś kłopoty, nie wahajcie się i dzwońcie, dobrze?

– Dobrze – wtrąca Lanny, nim zdążę cokolwiek powiedzieć. Zauważam, że przygląda się oficerowi Grahamowi z błyskiem w oczach. Tłumię w sobie westchnięcie. Ma czternaście lat. Zauroczenia są w jej wieku nieuniknione, a on wygląda jak chodzący przykład tego, co może zdziałać siłownia. – Dziękuję, panie władzo.

– Nie ma sprawy, panno...

– Atlanto – mówi i wstaje, aby podać mu dłoń. Oficer Graham ściska ją z wielką powagą. „Nigdy nie nazywa siebie Atlantą”, myślę, prawie krztusząc się swoją herbatą.

– Miło było cię poznać. – Graham odwraca się i ściska dłoń Connora. – Ty pewnie jesteś Connor. Przekażę chłopcom twoje pozdrowienia.

– W porządku. – W odróżnieniu od siostry, Connor jest milczący. Czujny. Zdystansowany. Nadal trzyma w rękach telefon.

Graham zakłada z powrotem kapelusz i żegna się ze mną uściskiem dłoni. Odprowadzam go do drzwi. Odwraca się, jakby czegoś zapomniał,

gdy jestem zajęta rozbieraniem alarmu, żeby go wypuścić.

– Słyszałem, że chodzisz na strzelnicę, Gwen. Trzymasz w domu broń?

– Przeważnie tak – mówię. – Nie martw się. Wszystkie są w sejfach.

– Proszę mi wierzyć, wiemy, jak się z nią obchodzić – mówi Lanny, przewracając oczami.

– Założę się, że obie dobrze strzelacie. – Nie podoba mi się ukradkowe spojrzenie, jakie wymieniają między sobą Connor i Lanny. Tak naprawdę fakt, że nie pozwoliłam im dotykać swoich pistoletów ani nauczyć się strzelania, jest kością niezgody między nami. Wystarczy, że przeprowadzam ćwiczenia w środku nocy. Nie chcę dodawać do tego naładowanych spluw. – Chodzę tam w czwartki i soboty. Uczę swoich chłopców.

To nie do końca zaproszenie, ale kiwam głową i dziękuję mu, a on zbiera się do wyjścia parę sekund później. Ponownie zatrzymuje się w otwartych drzwiach i patrzy na mnie.

– Mogę o coś zapytać, pani Proctor?

– Jasne. – Wychodzę na zewnątrz, bo wyczuwam, że chce powiedzieć mi coś na osobności.

– Wieść niesie, że w tym domu mieścił się schron. Czy to prawda?

– Tak.

– Zaglądała tam pani?

– Poprosiliśmy ślusarza, żeby go otworzył. W środku nie było niczego prócz butelek z wodą.

– Hmm. Zawsze myślałem, że ktoś ukrywa coś w tym miejscu, pod warunkiem że w ogóle istniało. No cóż... – Wskazuje na miejsce na blacie, na którym zostawił wizytówkę. – Jeśli będzie pani czegoś potrzebować, proszę dzwonić.

Wychodzi bez zadawania kolejnych pytań.

Zwierzęce napięcie w moim wnętrzu rozluźnia się, gdy ponownie zamykam drzwi, wpisuję kod i wracam na kanapę. Obecność nieznanego mężczyzny w moim domu sprawia, że dostaję gęsiej skórki. Przypomina o wieczorach spędzonych na kanapie z dziećmi. Z Melem. Z potworem, który nosił twarz Mela jako maskę. Nigdy jej nie przejrzałam. Owszem, potrafił być zimny, obojętny i miał skłonność do wpadania w złość, ale każdy człowiek na świecie ma takie wady.

To, czym Mel był naprawdę... to coś zupełnie innego. Czyżby? Czy

kiedykolwiek domyśliłabym się prawdy?

– Mamo – mówi Lanny. – On jest całkiem seksowny. Powinnaś się z nim umówić.

– Zaraz zwymiotuję – dorzuca Connor. – Chcesz zobaczyć?

– Cisza – upominam ich, siadając między nimi na kanapie. Sięgam po pilota, po czym odwracam się do syna. – Connor, wracając do twojego telefonu...

Przygotowuje się na atak i otwiera usta, żeby przeprosić. Nakrywam dłonią jego dłoń, w której nadal ściska mocno telefon, zupełnie jakby miał mu uciec.

– Wszyscy popełniamy błędy. To nic złego – mówię, patrząc mu prosto w oczy, aby mieć pewność, że rozumie, że jestem z nim szczerą. – Przepraszam cię, że ostatnio byłam taką okropną matką. Przepraszam was oboje. Jest mi głupio z powodu tamtego wybuchu z alarmem. Nie musisz chodzić na palcach po własnym domu w obawie, że mogę się na ciebie wściec. Tak mi przykro, skarbie.

Zupełnie nie wie, co odpowiedzieć. Zerka bezradnie na Lanny, która wychyla się do przodu, odgarniając z twarzy czarne włosy i zakładając je za ucho.

– Wiemy, dlaczego ciągle jesteś taka spięta – mówi, a on wygląda, jakby odczuł ulgę, że to za niego powiedziała. – Mamo. Widziałam list. Masz pełne prawo mieć paranoję.

Musiła powiedzieć Connorowi o liście, bo o niego nie pyta i nie wygląda na zaciekawionego. Pod wpływem impulsu ujmuję jej dłoń. Kocham te dzieciaki. Tak bardzo, że zapiera mi dech w piersiach, a jednocześnie czuję się lekka jak piórko i przepełniona radością.

– Kocham was oboje – mówię.

Connor sadowi się wygodnie na kanapie i sięga po pilota.

– Wiemy to – odpowiada. – Tylko nie zacznij wyjeżdżać z jednorożcami rzygającymi tęczą.

Parskam śmiechem. Wciska guzik „play”, a my ponownie zanurzamy się w świat fikcji. Jest nam razem wygodnie i przyjemnie. Przypominam sobie czasy, gdy byli tak mali, że kołysałam Connora w ramionach, a Lanny bawiła się obok mnie. Tęsknię za tymi cudownymi chwilami, ale one noszą w sobie mroczną skazę. To wszystko działo się w Wichicie, w domu, który uważałam za bezpieczny.

Gdy ja bawiłam się w dom, Mel ciągle był nieobecny. Przesiadywał w garażu.

Pracował nad swoimi *projektami*. Raz na jakiś czas robił stolik, krzesło, biblioteczkę. Zabawkę dla dzieci.

Jednak w tym samym czasie, za zamkniętymi drzwiami warsztatu, uwalniał swego wewnętrznego potwora ze smyczy, gdy my siedzieliśmy trzy metry dalej, zapatrzeni w film albo pokrzykujący wesoło nad grą planszową. Sprzątał po sobie i wychodził stamtąd z uśmiechem, a ja *nigdy nie domyśliłam się prawdy*. Nigdy nawet się nad tym nie zastanawiałam. Jego hobby wydawało mi się całkiem niewinnym zajęciem. Mel zawsze potrzebował czasu tylko dla siebie, a ja mu go zapewniałam. Powiedział, że drzwi zewnętrzne warsztatu są zamknięte na kłódkę dlatego, że trzyma w nim kosztowne narzędzia.

A ja łykałam każde jego słowo. Życie z Melem było jednym wielkim kłamstwem, bez względu na to, jak bardzo przyjemne i wygodne się wydawało.

Teraz jest lepiej. Lepiej niż kiedykolwiek. Moje inteligentne, sprytne dzieci, dom, który przebudowaliśmy własnymi rękami. Nasze nowe, odrodzone życie.

Nostalgia jest dla zwykłych ludzi.

I nawet gdybyśmy starali się najbardziej na świecie, już nigdy nie będziemy normalni.

Nalewam sobie szkockiej i wychodzę na zewnątrz.

Connor znajduje mnie pół godziny później. Uwielbiam ciszę wokół jeziora, blask księżyca odbijający się w wodzie, wyraziste gwiazdy nad głową. W koronach sosen szumi łagodny wiatr. Dymny, słoneczny posmak szkockiej stanowi przyjemny kontrast. Jeśli tylko mogę, lubię kończyć dzień w ten sposób.

Connor, nadal ubrany w spodnie i koszulkę, zajmuje drugie wolne krzesło na werandzie i siedzi w milczeniu przez chwilę, po czym mówi:

– Mamo, ja wcale nie zgubiłem telefonu.

Odwracam się w jego stronę, zaskoczona. Szkocka chlupocze w szklance, więc odkładam ją na bok.

– Co masz na myśli?

– To, że go nie *zgubiłem*. Ktoś mi go zabrał.

– Wiesz kto?

– Tak. Wydaje mi się, że wziął go Kyle.

– Kyle...

– Graham – mówi. – Syn oficera Grahama. Ten wyższy. Ma trzynaście lat.

– Skarbie, nic się nie stało, jeśli wypadł ci z kieszeni albo z plecaka. To był wypadek. Obiecuję, że nie będę się za to na ciebie wściekać, dobrze? Nie musisz oskarżać kogoś innego tylko po to, żeby...

– Mamo, ty wcale nie słuchasz – przerywa mi gwałtownie. – Nie zgubiłem telefonu!

– Skoro Kyle go ukradł, to dlaczego miałby ci go oddawać?

Connor wzrusza ramionami. Jest blady i spięty, wygląda na starszego niż jest.

– Może nie mógł go odblokować. Może ojciec go z nim przyłapał. Nie wiem. – Waha się. – A może... może znalazł na nim dokładnie to, czego szukał. Na przykład numer do Lanny. Pytał mnie o nią.

To zupełnie normalne. Chłopak wypytujący o dziewczynę. Może źle zinterpretowałam przyjacielskie nastawienie Lanny wobec oficera Grahama. Może nie zauważyłam nagłego zauroczenia. Możliwe, że chciała tylko lepiej poznać jego syna. „Mogła trafić gorzej”, pomyślałam. „A co, jeśli on faktycznie ukradł telefon? Jakim prawem to ma być w porządku?”

– Możesz się mylić, skarbie. Nie wszystko musi być od razu spiskiem albo zagrożeniem. Jesteśmy bezpieczni. Będziemy bezpieczni.

Chce mi powiedzieć coś jeszcze. Wyczytuję to z języka jego ciała. Boi się też, że będę na niego wściekła. Sprawiałam, że boi mi się zwierzać, i nienawidzę tego faktu.

– Connor? Kochanie? Coś cię martwi?

– Ja... – przygryza dolną wargę. – Nic, mamo. Nic takiego. – Mój syn jest zmartwiony. Stworzyłam dla niego świat, w którym założenie, że wszystko sprowadza się do spisku, ma dla niego absolutny sens. – Czy mogę po prostu... trzymać się od nich z daleka? Od Kyle'a i jego brata?

– Oczywiście, że tak, tylko bądź dla nich uprzejmy, dobrze?

Kiwa głową, a ja po chwili biorę szklaneczkę ze szkocką. Connor

spogląda na jezioro.

– I tak nie potrzebuję mieć przyjaciół.

Jest za młody, żeby tak mówić. Za młody, żeby w ogóle tak *myśleć*. Chcę mu powiedzieć, że może zawierać tyle przyjaźni, ile tylko chce, że świat jest bezpieczny i że już nigdy nikt go nie skrzywdzi, że nasze życie może być pełne radości i przygód.

Ale nie mogę, ponieważ to nie jest prawda. Może dla innych ludzi, ale nie dla nas.

Zamiast tego dopijam szkocką. Wchodzimy do środka. Włączam alarm, a gdy Connor kładzie się do łóżka, wyjmuję każdą sztukę broni, kładę na kuchennym stole, rozkładam przybory do czyszczenia i upewniam się, że jestem gotowa na wszystko. Podobnie jak ćwiczenie celności, czyszczenie broni ma właściwości uspokajające. Czuję się, jakbym znów kładła wszystko na swoje miejsce.

Muszę być gotowa, na wszelki wypadek.

Lanny spędza resztę zawieszenia na odrabianiu lekcji i czytaniu z założonymi słuchawkami, z których słychać ryk muzyki, ale wychodzi dwa razy, by ze mną pobiegać. Robi to dobrowolnie, choć pod koniec trasy zaklina się, że już nigdy więcej tego nie robi.

W sobotę dzwoniemy do mojej matki. To rodzinna tradycja. Cała nasza trójka gromadzi się przed moim telefonem na kartę. Mam w nim wbudowaną aplikację, która generuje anonimowy numer IP, tak więc nawet gdyby ktoś przeglądał rejestr połączeń mojej mamy, numer nie naprowadzi go w nasze pobliże.

Lękam się sobót, ale zdaję sobie sprawę z tego, że ten rytuał jest ważny dla dzieci.

– Halo? – Spokojny, odrobinę słaby głos mojej matki przypomina mi o jej posuwającym się wieku. Oczami wyobraźni zawsze widzę ją taką, jaką była, gdy sama byłam młodsza... Zdrową, silną, opaloną, smukłą od ciągłego pływania i żeglowania. Po tym, jak zostawiła za sobą Maine, mieszka w Newport w Rhode Island. Musiała się przeprowadzić przed moim procesem, i jeszcze dwa razy po nim, ale w końcu ludzie dali jej spokój. Pomaga również fakt, że Newport charakteryzuje się

powściągliwością typową dla regionu Nowej Anglii.

– Cześć, mamó – mówię, czując nieprzyjemny ucisk w piersi. – Co u ciebie?

– Wszystko w porządku, skarbie. – Nigdy nie wymawia mojego imienia. W wieku sześćdziesięciu pięciu lat musiała nauczyć się ostrożności w mówieniu o własnym dziecku. – Tak się cieszę, że słyszę twój głos, skarbie. Wszystko dobrze? – Nie pyta, gdzie jesteśmy. Nie wie, gdzie przebywamy.

– Tak, wszystko dobrze – mówię. – Kocham cię, mamó.

– Ja ciebie też, skarbie.

Pytam ją o życie w nowym miejscu, a ona opowiada z fałszywym entuzjazmem o restauracjach, malowniczych widokach i zakupach. O tym, że zaczęła prowadzić album z wycinkami w ramach hobby, choć nie mam zielonego pojęcia, co miałyby zebrać na *mój* temat. Tony artykułów o moim potwornym eksmężu? Mój proces? Uniewinnienie? Żle byłoby również wtedy, gdyby w ogóle tego nie uwzględniła i miała moje zdjęcia do chwili ślubu oraz zdjęcia dzieci, bez żadnego dodatkowego kontekstu.

Zastanawiam się, jakie ozdoby sprzedaje Hobby Lobby do upiększenia stron w albumach poświęconych seryjnym mordercom.

Lanny się nachyla, aby powiedzieć radosnym głosem:

– Cześć, babciu!

A gdy moja mama odpowiada, słyszę zmianę zachodzącą w tym odległym głosie... Prawdziwe ciepło. Prawdziwą miłość. Autentyczną więź. Ominęły jedno pokolenie, a raczej nie wystąpiły u mnie. Lanny kocha swoją babcię, tak samo Connor. Pamiętają te mroczne, okropne dni tuż po *Zdarzeniu*, gdy zawleczono mnie do więzienia, a jedynym światełkiem w tunelu była moja matka, która zstąpiła im z nieba niczym anioł i otoczyła czymś w rodzaju normalności, przynajmniej na jakiś czas. Broniła ich niczym lwica, ostrymi słowami i zatrzaśniętymi drzwiami odpędzając dziennikarzy oraz wścibskich i mściwych ludzi.

Mam u niej dług do spłacenia.

Prawie nie zauważam chwili, w której pyta:

– Dzieci, czego uczycie się teraz w szkole? – Pytanie wydaje się bezpieczne, i powinno takie być, ale gdy Connor otwiera usta, uświadamiam sobie, że jednymi z jego zajęć są lekcje historii stanu

Tennessee, więc szybko mu przerywam.

– Szkoła idzie im świetnie.

Wzdycha, a ja słyszę pobrzmiwające w tym rozdrażnienie. Nie znosi tego. Nie znosi bycia tak... *ogólnikową*.

– A co u ciebie, skarbie? Masz jakieś nowe zainteresowania?

– Nie bardzo.

Tak wygląda zakres naszych rozmów. Nigdy nie byliśmy sobie bliskie, nawet gdy byłam dzieckiem. Wiem, że mnie kocha, a ja kocham ją, ale to nie jest ten rodzaj przywiązania, który widuję u innych ludzi. U innych rodzin. Istnieje między nami swego rodzaju uprzejmy dystans, jakbyśmy były dwiema obcymi sobie osobami, które akurat są na siebie skazane. To dziwne.

Mimo to zawdzięczam jej wszystko. Nigdy się nie spodziewała, że będzie musiała pilnować moich dzieci przez blisko rok, gdy strona oskarżenia próbowała udowodnić moją winę. Nazwali mnie Małym Pomocnikiem Melvina, a mój domniemany udział w jego zbrodniach opierał się wyłącznie na zeznaniu jednej mściwej, plotkującej sąsiadki szukającej uwagi. Twierdziła, że widziała, jak pewnego popołudnia pomagam Melwinowi nieść jedną z jego ofiar z samochodu do garażu.

Nigdy tego nie zrobiłam. I nie zrobiłabym. Nie miałam o niczym pojęcia, ale najbardziej przerażające i doprowadzające do szału było to, że absolutnie nikt mi nie wierzył. Nawet moja własna matka. Być może częściowy konflikt między nami zaczął się w chwili, w której spytała mnie z wyrazem kompletnego obrzydzenia i przerażenia na twarzy „Skarbie, zrobiłaś to? On kazał ci to zrobić?”.

Nigdy nie obstawała przy tym, że to było kłamstwo. Nigdy nie zaprzeczyła, że byłabym zdolna do okrucieństwa. Szukała jedynie *wytlumaczenia* dla całej sytuacji, co było niesłychanie trudno zrozumieć wtedy, jak i teraz. Może to przez brak przywiązania, który okazywała mi w dzieciństwie, a ja jej. Może tak łatwo było jej uwierzyć w najgorsze, bo miała poczucie, że nigdy tak naprawdę mnie nie znała.

Nigdy, przenigdy nie zrobię czegoś takiego swoim dzieciom. Będę ich bronić z całkowitym oddaniem. To nie jest ich wina.

Moja własna matka zawsze obwiniała *mnie*. „Cóż – powiedziała mi pewnego razu – sama chciałaś wyjść za mąż za tego człowieka”.

Powodem, dla którego internetowi trolle są tak bardzo

zeterminowani, aby mnie odnaleźć, jest przekonanie, że faktycznie jestem winna. Że jestem bezwzględny mordercą, któremu udało się uniknąć sprawiedliwości, i teraz to *oni* mogą wymierzyć mi karę.

W jakimś stopniu ich rozumiem. Mel całkowicie zawrócił mi w głowie romantycznym gestami. Zabierał mnie na wystawne kolacje. Kupował róże. Zawsze otwierał przede mną drzwi. Wysyłał listy miłosne i kartki. Naprawdę go kochałam, a przynajmniej tak mi się wydawało. Oświadczyły były porywające. Ślub wyglądał jak z bajki. Kilka miesięcy później byłam w ciąży z Lily, a mnie się wydawało, że jestem najszczęśliwszą kobietą na świecie, której mąż zarabiał na tyle dużo, by pozwolić jej zostać w domu i zasypać dzieci miłością i troską.

Wtedy jego hobby zaczęło się zakradać stopniowo do naszego życia.

Początki warsztatu Mela były skromne: stół w garażu, potem więcej narzędzi, jeszcze więcej miejsca, aż w końcu nie było go nawet na jeden samochód, nie mówiąc już o dwóch, więc zbudował wiatę i zajął cały garaż. Nie podobało mi się to, szczególnie zimą, ale do tego czasu Mel zdążył wymontować drzwi garażu, postawić tylną ścianę i wstawić drzwi, które trzymał zaryglowane i zamknięte na kłódkę. Wszystko z powodu kosztownych narzędzi.

Nigdy nie zauważyłam niczego, co wydawałoby się dziwne, prócz jednego razu. To musiało się dziać w okolicach śmierci jego przedostatniej ofiary – powiedział mi, że szop dostał się do warsztatu przez strych i zdechł w kącie, więc trochę czasu minie, aż smród wywietrzeje. Użył tony wybielacza i środków czyszczących.

Uwierzyłam w każde jego słowo. Dlaczego miałabym postąpić inaczej?

Nadal jestem zdania, że powinnam była się czegoś domyślić, i tym samym rozumiem gniew prześladowających mnie trolli.

Moja matka mówi coś, co sądząc po tonie głosu, jest wykierowane we mnie. Otwieram oczy i pytam:

– Przepraszam, co takiego?

– Czy dbasz o to, aby dzieci chodziły na lekcje pływania? Martwię się, że nie, biorąc pod uwagę... problemy, które macie.

Moja matka uwielbia wodę – jeziora, baseny, morze. Chyba jest w połowie syreną. Szczególnie wstrząsnął nią fakt, że Mel pozbywał się ciał swoich ofiar w wodzie. Dla mnie również było to przerażające. Czuję ściskanie w żołądku na samą myśl o zanurzeniu jednego palca

w jeziorze, które tak bardzo podziwiam z oddali. Nie mogę popływać łódką po jego spokojnej powierzchni bez rozmyślania o ofiarach mojego byłego męża, obciążonych i przykutych do dna niczym milczący, gnijący ogród, kołyszący się w rytm leniwych prądów. Nawet picie wody z kranu sprawia, że się dławię.

– Dzieci nie są specjalnie zainteresowane pływaniem – mówię bez najmniejszego śladu niepokoju w głosie wywołanego tym, że poruszyła ów temat. – Chociaż ostatnio sporo biegamy.

– Tak, ścieżka wokół... – zaczyna Lanny, a ja błyskawicznym ruchem wciskam guzik czasowo wyłączający głos mówiącego. Zamierzała powiedzieć „wokół jeziora”... I choć w kraju są tysiące jezior, to w dalszym ciągu wskazówka. A na to nie możemy sobie pozwolić. – Wybacz.

Włączam głos w telefonie.

– Chciałam powiedzieć, że dużo razem biegamy – mówi Lanny. – Jest naprawdę fajnie.

Musi być jej ciężko, że nie może podać żadnych szczegółów – temperatury, drzew, jeziora – ale ogranicza się tylko do tego. Ogólnikowości. Moja mama jest na tyle rozsądna, żeby nie naciskać. Tak wygląda nasza smutna rzeczywistość.

Wcześniej zastanawiałam się, jak wyglądało ich życie beze mnie. Mój czas spędzony za kratkami był istnym piekłem. Stale bałam się o swoje dzieci. Sądziłam, że radość, z jaką zawsze przyjmowały te rozmowy, bierze się stąd, że babcia reprezentowała w ich życiu pewien spokój – odpoczynek od straszliwej rzeczywistości, w którą zostały wciągnięte. A przynajmniej taką mam nadzieję.

Po cichu liczę też, że moje dzieci nie okażą się tak dobre w kłamaniu, bo to również cecha charakterystyczna Melvina Royała.

Moja mama opowiada o Newport i nadchodzącym lecie, a my nie możemy zrewanżować się historią o tym, jaka pogoda utrzymuje się w naszej okolicy. Dobrze o tym wie, więc rozmowa jest raczej jednostronna. Zastanawiam się, czy ma cokolwiek z tych telefonów, czy są dla niej po prostu przykrym obowiązkiem. Pewnie nie zawracałaby sobie głowy, gdyby chodziło wyłącznie o mnie, ale naprawdę kocha moje dzieci, a one kochają ją.

Ich twarze ciemnieją nieco, gdy kończę rozmowę i odkładam telefon aż

do następnego razu.

– Szkoda, że nie możemy pogadać na Skype czy czymś w tym stylu, tak żeby móc ją zobaczyć – mówi Lanny.

Connor natychmiast spogląda na nią spod zmarszczonych brwi.

– Dobrze wiesz, że to wykluczone. Ze Skype'a mogliby się czegoś dowiedzieć. Już nie raz widziałem takie rzeczy w programach policyjnych.

– Programy policyjne to nie rzeczywistość, młotku – odparowuje Lanny. – Myślisz, że *CSI* to serial dokumentalny?

– Hej, spokojnie – przerywam im. – Ja też chciałabym ją zobaczyć. Ale to nam wystarczy, prawda?

– Tak – odpowiada Connor. – Wystarczy.

Lanny nie mówi nic.

Patrol Psycholi nie przynosi niczego nowego, choć z drugiej strony tak bardzo przyzwyczaiałam się do tych okropieństw, że nie jestem pewna, czy rozpoznałabym coś nowego, nawet gdybym miała to pod samym nosem. Biorę się za zlecenie – edytuję jakieś dane, a potem zajmuję się projektowaniem stron. Jestem pochłonięta szczególnie wymagającym elementem programowania, gdy rozlega się szybkie pukanie do drzwi. Wzdrygam się, zaskoczona. Dźwięk przypomina mi sposób pukania oficera Grahama, więc zadowolona idę je otworzyć. Sprawdzam kto to, i jak można się było tego spodziewać, dostrzegam twarz Lancela Grahama.

Po początkowym przypływie ulgi mam nadzieję, że nie zrozumiał źle mojego ciepłego powitania z poprzedniego wieczora ani nie odczytał go jako zachęty. Jestem na takim etapie swojego życia, że nie potrzebuję wdawać się w romanse. Sparzyłam się na bezbłędnych metodach uwodzenia Mela, perfekcyjnej szopce, którą odstawiał jako modelowy przykład męża. Przestałam sobie ufać w tych sprawach. Nie mogę pozwolić sobie na obniżenie barier ochronnych, co jest nieodłącznym elementem nawet najbardziej powierzchownej relacji.

Zaprzątam sobie tym głowę, dezaktywując alarm, i otwieram drzwi, jednak najwyraźniej mój tok myślenia okazał się błędny. Tym razem

oficer Graham zachowuje się inaczej. Nie uśmiecha się.

I nie jest sam.

– Proszę pani. – Stojący za nim mężczyzna odzywa się jako pierwszy. To Afroamerykanin średniego wzrostu, budową ciała przypominający byłego zawodnika futbolu amerykańskiego, który zaokrąglił się w okolicach brzucha. Ma fryzurę z ostro ściętymi bokami i ciężkie, opadające powieki. Jego garnitur wygląda na znoszony i chyba czasy świetności ma już dawno za sobą. Na szyi ma czerwony krawat, który odrobinę gryzie się z szarą kurtką. – Nazywam się detektyw Prester. Muszę z panią porozmawiać.

To nie jest pytanie.

Zastygam w miejscu i mimowolnie zerkam przez ramię. Connor i Lanny są w swoich pokojach. Żadne z nich nie wyszło sprawdzić, kto to. Wychodzę na zewnątrz i zamykam za sobą drzwi.

– Oczywiście. O co chodzi?

Dzięki Bogu, w tej chwili nie muszę martwić się o bezpieczeństwo swoich dzieci. Wiem, gdzie się znajdują. Wiem, że są pod ochroną. Domyślam się, że tu musi chodzić o coś innego.

Zastanawiam się, czy dokopał się do prawdy i powiązał tropy łączące Gwen Proctor z Giną Royal. Mam cholerną nadzieję, że nie.

– Czy możemy usiąść?

Zamiast wpuszczać ich do środka, wskazuję na krzesła na werandzie. Zajmujemy miejsca. Oficer Graham trzyma się na uboczu, obserwując jezioro. Podążam w ślad za jego spojrzeniem, a moje serce przyśpiesza.

Statki wycieczkowe, które zazwyczaj pływają po jeziorze, są nieobecne. Zamiast nich, na środku spokojnej tafli jeziora unoszą się dwie łodzie noszące oficjalne, niebiesko-białe barwy, z reflektorami na szczycie pulsującymi rytmicznie czerwonym światłem. Dostrzegam płetwonurka z akwalungiem przechylającego się przez burtę drugiej łodzi.

– Wczesnym rankiem w jeziorze znaleziono ciało – mówi detektyw Prester. – Miałem nadzieję, że może widziała pani coś lub słyszała wczoraj wieczorem. Coś podejrzanego?

Z trudem udaje mi się uporządkować myśli. „Wypadek”, myślę. „Wypadek na łódce. Ktoś wyszedł popływać nocą, prawdopodobnie pijany, i wypadł za burtę”...

– Przykro mi. Nie widziałam niczego dziwnego.

– Słyszała pani coś wczoraj po zmroku? Może dźwięk uruchamianego silnika łodzi?

– Możliwe, ale to nic nadzwyczajnego – stwierdzam. Próbuję sobie cokolwiek przypomnieć. – Tak. Chyba słyszałam jakiś hałas około dziewiątej wieczorem. – Na długo po zapadnięciu zmroku, który wśród sosen nadciąga wyjątkowo szybko. – Mieszkają tu ludzie, którzy lubią wyjść na spacer i popatrzeć sobie na gwiazdy. Albo wybierają się na nocne wędkowanie.

– Czy w którymś momencie wyglądała pani na zewnątrz? Widziała kogoś wokół jeziora albo na wodzie? – Wygląda na zmęczonego, ale za tą fasadą kryje się przenikliwość, której wolałabym nie zwodzić. Odpowiadam mu tak szczerze, jak tylko potrafię.

– Nie, nie wyglądałam. Przykro mi. Zeszłej nocy pracowałam do późna na komputerze, a okno mojego gabinetu wygląda na wzgórze, nie na dół. Nie wychodziłam na zewnątrz.

Kiwa głową i zapisuje coś w notesie. Emanuje dyskretną pewnością siebie, taką, która sprawia, że człowiek ma ochotę się przy nim zrelaksować. Zdaję sobie sprawę z tego, że to niebezpieczne. Wcześniej moja czujność została uszpięta i nie doceniłam policji, i poniosłam tego srogie konsekwencje.

– Czy ktoś jeszcze był w domu zeszłej nocy?

– Moje dzieci – mówię.

Unosi wzrok, a jego oczy błyszczą w świetle słońca jak ciemny bursztyn. Ich wyrazu nie da się odczytać. Pod maską zmęczonego, nieco nieporządnego, przepracowanego mężczyzny, kryje się ostry jak skalpel umysł.

– Czy mogę z nimi porozmawiać?

– Jestem pewna, że nic nie wiedzą...

– Nalegam.

Byłoby podejrzane, gdybym się nie zgodziła, ale jestem spięta i przerażona do szpiku kości. Nie mam pojęcia, jak zareagują Connor i Lanny na kolejne przesłuchiwanie. W trakcie procesu Mela i mojego zostali poddani wielu rozmowom i wywiadom. Choć policja z Wichity zachowała wyjątkowe środki ostrożności, to wszystko pozostawiło po sobie blizny. Nie wiem, które rany zostaną ponownie otwarte. Staram się zachować spokój w głosie.

– Panie detektywie, wolałabym, aby nie byli przesłuchiwani. Chyba że myśli pan, że to absolutnie konieczne.

– Tak właśnie myślę, proszę pani.

– Przecież to przypadkowe utonięcie.

Wpatruje się we mnie bursztynowymi oczami, które zdają się płonąć w świetle. Mam wrażenie, że sondują mnie niczym reflektory.

– Nie, proszę pani. Nigdy nie powiedziałem, że przypadkowe. Ani że to było utonięcie.

Nie wiem, co to oznacza, ale czuję, że ziemia usuwa mi się spod nóg. Zaczęło się coś naprawdę złego.

– Zaraz je przyprowadzę – mówię półszeptem.

Rozdział trzeci

Connor idzie jako pierwszy. Detektyw obchodzi się z nim delikatnie. Ma rękę do dzieci. Dostrzegam błysk ślubnej obrączki i cieszę się w duchu, że nie jest taki jak tamci gliniarze z Kansas. Moje dzieci nabawiły się prawdziwego strachu przed policją, i to z całkiem zrozumiałych powodów. Były świadkami gniewu funkcjonariuszy, którzy aresztowali Mela. Gniewu, który pogłębiał się w miarę ujawniania skali popełnionych przez niego zbrodni. Tamci policjanci wiedzieli, aby nie wyładowywać swej wściekłości na małych dzieciach, ale jakaś jej część i tak się rozprzestrzeniła. To było nieuniknione.

Connor wygląda na spiętego i zdenerwowanego, ale odpowiada krótkimi, przekonującymi zdaniami. Nie słyszał niczego – jak zdążyłam wcześniej wspomnieć – oprócz dźwięku pracującego silnika łodzi około dziewiątej wieczorem. Nie wyglądał przez okno, bo to nic nadzwyczajnego. Nie pamięta niczego, co wydawałoby mu się podejrzanym.

Lanny nie chce powiedzieć ani słowa. Siedzi w milczeniu z pochyloną głową i kiwa nią albo kręci przecząco, ale nie chce nic mówić, więc w końcu detektyw odwraca się do mnie, poirytowany. Kładę dłoń na jej ramieniu i mówię:

– Kochanie, wszystko w porządku. Ten pan nie przyszedł tu nikogo skrzywdzić. Po prostu powiedz mu wszystko, co wiesz, dobrze? – mówię, przekonana o tym, że wie niewiele więcej niż Connor i ja.

Lanny posyła mi niepewne spojrzenie spod kurtyny czarnych włosów i mówi:

– Zeszłej nocy widziałam łódź.

Czuję, jak wrastam w ziemię pod wpływem szoku. Choć dzień jest

ciepły, a na zewnątrz śpiewają ptaki, przez moje ciało przebiega zimny dreszcz. „Nie”, myślę. „Nie, to nie może się dziać naprawdę. Moja córka nie może być świadkiem”. Mroczna czeluść otwiera się u moich stóp, a ja oczami wyobraźni widzę ją w sądzie, jak składa zeznania. Błysk aparatów. Zdjęcia w gazetach, a chwilę później nagłówki: CÓRKA SERYJNEGO ZABÓJCY ŚWIADKIEM W PROCESIE O MORDERSTWO.

Już nigdy nie uda nam się uciec.

– Jaka to była łódź? – pyta detektyw Prester. – Jak duża? Jakiego koloru?

– Nieduża. Mała łódka rybacka, podobna... – Myśli przez chwilę, po czym wskazuje na jedną z łódek kołyszących się na wodzie w pobliskim doku. – Podobna do tej. Biała. Widziałam ją ze swojego okna.

– Rozpoznałabyś tę łódź, gdybyś zobaczyła ją ponownie?

Lanny zaczyna kręcić głową, zanim detektyw kończy zdanie.

– Nie. To była zwykła łódka, podobna do setek innych. Nie widziałam jej aż tak wyraźnie. – Wzrusza ramionami. – Szczerze mówiąc, wyglądała jak każda inna łódka w okolicy.

Jeśli Prester jest rozczarowany, nie daje tego po sobie poznać. Nie wygląda też na zadowolonego.

– W porządku, a więc widziałaś łódź. Cofnijmy się odrobinę. Co sprawiło, że wyjrzałaś na zewnątrz?

Lanny siedzi przez chwilę, zamyślona, po czym mówi:

– Chyba chodziło o plusk.

To przykuwa jego i moją uwagę. Zasycha mi w ustach. Prester pochyla się nieco w przód.

– Opowiedz mi o tym.

– No cóż, to był raczej dość głośny plusk. Na tyle głośny, że go usłyszałam. Mój pokój znajduje się w rogu domu i wychodzi na jezioro. Miałam otwarte okno. Usłyszałam plusk, gdy zgasł silnik. Pomyślałam, że może ktoś wypadł albo skoczył do wody. Ludzie czasami pływają tu na golasa.

– I wyjrzałaś na zewnątrz, tak?

– Tak. Ale zobaczyłam jedynie łódkę. Kołysała się na wodzie. Uznałam, że ktoś w niej jest, bo parę minut później zaczął pracować silnik. Nikogo nie widziałam. – Bierze głęboki oddech. – Czy to możliwe, że byłam

świadkiem tego, jak ktoś wrzucał ciało do wody?

Prester nie odpowiada. Jest zajęty sporządzaniem notatek. Szybko przesuwając długopisem po papierze.

– Czy widziałaś, dokąd udała się łódź po uruchomieniu silnika?

– Nie. Zamknęłam okno, bo na zewnątrz zerwał się wiatr. Zaciągnęłam zasłony i wróciłam do czytania.

– W porządku. Czy umiałabyś powiedzieć, jak długo słyszałaś ryk silnika, zanim znów został wyłączony?

– Nie bardzo. Wsadziłam do uszu słuchawki. Zasnęłam z nimi. Dziś rano bolały mnie od tego uszy. Muzyka grała przez całą noc.

Dobry Boże. Gardło mam tak ściśnięte, że nie mogę przełknąć śliny. Gapię się na Prestera, siłą woli zmuszając go, aby powiedział coś podnoszącego na duchu, coś w stylu „Już dobrze, mała. Nic się nie stało. To jedna wielka pomyłka”, ale on tego nie robi. Niczego nie potwierdza, niczemu nie zaprzecza. Klika długopisem, chowa go z powrotem do kieszeni razem z notesem i wstaje z krzesła.

– Dziękuję ci, Atlanto. To było bardzo pomocne. Do widzenia, pani Proctor.

Nie jestem w stanie wykrztusić ani słowa. Ograniczam się do kiwnięcia głową, podobnie jak Lanny, i razem obserwujemy, jak wraz z Grahamem wracają do zakurzonego, czarnego sedana zaparkowanego na naszym podjeździe. Rozmawiają, ale niczego nie słyszę. Są ustawieni tak, że nie widzimy ich twarzy. Siadam i obejmuję córkę ramieniem, a ona choć raz go nie strząsa i się nie odsuwa.

Głaskam ją delikatnie po ramieniu, a ona wzdycha.

– To wygląda naprawdę kiepsko, mamo. Powinnam była powiedzieć, że niczego nie widziałam. Przez chwilę naprawdę myślałam o tym, żeby skłamać.

Uznaję, że to ma sens. Nie rozumiem, jak to, co zobaczyła, może przyspieszyć śledztwo. Nie była w stanie rozpoznać łodzi, nie widziała nikogo znajomego, a powiedzenie Presterowi czegokolwiek oznacza, że sprawdzi szczegółowo naszą rodzinę. Modlę się, aby praca Absaloma nad naszymi nowymi tożsamościami nie poszła na marne. Nie mogę być tego stuprocentowo pewna. Każda dokładna analiza i każdy wyciek informacji mogą mieć tragiczne konsekwencje.

„Powinniśmy stąd wiać, zanim do czegoś dojdzie”. Zastanawiam się

nad tym. Przed oczami mam żywy obraz pośpiesznego pakowania. Zdążyliśmy zgromadzić sporo rzeczy, a ja nie mogę stale prosić dzieci, aby porzuciły wszystko, co kochają. Musimy zabrać to ze sobą, co zajmie więcej miejsca, niż jest w stanie zapewnić jeep. Potrzebujemy czegoś większego. Czegoś w rodzaju furgonetki. Mogę zmienić auto, ale zasób mojej gotówki nie jest niewyczerpany, a moja pensja jest starannie kontrolowana pod przykrywką nowej tożsamości. Mam tylko jedną kartę, i to wyłącznie po to, aby wspierać pozory. Nie możemy wyciągnąć na raz całej gotówki i zniknąć bez śladu. Zorganizowanie wszystkiego potrwa co najmniej jeden dzień. Ze zdumieniem uświadamiam sobie, że pomimo całej swojej paranoi nie wzięłam pod uwagę tego najgorszego scenariusza: jak bezpiecznie i szybko przenieść nas z tego domu i miejsca. Dla większości ludzi jeden dzień opóźnienia może nic nie znaczyć, ale w naszym przypadku może być kwestią życia lub śmierci.

Jeep – zbyt mały do natychmiastowej ewakuacji – był sygnałem, że zapuszczam korzenie i zaczynam się czuć jak u siebie, ale okazało się, że to nieodpowiedni moment. Niech to szlag.

Dociera do mnie, że Lanny obserwowała mnie przez cały czas. Obserwowała moją twarz, gdy byłam zajęta przemyśliwaniem sytuacji. Milczy, dopóki oficer Graham i detektyw Prester nie wsiadają do sedana i nie wycofują się z podjazdu w obłoku jasnego kurzu, a potem odzywa się słabym, martwym głosem:

– Zaczynamy się pakować, tak? Bierzemy tylko to, co jesteśmy w stanie unieść?

W jej pozbawionym emocji tonie głosu słyszę krzywdę, którą wyrządziłam im obojgu. Pogodziła się już z tą potworną, nieludzką myślą, że nigdy nie będzie mogła mieć przyjaciół, rodziny, a nawet ulubionych rzeczy. Odkryła to wszystko, mając zaledwie *czternaście* lat. Nie mogę. Nie mogę znowu jej tego zrobić.

Tym razem nie uciekniemy. Tym razem zaufam fałszywym tożsamościom Absaloma. Choć raz wybiorę normalne życie, bez rozdierania dusz moich dzieci na pół w celu ocalenia ich fizycznych ciał.

Nie podoba mi się to. Ale ta decyzja musi wyjść ode mnie.

– Nie, kochanie – mówię jej. – Zostajemy.

Cokolwiek nas czeka, nie będziemy przed tym uciekać.

Przez kilka następnych dni skutecznie udaje mi się uniknąć wszelkich spotkań. Nasze rundy wokół jeziora pokonujemy w tempie, które odstrasza innych i zniechęca do pogawędek. Nie odwiedzam żadnych sąsiadów z okolicy. Nie jestem typem piekającej ciasteczka matki – już nie. To Gina taka była, niech spoczywa w pokoju.

Lanny wraca do szkoły. Czekam w napięciu, aż zadzwoni telefon, ale przez kilka pierwszych dni nie wpada w żadne kłopoty. Ani w następne. Policja nie wraca na kolejne przesłuchanie, a ja powoli czuję, że mój niepokój zaczyna się zmniejszać.

Za to w środę dostaję wiadomość od Absaloma oznaczoną charakterystycznym podpisem w postaci litery Å. To adres internetowy. Wpisuję go w wyszukiwarkę na swoim komputerze.

To artykuł z gazety w Knoxville, dość daleko od nas, ale mimo wszystko opowiada o Stillhouse Lake: **MORDERSTWO W ODLUDNEJ MIEJSCOWOŚCI NAD JEZIOREM WPRAWIA MIESZKAŃCÓW W OSŁUPIENIE.**

Zasycha mi w ustach i na chwilę zamykam oczy. Litery płoną chaotycznie pod moimi powiekami. Nie mogę ich przegnać, więc otwieram oczy i zerkam ponownie. Nagłówek nadal tam jest. Pod spodem, nieopatrzony żadną notką o autorze, widnieje artykuł, który musiał zostać spisany ze strzępów informacji agencji prasowej. Powoli przesuwam strzałkę przewijania przez mrugające przypomnienia o odnowieniu subskrypcji, sprawdzeniu prognozy pogody, kupnie poduszki elektrycznej i butów na wysokim obcasie. W końcu docieram do głównego tekstu. Jest dość krótki:

Gdy mieszkańcy małego miasteczka Norton w Tennessee dowiedzieli się o ciele znalezionym w Stillhouse Lake, żaden z nich nie spodziewał się, że będzie miał do czynienia z morderstwem. „Uznaliśmy, że to zwyczajny wypadek w trakcie przejażdżki łodzią”, powiedział Matt Ryder, kierownik lokalnego McDonald’sa. „Że to pewnie jakiś pływak, którego dopadł skurcz i utonął. Takie rzeczy się przecież zdarzają. Ale to? Nie mogę w to uwierzyć. To spokojne, małe miasteczko”.

Określenie „spokojne, małe miasteczko” doskonale opisuje Norton. Jest typowym miejscem dla tego regionu – senna wioska walcząca o dostosowanie się do współczesnego świata, w której sklep z oranżadą Old Tyme Soda Palace stoi obok SpaceTime, kafejki internetowej i kawiarni.

To pierwsze zaspokaja uczucie nostalgii za dawnymi czasami. To drugie dąży do wprowadzenia udogodnień charakterystycznych dla znacznie większego miasta. Na pierwszy rzut oka Norton wygląda na dobrze prosperującą miejscowość, lecz głębsza analiza ujawnia problem, z którym boryka się wiele wiejskich obszarów, a mianowicie uzależnienie od opiatów. Według szacunków miejscowej policji w Norton istnieje poważny problem z uzależnieniem od narkotyków, a handel nimi jest na porządku dziennym. „Robimy co w naszej mocy, by kontrolować ich zasięg”, powiedział komendant Orville Stamps. „Produkcja metamfetaminy była najgorszym problemem, ale sprawa z oxi i heroiną to coś innego. Trudniej je wyśledzić i trudniej powstrzymać”.

Komendant policji Stamps uważa, że narkotyki mogły odegrać jakąś rolę w śmierci w dalszym ciągu niezidentyfikowanej kobiety, której ciało znaleziono rankiem na powierzchni jeziora Stillhouse Lake w ubiegłą niedzielę. Została opisana jako kobieta rasy białej z krótkimi, rudymi włosami, mająca od osiemnastu do dwudziestu dwóch lat. Ma małą bliznę wskazującą na usunięcie woreczka żółciowego oraz duży kolorowy tatuaż na lewej łopacie przedstawiający motyla. Na chwilę obecną nie przeprowadzono żadnej oficjalnej identyfikacji, jednak informatorzy z komisariatu policji w Norton podają, że istnieje bardzo duże prawdopodobieństwo, że ofiara pochodzi z tutejszych okolic.

Funkcjonariusze zachowują milczenie w kwestii przyczyny śmierci kobiety, ale sklasyfikowali ją jako zabójstwo i obecnie są na etapie przesłuchiwania społeczności zamieszkującej nad brzegiem jeziora – na terenie będącym dawniej ekskluzywnym, bogatym rejonem, który, podobnie jak reszta kraju, podupadł wraz z nastaniem trudniejszych czasów – aby odkryć, kto może posiadać jakiegokolwiek informacje prowadzące do odkrycia tożsamości ofiary lub zabójcy. Uważają, że ciało zostało umieszczone w wodzie po śmierci i potwierdzają, że morderca próbował je obciążać. „To łut szczęścia, że mu się nie powiodło”, powiedział komendant Stamps. „Kobieta została przywiązana liną do betonowego bloku, ale skrzydło śruby napędowej łodzi musiało przeciąć jedną z lin, gdy zabójca włączył silnik, więc ciało wypłynęło na powierzchnię”.

Rejon Stillhouse Lake był znany jako wiejskie ustronie do połowy roku 2000, gdy firma deweloperska zaczęła przekształcać tereny wokół jeziora w ekskluzywny azyl dla rodzin pochodzących ze średniej i wyższej klasy społecznej, szukających położonych na jeziorze drugich domów. Jej wysiłki tylko w połowie okazały się sukcesem, a brama wjazdowa do Stillhouse Lake jest obecnie otwarta dla wszystkich. Wielu bogatych mieszkańców przeniosło się do bardziej renomowanych enklaw, zostawiając na miejscu emerytów, tubylców i puste domy sprzedawane na aukcjach komorniczych. Choć mieszkańcy utrzymują, że to spokojne miejsce, napływ nowych rezydentów – najemców i nabywców – sprawił, że co niektórzy zaczęli się niepokoić.

„Muszę wierzyć, że któryś z mieszkańców coś widział”, powiedział komendant Stamps. „Że ktoś odpowie na nasz apel i da nam coś, co pomoże rozwiązać sprawę”.

Do tego czasu noc w spokojnym Stillhouse Lake pozostaną takie jak zawsze... mroczne.

Odsuwam krzesło, zupełnie jakbym uciekała przed artykułem. „To

o nas. O Stillhouse Lake”. Ale jeszcze bardziej uderza mnie to, co prawdopodobnie przykuło też uwagę Absaloma... sposób, w jaki zabójca obciążył ciało. A także wiek i wygląd ofiary – coś mi przypominają, coś odległego, ale nie jestem w stanie dotrzeć do tego wspomnienia.

Ta sprawa dziwnie przypomina tę z młodymi kobietami, które Mel porywał, gwałcił, torturował, okaleczał i zakopywał we własnym, wodnym ogrodzie. Przywiązane do betonowych bloków.

Próbuję nad sobą zapanować, odzyskać kontrolę nad rozbieganymi myślami. To czysty zbieg okoliczności. Wrzucenie zwłok do wody trudno uznać za wyjątkową metodę, a większość sprytnych morderców obciąża je, aby opóźnić odnalezienie. Z tego, co zapamiętałam z procesu Melvina, betonowe bloki również nie są niczym niezwykłym.

Jednak ten opis...

Nie. Młode, bezbronne kobiety to ulubiony cel wielu seryjnych morderców. Niczego nie rozstrzyga. W dodatku nie ma żadnych poszlak świadczących o tym, że to faktycznie *jest* seryjny morderca. Równie dobrze coś mogło pójść nie tak jak planowano, a ciało ukryto w przyływie paniki. To mógł być niedoświadczony, nieprzygotowany morderca, który wcale nie miał zamiaru zabijać. Cała historia w mniejszym bądź większym stopniu nawiązuje do narkotyków, z którymi w Norton mają spory problem, o czym dowiedzieliśmy się od oficera Grahama. Tak jak zasugerowano, morderstwo musi być z nim powiązane.

To nie ma z nami nic wspólnego. Ani ze zbrodniami popełnionymi przez Melvina Royała.

Jednak morderstwo tuż pod naszym nosem? Znowu?

To przerażająca perspektywa z wielu powodów. Boję się o bezpieczeństwo swoich dzieci, ale obawiam się również piekła, przez które po raz kolejny będziemy musieli przejść, jeśli znów zostaniemy napiętnowani jako Royalowie. Podjęłam decyzję, że zostaniemy i jakoś to przetrzymamy, ale w świetle nowych wydarzeń to stało się trudniejsze. Patrol Psycholi z pewnością coś zauważy. Drobiazgowo przeanalizują każdy szczegół. Będą szukać zdjęć. Nie jestem w stanie kontrolować zdjęć robionych przez innych ludzi. Na pewno widać mnie gdzieś w tle czyjś zdjęć w parku, na parkingu albo przed szkołą. A jeśli nie ja, to z pewnością Lanny albo Connor.

To wszystko sprawia, że pozostanie tu stało się nadzwyczaj ryzykowne. Wysłałam wiadomość do Absaloma.

„Dlaczego mi to wysłałeś?”

„Ze względu na podobieństwa. Też je dostrzegłaś, prawda?”

Nie powiedziałam mu, gdzie się osiedliliśmy, ale podejrzewam, że wie. Musiałam wypełnić stos papierów, żeby kupić ten dom dzięki nowej tożsamości, którą dla mnie stworzył. Odkrycie mojego dokładnego adresu to dla niego bułka z masłem. To on przysłał mi listę potencjalnych miejsc, gdy musiałam uciec ostatnim razem. Mimo to czuję się lepiej z myślą, że nie wie albo nie obchodzi go, gdzie mieszkamy. Nigdy nas nie zdradził. Za to bardzo nam pomógł.

Nie znaczy to jednak, że jestem mu w stanie w pełni zaufać.

„Nie widzę związku”, odpisuję. „Ale to dość dziwne. Przyjrzyj się temu?”

„Nie ma sprawy”.

Absalom kończy rozmowę, a ja siedzę przez bardzo długi czas i wpatruję się w słowa na ekranie komputera. Chciałabym mieć więcej współczucia dla biednej, martwej, nieznannej kobiety znalezionej w jeziorze, ale jest dla mnie jedynie abstrakcją. Problemem. Myślę wyłącznie o tym, że jej śmierć przyczyni się do cierpienia moich dzieci.

Podjęta pod wpływem impulsu decyzja, aby zostać, była błędem. „Nigdy nie wykluczaj ucieczki”. Te słowa od lat były moją mantrą. To czysty instynkt przetrwania. Nie zmienię decyzji, ale ten artykuł, podobieństwa do zbrodni mojego byłego męża... obudziły we mnie pewien niepokój, którego nauczyłam się słuchać.

Nie przeniosę dzieci pod wpływem kaprysu i nie ucieknę, ale muszę zacząć robić plany na wypadek gwałtownej potrzeby, jeśli sprawy przybiorą wyjątkowo paskudny obrót. Owszem, jestem im winna stabilne dzieciństwo... ale jeszcze ważniejsze ode tego jest zapewnienie im trwałego *bezpieczeństwa*.

Nie czuję się już bezpieczna w obliczu tej historii. Nie znaczy to jednak, że uciekam.

Muszę się przygotować.

Szybko wyszukuję w internecie furgonetki wystawione na sprzedaż w okolicy i od razu trafia mi się oferta: w Norton, zaledwie kilka kilometrów stąd, ktoś chce sprzedać lub wymienić dużego białego vana.

W myślach wyliczam materiały do pakowania. Mamy składane, plastikowe klatki na niektóre rzeczy, ale muszę dokupić kilka dodatkowych z miejscowego Walmartu. Staram się unikać dużych sklepów dyskontowych, ponieważ to wiąże się z zarejestrowaniem przez kamery przemysłowe. W Norton nie ma jednak zbyt dużego wyboru, chyba że zdecyduję się na wypad po zapasy do Knoxville.

Spoglądam na zegar i uznaję, że to nie najlepsza pora na wpadanie w paranoję rodem z DEFCON One. Zakładam wielką czapkę z długim daszkiem pozbawioną logo i duże okulary. Upewniam się, że moje ubrania są jak najbardziej anonimowe. To najlepsza przykrywka, na jaką mnie stać.

Gdy wyjmuję pieniądze z sejfu, słyszę klakson pocztowej furgonetki zatrzymującej się przy domu i wyglądam na zewnątrz. Listonosz wrzucił listy do skrzynki, a ja wychodzę, by przejrzeć jej zawartość, nadal zastanawiając się, co trzeba zrobić, aby przygotować się na nagły wypadek. Sprzedaż domu nie wchodzi w grę. I tak mogłabym to zrobić dopiero po przeprowadzce. Znowu muszę zabrać dzieci ze szkoły bez żadnego ostrzeżenia czy wyjaśnienia. Jednak nie licząc tych rzeczy, nie mamy zbyt wielu więzów do przecięcia. Od dawna jesteśmy w drodze, więc brak przywiązania do czegokolwiek jest dla nas wszystkich całkiem naturalny.

Sądziłam, że to będzie miejsce, w którym uda nam się przełamać ów cykl. Może nadal takie jest, ale muszę podejść do tego w sposób praktyczny. Ucieczka musi być wykonalna. Zawsze.

Pierwszym krokiem jest kupienie vana.

Wśród stosu ulotek i śmieciowej poczty znajduję urzędowe pismo z adresem z Tennessee. Rozrywam kopertę i wyjmuję swoją licencję na posiadanie broni. Dzięki Bogu.

Od razu wkładam ją do portfela, wyrzucam resztę ulotek do śmieci i wyjmuję z sejfu pistolet wraz z kaburą do noszenia pod pachą. Założenie jej i ciężar broni sprawiają mi przyjemność – tak samo jak świadomość, że w odróżnieniu od innych momentów, w których ją nosiłam, wreszcie mam urzędowe pismo poświadczające, że mogę jej legalnie używać. Wiele razy ćwiczyłam wyciąganie jej z kabury, więc nie ma w tym nic dziwnego. Czuję się tak, jakbym miała starego przyjaciela u boku.

Zakładam lekką kurtkę, aby ukryć pistolet, i jadę po vana. To jednak kawał drogi za Norton. Co prawda wydrukowałam sobie dokładne instrukcje, jak jechać – minusem odmowy dołączenia do smartfonowej rewolucji jest poleganie na mapach i papierze – jednak nadal mam problem z dotarciem do wymienionych na liście miejsc. Myślę sobie, że jest jakiś powód, dla którego akcja horrorów tak często jest osadzona w lesie. Ma w sobie prymitywną, ponurą siłę, która sprawia, że człowiek czuje się mały i bezbronny. Ludzie, którzy potrafią w nim przetrwać, są naprawdę silni.

Gdy dojeżdżam pod adres właściciela vana na sprzedaż, z zaskoczeniem odkrywam, że nazwisko na skrzynce pocztowej domku z lat pięćdziesiątych – małego, solidnego i rustykalnego jak cholera – to ESPARZA. Ani Norton, ani Stillhouse Lake nie mogą pochwalić się prężną populacją hiszpańskiego pochodzenia, więc uświadamiam sobie, że to musi być dom Javiera Esparzy. Mojego instruktora ze strzelnicy. Byłego żołnierza piechoty morskiej. Od razu czuję się podniesiona na duchu i jednocześnie dziwnie zawstydzona. Nie zamierzam go oszukiwać, ale z przykrością wyobrażam sobie jego rozczarowanie i gniew, gdy odkryje później, kim naprawdę jestem. Jeśli dojdzie do najgorszego, zniknę, a on będzie się zastanawiał, czy uciekam vanem, który mi sprzedał, z jeszcze straszniejszych powodów niż bycie żoną seryjnego mordercy.

Nie chcę, aby Javi stracił o mnie dobre zdanie. Ale to nieuniknione, przez wzgląd na bezpieczeństwo i przyszłość moich dzieci.

Wysiadam i podchodzę do furtki, gdzie wita mnie sterta umięśnionej, najeżonej, brązowo-czarnej sierści. Pies zanosi się serią szczeknięć równie głośnych co strzały z pistoletu. Rottweiler sięga mi do pasa, ale kiedy opiera przednie łapy o górę ogrodzenia, jest tak samo wysoki jak ja. Wygląda, jakby mógł rozerwać mnie na strzępy na psią karmę w ciągu dziesięciu sekund. Zatrzymuję się ostrożnie w miejscu i nie wykonuję żadnych gwałtownych ruchów. Nie nawiązuję kontaktu wzrokowego. Psy mogą odebrać to jako zagrożenie.

Szczekanie sprawia, że Javier podchodzi do drzwi. Ma na sobie zwykłą, szarą koszulkę, która zrobiła się miękka od wieloletniego prania, równie znoszone dzinsy i parę ciężkich butów, co jest całkiem rozsądne w tej okolicy, gdzie grzechotniki i stare, zapomniane kawałki metalu stanowią

jednakowe ryzyko dla nieosłoniętych stóp. Wyciera dłonie w czerwoną ścierkę, a gdy mnie dostrzega, uśmiecha się szeroko i gwizdże. Na ten dźwięk pies wycofuje się na werandę i kładzie, dysząc z zadowoleniem.

– Witam, pani Proctor – mówi Javi, wychodząc, aby otworzyć furtkę. – Podoba się pani mój system bezpieczeństwa?

– Bardzo skuteczny – stwierdzam, nieufnie przyglądając się psu. Wygląda teraz na całkiem przyjaznego. – Przepraszam, że nachodzę cię w domu, ale chyba masz vana na sprzedaż, tak?

– Och. No tak! Szczerze mówiąc, prawie o tym zapomniałem. Należał do mojej siostry, ale zostawiła mi go w zeszłym roku, po zaciągnięciu się do wojska i wstąpieniu do marynarki. Trzymam go w garażu. Proszę wejść.

Prowadzi mnie wkoło domu, obok pniaka do rąbania drewna na opał z nadal wbitą w niego siekierą, i starego, zniszczonego przez pogodę wychodka. Zerkam na niego z ukosa, a Javi parska śmiechem.

– Od lat nie jest w użyciu. Zabetonowałem dziurę i wylałem posadzkę. Teraz używam go jako schowka na narzędzia. Lubię zachowywać przedmioty z przeszłości.

Na to wygląda. A słowo „garaż” jest tu na wyrost. Tak naprawdę moim oczom ukazuje się stodoła, która wygląda na równie wiekową co wychodek – to pewnie oryginalna część dawnej posesji. Końskie boksy zostały wyburzone, aby zmieścić w środku długi, masywny furgon. To starszy model. Farba nieco zżółkła i zmatowiała, ale opony są w dobrym stanie, co jest dla mnie ważne. Pająki przytwierdziły pojazd do ziemi za pomocą cienkiej sieci.

– Cholera – mówi Javi, biorąc miotłę i zdzierając jedwabistą pajęczynę. – Przepraszam, dawno tu nie zaglądałem. Na pewno nie weszły do środka.

To zabrzmiało bardziej optymistycznie niż prawdziwie, ale nie pozwalałam, aby w czymkolwiek mi przeszkadzało. Javi zdejmuje kluczyki z haka na ścianie, otwiera drzwi i włącza auto. Uruchamia się niemal błyskawicznie. Silnik jest doskonale wyregulowany i gładko pracuje. Pozwala mi wsiąść, a mnie od razu podoba się to, co widzę. Średni przebieg, wszystkie wskaźniki w normie. Otwiera maskę, abym mogła zajrzeć do środka. Sprawdzam przewody w poszukiwaniu jakichkolwiek pęknięć i nieszczelności.

– Wygląda świetnie – stwierdzam, sięgając do kieszeni. – Wymienisz się ze mną na jeepa i tysiąc dolarów w gotówce?

Mruga, zaskoczony, bo dobrze wie, ile zainwestowałam w jeepa. Wyposażyłam go między innymi w sejf na broń w bagażniku, który sam pomógł mi wybrać.

– No nie, serio?

– Serio.

– Bez obrazy, ale... dlaczego? To świetna bryka. Biorąc pod uwagę teren wokół jeziora, jeep będzie się tam lepiej spisywał.

Javi nie jest głupi, co w tej chwili jest trochę niefortunne. Wie, że wyjdzie lepiej na tym interesie, a ja nie mam żadnych powodów, aby zamieniać dostosowanego do warunków jeepa na wielki, mało zwrotny furgon... Nie w Stillhouse Lake.

– Szczerze? Nie jeżdżę po bezdrożach. W dodatku zastanawiam się nad przeprowadzką. Jeśli się zdecyduję, to mamy zbyt wiele gratów, których nie pomieści jeep. Kupno vana jest więc całkiem sensownym rozwiązaniem.

– Przeprowadzka – powtarza. – No proszę. Nie sądziłem, że pani o tym myśli.

Wzruszam ramionami, nie spuszczać wzroku z vana i starając się utrzymać jak najbardziej neutralny wyraz twarzy.

– Tak, no cóż. Różne rzeczy się dzieją. Nie zawsze można przewidzieć, co nastąpi. A zatem, co myślisz? Chcesz obejrzeć jeepa?

Zbыва moje pytania machnięciem ręki.

– Znam go od podszewki. Pani Proctor, proszę posłuchać. Ufam pani. Przekażę tysiąc siostrze, a ja wezmę jeepa. Nie będzie miała nic przeciwko takiej wymianie.

Wyjmuję portfel i odliczam pieniądze. To mniej niż się spodziewałam. Bardzo mnie to cieszy. Więcej pieniędzy dla nas, gdy będziemy musieli odnaleźć się w nowej rzeczywistości, z nowymi tożsamościami i przeszłością.

Javi przyjmuje ofertę. Przekazujemy sobie dokumenty rejestracyjne pojazdów. Później zajmę się zamianą aktu własności, ale na razie to powinno wystarczyć. Javi wypisuje mi pokwitowanie, a ja spisuję drugie dla niego, siedząc przy małym, kuchennym stole. Nadal ma ścierkę przerzuconą przez ramię, a ja zauważam, że pasuje do drugiej czerwono-

białej, kraciastej leżącej na suszarce nad zlewem. Pomieszczenie jest czyste i uporządkowane, z nielicznymi ozdobami i kolorami, wśród których dominują beże i ciemne brązy. Po jednej stronie dwukomorowego zlewu nadal widać pianę. Był zajęty myciem naczyń, gdy się zjawiłam.

Całkiem przyjemne miejsce. Spokojne. Zrównoważone, jak sam Javi.

– Dzięki za wszystko – mówię, i jestem zupełnie szczerą. Traktował mnie dobrze od samego początku. To ma ogromne znaczenie, zwłaszcza w życiu takim jak moje, w którym nigdy nie byłam traktowana po prostu jako ja sama... Zawsze byłam córką swego ojca, żoną Melvina, matką Lily i Brady'ego, a potem – dla wielu – potworem, któremu udało się uciec przed sprawiedliwością. Nigdy jako człowiek. Musiałam włożyć dużo pracy w to, aby dotrzeć do punktu, w którym czuję się w pełni sobą i rozkoszuję się tym. Lubię być Gwen Proctor, ponieważ bez względu na to, czy jest prawdziwa, czy nie, to pełnowartościowa i silna osoba, a ja mogę na niej polegać.

– Dzięki, Gwen. Naprawdę się cieszę z powodu jeepa – mówi Javi, a ja uświadamiam sobie, że po raz pierwszy odezwał się do mnie po imieniu. W jego oczach jesteśmy teraz równi. Podoba mi się to. Wymieniamy uścisk ręki, a Javi przytrzymuje moją dłoń nieco dłużej niż to konieczne. – Mówię zupełnie poważnie. Masz jakieś kłopoty? Bo jeśli tak, możesz mi powiedzieć.

– Nie mam. I nie czekam na rycerza na białym koniu, który przyjedzie mi na ratunek.

– Wiem. Chcę się tylko upewnić, że wiesz, że zawsze możesz poprosić mnie o pomoc. – Chrząka dyskretnie. – Przykładowo, niektórzy ludzie nie chcą, żeby ktokolwiek wiedział, dokąd się udają, gdy opuszczają miasto. Ani czym jeżdżą. Nie mam z tym żadnego problemu.

Posyłam mu zaciekawione spojrzenie.

– Nawet jeśli jestem poszukiwana?

– A co, popełniłaś jakieś przestępstwo? Uciekasz przed czymś? – Ton jego głosu staje się nieco ostrzejszy, a ja widzę, że to go niepokoi.

Tak, i tak. Jednak moje poczucie winy jest mgliste, a ja nie uciekam przed sprawiedliwością, tylko przed bezprawiem.

– Powiedzmy, że ktoś może próbować mnie szukać, gdy wyjadę – mówię. – Słuchaj, rób, co musisz. Nie będę cię prosić, żebyś działał

niezgodnie ze swoimi zasadami. Przysięgam. I przyrzekam ci, że nie zrobiłam niczego złego.

Kiwa powoli głową, zastanawiając się nad moimi słowami. W końcu uświadamia sobie, że nadal ma na sobie ścierkę. Podoba mi się autoironiczny uśmiezek na jego twarzy, gdy zrywa ją z ramienia i rzuca w stronę zlewu, gdzie ląduje bezładnie. Wolałabym, aby tego nie zrobił, bo nagle ścierka zaczyna wyglądać jak oderwany od ciała ochłap zakrwawionego mięsa, totalnie niepasujący do jego czyściutkiej kuchni. Powoli wypuszczam powietrze z ust, trzymając dłonie płasko na stole.

– Przeszłaś przez wszystkie procesy sprawdzania danych, aby otrzymać pozwolenie na broń. Z tego, co mi wiadomo, jesteś zupełnie czysta, więc nie będę miał żadnego problemu, żeby mówić ludziom, że nie wiem dokąd wyjechałaś, i nie muszę wspominać o vanie. Nie pytaj, nie mów. Rozumiesz?

– Rozumiem.

– Znam paru gości, którzy żyją w odcięciu od wszystkiego. Wiesz, jak to robić?

Kiwam głową, nie mówiąc ani słowa o tym, że już od dawna się przeprowadzam, uciekam i unikam niebezpieczeństw jak ognia. Nie zdradzam mu zupełnie nic, na co prawdopodobnie nie zasługuje. Javi jest godny zaufania, a mimo to nie mogę się zmusić, aby ujawnić mu informacje na temat Melvina i samej siebie. Nie chcę, aby się rozczarował.

– Nic nam nie będzie – mówię. Udaje mi się przywołać na twarzy uśmiech. – To dla nas nie pierwszozna.

– Ach. – Javi siada z założonymi rękami, a jego ciemne oczy stają się jeszcze mroczniejsze. – Przemoc domowa?

Nie pyta kto, ani czy chodzi o mnie, dzieci i całą naszą trójkę. Nie mówi nic więcej, a ja powoli kiwam głową, ponieważ w pewnym sensie to prawda. Mel nigdy nie znęcał się nade mną w konwencjonalny sposób. Z całą pewnością nigdy mnie nie uderzył. Nigdy nie doświadczyłam z jego strony obelg ani wyzwisk. Za to kontrolował mnie na wiele sposobów, co zaakceptowałam jako normalną część pożycia małżeńskiego. To Mel zawsze zajmował się finansami. Miałam dostęp do pieniędzy oraz karty kredytowe, ale prowadził skrupulatne zapiski, poświęcał mnóstwo czasu na sprawdzanie paragonów i wypytywanie

o poszczególne zakupy. Wtedy myślałam, że po prostu lubi przykładać uwagę do szczegółów, ale teraz postrzegam to jako subtelny formę manipulacji polegającą na tym, że byłam od niego zależna i wahałam się, aby zrobić cokolwiek bez konsultacji z nim. To wszystko nadal mieściło się w granicach normalnego, męzowskiego zachowania, a przynajmniej tak mi się wydawało.

Istniała jedna sfera naszego życia, która była uderzająco nienormalna, ale to było osobiste, prywatne piekło, które byłam zmuszona przeżywać na nowo pod ostrzałem pytań policji. Czy to było maltretowanie? Owszem, ale wykorzystywanie seksualne między małżonkami to dość śliski temat. Granice ulegają zatarciu.

Mel lubił coś, co określał mianem „zabawy w oddychanie”. Zakładał mi sznur na szyję i dusił. Z ostrożności posługiwał się miękkim i puszystym sznurem, który nie zostawiał żadnych widocznych śladów, i był w tym prawdziwym ekspertem. Nienawidziłam tego i próbowałam mu to wyperswadować, ale gdy któregoś razu otwarcie odmówiłam, dostrzegłam w jego oczach przeblask czegoś... mrocznego. Już nigdy więcej nie powiedziałam nie.

Nigdy nie dusił mnie na tyle mocno, abym zemdląła, choć było blisko. A ja wytrzymywałam to za każdym razem, nie mając pojęcia, że gdy odcinał mi dopływ tlenu podczas seksu, wyobrażał sobie swoje kobiety w garażu walczące z zaciskającą się pętlą, gdy podciągał je w górę i opuszczał na ziemię.

Być może to nie było maltretowanie, ale nie mam wątpliwości, że to było złe. Patrząc z perspektywy czasu, myśl, że wykorzystywał mnie do tego, aby w kółko odgrywać sceny swoich zbrodni..., jest przerażająca i obrzydliwa.

– Nie chcemy, żeby ktoś nas znalazł – dodaję. – Zostawmy to tak jak jest, okej?

Javi kiwa potakująco głową. Mogę śmiało stwierdzić, że dla niego to również nie pierwszozna. Jako instruktor strzelnicy pewnie spotkał mnóstwo przerażonych kobiet szukających ukojenia w samoobronie. Zdaje sobie sprawę, że broń nie jest w stanie cię ochronić, jeśli sam nie potrafisz ochronić się mentalnie, emocjonalnie i logicznie. Jest tylko dodatkiem do reszty.

– Mówię tylko, że jeśli nie masz dobrych dokumentów, znam ludzi,

którzy się tym zajmują. Ludzi, którym można ufać. Pomagają ofiarom z przytułków rozpocząć nowe życie.

Dziękuję mu, ale nie potrzebuję jego zaufanych ludzi. Nie mogę im zaufać. Jedyne, czego chcę, to van i pokwitowanie, i ruszać w drogę. To krok w stronę wyprowadzki. Jest mi smutno z tego powodu, ale wiem też, że dobre przygotowanie się jest niezbędne. Gdy będę mieć vana, odzyskam kontrolę. Jeśli zajdzie konieczność, znikniemy na długo przed tym, nim ścigający nas ludzie zorganizują się na tyle, by wysledzić miejsce, w którym mieszkamy. Zostaniemy ostrzeżeni i będziemy mieć świetny plan ucieczki. Potem mogę sprzedać vana w Knoxville za gotówkę i posłużyć się inną tożsamością, by kupić następny pojazd. I ponownie zatrzeć ślady.

A przynajmniej tak sobie wymawiam.

Wstaję od stołu, gdy dzwoni mój telefon. A raczej wibruje, bo przez większość czasu jest ustawiony w tryb wyciszenia. Widziałam zbyt wiele filmów, w których ofiary zapominały o tym w idiotyczny sposób, a dźwięk dzwonka zdradzał mordercom ich położenie. Wyciągam telefon i widzę na ekranie imię Lanny. No cóż. Podświadomie się tego spodziewałam. Wybryki Lanny staną się jeszcze poważniejsze. Może lepiej będzie wynieść się stąd prędzej niż później. Gdziekolwiek wylądujemy, mogę ją uczyć w domu.

Gdy odbieram telefon, Lanny mówi spiętym i nienaturalnie beznamiętnym głosem:

– Mamo, nie mogę znaleźć Connora.

Przez kilka sekund niczego nie rozumiem. Mój mózg odrzuca wzięcie pod uwagę różnych możliwości, w tym potworną prawdę. Potem mój oddech staje się ciężki niczym beton, zalega mi w piersi, a ja mam wrażenie, że już nigdy nie uda mi się zaczerpnąć powietrza. Odzyskuję panowanie nad sobą i mówię:

– Jak to nie możesz go znaleźć? Przecież ma lekcje!

– Poszedł na wagary. Mamo! Przecież on nigdy nie opuszcza szkoły! Dokąd mógł pójść?

– Gdzie jesteś?

– Poszłam go szukać, żeby dać mu ten głupi lunch, bo znowu zapomniał go zabrać z autobusu. Ale jego nauczyciel z lekcji wychowawczej powiedział, że go tu nie było i że w ogóle nie zjawił się na

zajęciach. Mamo, co teraz zrobimy? Czy on... – Lanny zaczyna panikować. Ma zdyszany oddech, a jej głos drży. – Jestem w domu. Przyszłam tu, bo myślałam, że może wróci, ale nie mogę go znaleźć...

– Kochanie. Kochanie. Usiądź. Czy alarm jest włączony?

– Co? Ja... jakie to ma znaczenie? Brady'ego tu nie ma!

W przyprawie paniki moja córka używa prawdziwego imienia swojego brata, czego nie robiła od lat. Przenika mnie dreszcz i doznaję szoku na dźwięk wypowiedzanego przez nią imienia. Usiłuję zachować spokój.

– Lanny. Chcę, żebyś włączyła alarm, jeśli nie jest aktywny, i usiadła. Weź kilka głębokich, powolnych wdechów przez nos, a potem wypuść powietrze ustami. Zaraz tam będę.

– Pośpiesz się – szepcze. – Proszę, mamo. Potrzebuję cię.

Nigdy wcześniej tego nie mówiła, a ja czuję się tak, jakby ktoś wbił mi nóż głęboko w pierś i wyciął coś miękkiego, bezbronno i ważnego.

Rozłączam się. Javi zdążył już wstać na równe nogi i przygląda mi się.

– Potrzebujesz pomocy? – pyta. Kiwam twierdząco głową. – Pojedziemy jeepem. Jest szybszy.

Javi prowadzi tak, jakby droga była strefą militarną – szybko i agresywnie, bez krzty finezji. Nie mam nic przeciwko temu, że usiadł za kółkiem. Nie jestem pewna, czy w tej chwili dałabym radę prowadzić. Trzymam się mocno, gdy pędzimy po wybojach, na których wcale nie zwalnia. Targające mną wstrząsy są niczym w porównaniu z ustawicznym, nerwowym strachem. Nie jestem w stanie myśleć o niczym innym prócz twarzy Connora. Prześladowuje mnie wizja jego martwego i zakrwawionego ciała leżącego na łóżku, choć dobrze wiem, że go tam nie ma. Lanny sprawdziła dom, a jego nie ma – dokąd mógł pójść?

Pytanie zamiera w mojej głowie, gdy Javi zatrzymuje jeepa ze ślizgiem opon na podjeździe naszego domu. Zdołałam się opanować. Jestem gotowa, zupełnie jak na strzelnicy z celem w oddali. Wsiadam z jeepa, podchodzę do drzwi, otwieram je i szybko rozbrajam alarm, zanim rzuca się na mnie Lanny.

Przytulam ją do siebie, wdycham zapach truskawkowego szamponu

i mydła, i myślę o tym, do czego byłabym zdolna się posunąć, aby ochronić ją przed kimkolwiek i czymkolwiek, co mogłoby ją skrzywdzić.

Javi wchodzi do środka zaraz po mnie, a Lanny wyrywa się z uścisku, gwałtownie zaczerpując powietrza i robiąc krok w tył. Wcale jej się nie dziwię. Przecież go nie zna. To obcy facet tarasujący przejście.

– Lanny, to Javier Esparza – wyjaśniam. – Javi jest instruktorem na strzelnicy. To przyjaciel.

Jej czarne brwi podjeżdżają w górę z powodu tej rewelacji. Jest chwilowo zaskoczona, bo wie, że ufanie ludziom nie przychodzi mi łatwo, ale nie marnuje czasu na przeanalizowanie tego.

– Sprawdziłam dom. Jego tu nie ma, mamó. Nie jestem pewna, czy w ogóle wrócił!

– Już dobrze, weźmy głęboki wdech i zastanówmy się – mówię, choć mam ochotę krzyczeć.

Idę do kuchni, gdzie trzymam listę numerów telefonów przypiętą do ściany – kontakty do nauczycieli oraz numery domowe i komórek rodziców znajomych Connora. Lista jest krótka. Wykręcam numery, zaczynając od znajomych. Mój niepokój rośnie wraz z każdym sygnałem, odebraniem słuchawki i negatywną odpowiedzią. Gdy odkładam telefon po ostatniej rozmowie, czuję się zupełnie pusta. Zagubiona.

Patrzę na Lanny. Jej oczy są ogromne i ciemne.

– Mamó, czy to tata? Czy on...?

– Nie – mówię w przypływie natychmiastowego i bezwiednego zaprzeczenia. Kątem oka widzę, że Javier wszystko zauważył. Jest przekonany, że przed kimś uciekam, a słowa Lanny tylko to potwierdzają. Jednak Mel jest w więzieniu. Nigdy stamtąd nie wyjdzie, chyba że w drewnianej trumnie. Bardziej martwią mnie inni ludzie. Źli ludzie. Internetowi trolle. Nie wspominając już o słusznie rozwścieczonych krewnych i przyjaciółkach kobiet, które Mel torturował i zabijał... Jakim cudem nas znaleźli? Wracam myślami do zdjęć sprzed zaledwie kilku dni, do twarzy moich dzieci przyklejonych do zakrwawionych, cierpiących, okaleczonych ciał.

„Gdyby wpadł w ich ręce, już dawno zaczęliby mnie dręczyć”. To ostatnia myśl, która utrzymuje mnie przy zdrowych zmysłach.

– Miałaś odprowadzić go na zajęcia po tym, jak wysiedliście z autobusu – przypominam jej. Wzdraga się i spuszcza wzrok. – Lanny?

– Ja... ja miałam kilka spraw do załatwienia – mówi obronnym tonem.
– Poszedł przodem. Nic się nie stało... – Urywa, bo dobrze wie, że się stało. – Przepraszam. Powinnam była pójść razem z nim. Wysiedliśmy z autobusu, a Connor zachowywał się jak dupek, więc nakrzyczałam na niego, żeby poszedł na zajęcia, a sama poszłam na drugą stronę ulicy do sklepu spożywczego. Wiem, że nie powinnam.

Po wyjściu z autobusu Connor przeszedłby przez trawiasty trójkąt między szkołami do środkowego budynku. Bardziej prawdopodobne jest to, że wpadł na szkolnych dręczycieli niż na porywaczy. Mnóstwo rodziców wysadzało swoje dzieci przed wejściem do budki strażniczej. Nie wiem, co zrobił ani co stało się z nim po tym, gdy Lanny zawróciła.

– Mamo? Może... – Oblizuje usta. – Może poszedł gdzieś sam.

Przyglądam się jej bacznie.

– Co masz na myśli?

– Ja... – Odwraca wzrok. Wygląda na potwornie skrepowaną tym, że próbuję wyciągnąć z niej informacje. Udaje mi się powstrzymać. Ledwie.
– Czasami wychodzi gdzieś samemu. Lubi przebywać we własnym towarzystwie. No wiesz, może... może właśnie tam poszedł.

– Gwen – odzywa się Javi. – To poważna sprawa. Powinnaś zadzwonić na policję.

Ma rację. Oczywiście, że ma rację, ale już raz zwróciliśmy na siebie uwagę policji. Skoro ze wszystkich możliwych ludzi akurat mój syn wymykał się gdzieś samemu od dłuższego czasu... ta myśl przeraża mnie w sposób, którego nawet nie umiem wytłumaczyć. *Jego ojciec lubił przebywać w samotności.*

– Lanny, chcę, żebyś się dobrze zastanowiła. Czy jest jakieś wyjątkowe miejsce, do którego chodzi, żeby pobyć sam? Jakiegokolwiek miejsce? W Norton lub w okolicy?

Kręci przecząco głową, wyraźnie wystraszona i z poczuciem winy, że zostawiła go rankiem samego. Zdaje sobie sprawę, że zawiodła jako starsza siostra.

– Nie wiem, mamo. Jeśli chodzi o okolicę, to lubi chodzić po lesie. To wszystko, co wiem.

To za mało.

– Jeśli chcesz, pojeżdżę po okolicy i zobaczę, co da się zrobić – proponuje Javi przyciszonym głosem.

– Tak. Proszę, zrób to. – Z trudem przełykam ślinę. – Zadzwoń na policję.

To ostatnia rzecz, na jaką mam ochotę. To niebezpieczne posunięcie, tak samo niebezpieczne jak udział Lanny w śledztwie w charakterze potencjalnego świadka pozbycia się ciała. Musimy schować się na uboczu, a nie sterczeć na świeczniku. Każda sekunda, którą marnuję, może być sekundą, w jakiej Connor, ranny lub (niech Bóg broni) przetrzymywany, znajduje się w prawdziwym niebezpieczeństwie.

Javi idzie w stronę drzwi. Zaczynam wykręcać numer.

Zatrzymujemy się oboje, gdy rozlega się pukanie do drzwi.

Javi zerka na mnie znad ramienia, a gdy kiwam głową, otwiera je na oścież. Alarm brzęczy, ale się nie włącza. W tej panice zapomniałam go zresetować.

W drzwiach stoi mój syn z niedokładnie wytartym z krwi nosem oraz mężczyzna, którego ledwo poznaję.

– Connor! – Rzucam się do przodu, mijam po drodze Javiego i chwytam syna w objęcia. Wydaje z siebie bulgoczący odgłos protestu, a trochę jego krwi rozmazuje mi się na koszuli, ale mam to gdzieś. Puszczam go i klękam na jedno kolano, aby obejrzeć jego poturbowaną twarz. – Co się stało?

– Chyba wdał się w bójkę – mówi mężczyzna, który przyprowadził mojego syna. Jest średniego wzrostu i budowy ciała, z krótkimi włosami w kolorze ciemnego blondu, ale nie tak krótkimi jak u Javiego. Ma szczerą, interesującą twarz i oczy, które wpatrują się w nas bez jednego mrugnięcia. – Cześć, jestem Sam Cade. Mieszkam na wzgórzu.

W końcu przypominam go sobie z dwóch różnych sytuacji: pierwszej, gdy wystąpił na strzelnicy przeciwko Carlowi Gettsowi, i drugiej, gdy zobaczyłam go idącego drogą pod naszym domem ze słuchawkami na uszach, machającego dyskretnie na powitanie.

Podaje mi rękę. Nie przyjmuję jej. Wprowadzam syna do środka, gdzie Lanny łapie go za rękę i odciąga na bok, żeby obejrzeć nos i oczyścić go z sączącej się krwi. Javi stoi w milczeniu z założonymi rękami. Jego cicha obecność dodaje mi teraz dużo otuchy.

– Co pan robi z moim synem? – pytam ostrym, nachalnym tonem. Patrząc, jak jabłko Adama Cade'a podskakuje, gdy przełyka ślinę, ale nie cofa się.

– Znalazłem go, jak siedział na dokach. Przyproceedziłem do domu. To wszystko.

Rzucam mu złowrogie spojrzenie, bo nie mam pewności, czy mogę mu wierzyć. Mimo to przyproceedził Connora do domu, a Connor nie wygląda, jakby się go bał. Ani trochę.

– Pamiętam pana ze strzelnicy. – W moim głosie nadal słycać ostrą nutę.

– Zgadza się – mówi. Mój ton wywołał lekki rumieniec na jego policzkach, ale stara się nie zabrzmieć zbyt agresywnie. – Wynajmuję domek na wzgórzu, ten po wschodniej stronie. Jestem tu dopiero od jakichś sześciu miesięcy.

– A skąd zna pan mojego syna?

– Już mówiłem, nie znam. Znalazłem go, jak siedział na dokach. Krwawił, więc opatrzyłem go i przyproceedziłem do domu. Koniec, kropka. Mam nadzieję, że nic mu nie jest. – Jest rzeczowy i konkretny, ale w jego głos zaczyna się wkradać stanowcze brzmienie. Najwyraźniej chce mieć to już z głowy.

– W jaki sposób został ranny?

Cade wzdycha i spogląda w niebo, jakby szukał tam cierpliwości.

– Niech pani posłucha. Ja po prostu próbuję być miły. Jak się domyślam, to *pani* go uderzyła. Tak było?

Jestem kompletnie zaskoczona.

– Nie! Oczywiście, że nie! – Ale po chwili dociera do mnie, że ma zupełną rację. Gdybym to ja znalazła jakiegoś dzieciaka z krwawiącym nosem, zaczęłabym się zastanawiać, czy przypadkiem nie uciekał przed przemocą w domu. Podeszłam do tego od złej strony i zbyt agresywnie. – Proszę wybaczyć. Powinnam panu podziękować, panie Cade, a nie przesłuchiwać. Proszę, zapraszam do środka. Zaraz zrobię panu mrożonej herbaty. – Na Południu Stanów mrożona herbata jest synonimem gościnności. Skróconą wersją powitania, uniwersalnymi przeprosinami. – Czy Connor powiedział panu, co się stało? Cokolwiek?

– Powiedział tylko, że to dzieciaki ze szkoły.

Nie wchodzi za mną do środka. Stoi na zewnątrz, zaglądając przez drzwi. Możliwe, że odstrasza go milcząca obecność Javiera. Sama nie wiem. Nalewam szklanke mrożonej herbaty i przynoszę do drzwi. Bierze ją do ręki, ale trzyma w taki sposób, jakby nie wiedział, do czego służy.

Upija ostrożnie jeden łyżeczek. Od razu domyślam się, że nie jest typem mężczyzny przyzwyczajonego do południowych zwyczajów, ponieważ słodycz herbaty zaskakuje go. Mimo wszystko stara się nie skrzywić.

– Przepraszam, nawet nie spytałem pani o imię...

– Jestem Gwen Proctor – przedstawiam się. – Connor to mój syn, a córkę, Atlantę, już pan widział.

Javi chrząka dyskretnie.

– Gwen, powinienem już wracać. Pójdę pieszo na strzelnicę. Mam tam rower, na którym wrócę do domu. Możesz przyprowadzić jeepa i odebrać vana, kiedy tylko chcesz. – Kładzie kluczyki na stoliku kawowym i kiwa głową na pożegnanie do Sama Cade’a. – Panie Cade.

– Panie Esparza – mówi Cade.

Nie mogę zostawić nieznanego z moją szklanką mrożonej herbaty w ręce samego i nie jestem gotowa, żeby odejść i zostawić Lanny i Connora samych w domu. Pozwalam, aby Javier wyszedł, choć zatrzymuję go na chwilę, aby spojrzeć mu prosto w oczy.

– Javi. Dziękuję ci. Z całego serca.

– Cieszę się, że sprawa się wyjaśniła – mówi, po czym mija Cade’a, idzie spokojnym krokiem przez podjazd, a potem przerzuca się na szybki trucht, kierując w stronę strzelnicy. „To żołnierz piechoty morskiej”, przypominam sobie. Dla niego to zwykła przebieżka. Zero wysiłku.

Ponownie skupiam uwagę na Samie, który patrzy w ślad za Javim z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

– Usiądziemy tutaj?

Zastanawia się nad moją propozycją, po czym zajmuje krzesło na werandzie. Przysiada na samej krawędzi, gotowy do zerwania się i odejścia w każdej chwili. Upija odrobinę herbaty, ale bardziej z uprzejmości niż z zachwyty nad jej smakiem.

– No dobrze. Przepraszam. Zacznijmy od początku. Przepraszam, że oskarżyłam pana o... no cóż, cokolwiek. To nie było fair. Dziękuję, że pomógł pan Connorowi. Naprawdę to doceniam. Odchodziłam już od zmysłów.

– Nic dziwnego. W końcu to nie byłyby dzieci, gdyby nie uczyniły doprowadzania rodziców do obłędu swoją życiową misją, prawda?

– Prawda – zgadzam się, ale tylko połowicznie. To może być prawdą w przypadku normalnych dzieci. Moje są inne. Musiały takie być. – Po

prostu nie mogę uwierzyć, że do mnie nie zadzwonił. Powinien był to zrobić.

– Wydaje mi się... – Cade waha się, jakby zastanawiał się nad granicą, której nie chce przekroczyć. – Chyba się wstydził. Nie chciał, żeby jego mama dowiedziała się, że przegrał bójkę.

Parskam krótkim, nieszczerym śmiechem.

– Czy to normalne w przypadku chłopców?

Wzrusza ramionami, co uznaję za „tak”.

– Javier to były żołnierz. Może go pani poprosić, żeby pokazał dzieciakowi parę chwytów.

Dziękuję mu, a w głębi ducha myślę, że Sam Cade też potrafi dać sobie radę. Nie jest masywnym facetem, ale też nie małym. Charakteryzuje go sprężyste napięcie, które każe mi myśleć, że ma spore doświadczenie w byciu atakowanym i oddawaniu ciosów. Podczas gdy fakt, że Javi jest wojskowym, tak bardzo rzuca się w oczy, że ktoś musiałby być ślepy, aby tego nie zauważyć, Cade wydaje się być normalnym gościem, tyle że z zacięciem.

– Wojsko? – pytam pod wpływem impulsu.

Zerka na mnie, zaskoczony.

– Cholera, tylko nie to. Powietrzne siły zbrojne. Dawno, dawno temu. W Afganistanie. Co mnie zdradziło?

– Położyłeś za duży nacisk na słowo żołnierz.

– Tak, no cóż. Jestem winny rywalizacji pomiędzy siłami wewnętrznymi. – Tym razem jego uśmiech jest bezpośredni, a ja czuję do niego większy przyływ sympatii. – Jednak skorzystałbym z tej rady. W idealnym świecie nie musiałby się bronić. Ale jedyną rzeczą bardziej pewną od śmierci i podatków są prześladowcy.

– Wezmę to pod uwagę – mówię. Język jego ciała zaczyna być coraz swobodniejszy. Rozluźnia się, mięsień po mięśniu, i upija głębszy łyk herbaty. – Powiedziałeś, że wynajmujesz domek dopiero od sześciu miesięcy, zgadza się? To dość krótko.

– Piszę książkę. Nie martw się, nie będę cię zanudzał szczegółami. Obecnie nie mam pracy, więc uznałem, że to idealne miejsce, gdzie znajdę ciszę i spokój, zanim zabiorę się za coś innego.

– Czyli za co?

Wzrusza ramionami.

– Nie wiem. Coś interesującego. I pewnie daleko stąd. Nie jestem typem, który zostaje na długo w jednym miejscu. Lubię... przygody.

Oddałabym wszystko za możliwość zaklimatyzowania się na stałe w jednym miejscu i uniknięcie kolejnych przygód, ale nie mówię tego na głos. Zamiast tego siedzimy przez chwilę w krępującej ciszy. Gdy jego szklanka jest już pusta, zrywa się z miejsca, jakby właśnie uwolnił się z pułapki.

Ściskam jego dłoń. Jest szorstka, jak u osoby, która wykonała w swoim życiu sporo ciężkiej pracy.

– Jeszcze raz dziękuję za przyprowadzenie Connora do domu – mówię. Kiwa głową, ale uświadamiam sobie, że wcale na mnie nie patrzy. Odsunął się o krok i ogląda elewację. – Co znowu?

– Nic. Tak sobie myślę... powinnaś naprawić te dachówki, zanim nadciągną ulewy. W przeciwnym razie będziesz miała w domu mnóstwo przecieków.

Nie zauważyłam tego, ale ma rację. Jedna z licznych wiosennych burz oderwała spory kawał dachu, odsłaniając płachtę furkoczącej na wietrze papy.

– Niech to szlag. Znasz jakichś dobrych dekarzy?

Tak naprawdę wcale mnie to nie interesuje. Stoję jedną nogą w drzwiach, w myślach planując naszą ucieczkę. Ale on, rzecz jasna, bierze moje pytanie na poważnie.

– W okolicy nie ma żadnego. Swego czasu zajmowałem się trochę łataniem dachów. Jeśli chcesz, żebym go naprawił, nie policzę ci dużo.

– Zastanowię się. Posłuchaj, przepraszam, ale muszę zająć się synem. Dziękuję za twoją... dobroć.

Moja uwaga wprawia go w zakłopotanie.

– Jasne. W porządku. Przepraszam. – Kołysze się na piętach przez chwilę, jakby chciał coś dodać, po czym obrzuca mnie szybkim spojrzeniem. – Daj mi znać.

Wychodzi bez oglądania się przez ramię, z rękami w kieszeniach, pochyloną głową i rozluźnionymi ramionami. Zbieram szklanki i wchodzę do domu. Na chwilę przed zamknięciem drzwi unoszę wzrok i widzę, że Cade zatrzymał się na moment w drodze na wzgórze i obejrzał za siebie. W milczeniu unoszę dłoń na pożegnanie. On unosi swoją.

Zamykam drzwi.

Myję szklanki i pukam do drzwi pokoju Connora. Po długiej chwili mówi:

– Wejdz.

Zastaję go rozciągniętego na łóżku, z padem na piersi, skupionego na ekranie po drugiej stronie pokoju. Gra w jakąś wyścigówkę. Nie przeszkadzam mu. Siadam ciężko na krawędzi łóżka, uważając, aby nie zasłonić mu ekranu, i czekam, aż jego pojazd się rozbije. Włącza pauzę, zanim wyciągam rękę i odgarniam mu włosy z czoła.

Będzie miał imponującego siniaka, ale na szczęście żadnego podbitego oka, które już dawno zdążyłoby ściemnieć z powodu popękanych naczynek włosowatych. Na lewym policzku widnieje kolejny ślad, w miejscu, w którym prawdopodobnie dostał cios od praworęcznej osoby. Na dłoniach, którymi najwyraźniej próbował zatrzymać upadek, ma pełno zadrapań. Kolana jego niebieskich dzinsów są zdarte i zakrwawione.

– Boli? – pytam. W milczeniu kręci głową. – Wybacz, ale muszę to zrobić. – Nachylam się i dotykam jego nosa, uciskając i masując. Upewniam się, że nie wyczuwam niczego dziwnego. Nie jest złamany. Jestem tego pewna. Za kilka dni umówię go na wizytę do lekarza, żeby mieć stuprocentową pewność.

– Mamo, przestań! – Connor odpycha moją dłoń i bierze pada, ale nie włącza gry, tylko bawi się nim bezmyślnie.

– Kto to był? – pytam.

Wzrusza ramionami. Nie żeby nie wiedział, ale zwyczajnie nie chce powiedzieć. Nie mówi ani słowa, ale nie zaczyna nowej rundy. Gdyby nie chciał rozmawiać, ustawiłby głośność w tym ustrojstwie na pełen regulator. To w dzisiejszych czasach standardowa technika unikania.

– Powiedziałbyś mi, gdybyś miał problemy, prawda? – pytam. To przyciąga jego uwagę, ale tylko na chwilę.

– Nie, nie powiedziałbym. Bo gdybym to zrobił, spakowałabyś nasze rzeczy i znowu przeniosła nas w nowe miejsce, zgadza się?

To boli. Boli, ponieważ to prawda. Javi zostawił mi jeepa, ale nadal muszę wymienić go na vana. Gdy tylko wjadę tą wielką, białą bestią na nasz podjazd, przypuszczenia mojego syna się potwierdzą. A co gorsza, teraz będzie przekonany, że to wszystko jego вина, zupełnie jakby fakt,

że został pobity przez szkolnych prześladowców, zmuszał mnie do przesiedlenia naszej rodziny. Mam nadzieję, że Lanny go o to nie obwini, ponieważ nie ma gorszego okrucieństwa niż to, które demonstruje nastolatka pozbawiona tego, czego chce. A chce zostać tutaj. Wiem to, nawet jeśli ona nie zdaje sobie z tego sprawy.

– *Jeśli* postanowię nas przenieść, to nie z powodu czegoś, co zrobiłeś ty albo twoja siostra – tłumaczę mu. – Zrobię to, ponieważ to będzie dla nas najlepsza, najbezpieczniejsza rzecz. Rozumiesz, dzieciaku? Między nami dobrze?

– Dobrze – mówi. – Mamo? Nie nazywaj mnie tak. Nie jestem dzieciakiem.

– Przepraszam. Młody mężczyzno.

– To nie pierwszy raz, kiedy ktoś mnie uderzył. I nie ostatni. To przecież nie koniec świata. – Po kilku sekundach bawienia się padem odkłada go na bok i przetacza się w moją stronę, opierając głowę na dłoniach. – Czy tata wspomina o nas w swoich listach?

Lanny musiała mu coś powiedzieć, ale nie przemogła się, aby wyznać całą prawdę – a już na pewno nie to, co przeczytała w tamtym odrażającym liście. Starannie dobieram słowa.

– Tak. Czasami.

– A dlaczego nie przeczytasz nam chociaż tej jednej części?

– Bo to nie byłoby fair. Nie mogę przeczytać wam części, w której udaje dobrego ojca.

– On *był* dobrym ojcem. W tym względzie niczego nie udawał.

Mój syn mówi to z idealnym spokojem i bardzo mnie to boli. Boli niczym kawałek metalu wepchnięty w miejsce, w którym powinno być moje serce. Oczywiście, ze swojej perspektywy ma rację. Jego ojciec go kochał. Tylko tyle o nim wiedział. W jednej chwili tata był super, a w następnej był potworem. Nigdy nie istniał żaden kompromis, żaden okres przejściowy. Widział się z ojcem tamtego dnia, w którym doszło do *Zdarzenia*, uściskał go, a przed upływem wieczora jego ojciec stał się mordercą. Nigdy nie pozwolono mu go opłakiwać, tęsknić za nim ani kochać.

Chce mi się płakać, ale się powstrzymuję.

– Nie ma nic złego w tym, że uwielbiasz czasy spędzone z tatą. On był jednak kimś więcej niż tylko twoim ojcem, a to drugie oblicze... jego

drugie oblicze było i jest czymś, czego kochać nie powinieneś.

– Wiem – mówi Connor, włączając grę. Nie patrzy na mnie. – Wolałbym, żeby umarł. – To też boli. Zastanawiam się, czy mówi tak tylko dlatego, że wie, że chciałabym tego samego.

Czekam, ale nie włącza pauzy.

– Jesteś pewien, że nie chcesz powiedzieć, kto i dlaczego cię uderzył? – pytam, przekrzykując ryk głośnika.

– Szkolne łobuzy. Bez powodu. Jezu, daj już spokój, mamó. Nic mi nie jest.

– Chciałbyś nauczyć się paru chwytów od Javiego? Albo... – Prawie mówię „od pana Cade’a”, ale powstrzymuję się. Dopiero co go spotkałam. Nie do końca wiem, jaki stosunek ma do niego Connor. Sama nie wiem, jaki jest *mój* stosunek do niego.

– Przecież nie gram w jakimś filmie dla nastolatków – odpowiada. – W prawdziwym życiu to tak nie działa. Zanim zdążę się czegoś nauczyć, będę kończył szkołę.

– Tak, ale pomyśl tylko o epickiej bójce na rozdaniu świadectw. I to na samym środku auli. Wszyscy będą dopingować, gdy rozłożysz na łopatki swoich gnębicieli.

Zatrzymuje grę.

– Bardziej prawdopodobne, że skończę z krwotokiem w szpitalu, a wszyscy zostaną oskarżeni o napaść. Nigdy nie pokazują tej części w filmach.

Nie bardzo wiem, jak ubrać to w słowa, więc mówię:

– Connor... jak poznałeś dzisiaj pana Cade’a?

– Jakby to powiedzieć – zwabił mnie szczeniakiem do swojej furgonetki, w której gwałci ludzi.

– Connor!

– Nie jestem głupi! – Jego słowa przeszywają mnie niczym sztylety. Przyznaję, zaskoczył mnie. Otwieram usta, żeby coś powiedzieć, ale obrzuca mnie przelotnym spojrzeniem, nie spuszczając wzroku z ekranu, gdzie samochód zmienia pas ruchu, przyśpiesza i znika za rogami. – Dostałem manto, chciałem wrócić do domu, po drodze usiadłem na dokach, a on spytał, czy dobrze się czuję. Nie rób z niego jakiegoś porąbanego świra mordercy! Po prostu był *miły*! Nie każdy facet na świecie musi być skończonym dupkiem!

– Ja nigdy...

Jestem zszokowana nie tylko tym, co mówi, ale także kryjącym się za jego słowami gniewem. Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo ten gniew jest wymierzony we *mnie*, aż do tej chwili. To całkiem zrozumiałe. Dlaczego miałby postąpić inaczej? W końcu uosabiam główniane życie, które musi wieść dzień w dzień.

To nasuwa kolejne pytanie. *Faktycznie* traktuję podejrzliwie każdą napotkaną osobę – a mężczyzn bardziej niż kobiety. Robię to pod wpływem instynktu samozachowawczego. Nagle dociera do mnie, że przez takie postępowanie mój syn zaczął mnie postrzegać jako kompletnie nieracjonalną osobę. Skoro nie ufam żadnym ludziom, w szczególności mężczyznom, to czy koniec końców nie spojrzę na niego w identyczny sposób? Z pewnością musi go to dręczyć. Przecież jest synem swojego ojca.

Ta świadomość łamie mi serce na milion kawałków. Czuję, jak pod powieki napływają mi łzy. Szybko odpędzam je mruganiem.

– Przyniosę worek lodu na twój nos – mówię i wychodzę z pokoju.

W kuchni wpadam na Lanny. Przygotowuje lunch – z tego co widzę, wystarczy dla całej naszej trójki – makaron z kurczakiem, który przyprawia z wielkim zapamiętaniem. Jest świetną kucharką, nawet jeśli podchodzi nieco liberalnie do kwestii smaków. Gdy otwieram zamrażarkę, wręcza mi przygotowany uprzednio worek lodu.

– Masz – mówi, przewracając oczami. – Nie chciałam wam przerywać.

– Dzięki, skarbie – odpowiadam, mówiąc zupełnie szczerze. – Wygląda smacznie.

– Och, smak to wy na pewno poczujecie – dodaje wesołym tonem, ciągle mieszając, gdy zanoszę Connorowi lód. Jest kompletnie pochłonięty grą, więc zostawiam worek obok niego z nadzieją, że zdąży go użyć, nim się rozpuści.

– Lanny – mówię, nakrywając do stołu. – Powinnaś pójść po południu do szkoły. Zadzwońię do nich z usprawiedliwieniem.

– Ha. Nie ma mowy. Zostaję tutaj.

– Nie masz przypadkiem klasówki z angielskiego?

– A jak myślisz, dlaczego chcę zostać?

– Lanny.

– W porządku, mamó. Dobra, rozumiem. – Wyłącza palnik na

kuchence z niepotrzebnym, gwałtownym szarpnięciem nadgarstka i kładzie patelnię z hukiem na leżącą na stole podkładkę. – Możemy jeść.

Nie ma sensu się kłócić.

– Idź po brata.

Robi to bez dalszych narzekań. Posiłek jest pyszny. Sycący. Nawet Connorowi smakuje na tyle, że próbuje się uśmiechnąć, choć krzywi się i obmacuje delikatnie spuchnięty nos. Wykonuję kilka telefonów, razem z Connorem odwożę Lanny do szkoły i myślę z tęsknotą o vanie czekającym na mnie w domu Javiera.

Myślę też, że ucieczka niemal na pewno gwarantuje kolejne zamieszanie i pojawienie się ewentualnych poszlak prowadzących do naszych prawdziwych tożsamości. Może wcale nie musimy tak szybko pozbywać się naszego tymczasowego domu. Może zwyczajnie przesadzam, tak jak wtedy, gdy nie tak dawno temu celowałam z broni do swojego syna.

Doskonale zdaję sobie sprawę z tego, że moja paranoja jest częścią wielkiego, obezwładniającego pragnienia, aby już nigdy więcej nie oddać nikomu kontroli. Wiem też, że ten sam odruch może ranić moje dzieci. Miotającego się między nieskomplikowaną, dziecięcą miłością i dorosłą nienawiścią Connora, niepotrafiącego dokonać wyboru między jednym a drugim. Buntowniczą, zaciekłą i gotową stawić czoła całemu światu Lanny, zbyt młodą, aby tego dokonać.

Muszę myśleć o *nich*. O tym, czego *oni* potrzebują. Stojąc na korytarzu i ocierając łzy z policzków, uświadamiam sobie, że tym, czego mogą teraz potrzebować, jest to, żebym była nieustępliwa i wierzyła, że damy radę przez to przejść. Nie kolejny nocny lot samolotem, kolejne miasto, zestaw nazwisk do zapamiętania, aż w końcu każde z nich przestaje być prawdziwe. Z ich dzieciństwa pozostały zgliszcza. Zostało całkiem zniszczone. A ucieczka to tylko kolejne polano dołożone do ognia.

Na ironię zakrawa fakt, że istnieją programy ochrony świadków, jednak nie dla nas. Nigdy tak nie było.

I to ciało w jeziorze... Nie daje mi to spokoju, to skierowanie uwagi tak blisko nas. Widzę podobieństwa do zbrodni popełnionych przez mojego męża, ale wmawiam sobie, że to nie jest niespotykany sposób na pozbycie się ciała. Przeprowadziłam chorobliwą analizę, próbując zrozumieć Melvina Royała, pojąc, jak *tamten* morderca mógł być

mężczyznę, którego znałam i kochałam.

Znów słyszę w głowie szept Mela: „Najsprytniejsi nigdy nie dają się przyłapać. Gdyby nie ten głupi pijany kierowca, nigdy nie zostałbym zdemaskowany. Nasze życie dalej toczyłoby się swoim torem”.

Jestem prawie pewna, że tak właśnie by było.

„To twoja wina, że jestem tu gdzie jestem”.

To całkowita prawda. Mel zostałby skazany za wyłącznie jedno morderstwo. Jednak to moja wina, że prawdziwa skala jego zła została wreszcie ujawniona. Cały nasz dom został przeszukany przez policję. Niczego nie przegapili. Jednak ani oni, ani ja nie wiedzieliśmy o tym, że Mel wynajął schowek na nazwisko mojego od dawna nieżyjącego brata. Odkryłam to tylko dlatego, że przedpłacona karta kredytowa dołączona do konta bankowego wyczerpała się po aresztowaniu Mela, a ja otrzymałam telefon od firmy magazynowej. Jak na ironię, Mel dołączył do konta numer domowy.

Poczta głosowa zaprowadziła mnie do schowka. Po otwarciu zastałam w środku oszałamiającą kolekcję poskładanych damskich ubrań, torebek, i butów, a także małe, plastikowe pudełka, starannie opisane nazwiskami poszczególnych ofiar, z zawartościami ich torebek, kieszeni i plecaków.

I dziennik. Skórzany segregator na trzech kółkach wypełniony liniowym papierem gęsto zapisanym jego starannym, ukośnym pismem oraz wydrukowanymi zdjęciami. Każda z ofiar miała swoją sekcję.

Rzuciłam na niego tylko jedno spojrzenie, po czym upuściłam segregator na ziemię i pobiegłam wezwać policję. Nie mogłam otrząsnąć się z tego, co udało mi się wtedy zobaczyć.

Zarzuty wobec Mela zmieniły się z jednego przypadku porwania, tortur i morderstwa w całe mnóstwo. Protokolant w sądzie całkiem ochrypl, zanim skończył je wyliczać, a przynajmniej tak podawali w gazetach. Do tego czasu znów siedziałam w więzieniu w oczekiwaniu na własny proces. W rzadkim przypływie złośliwości Mel odmówił wyłączenia mnie z popełnionych przez siebie zbrodni, a fanatyczna, głodna sławy sąsiadka stwierdziła, że widziała, jak niosę coś, co *myślała*, że mogło być ciałem... choć mój prawnik rozniósł jej zeznania na strzępy i wywalczył moje uniewinnienie.

„Ten mężczyzna zabije ponownie”, odzywa się głos Mela w mojej

głowie, a ja wzdragam się, odpędzając od siebie tę myśl i jego. „Gdy to zrobi, sądzisz, że nie będą ci się przyglądać? Że nie rozpoczną śledztwa? Nie zrobią ci zdjęcia? Stare czasy się skończyły, Gina. Przeszukiwanie zdjęć zaprowadzi wilki prosto pod twoje drzwi”.

Wiem, że tak naprawdę to nie Mel, ale głos ma rację. Im dłużej tu jesteśmy, tym bardziej ryzykujemy, że zostaniemy wciągnięci w śledztwo detektywa Prestera, a od zniszczenia naszego w miarę ustabilizowanego życia dzieli nas już zaledwie kilka kroków.

Jednak odebranie Connorowi tego domu tylko pogłębi jego gorycz i pełen nieufności gniew będący formą samoobrony. Dopiero co zaczął się uspokajać, czuć, że w końcu gdzieś przynależy. Odebranie mu tego, ponieważ istnieje *prawdopodobieństwo*, że możemy zostać zdemaskowani, byłoby okrucieństwem.

Mimo wszystko... Kupno vana wcale nie wydaje się takim złym pomysłem.

Biorę głęboki oddech i dzwonię do Javiera. Mówię mu, że wkrótce znajdę trochę czasu na zamianę jeepa na vana, ale na razie nie ma pośpiechu. Nie przeszkadza mu to.

W końcu mam plan.

Jednak jakaś część mnie wie, że to zdecydowanie za mało.

Rozdział czwarty

Nauczyłam się nikomu nie ufać. Nigdy. Spędziłam wieczór przed komputerem, wyszukując wszystko, co tylko się dało, o Samie Cade – który, jak się okazuje, naprawdę jest weteranem służb powietrznych służącym w Afganistanie. Nie ma go w żadnym rejestrze osób ściganych za przestępstwa na tle seksualnym, nie ma żadnej przeszłości kryminalnej i posiada całkiem dobrą ocenę zdolności kredytowej. Sprawdzam popularne strony z drzewami genealogicznymi. Często czyjeś nazwisko pojawia się w jakimś rodowodzie. To dobry sposób na sprawdzenie jego historii. Jednak nazwisko Cade'a nie pojawia się w żadnym z nich.

Cade ma kilka kont w mediach społecznościowych i dość nudny profil na portalu randkowym, który nie był aktualizowany od kilku lat. Wątpię, aby sprawdzał go od dłuższego czasu. Na jego posty składają się ironiczne obserwacje typowe dla ludzi inteligentnych, z inklinacją do poparcia wojska, ale w dość niepolityczny sposób, co zakrawa na cud. Nie sprawia wrażenia człowieka będącego zaciekle zwolennikiem czegokolwiek.

Szukam jakichś brudów, ale niczego nie znajduję.

Mogłabym skontaktować się z Absalomem i kazać mu przeprowadzić dogłębną analizę, ale faktem jest, że polegam na nim wyłącznie z powodu konkretnych usług, które są w ścisły sposób powiązane z Melem i bandą prześladowców. Jeśli nadwyręzę naszą kruchą, anonimową relację, mogę stracić istotnego sprzymierzeńca. Sprawdzanie przeszłości sąsiada to raczej kiepski sposób na wykorzystanie czasu Absaloma. *Raczej.* Dopóki nie będę miała lepszego powodu, aby podejrzewać Cade'a w sposób wykraczający poza moją typową paranoję,

mogę zostawić go w spokoju. Tak długo jak będzie mnie unikał, ja będę unikać jego.

Mimo wszystko to trochę niepokojące, że gdy przekraczam próg frontowych drzwi, dociera do mnie, że widzę stąd jego werandę. Rzecz jasna, zauważyłam to już wcześniej, ale gdy się wprowadziliśmy, domek był pusty, a ja nigdy nie zastałam nikogo w środku, gdy biegałam wokół jeziora. Znajdujemy się w bezpośrednim sąsiedztwie, choć domek Sama jest skromny i stoi przy drodze, otoczony drzewami. Przez czerwone zasłony widzę palące się w środku światła.

Podobnie jak ja, Sam Cade to nocny marek.

Siedzę w ciszy, przysłuchując się sowom i odległemu szumowi drzew. Tafla jeziora marszczy się delikatnie, odbijając rozproszone światło księżyca. Jest pięknie.

Jest też bardzo późno, więc dopijam drinka i idę spać.

Zawożę Connora do lekarza na prześwietlenie. Jest posiniaczony, ale nie ma żadnych złamań, za co jestem niezmiernie wdzięczna. Lanny towarzyszy nam podczas wizyty, ale nie odzywa się ani razu w wyrazie milczącego buntu, patrząc spode łba na mnie i każdego, kto spojrzy na nią z równym niezadowoleniem. Pytam Connora ponownie, czy zdradzi mi, kim była osoba, która go uderzyła, ale milczy jak zaklęty. Opuuszczam. Powie mi, gdy będzie gotowy. Zastanawiam się nad propozycją zajęć z samoobrony. Javier prowadzi je na lokalnej siłowni. Gdy mijamy ją po drodze, wspominam o tym. Żadne z nich nie mówi ani słowa.

A więc zanosi się, że cały dzień będzie wyglądał tak samo...

Jemy obiad w miejscowej restauracji, co dla mnie zawsze jest wielką przyjemnością z powodu placków z puszystą bezą, które codziennie wypiekają. Zauważam Javiera Esparzę, który wchodzi do środka, zajmuje stolik niedaleko nas i zamawia lunch. Widzi mnie i kiwa mi głową na powitanie, a ja odwzajemniam się tym samym.

– Dzieci, zamienię szybko słówko z panem Esparzą, dobrze?

Lanny rzuca mi mordercze spojrzenie. Connor marszczy brwi i mówi:

– Tylko nie zapisuj mnie na żadne zajęcia!

Obiecuję, że tego nie zrobię, i wysuwam się z boksu. Javier widzi, że się zbliżam. Gdy kelnerka stawia kawę na jego stoliku, wskazuje na krzesło stojące naprzeciwko, na którym siadam.

– Hej – mówi, po czym upija łyk kawy. – Co słychać? Z młodym wszystko w porządku?

– Connor czuje się dobrze. Jeszcze raz wielkie dzięki, że tak szybko przyszedłeś nam na ratunek.

– *De nada*. Cieszę się, że jednak nie potrzebowałem mojej pomocy.

– Mogę ci zadać pytanie?

Spogląda na mnie i wzrusza ramionami.

– Wal... chwileczkę. – Kelnerka wraca z miską zupy i kawałkiem kokosowej bezy. – No dobra. – Czeka, aż kelnerka znajdzie się poza zasięgiem słuchu i zajmie swoimi sprawami. Chociaż nie potrzebuję takich środków ostrożności, doceniam je.

– Znasz pana Cade'a? Sama Cade'a?

– Sam? Tak, pewnie. Całkiem spoko facet, jak na gościa z biurowych sił zbrojnych.

– Biurowych sił zbrojnych?

– Brzmi lepiej niż lotnik. W końcu większość swojej pracy wykonują na siedząco. – Javier szczerzy się w uśmiechu, pokazując, że nie ma w tym żadnej wrogości. – Cade jest w porządku. A co? Naprzykrza ci się?

– Nie, nic z tych rzeczy. Ja po prostu... to było dziwne, że tak nagle pojawił się z Connorem. Chciałam mieć pewność...

Javier traktuje to zupełnie poważnie. Zastanawia się przez chwilę, bezmyślnie mieszając i rozchlapując zupę, po czym zjada pełną łyżkę, gdy w końcu udaje mu się podjąć decyzję.

– Każdy, kogo znam, kto zna Cade'a, lubi gościa. To wcale nie znaczy, że nie może być złą osobą, ale intuicja podpowiada mi, że jest w porządku. Czemu pytasz? Chcesz, żebym mu się przyjrzał?

– Gdybyś mógł.

– Nie ma sprawy. To jedna z zalet bycia instruktorem na strzelnicy: znam prawie każdą osobę w tym mieście.

Tylko Cade jest tu nowy, jak sam zresztą stwierdził. Mieszka tu od niedawna i planuje wyprowadzić się po upływie sześciu miesięcy wynajmu. Jeśli bliżej się temu przyjrzeć, jest to dość niepokojące. Jakby był zawsze o krok do przodu przed kłopotami.

A może po prostu znowu zachowuję się jak skończona paranoiczka. Co mnie to w ogóle obchodzi? Z łatwością mogę go unikać. Już wcześniej udawało mi się nie wpaść na Sama Cade'a, więc teraz też mogę.

– Zaoferował się, że naprawi mi dom – mówię Javierowi, traktując to jak coś w rodzaju wymówki.

– Jest w tym naprawdę dobry – zgadza się Javi. – Położył nowy dach na moim domku zaraz po swojej przeprowadzce. Wydaje mi się, że pracował kiedyś z ojcem na budowie. Poza tym cena była wyjątkowo dobra. Lepsza, niż dostałbym w mieście, gdzie żaden z miejscowych dekarzy nie potrafi przybić prosto dachówek. Strzelać też nie umieją.

Nie próbowałam wyciągnąć z niego żadnych referencji, ale i tak je dostałam. „No cóż – jakaś część mnie mówi zupełnie poważnie – dach w dalszym ciągu wymaga naprawy”.

– Dzięki.

Macha łyżką, zbywając mnie.

– My, outsiderzy, musimy się o siebie troszczyć – mówi.

Jestem przekonana, że tak właśnie myśli... że on i ja jesteśmy takimi samymi outsiderami. Co, oczywiście, jest zupełną nieprawdą. Jednak wyobrażanie sobie tego podnosi mnie nieco na duchu.

Zostawiam go z jego ciastem i wracam do swojego – czekoladowej bezy – w samą porę, ponieważ Lanny i Connor zaczęli odrywać kawałki z boku mojej porcji w nadziei, że niczego nie zauważę. Zdążyli już zjeść swoje.

– Nie dotykajcie ciasta – rzucam surowym tonem. Zerkają na siebie i przewracają oczami. Lanny oblizuje widelec. – To zbrodnia.

W dawnych czasach używałam określenia „przestępstwo karane śmiercią”. Jestem ciekawa, czy zauważyli, że przestałam.

Jem swój kawałek i wracamy do Stillhouse Lake.

Tego samego popołudnia wybieram się na krótką przechadzkę na wzgórze do małej, wiejskiej chatki Sama Cade'a i pukam do jego drzwi. Jest wpół do czwartej, co w okolicach wokół jeziora wydaje się być rozsądną porą na składanie sąsiedzkich wizyt. Jak można się było tego spodziewać, zastaję go w środku.

Sam wygląda na zdziwionego moim widokiem, ale jest wyjątkowo uprzejmy. Nie ogolił się, a złocisty zarost na jego podbródku połyskuje w świetle. Ma na sobie cienką dzinsową koszulę, stare dzinsy i ciężkie

buty na grubej, gumowej podeszwie. Zaprasza mnie do środka machnięciem ręki, a sam idzie do kuchni, którą widać przez okienko.

– Wybacz – mówi. – Zamkniesz drzwi? Muszę przewrócić naleśniki na drugą stronę.

– Naleśniki? – powtarzam za nim jak echo. – Serio? O tej godzinie?

– Nigdy nie jest za późno ani za wcześnie na naleśniki. Jeśli w to nie wierzysz, możesz zawrócić i wyjść, bo nigdy nie zostaniemy przyjaciółmi.

Jego uwaga jest zabawna i dość ekscentryczna, a ja parskam śmiechem, zamykając za sobą drzwi. Śmiech zamiera mi na ustach, gdy dociera do mnie, że znalazłam się w domu z mężczyzną, którego ledwie znam. Drzwi są zamknięte i może się zdarzyć dosłownie wszystko. Wszystko.

Rozglądam się szybko dokoła. Domek jest mały, a dobytek skromny: kanapa, fotel, laptop leżący na niewielkim drewnianym biurku ustawionym w rogu. Monitor jest uniesiony, a na ekranie widać wygaszacz w postaci pofalowanej zorzy polarnej. Nie ma telewizora, ale za to jest porządny gramofon i imponująca kolekcja płyt winylowych, której transportowanie podczas przeprowadzki musi być cholernie kłopotliwe. Pod ścianą stoi biblioteczka wypełniona po brzegi książkami. W niczym nie przypomina stylu, który rozwinęłam, gdzie nic nie jest niezbędne i do niczego się nie przywiązuję. Wyczuwam tu... życie. Skromne i zamknięte, a jednocześnie autentyczne i aktywne.

Naleśniki cudownie pachną. Idę za nim do małej kuchni i patrzę, jak wyjmuje jednego z patelni i podrzuca w powietrzu ze zręcznością kogoś, kto ćwiczył ten ruch wiele razy. Imponujące. Kładzie patelnię z powrotem na kuchence i posyła mi szczery uśmiech.

– Lubisz naleśniki z borówkami?

– Jasne – mówię, bo to prawda, a nie z powodu jego uśmiechu. Na uśmiech jestem odporna. – Twoja propozycja dotycząca naprawy mojego domu... nadal jest aktualna?

– Oczywiście. Lubię pracować rękami, a twój dach musi zostać wymieniony. Możemy wynegocjować dobrą cenę.

– Jeśli naleśniki z borówkami mają być twoją strategią negocjacyjną, to ostrzegam, że może nie zadziałać. Jadłam dzisiaj ciasto.

– Zaryzykuję. – Obserwuje smażący się naleśnik i zdejmuje go z ognia dopiero, gdy jest idealnie przypieczony. Dorzuca go do sterty

przygotowanych już wcześniej naleśników i wręcza mi talerz.

– Nie, nie, przecież zrobiłeś je dla siebie!

– Zrobię więcej. No dalej, jedz. Te zdążą ostygnąć, zanim usmażę kolejną porcję.

Dodaję masła i syropu stojących na stole, a gdy mówi, że nie ma nic przeciwko, częstuję się kawą z dzbanka na podgrzewaczu. Jest mocna, a ja dodaję do niej łyżkę cukru.

Jestem w połowie jedzenia naleśników – są ciepłe, puszyste i pyszne, ze słodko-cierpkim posmakiem świeżych borówek – gdy przysuwa krzesło i siada naprzeciwko mnie, nalewając sobie kawy.

– Dobrze?

Połykam odgryziony kęs i mówię:

– Gdzie, u licha, nauczyłeś się tak gotować? Są niesamowite.

Wzrusza ramionami.

– Mama mnie nauczyła. Byłem najstarszy z rodzeństwa, a ona potrzebowała pomocy. – Coś przemyka po jego twarzy, gdy to mówi. Patrzy na naleśniki, a ja nie wiem, czy to zaduma, znak, że za nią tęskni, a może coś zupełnie innego.

Ulotne przeczucie znika, a Sam z apetytem zabiera się do swoich naleśników.

Ma fach w rękach, uwielbia gotować, przyjemnie na niego popatrzeć... Zaczynam się zastanawiać, dlaczego taki facet mieszka sam nad jeziorem. Z drugiej strony, nie każdy podporządkowuje swoje życie miłości, małżeństwu czy dzieciom. Nie żałuję, że mam dzieci. Żałuję jedynie małżeństwa, dzięki któremu pojawiły się na świecie. Mimo to potrafię lepiej niż ktokolwiek zrozumieć samotne życie. I to, jak surowo mogą oceniać je inni.

Jemy w przyjacielskiej ciszy, choć Sam pyta mnie o budżet na naprawę dachu i omawia możliwość postawienia z tyłu ładnego tarasu, nad czym sama dużo fantazjowałam. To duży krok – nie chodzi wyłącznie o naprawę domu, a ulepszenie go. Brzmi podejrzenie jak zapuszczenie prawdziwych korzeni. Targujemy się o cenę naprawy dachu, a ja podrzucam pomysły związany z tarasem.

Zaangażowanie nie jest moją największą zaletą. Podejrzewam, że z Samem Cade'em jest podobnie, bo gdy pytam go, jak długo zamierza tu zostać, mówi:

– Nie jestem pewien. Okres wynajmu kończy się w listopadzie. Pewnie przeniosę się gdzieś indziej. Zależy od tego, w jakim będę nastroju. To miejsce mi się podoba, więc poczekamy, zobaczymy.

Ciekawe, czy słowo „miejsce” obejmuje również mnie. Próbuję wyłapać jakiegokolwiek oznaki flirtu, ale niczego nie znajduję. Sprawia wrażenie człowieka rozmawiającego z drugim człowiekiem, nie faceta węszącego za być może wolną kobietą. Świetnie. Nie szukam związku, a tym bardziej przygody na jedną noc.

Kończę naleśniki przed nim i bez pytania wkładam do zlewu swój klejący się talerz, widelec i kubek, gdzie myję je ręcznie do czysta i odkładam na suszarkę. W jego domu nie ma zmywarki. Sam milczy do chwili, w której sięgam po wystudzoną patelnię i miskę od ciasta.

– Nie kłopotz się. Sam to sprzątnę, ale dzięki.

Trzymam go za słowo i odwracam w jego stronę, wycierając dłonie w cytrynowożółtą ścierkę. Wygląda na całkiem zrelaksowanego. Jest skupiony na naleśnikach, które już prawie zniknęły z jego talerza.

– Sam, co ty tak naprawdę tu robisz?

Widelec z kawałkiem naleśnika w jego dłoni nieruchomieje w powietrzu, ociekając syropem, po czym z rozmysłem kończy swą podróż w jego ustach. Przeżuwa, połyka, wypija spory haust kawy, po czym odkłada widelec, rozpięra się na krześle i odwzajemnia moje spojrzenie.

Sprawia wrażenie zupełnie szczerego. I odrobinę wkurzonego.

– Piszę. Książkę. Pytanie powinno brzmieć raczej – kim *ty* jesteś? Bo niech mnie licho, jeśli nie sądzę, że masz całe mnóstwo tajemnic, pani Proctor. Chyba nie powinienem się z nic mieszać, nawet jeśli chodzi wyłącznie o wspięcie się na twój dach dla pieniędzy. Twój sąsiedzi nie wiedzą o tobie zbyt wiele. Stary pan Claremont z drugiego brzegu jeziora twierdzi, że jesteś płochliwa. Raczej nieprzystępna. Nie mogę powiedzieć, że się z nim nie zgadzam, nawet jeśli zachowywałaś się jak dobry gość, zjadłaś moje naleśniki i udało nam się miło porozmawiać.

Jego odpowiedź to mistrzostwo świata w kategorii uników. Muszę się bronić, choć jeszcze przed sekundą byłam w ofensywie, mając nadzieję na jakąś wymowną reakcję ostatecznie potwierdzającą, że Sam Cade nie jest tym, za kogo się podaje. Udało mu się pokonać mnie moją własną bronią i postawić w trudnej sytuacji. Jestem pod wrażeniem. Nie ufam

mu z natury, ale co dziwne, przyznaję mu za to kilka punktów.

Prawie czuję rozbawienie, gdy mówię:

– Och, z pewnością jestem nieprzystępna. A co się tyczy powodu, dla którego tu jestem, to nie pańska sprawa, panie Cade.

– W takim razie zachowajmy swoje tajemnice dla siebie, pani Proctor.

– Zdrapuje odrobinę syropu i zlizuje go z widelca, po czym zanosi naczynia do zlewu. – Przepraszam.

Odsuwam się na bok. Zmywa naczynia szybkimi, sprawnymi ruchami. Bierze miskę po cieście, patelnię i szpatułkę. Pozwalam, aby szum wody wypełnił ciszę, krzyżuję ramiona na piersi i czekam, aż zakręci kran, poukłada naczynia na suszarce i weźmie ściereczkę, aby wytrzeć dłonie.

– W porządku. Widzimy się jutro w sprawie dachu. Pasuje ci dziewiąta rano?

Wyraz jego twarzy – w dalszym ciągu spokojny i niezgłębiony – nie zmienia się za bardzo, gdy się uśmiecha.

– Jasne – mówi. – A zatem dziewiąta rano. Gotówka płatna pod koniec każdego dnia, dopóki nie skończę, dobrze?

– Dobrze.

Kiwam głową. Nie próbuje uścisnąć mi dłoni na pożegnanie, więc jej nie podaję i sama odprowadzam się do drzwi. Schodzę po stopniach jego domku i zatrzymuję się na chwilę na krętej ścieżce u stóp wzgórza, żeby powoli nabrać gęstego powietrza znad jeziora. Jest lepkie i ciężkie od upału. Gdy wypuszczam je z płuc, nadal czuję zapach naleśników.

Jest naprawdę świetnym kucharzem.

Dzieciakom został ostatni tydzień szkoły, a co za tym idzie, stres związany z ostatnimi egzaminami. A raczej Connor się stresuje. Lanny ani trochę. Odprowadzam ich na autobus o ósmej rano, a przed dziewiątą robię kawę i wyjmuję pudełko z kupnym ciastem, ponieważ nie mam szans w starciu z naleśnikami Cade'a. Puka do drzwi punktualnie, a ja zapraszam go do środka na kawę i pączki. Razem dyskutujemy o tym, czego będzie potrzebował do wykonania napraw. Bierze gotówkę z góry, żeby kupić potrzebne rzeczy, i wraca do swojego domku. Widzę go piętnaście minut później w starym, lecz solidnie

zbudowanym pikapie, którego oryginalny kolor to szary, z plamami wyblakłej zieleni.

Gdy go nie ma, odfajkuję Patrol Psycholi. Nie pojawia się nic nowego. Liczę posty. Ich liczba znowu spadła... Prowadzę w Excelu tabelkę z częstotliwością ich pojawiania się, śledząc zainteresowanie, jakie wzbudzają w internecie nasze nazwiska, i z zadowoleniem stwierdzam, że podczas gdy inni prześcigają Melvina w dokonanych zbrodniach – mam na myśli morderców działających z pobudek seksualnych, szaleńców, fanatyków, dżihadystów – część naszych prześladowców zaczyna tracić zainteresowanie. Nienawidzę używać określenia „zaczęli żyć”, ale bardzo możliwe, że tak się stało. Że wreszcie ruszyli dalej ze swoim życiem.

Może pewnego dnia nam również się uda. To nikła nadzieja, ale jakakolwiek nadzieja to dla mnie całkowicie nowe uczucie.

Cade wraca, gdy jestem zajęta drukowaniem krótkiej listy nowych rezultatów wyszukiwania i chowam ją do teczki. Kilka stron oczekuje w kolejce do wydrukowania, co zawsze mnie martwi, ale nie mam wyboru. Zamykam drzwi na klucz i wychodzę mu na spotkanie.

Zdażył już przystawić drabinę do dachu, upewniając się, że jest zakotwiczona w trawie. Ma ze sobą mnóstwo papy, dachówki i pas z narzędziami z dyndającym z niego młotkiem tapicerskim i woreczkiem z gwoździami, który sobie przytracza. Założył nawet wytartą czapkę z daszkiem, żeby ochronić się przed słońcem, oraz bandanę zakrywającą kark.

– Proszę. – Wręczam mu zamykaną, aluminiową butelkę wody z karabińczykiem. – Woda z lodem. Pomóc ci w czymś?

– Nie – mówi, spoglądając na wzniesienie. – Powinienem skończyć tę stronę dachu przed zapadnięciem zmroku. Zrobię sobie przerwę około pierwszej.

– Przygotuję ci lunch. Do dobrze, w takim razie... zostawię cię samego.

– Brzmi nieźle.

Przypina butelkę z wodą do paska i bierze pierwszą partię dachówek, którą obwiązał liną i przerzucił sobie przez ramię jak wypchany plecak. Trzymam drabinę, gdy wspina się na górę, poruszając się tak, jakby dźwigał worek pierza, i odsuwam się o krok, sprawdzając, czy trzyma się pewnie na nogach. Trzyma się. Kąt nachylenia dachu nie robi na nim

żadnego wrażenia.

Sam macha mi, a ja odwzajemniam gest. Wchodząc do domu, zauważam jadący powoli policyjny radiowóz, chrzęszczący oponami po zwirze. Za kierownicą siedzi oficer Graham, który kiwa mi głową, gdy unoszę dłoń na powitanie, i przyspiesza, kierując się w stronę skrótów koło domu Johansenów do miejsca, w którym kawałek dalej znajduje się jego dom. Pamiętam, że podczas naszej rozmowy tak jakby zaprosił mnie, bym dołączyła do niego któregoś dnia na strzelnicę, ale wiem też, że zabiera ze sobą chłopców... a ja nie chcę przyprowadzać swoich dzieci. Notuję w myślach, aby wpaść z sąsiedzką wizytą z puszką ciasteczek lub czymś, co sprawi, że wydam się bardziej... pokojowo nastawiona. Ale w żadnym wypadku *zainteresowana*.

Przed porą lunchu kończę dwa zlecenia dla klientów i publikuję kolejne ogłoszenia o pracę. Pierwszy płaci mi w momencie, gdy kończę przygotowywać spaghetti z klopsikami i sałatę. Sam Cade schodzi z dachu, by zjeść ze mną posiłek przy małym stole w jadalni. Drugi klient płaci pod koniec dnia, co jest miłą odmianą. Muszę kontrolować mnóstwo wpłat. Po tym, jak zdążyłam się do niego przyzwyczaić, dźwięk Cade'a chodzącego po dachu jest dziwnie odprężający.

Jestem nieco zaskoczona, gdy słyszę przenikliwy, ostrzegawczy pisk alarmu i dźwięk wciskanych klawiszy, które go uciszają.

– Jesteśmy! – krzyczy Lanny z korytarza. – Tylko nie strzelaj!

– To było wredne – mówi Connor, a ja słyszę zduszone „ała”, zupełnie jakby dźgnęła go łokciem w bok. – No co, przecież *było*!

– Zamknij się, Squirtle. Nie masz przypadkiem jakichś nerdowskich spraw do załatwienia?

Opuszczam gabinet i wychodzę im na powitanie. Connor przeciska się obok mnie bez słowa z posępnym wyrazem twarzy i ze stanowczym trzaskiem zamyka drzwi do swego pokoju. Lanny wzrusza ramionami, gdy zatrzymuję się w połowie drogi do jej pokoju.

– Jaki wrażliwy. No co? To znowu moja wina?

– Squirtle?

– To Pokémon. Całkiem urocze stworzenia.

– Wiem, że to Pokémon. Dlaczego go tak nazywasz?

– Bo przypomina mi jednego, ze swoją twardą skorupą i mięciutkim podbrzuszem. – To żadna odpowiedź. Lanny wzrusza ramionami,

przewracając oczami. – Jest wkurzony, bo zawalił test.

– Dostałem czwórkę! – krzyczy przez drzwi Connor. Brew Lanny wygina się ostro ku górze. Ciekawe, czy ćwiczyła ten grymas przed lustrem.

– Widzisz? Dostał czwórkę. Najwyraźniej stracił ostrość umysłu.

– Dość tego – ucinam ostro rozmowę. Nagle nad naszymi głowami rozlegają się trzy głośne uderzenia o drewno. Lanny wydaje z siebie wystraszony okrzyk, a ja uświadamiam sobie, że Cade pracuje teraz na tyłach domu, a ona i Connor nie widzieli go od frontu, gdy wchodzili. – Wszystko w porządku – uspokajam ich, gdy Connor gwałtownie otwiera drzwi z oczami rozszerzonymi pod wpływem paniki. – To tylko pan Cade. Wymienia gont na dachu.

Lanny bierze głęboki oddech i kręci głową. Przepycha się obok mnie w drodze do swojego pokoju. Z drugiej strony, Connor mruga szybko, a jego nastawienie zmienia się w coś zgoła zupełnie innego: *zainteresowanie*.

– Super. Mogę mu pomóc?

Zastanawiam się nad tym. Rozważam ryzyko jego stoczenia się z dachu, spadnięcia z drabiny... a potem zestawiam to z głodem, który w nim widzę. Potrzebą przebywania w towarzystwie dorosłego mężczyzny, który może pokazać mu rzeczy, jakich ja nie jestem w stanie. Który reprezentuje coś więcej prócz bólu, strachu i okropności, które uosabia jego ojciec. Czy to mądre posunięcie? Pewnie nie. Ale jedyne właściwe.

Tłamszę wszystkie swoje obawy i zmuszam się do uśmiechu, mówiąc:

– Jasne, że tak.

Nie będę kłamać. Kilka następnych godzin spędzam na zewnątrz, sprzątając bałagan po rzeczach, które Cade i Connor ochoczo zrzucają z dachu, i szukam jakichkolwiek oznak tego, że mój syn może stać się zbyt pewny siebie, stracić równowagę, zrobić sobie krzywdę – albo jeszcze gorzej.

Ale wszystko jest w porządku. Connor jest zwinny, zrównoważony i świetnie się bawi, gdy Cade pokazuje mu sposób, w jaki tworzy się

wzór nakładających się na siebie dachówek. Jest mi trochę lżej na duchu na widok zdeterminowanych, autentycznych uśmiechów swojego syna i prawdziwej przyjemności, którą czerpie z wykonywanej pracy. „Oto dzień – myślę sobie – który na długo zapamięta: dobry dzień. Będzie jednym z tych wspomnień, które wyznaczą mu drogę do lepszej przyszłości”.

Ogarnia mnie lekka zawiść, że to nie ja go z nim dzielę. Mój syn nie patrzy na mnie z takim uwielbieniem i sędzę, że nigdy nie będzie. Łączy nas prawdziwa miłość, ale prawdziwa miłość jest kłopotliwa i skomplikowana. Nic dziwnego, biorąc pod uwagę naszą przeszłość.

Przebywanie w towarzystwie Sama Cade'a jest dla niego łatwe i jestem za to wdzięczna. Gryzę się w język, sprzątam i choć upał daje mi się we znaki, wysiłek włożony w pracę jest potrzebny i zdrowy.

Siadamy do stołu w porze obiadu, ale Cade upiera się, że nie jest najlepszym kompanem do posiłku. Lanny przejęła dowodzenie nad kuchnią i stanowczym tonem rozkazuje mu pójść do domu, doprowadzić się do porządku i wrócić. Jest rozbawiony faktem, że pomiata nim zawzięta gotka w kwiecistym fartuchu. Wychodzi i wraca świeżo wykąpany. Jego włosy nadal są wilgotne i przyklejają mu się do karku, ale ma na sobie czyste spodnie i koszulę. Tym razem założył mokasyny.

Lanny przygotowała lasagne. Cała nasza czwórka rzuca się na nią jak wygłodniała. Jest wyborna, naszpikowana przyprawami, ze świeżymi składnikami, nie licząc samego makaronu, który, przyznała, kupiła w sklepie. Connor jest niesłychanie gadatliwy i bez przerwy rozprawia o tym, czego się dzisiaj nauczył... nie w szkole, tylko jak wbić prosto gwóźdź jednym, mocnym uderzeniem młotka, jak układać dachówki, jak utrzymać równowagę na wzniesieniu. Oczywiście, Lanny przewraca oczami, ale wiem, że jest szczęśliwa, widząc go w tym nastroju.

– Connor świetnie sobie poradził – mówię, gdy mój syn robi przerwę na złapanie oddechu, a Sam z ustami pełnymi lasagne kiwa głową, przeżuwa i połyka kęs.

– Connor ma naturalny talent – potwierdza. – Świetna robota, kolego. – Wyciąga rękę, a Connor przybija mu piątkę. – Następnym razem zajmiemy się drugą stroną. O ile nie będzie wiało ani padało, za kilka dni powinniśmy skończyć.

Connorowi rzadnie nieco mina.

– Ale... a co z drewnem? Mamo? Co z drewnem z boku domu, które przegniło?

– Ma rację – zgadzam się. – Drewno w tym miejscu zbutwiało. Pewnie trzeba będzie wymienić także elewację.

– W porządku. Trzy dni. – Sam nabiera na widelec kolejną porcję, z której zwisają serowe nitki. – To może zająć cały tydzień, jeśli chcesz postawić ten taras na tyłach domu.

– Tak! Mamo, proszę! Możemy zbudować taras?

Spojrzenie Connora jest tak żarliwe, że uderza we mnie niczym fala i zmywa ostatnie, powracające resztki niepokoju. Nadal mam zamiar wymienić się z Javim na samochody, ale jeśli szukałam jakiegoś powodu, aby zostać, to właśnie się trafił. Tutaj, w oczach mojego syna. Martwiłam się jego wewnętrznymi obserwacjami, naturą samotnika i milczącym gniewem. Po raz pierwszy widzę, jak się otwiera, więc okrucieństwem byłoby go tego pozbawić wyłącznie z powodu mojego gdybania.

– Przydałby nam się taras – mówię, a Connor unosi obie ręce w geście zwycięstwa. – Sam? Nie masz nic przeciwko pracowaniu w późniejszych godzinach, po tym jak Connor wróci ze szkoły?

Sam wzrusza ramionami.

– Żaden problem. Ale zwolnię tempo. Jeśli będziemy pracować tylko przez pół dnia, może to potrwać nawet miesiąc.

– Mnie to pasuje – dodaje szybko Connor. – Został mi ostatni tydzień szkoły. Potem będziemy mogli pracować przez cały dzień!

Sam Cade unosi brwi i posyła mi rozbawione spojrzenie, a ja unoszę własne, biorąc kęs jedzenia.

– Pewnie – mówi Sam. – Pod warunkiem, że twoja mama się zgodzi. I tylko wtedy, gdy będzie w domu.

Sam nie jest głupi. Wie, jaka jestem przewrażliwiona na tym punkcie. I zdaje sobie sprawę, że samotny facet wchodzący z buciorami w życie czyjejs rodziny jest podejrzany o wiele nieprzyjemnych spraw. Widzę po wyrazie jego twarzy, że ma tę świadomość i nie przeszkadza mu zachowywanie się według narzuconych przeze mnie zasad.

Jedno muszę przyznać: to działa na jego korzyść.

Obiad okazał się jednomyślnym sukcesem. Gdy dzieciaki z radością sprzątają bałagan, Sam i ja bierzemy po piwie i wychodzimy na werandę. Upał zaczyna się wreszcie zmniejszać, ustępując miejsca

chłodniejszemu wietrzykowi znad jeziora, ale wilgotność powietrza to coś, do czego chyba nigdy nie będę w stanie się przyzwycząć. Piwo zapewnia rześką, jesienną nutę, choć nie jesteśmy nawet w połowie lata. Kilka łodzi pływa po jeziorze w gasnącym, pomarańczowym blasku słońca – czteroosobowa łódź wiosłarska, luksusowy jacht motorowy i dwie małe łódki wiosłowe. Wszyscy kierują się w stronę brzegu.

– Sprawdziłaś moją przeszłość? – pyta Sam.

Sprawił mi tym kompletną niespodziankę. Moja butelka z piwem zatrzymuje się w połowie drogi do ust. Zerkam na niego z ukosa.

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– Wyglądasz mi na kobietę, która sprawdza przeszłość innych ludzi.

Wybucham śmiechem, bo to prawda.

– Tak.

– I jak wypadła moja zdolność kredytowa?

– Bardzo dobrze.

– To świetnie. Powinienem częściej ją sprawdzać.

– Nie jesteś na mnie zły?

Upija łyk piwa. Wcale na mnie nie patrzy. Całą jego uwagę zdają się przykuwać łodzie kołyszące się na wodzie.

– Nie – mówi w końcu. – Może odrobinę rozczarowany. Chyba dlatego, że uważam się za godnego zaufania faceta.

– Powiedzmy, że wcześniej zdarzało mi się zaufać nieodpowiednim ludziom.

Nie mogę się oprzeć, aby nie myśleć o różnicy między tym, jak zareagował Sam Cade, a jak wyobrażam sobie, że zareagowałby Melvin, gdyby siedział tu i dopiero co mnie poznał. Mel byłby wściekły. Urażony. Miałby mi za złe, że nie zaufałam mu automatycznie. Oczywiście, że jakoś zatuszowałby swoją reakcję, ale wyczułabym sztywność w jego zachowaniu.

W Samie nie wyczuwam żadnej z tych rzeczy. Po prostu mówi to, co myśli.

– Rozsądnie z twojej strony. W końcu jestem pracownikiem do wynajęcia. Masz prawo mnie sprawdzić, zwłaszcza że będę przebywał z twoimi dziećmi i w twoim domu. Prawdę powiedziawszy, to chyba najmądrzejsza rzecz, jaką mogłaś zrobić.

– A ty sprawdziłaś *moją*?

Moje pytanie zaskakuje go. Odchyła się nieco na krześle i zerka w moją stronę. Wzrusza ramionami.

– Popytałem trochę w okolicy – przyznaje. – Głównie w sensie czy-babka-opłaca-rachunki. Jeśli pytasz, czy sprawdziłem cię w internecie, to nie. Gdy kobiety robią tak w przypadku mężczyzn, domyślam się, że chodzi o środki bezpieczeństwa. Ale gdy mężczyzna robi tak z kobietami, to wydaje się...

– Jakby je prześladował? – kończę za niego zdanie. – Zgadza się. Co ci powiedzieli mieszkańcy?

– To, co wcześniej mówiłem: że jesteś nieprzystępna – mówi, śmiejąc się. – Tak się akurat składa, że ja też.

Przysuwam swoje piwo i trącamy się butelkami. Przez chwilę jesteśmy zajęci wyłącznie sączeniem piwa. Wioślarze docierają do odległego doku. Łódki zdążyły już znaleźć się w porcie. Luksusowy jacht pozostał na wodzie jako ostatni. Słyszę, jak w nieruchomym powietrzu rozchodzi się czyjś śmiech. Na łodzi włączają się światła, ujawniając sylwetki czterech osób. Słysząc, jak cicho gra muzyka. Troje z nich tańczy, a pilot nakierowuje jacht na prywatną przystań po drugiej stronie jeziora. Tak się bawią bogaci i znudzeni.

– Myślisz, że piją szampana? – pyta mnie Sam z niewzruszonym wyrazem twarzy.

– Dom Pérignon. Z kawiozem.

– Dzikusy. Ja lubię go pić z tostem z wędzonym łososiem. Ale tylko w dni kończące się na „k”.

– Co za dużo, to niezdrowo – zgadzam się, mówiąc to ze swoim najlepszym, najbardziej snobistycznym akcentem z Nowej Anglii. Mam całkiem niezły po mamie. – Łatwo się upić dobrym szampanem.

– No cóż, skąd miałbym wiedzieć... nigdy takiego nie piłem. Raz na weselu wypilem kieliszek jakiegoś taniego szajsu. – Unosi butelkę z piwem. – Oto moja wersja.

– Dobrze mówisz.

– Twój syn jest naprawdę świetny, wiesz?

– Wiem. – Uśmiecham się w zapadającym zmierzchu, nie całkiem do niego. – Wiem.

Dopijamy piwo, a ja zbieram puste butelki. Płacę Samowi jego dniówkę i patrzę, jak pokonuje krótki dystans na wzgórzu do swojego domku.

W salonie zapalają się światła, przeświecając przez czerwone zasłony.

Wracam do środka i wkładam szkło do pojemnika do recyklingu. Kuchnia jest sprzątnięta i pogrążona w ciszy. Dzieciaki zaszyły się w swoich pokojach.

Jest cichy, spokojny wieczór. Gdy zamykam drzwi i ustawiam alarm, jestem w stanie myśleć tylko o tym, że to nie może trwać wiecznie.

Ale trwa. Bardziej niż cokolwiek innego zaskakuje mnie fakt, że następny dzień – sobota – przebiega bez żadnych zgrzytów. Podczas Patrolu Psycholi pojawia się mniej powiadomień. Policja nie składa nam kolejnej wizyty. Dostaję więcej zleceń. Niedziela jest taka sama. W poniedziałek dzieciaki wracają do szkoły, a o czwartej po południu, dokładnie jak w zegarku, Connor i Sam Cade zaczynają pracę na dachu, wbijając gwoździe. Lanny narzeka, że to walenie doprowadza ją do szału, ale podgłośnienie muzyki w słuchawkach załatwia sprawę.

Dobry dzień przechodzi w kolejny dobry dzień, a potem w cały tydzień. Ku uciesze moich dzieci szkoła dobiega końca, a Sam staje się stałym elementem naszego życia, towarzysząc nam podczas śniadania, a potem idąc z Connorem dokończyć dach. Gdy ta część pracy zostaje ukończona, zabierają się do wymiany zbutwiałej elewacji wokół okien i drzwi. Zaszywam się w gabinecie, aby popracować i odpajkować Patrol. Posiadanie kogoś, komu mogę choć trochę zaufać, jest... uspokajające.

Przed upływem niedzieli dom jest pomalowany świeżą warstwą farby, a ja mam ręce pełne sprzątanina, ale wcale mi to nie przeszkadza. Wręcz odwrotnie. Jestem zdyszana, boli mnie całe ciało, i szczęśliwsza niż kiedykolwiek, ponieważ Lanny, Connor i Cade są równie brudni i zmęczeni co ja. Razem udało się nam osiągnąć coś ważnego. To przyjemne uczucie.

Tamtego dnia uśmiecham się do Sama w zupełnie szczery, bezpośredni sposób. Gdy on odwzajemnia się tym samym gestem, jego uśmiech jest równie otwarty i swobodny, a ja mam nagły przebłysk z przeszłości, gdy Mel uśmiechnął się do mnie po raz pierwszy. W tej samej chwili uświadamiam sobie, że jego uśmiechy nigdy nie były szczere ani swobodne. Odgrywanie dobrego męża i idealnego ojca było dla niego

niczym aktorstwo metodyczne. „Nigdy nie wychodź z roli”. Widzę różnicę w sposobie, w jaki Sam rozmawia z dziećmi, jak popełnia gafy i naprawia je, mówi śmieszne i mądre rzeczy, i jest prawdziwą, normalną istotą ludzką.

Mel nigdy taki nie był. Po prostu nigdy nie miałam dobrego lustra, przed którym mogłabym go postawić, aby dostrzec te różnice. Mój ojciec był wiecznie nieobecny i mało uczuciowy. Według niego dzieci nie miały prawa głosu. Zrozumiałam, że gdy Mel mnie spotkał, zobaczył we mnie ten głód... i potrzebę zaspokojenia go. Musiał się naprawdę przyłożyć. Bywały momenty, w których jego maska się zsuwała, a ja pamiętam każdy z nich... chwila, w której wściekłam się na niego za to, że opuścił przyjęcie z okazji trzecich urodzin Brady’ego, była pierwszym z nich. Odwrócił się do mnie w przypływie furii tak nagłej i morderczej, że aż się cofnęłam, wpadając na lodówkę. Nie uderzył mnie, ale unieruchomił w miejscu, kładąc dłonie po obu stronach mojej głowy i wpatrując we mnie pustym i obojętnym wzrokiem, który przeraził mnie wtedy i który do dzisiaj ma tę moc.

Mimo że jego kamuflaż był wręcz idealny, zachowanie Mela było *powierzchowne*. Jego spokój wydawał się naciągany i nienaturalny, tak samo jak uczucia. Dopiero gdy schodził do warsztatu, wychodził z niego prawdziwy Mel. Pewnie żył dla chwil, w których zamykał tamte drzwi i zasuwiał rygiel.

Obserwując Sama, nie zauważam żadnej z tych rzeczy. Widzę jedynie drugiego człowieka. Autentycznego człowieka.

Robi mi się smutno i niedobrze, gdy dociera do mnie, że nie miałam pojęcia, co mam przed oczami, kto śpi ze mną w jednym łóżku, przez całe dziewięć lat mojego małżeństwa. Tak, *mojego*. Nie naszego. Dla Melvina Royała to nigdy nie było małżeństwo.

Byłam tylko narzędziem, jak piły, młotki i noże w jego warsztacie. Byłam jego przykrywką.

Po tak długim czasie, ta świadomość jest jednocześnie przerażająca i kojąca. Nigdy nie poświęcam temu zbyt wielu myśli, ale widok Sama, widok przebywających w tego towarzystwie dzieci sprawia, że uświadamiam sobie wszystko, co było złe i sztuczne w moim małżeństwie.

Rzecz jasna, nie mówię Samowi ani słowa. To dopiero byłaby

niezręczna rozmowa, zwłaszcza że nie mam najmniejszego zamiaru zdradzać, kim jestem. O nie. Jednak fakt, że dzieci go lubią, wiele dla mnie znaczy. Oboje są tacy inteligentni, a ja mam poczucie, że zbudowanie dla nich bezpiecznego schronienia, w którym mogą się rozwijać i sięgać po lepsze rzeczy, jest bardzo ważne. Ryzykowne, ale konieczne. Nadal jestem skłonna do ucieczki, jeśli zostanę do tego zmuszona, ale dopiero gdy faktycznie zajdzie taka konieczność.

Jak na razie jest spokój. Jest spokojniej niż kiedykolwiek wcześniej.

Dzięki pracy Connora i Sama przed upływem połowy czerwca dom wygląda fantastycznie, a Sam uczy mojego syna podstaw konstruowania. Wspólnie planują wyrównanie ziemi na tyłach domu, wylanie betonu i ustawienie słupków. Lanny od czasu do czasu zagląda im przez ramię, dorzucając luźne sugestie, aż w końcu sama angażuje się w projekt, przyglądając się w skupieniu, jak Sam kreśli plany z zacięciem architekta.

To długoterminowy projekt. Żadne z nich nie widzi konieczności, aby się z nim śpieszyć, a już na pewno nie ja. Zlecenia napływają jedno po drugim, aż w końcu muszę część odrzucać. Mogę sobie pozwolić na bycie wybredną i samodzielne określanie stawek, a moja reputacja rośnie. Sprawy zaczynają przybierać naprawdę pomyślny obrót.

Nie polegam wyłącznie na dochodzie z mojej zdalnej pracy przez internet, nie do końca. Nie muszę, ponieważ Mel zrobił jedną rzecz tak jak należy: w tamtym przerażającym schowku, w którym trzymał makabryczne dzienniki i trofea, zostawił również plan ucieczki.

Sportową torbę pełną pieniędzy.

Prawie dwieście tysięcy dolarów w spadku po majątku rodziców. Powiedział mi, że zainwestował te pieniądze w fundusz powierniczy, a one latami tkwiły w jego schowku, czekając, aż wyczuje moment, w którym należy zwiać. Nigdy nie miał szansy ich zabrać. Został aresztowany w pracy i już nigdy nie spędził kolejnego dnia jako wolny człowiek.

Przekazałam całą zawartość schowka policji, ale zanim to zrobiłam, wzięłam torbę i wsadziłam do bagażnika swojego samochodu. Pojechałam daleko za miasto do jednego z tych niedużych centrów sklepowo-usługowych z wypożyczalniami skrytek pocztowych i założyłam jedną na fałszywe nazwisko wymyślone na poczekaniu, po

czym zabrałam torbę do punktu UPS na drugim krańcu miasta i nadałam na adres nowej skrytki. To było przerażające. Myślałam, że zostanę złapana na gorącym uczynku albo, co gorsza, że ktoś otworzy skrytkę, a pieniądze znikną bez śladu. Nawet gdyby tak się stało, nie mogłabym mieć do siebie żadnych pretensji.

Mimo to przesyłka dotarła na miejsce. Śledziłam ją online i uiściłam dodatkową opłatę, aby magazyn poczty przechował ją dla mnie do chwili, w której będę mogła ją odebrać. Całe szczęście, że to zrobiłam, ponieważ zaledwie dwa dni później, pomimo współpracy z policją, zostałam aresztowana, wsadzona do więzienia i oczekiwałam na proces.

Po niemal roku od mojego uniewinnienia pudło z torbą nadal leżało w skrytce i zbierało kurz w dalekim końcu magazynu, który, dzięki Bogu, nadal obsługiwał klientów. Małe cuda jednak się zdarzają.

Wydałam połowę na zapewnienie nam bezpieczeństwa, schronienia i tożsamości przed wprowadzeniem się do Stillhouse Lake. Ten dom został sprzedany na aukcji za wyjątkowo niską cenę, ale i tak musiałam wydać na niego dwadzieścia tysięcy, a potem dołożyć kolejne dziesięć na naprawy. Doliczając do tego mój obecny dochód, nadal mam wystarczająco dużo pieniędzy, aby móc trochę zaszaleć. Jestem pewna, że Mel byłby wściekły, gdyby dowiedział się o utracie starannie gromadzonej przez siebie fortuny, z czego jestem niesamowicie zadowolona. Świadomość, że używam tych pieniędzy, aby opłacić nowe życie, wpływa na mnie kojąco.

Gdy Cade oferuje mi swą pomoc przy stworzeniu ogrodu, który zdążyłam zapuścić, zgadzam się pod warunkiem, że pozwoli mi sobie za to zapłacić. Pozwala. Godzinami omawiamy plany, wybierając poszczególne odmiany roślin i sadząc je wspólnie. Wznosimy kamienne murki i wyznaczamy kręte ścieżki. Budujemy niewielką sadzawkę i wpuszczamy do niej małe złote rybki, które migoczą w słońcu.

Krok po kroku, zaczynam zdawać sobie sprawę, że ufam Samowi. Nie mogę wskazać na jeden konkretny moment w czasie, ani na coś, co powiedział lub zrobił. Chodzi o całokształt – wszystko, co mówi, robi, kim jest. To najspokojniejszy, najłagodniejszy mężczyzna, z jakim miałam do czynienia. Za każdym razem, gdy widzę, jak się uśmiecha, rozmawia z moimi dziećmi albo ze mną, uświadamiam sobie, jak kiepskie były moje wcześniejsze wybory. Jak jałowe było moje życie

z Melvinem Royalem. Na pierwszy rzut oka zdawało się kwitnąć.

W rzeczywistości było równie martwe co księżyc.

Ani się obejrzałam, a minęły kolejne dwa tygodnie. Mój ogród wygląda jak z okładki magazynu poświęconego urządzeniu domu i ogrodu. Nawet Lanny sprawia wrażenie względnie szczęśliwej. Łagodzi nieco swój gotycki wizerunek na rzecz czegoś modnego, ale z charakterem, i pewnego dnia mówi mi, że się zaprzyjaźniła. To ci dopiero niespodzianka! Z początku znajomość ma charakter internetowy, ale potem pyta mnie z typową dla siebie agresywną niechęcią, czy zawiozę ją do kina na spotkanie z Dahlią Brown. Tą Dahlią Brown, dziewczyną, którą uderzyła w szkole.

Mam pewne wątpliwości co do tego nagłego zwrotu akcji, ale Dahlia okazuje się być całkiem miłą dziewczyną, wstydzącą się odrobinę swojego wysokiego wzrostu i przewrażliwioną na punkcie aparatu korekcyjnego na zębach. Jak się okazuje, chłopak rzucił ją z powodu wyżej wspomnianego kawałka metalu w ustach. To chyba najlepsza rzecz, jaka mogła się jej przytrafić.

Connor i ja siedzimy w ostatnim rzędzie, a Dahlia i Lanny siedzą razem. Po tym jak dołącza do nas na obiad, wygląda już na całkiem wyluzowaną. Lanny również.

W miarę upływu tygodni wypadki do kina zaczynają być stałym elementem lata. Lanny i Dahlia są nierozłączne. Dahlia kopiuje czarny lakier do paznokci i wyrazisty makijaż oczu Lanny, a Lanny zaczyna nosić lejące się, kwieciste szale w stylu Dahlii.

Do połowy lipca dziewczyny znają się jak łyse konie i zdobywają dwójkę nowych przyjaciół. Rzecz jasna, nadal zachowuję czujność. Pierwszy młodzieniec jest gotem w pełnym tego słowa znaczeniu, z przekłutą przegrodą nosową, a jego chłopak to elegant z bogatej rodziny. Jest im razem naprawdę wspaniale. I w dodatku są piekielnie zabawni, co również jest dobre dla mojej córki.

Connor także zachowuje się inaczej. Kumple od gry Dungeons & Dragons stali się dla niego prawdziwymi przyjaciółmi. Co więcej, po raz pierwszy zwierzył mi się, kim chce zostać w przyszłości.

Mój syn chce być architektem. Chce budować różne rzeczy. Gdy o tym opowiada, czuję, jak do oczu napływają mi łzy. Rozpaczliwie pragnęłam wierzyć, że może mieć marzenia, że może mieć życie, które nie wiąże się

z ciągłym uciekaniem i ukrywaniem się, a teraz... moje nadzieje się ziściły.

Sam Cade dał mi marzenia, czego ja nie potrafiłam, i jestem mu za to dozgonnie wdzięczna. Następnego wieczora, gdy siedzimy na werandzie z drinkami w dłoniach, opowiadam Samowi o nowo odkrytej pasji Connora. Słucha w milczeniu, nie mówi nic przez bardzo długi czas, aż wreszcie odwraca się w moją stronę. Wieczór jest pochmurny, a powietrze ciężkie od nadciągającej burzy. W tej części Tennessee występują tornada, ale jak na razie nie było żadnego ostrzeżenia.

– Nie mówisz zbyt wiele o ojcu Connora – stwierdza Sam.

W rzeczywistości nie powiedziałam nic. Nie mogę. Nie chcę. Zamiast tego, mówię:

– Nie ma o czym gadać. Connor potrzebował kogoś, na kim mógłby się wzorować. A ty mu to dałeś, Sam.

W półmroku nie widzę jego twarzy. Nie wiem, czy go wystraszyłam, czy sprawiłam mu przyjemność, czy wszystkiego po trochu. Od tygodni unosi się między nami wyczuwalne, pełne rezerwy napięcie, ale nie licząc przypadkowych muśnięć palców w trakcie podawania sobie narzędzi czy butelek z piwem, praktycznie nie ma między nami kontaktu fizycznego. Nie wiem, czy mogę pozwolić sobie na romantyczne uczucia względem mężczyzny, i mam wrażenie, że jego również coś powstrzymuje. Pewnie nieudany związek. Utracona miłość. Nie wiem i nie pytam go o to.

– Cieszę się, że mogłam pomóc. – Jego głos brzmi nieco dziwnie, ale nie bardzo wiem, dlaczego. – To dobry dzieciak, Gwen.

– Wiem.

– Lanny również. Jesteś... – Nie mówi nic przez kilka sekund i spazmatycznie wypija haust piwa. – Jesteś dla nich cholernie dobrą matką.

W oddali słychać grzmot, choć nie widzę żadnej błyskawicy. Pewnie są za wzgórzami. Czuję unoszącą się w powietrzu zapowiedź deszczu. Jest strasznie wilgotne, a ja mam ochotę wachlować się i dygotać jednocześnie.

– Staram się. Masz rację. Nie rozmawiajmy o ich ojcu. Był... podłym człowiekiem.

Emocje odbierają mi głos, gdy próbuję powiedzieć coś więcej, bo dziś rano przyszedł kolejny list od Mela. Wrócił do swojego normalnego

cyklu, ponieważ ten list to grzecznościowa rozmowa o niczym, dużo wspomnień i pytań o dzieci. Wywołuje mój niepokój, bo kiedy przekonałam się, jak Sam traktuje dzieciaki, widzę wyraźną różnicę. Mel był dobrym ojcem z rodzaju tych ze zdjęć reklamowych: zjawiał się, uśmiechał, pozował do fotografii, ale to wszystko było pozorem. Wiem, że to, co czuł dawniej i co czuje teraz, jest tylko cieniem prawdziwego uczucia.

Rozmyślałam o Melu, siedząc tuż obok Sama. Mam ochotę wyciągnąć dłoń i poczuć ciepło jego palców na swoich, bardziej jako talizman na szczęście niż w przypiływie czysto fizycznego pociągu. Chcę odpędzić od siebie ducha Mela i przestać o nim myśleć. Z zaskoczeniem uświadamiam sobie, że jestem o włos od powiedzenia Samowi prawdy o Melu. Prawdy o sobie. Jeśli się na to odważę, będzie pierwszą osobą, która to usłyszy.

Dojście do tego wniosku jest dla mnie tak zaskakujące, że przyłapuję się na gapieniu na profil Sama, jak sączy piwo i wpatruje się w jezioro. Daleki rozbłysk błyskawicy rozświetla jego twarz. Przez ułamek sekundy wydaje mi się znajomy. Nie wygląda jak Sam. Wygląda jak ktoś zupełnie inny.

Ktoś, kogo nie mogę sobie przypomnieć.

– Co znowu? – Odwraca głowę i napotyka spojrzenie moich oczu, a ja czuję, jak moją twarz oblewa gorący rumieniec. To jest tak dziwne, że całkiem wytrąca mnie z równowagi. Przecież ja nigdy się nie rumienię. Nie mogę znaleźć powodu, dla którego nagle czuję się niezręcznie, tracę grunt pod nogami, a wszystko to dzieje się na mojej własnej werandzie z człowiekiem, który stał mi się bliski. – Gwen?

Kręcę głową i odwracam się, aż nazbyt świadoma jego nagłego zainteresowania. Jego badawczy wzrok na mojej twarzy jest niczym światło reflektora, ciepłe i wszystkowidzące. Dziękuję za chmury, które spowiły niebo, zaciemniając je. Jestem świadoma zimnej butelki piwa w dłoni. Chłodne kropelki wilgoci spływają mi po grzbiecie ręki.

Chcę go pocałować. I chcę, aby odwzajemnił pocałunek.

Ta myśl jawi mi się jako szokująca. Autentycznie i potwornie szokująca. Nie miałam takich impulsów od bardzo dawna. Myślałam, że te uczucia już dawno wygasły, wymazane przez koszmar zbrodni Mela i zdradę zaufania, która dotknęła mnie do żywego. I oto jestem, cała

drżąca i pragnąca, aby Sam Cade dotknął ustami moich ust. Myślę, że on też to wyczuwa. To jest jak niewidzialna lina naprężająca się między nami.

Najwyraźniej przestraszyłam go tak samo jak siebie, bo nagle dopija resztę piwa szybkimi łykami.

– Powiniennem już iść, zanim zacznie się burza – mówi, a jego głos brzmi inaczej, głębiej i mroczniej. Nie odzywam się, bo nie jestem w stanie. Nie umiem sobie wyobrazić, co mogłabym powiedzieć. Ograniczam się do kiwnięcia głową, a on wstaje i kieruje się w stronę schodów.

Zdażył zejść dwa stopnie w dół, gdy wreszcie udaje mi się odzyskać kontrolę nad głosem.

– Sam.

Zatrzymuje się. Znow słyszę pomruk uderzającego grzmotu, a niebo niczym nóż przecina kolejna błyskawica.

Obracam butelkę w dłoniach i mówię:

– Przyjdiesz jutro?

Prawie odwraca się w moją stronę.

– A chcesz, żebym wrócił?

– Oczywiście.

Kiwa głową i odchodzi szybkim krokiem. Światła bezpieczeństwa, które wspólnie zainstalowaliśmy, zapalają się, wrażliwe na wszelki ruch. Patrząc, jak zbliża się do furtki, wychodzi na drogę. Jest w połowie ścieżki do domu, gdy piorun uderza ponownie.

Pięć minut później zaczyna padać. Z początku to delikatna mżawka, która przeradza się w jednostajne bębnienie o dach, a potem w gęstą zasłonę migoczącą na skraju werandy. Mam nadzieję, że Sam dotarł do domu przed ulewą. I że nie zmyje ona ogrodu.

Siedzę w ciszy, przysłuchując się miarowemu dudnieniu deszczu, i dopijam piwo.

„Mam kłopoty”, myślę sobie.

Nigdy wcześniej nie czułam się taka bezbronna. Nie od czasu, gdy byłam Giną Royal.

Trochę to trwa. Powoli, niemal niewyczuwalnie, w ostatnich dniach parnego lata, Sam i ja opuszczamy gardę, odkładając nasze zbroje na bok. Pozwalamy sobie na muśnięcia dłoni bez wzdragania się, na spontaniczne, niewymuszone uśmiechy. To coś między nami jest prawdziwe. Solidne.

Wreszcie zaczynam się czuć jak prawdziwy człowiek.

Nie oszukuję się, że Sam naprawi to, co zostało we mnie zniszczone. Nie sędzę, żeby sam się oszukiwał w tym względzie. Oboje mamy blizny – od samego początku o tym wiedziałam. Być może tylko naprawdę skrzywdzony człowiek jest w stanie zaakceptować drugiego tak jak my.

Poświęcam Melowi coraz mniej myśli.

Jestem zadowolona, gdy temperatura na zewnątrz zaczyna spadać wraz z początkiem września. Rozpoczyna się rok szkolny, a Connor i Lanny wyglądają na szczęśliwych. Kimkolwiek byli prześladowcy Connora (nigdy mi o nich nie powiedział), jego powiększające się grono przyjaciół wynagradza mu to w dwójnasób. Przychodzą do nas w każdy czwartek, aby pograć w Dungeons & Dragons, siedząc do późnych godzin nocnych. Jestem uradowana ich entuzjazmem, pasją, wyobraźnią. Lanny udaje, że to kretynizm, ale w rzeczywistości jest inaczej. Przynosi książki fantasy z biblioteki i pożycza bratu, gdy sama skończy czytać. Przestaje nazywać go Squirtle w momencie, w którym jego paczka znajomych mówi jej, że to według nich zaręczysta ksywka.

Pod koniec września Sam i ja siedzimy późnym wieczorem w salonie, oglądając stary film. Dzieciaki już dawno poszły spać, a ja trzymam w dłoni kieliszek wina, wtulając się w niego. Spokój i cisza. W tej chwili nie myślę o Melu ani czymkolwiek innym. Wino łagodzi mój nieustanny niepokój i czujność i zmniejsza nieco strach.

– Hej – odzywa się cicho z ustami przy moim uchu. Czuję na skórze jego ciepły oddech. – Śpisz?

– Ani trochę – mówię, upijając kolejny łyk. Wyjmuje mi kieliszek z ręki i opróżnia go. – Hej!

– Wybacz – mówi Sam. – Potrzebuję teraz nieco odwagi. Mam zamiar cię o coś spytać.

Zastygam w bezruchu. Nie mogę oddychać. Nie mogę przełknąć śliny. Nie mogę uciec. Siedzę jak otępiała, czekając, aż opadnie maska.

– Gwen, czy masz coś przeciwko, żebym cię pocałował?

Mam w głowie pustkę. Przypomina śnieżne pole na lodowcu, zimne, gładkie i puste. Jestem oszołomiona zalegającą w środku ciszą, nagłym i gwałtownym ustąpieniem strachu.

A potem czuję jedynie ciepło. To dzieje się w sekundę, zupełnie jakby to ciepło czekało tam od zawsze.

– Będę miała, jeśli tego nie zrobisz – mówię.

Z początku jesteśmy ostrożni, aż w końcu nasza pewność siebie dochodzi do głosu. Usta Sama są jednocześnie miękkie i silne, a ja mimowolnie wracam pamięcią do pocałunków Mela i tego, że zawsze wydawały mi się sztuczne. W tym nie ma żadnego wystudiowania. Sam całuje mnie jak mężczyzna, który wkłada w to całe serce. Jest usta mają mocny, wiśniowy posmak bordeaux. Ten pocałunek sprawia, że uświadamiam sobie, jak mało wiem o życiu i jak wiele straciłam, poślubiając Melvina Royała. Jak wiele czasu zmarnowałam na tamten związek.

To Sam przerywa pocałunek. Odsuwa się i oddycha ciężko, nie odzywając się. Opieram się o niego, a on obejmuje mnie ramieniem. Nie czuję się ograniczona, tylko uwzględniona. Chroniona.

– Sam...

– Ciii – szepcze mi do ucha, a ja nie mówię już ani słowa. Przechodzi mi przez myśl, że może jest tym tak samo przerażony jak ja.

Odprawiam go do drzwi po filmie. Gdy całuje mnie ponownie u stóp schodów, mam wrażenie, że to cudowna zapowiedź lepszej przyszłości.

Następnego dnia z anonimowej poczty przychodzi list. Serce bije mi mocniej, ale nie jestem tak niespokojna jak wcześniej. Nadal zachowuję podstawowe środki ostrożności: starannie rozcinam kopertę, zakładam niebieskie nitryłowe rękawiczki i rozkładam i przytrzymuję kartkę papieru za pomocą odpowiednich narzędzi.

Tak jak się spodziewałam, to drugi list z serii. Zawartość jest nudnawa i całkiem zwyczajna, pozór człowieczeństwa. Píše o książkach, które czyta (od zawsze był namiętym czytelnikiem, głównie mało znanej filozofii i dyscyplin naukowych). Narzeka na paskudne, mdłe jedzenie na stołówce. Píše, że ma szczęście, że życzliwe osoby przekazują pieniądze

na jego konto w magazynie zaopatrzenia, dzięki czemu może kupić różne rzeczy i umilić sobie czas spędzany w więzieniu. Opowiada też o swoim prawniku.

Ogarnia mnie nagły niepokój, gdy orientuję się, że ten list różni się od pozostałych.

Gdy docieram do końca kartki, wreszcie to widzę. Przykrą niespodziankę, która uderzając we mnie, rani głęboko aż do krwi.

Wiesz, kochanie, najbardziej żałuję tego, że nigdy nie było nam dane cieszyć się tym domkiem nad jeziorem, o którym tak często rozmawialiśmy. Namiastka raj, prawda? Prawie go widzę oczami wyobraźni, jak siedzisz na werandzie w blasku księżyca i podziwiasz jezioro wieczorową porą. Ten obraz daje mi spokój. Mam nadzieję, że nie dzielisz go z nikim prócz mnie.

Myślę o wieczorach, gdy siedziałam na werandzie, sącąc wieczorne piwo i obserwując zmarszczki na jeziorze w blasku zachodzącego słońca. „Ten obraz daje mi spokój”, pisze Mel. „Mam nadzieję, że nie dzielisz go z nikim prócz mnie”.

Widział nas – a przynajmniej jakieś zdjęcie. Widział mnie i Sama na werandzie.

Wie, gdzie jesteśmy.

– Mamo?

Wzdragam się i upuszczam dwie łyżki, którymi przytrzymuję list w miejscu. Gdy unoszę wzrok, widzę Connora stojącego po przeciwnej stronie kuchni i gapiącego na mnie szeroko otwartymi oczami. Za jego plecami stoją Billy, Trent, Jason i Daryl, paczka znajomych z czwartkowych wieczorów. Zapomniałam, jaki dziś dzień. Zamierzałam przygotować batoniki ryżowe z krówkami i piankami, i o tym też zapomniałam.

Szybko składam list, wsuwam go do koperty, zdejmuję rękawiczki i rzutem za trzy punkty posyłam je do stojącego w rogu kosza na śmieci. Wkładam kopertę do tylnej kieszeni spodni i mówię:

– Chłopaki, co powiecie na przekąski?

I wszyscy z miejsca się cieszą.

Wszyscy prócz Connora, który znieruchomiał i zamilkł, obserwując mnie uważnie. Wie, że coś jest nie tak. Próbuje się uśmiechnąć, aby

dodać mu otuchy, ale gołym okiem widzę, że nie da się zwieść. W przyprawiającym o mdłości przyływie desperacji staram się zebrać myśli, mieszając w garnku pianki z ryżowymi płatkami śniadaniowymi Rice Krispies, ku uciechu nastolatków. Nie myślę ani o tym, ani o nich, ani o czymkolwiek prócz tego, co teraz zrobić.

Mój wewnętrzny instynkt każe mi uciekać. „Weź vana. Wsadź do niego dzieciaki. Ucieknij. Zaczynaj od nowa. Niech znowu cię szuka”.

Jednak niezaprzeczalnym faktem jest, że *uciekaliśmy*. Uciekaliśmy, uciekaliśmy i jeszcze raz uciekaliśmy. Narzuciłam dzieciom nienaturalne, wyniszczające życie, które odcięło ich od rodziny, przyjaciół, a nawet od siebie samych. Owszem, zrobiłam to, aby je ratować, ale jakim kosztem? Patrząc na miejsce, w którym są teraz, pełny rok po zapuszczeniu korzeni, widzę, jak kwitną. Jak dorastają.

Ucieczka kolejny raz podetnie im skrzydła. Prędzej czy później, wszystko to, co w nich dobre, zostanie przez nią wypaczone i skażone.

Nie chcę już dłużej uciekać. To chodzi o dom, który stał się – pomimo moich największych wysiłków – prawdziwym domem. Może to przez jezioro lub spokój, jaki tu czuję.

Może to przez kruchy, delikatny, ostrożny pociąg, który wreszcie odczuwam do dobrego mężczyzny.

Nie. Nie ucieknę. Niech cię szlag, Mel. Dość tego. Najwyższy czas zainicjować plan, który dawno temu ułożyłam, a z którego miałam nadzieję nigdy nie skorzystać.

Gdy chłopcy jedzą swoje ciągnące się batoniki i rzucają kostką, wychodzę na zewnątrz i dzwonię pod numer, który Absalom dał mi wiele lat temu. Nie wiem, do kogo należy ani czy to w ogóle zadziała. To zabezpieczenie w razie kłopotów, opcja ostateczna. Jednorazowa usługa, za którą drogo zapłaciłam.

Telefon dzwoni i dzwoni, aż w końcu odzywa się automatyczna sekretarka. Żadnego powitania, tylko krótki sygnał.

– Mówi Gina Royal. Absalom twierdzi, że wiesz, co masz dla mnie załatwić. Zrób to.

Rozłączam się, czując mdłości i zawroty głowy, zupełnie jakby stała na krawędzi bardzo stromego zbocza. To nazwisko, Gina Royal, sprawia, że mam wrażenie, jakbym spadała w tył, prosto w objęcia ciemności i czasu, w którym wolałabym nie istnieć. Wydaje mi się, że cały progres, który

poczyniłam, był tylko iluzją, czymś, co Melvin w każdej chwili mógłby mi odebrać.

Rankiem dzwonię do więzienia, w którym osadzony jest Melvin, i umawiam się na widzenie w kolejnym dniu wizyt.

Rozdział piąty

Potrzebuję kogoś, kto mógłby zostać z dziećmi.

Myślę o tym bez przerwy. Zadręczam się całymi godzinami, gapiąc się w przestrzeń i przygryzając wewnętrzną stronę ust. Znam garstkę osób, które mogłabym o to poprosić, ale jest ich niewiele... Mogłabym wsadzić dzieciaki w samolot i wysłać do babci, ale gdy do niej dzwonię, dowiaduję się, że wyjechała z miasta na wycieczkę. Muszę podjąć decyzję. Nie mogę zostawić Lanny i Connora samych, a jednocześnie nie mogę zabrać ich do miejsca, do którego jadę.

To olbrzymi, gigantyczny krok dla kogoś, kto nikomu nie ufa. Chcę poprosić Sama. Kwestionuję jednak swoje pragnienie, ponieważ Mel nauczył mnie, że nie mogę ufać własnemu osądowi, a narażanie dzieci jest ostatnią rzeczą na świecie, jakiej bym chciała.

Żałuję, że nie znam więcej kobiet, ale jedyne mieszkanki Norton i sąsiadki znad jeziora, z którymi zdążyłam się zaznajomić, jak na razie są oschłe, niesympatyczne lub odnoszą się z wręcz jawną wrogością do obcych.

Nie mam pojęcia co robić. Ten strach paraliżuje mnie przez długi czas do chwili, w której Lanny rzuca się na krzesło w moim gabinecie i wpatruje we mnie tak intensywnie, że muszę zareagować. – Coś się stało, skarbie?

– To moje pytanie, mamu. Co się, do cholery, dzieje?

– Nie rozumiem.

– Owszem, rozumiesz – poprawia, wbijając we mnie twardy wzrok. Mruży oczy w taki sam sposób jak ja. – Siedzisz tu, obgryzając paznokcie do kości. Zeszłej nocy prawie nie spałaś. Co się dzieje? Tylko mi nie mów, że jestem za młoda, żeby wiedzieć. Daruj sobie tę gadkę.

„Daruj sobie” to jej najnowsze powiedzonko, przez które chce mi się śmiać. Zanim skończy szesnaście lat, pewnie zmieni się w coś bardziej bezpośredniego, ale na razie jest zabawnym, użytecznym określeniem.

– Muszę wyjechać z miasta – mówię. – Tylko na jeden dzień. I tak spędzicie większość dnia w szkole, ale... muszę wyjechać bardzo wcześnie, a wrócę późną nocą. Chcę, żeby ktoś się wami zaopiekował. – Biorę głęboki wdech. – Masz jakieś propozycje?

Mruga, zaskoczona, bo chyba nie pamięta ostatniego razu, kiedy pytałam ją o zdanie. I nie dziwię się jej, ponieważ to nie w moim stylu.

– Dokąd jedziesz?

– To mało ważne. Skup się, dobrze?

– Jedziesz na spotkanie z tatą?

Nienawidzę sposobu, w jaki to powiedziała, jakby nadal był tatą, z tą pełną nadziei wznoszącą intonacją na końcu zdania. Wstrząsa mną dreszcz, który również nie umknął jej uwadze.

– Nie. – Kłamię, mówiąc najbardziej zrównoważonym i spokojnym tonem, na jaki mnie stać. – To tylko spotkanie biznesowe.

– Uhm. – Nie umiem stwierdzić, czy moja własna córka mi wierzy, czy nie. – Okej, w porządku... Myślę, że Sam by się nadał. Przecież i tak będzie coś naprawiał. On i Connor nadal pracują nad tarasem.

Fakt, że wypowiedziała jego imię, przynosi mi wielką ulgę. Poza tym, ma rację. Sam i tak będzie w naszym domu. Budowa tarasu toczy się bez pośpiechu, trochę tu, trochę tam.

– Ja tylko... skarbie, nie będę mogła was ochronić. Jeśli czujesz z tego powodu choćby cień niepokoju...

– Mamo, proszę. – Przewraca epicko oczami. – Gdybym myślała, że jest psycholem, to nie sądzisz, że powiedziałabym mu to prosto w twarz? I tobie? Na cały głos?

Zrobiłaby to. Lily była nieśmiała. Lanny taka nie jest. Uspokajam się nieco, choć dobrze wiem, że nie mogę polegać na osądzie czternastolatki, bez względu na to, jaki by był dobry.

Mogę polegać wyłącznie na sobie. Muszę zaryzykować, choć wzdragam się na samą myśl o tym. Podejmuję ryzyko wyłącznie w sprawach, które dotyczą mnie. Ale oni? *Oni?*

– Mamo. – Lanny pochyla się do przodu, a ja wyczuwam w niej szczerą spokój. Widzę cień kobiety, którą się stanie. – Mamo, Sam jest

w porządku. To dobry facet. Nic nam nie będzie. Po prostu to zrób.

Po prostu tu zrób. Biorę głęboki, powolny oddech, odchylam się na krzesło i kiwam głową. Na usta Lanny wypływa leniwy uśmiezek. Uwielbia wygrywać.

– Będę go obserwować niczym jastrząb – mówi. – Poza tym mam numer do Javiera i oficera Grahama na szybkim wybieraniu. NSNS, mam.

Wiem, że NSNS to skrót od „nic się nie stanie”. Ale może. Muszę wierzyć, że wszystko będzie dobrze, i tym razem decyduję się to zrobić. Biorę komórkę i patrząc Lanny prosto w oczy, wybieram numer.

Sam odbiera po drugim dzwonku.

– Hej, Gwen.

Normalność i radość w jego powitaniu uspokajają mnie, a mój głos brzmi prawie normalnie, gdy mówię:

– Mam do ciebie prośbę.

Słyszę szum wody. Zakręca kran i odkłada coś na bok, skupiając na mnie całą uwagę.

– Mów. Zrobię, co chcesz.

Dziecinnie proste.

– Nie będzie mnie tylko przez jakieś dwanaście godzin – tłumaczę Samowi w niedzielę wieczorem, na dzień przed wylotem. – Mimo to dziękuję, że zgodziłeś się tu nocować. Lanny jest odpowiedzialna, ale...

– Ale ma czternaście lat – kończy. Upija łyk piwa, które mu dałam – ciemnego, orzechowego portera, który chyba polubił. Piwa rzemieślnicze to dar od Boga. Sączę czekoladowego stouta Samuel Adams Organic Chocolate, kremowego i delikatnego w smaku. Rozluźnia napięte z nerwów mięśnie w moim brzuchu. – Nie chcesz wrócić do zdemolowanego domu i sterty puszek po piwie, zgadza się?

– Tak – mówię, choć wątpię, aby Lanny kiedykolwiek wzięła pod uwagę możliwość urządzenia imprezy. Beze mnie nie będzie czuła się wolna, jak większość dziewczyn w jej wieku. Będzie bezbronna – i taka właśnie *jest*. Skoro jej ojciec wie, gdzie jesteśmy, jeśli ktoś faktycznie obserwuje nas z jego polecenia... Staram się o tym nie myśleć. Jestem

w pełni świadoma tego, że ktoś może obserwować nas nawet teraz. W zachodzącym słońcu na wodach jeziora widać kilka jednostek płynących w stronę brzegu. Może na jednej z nich jest kamera wycelowana w moją werandę. Ogarnia mnie niepokój. On to zniszczy. Mel niszczy wszystko.

I właśnie dlatego jadę się z nim spotkać. Muszę się upewnić, że rozumię stawkę, o którą teraz gramy.

Nie powiedziałam Samowi, dokąd się wybieram. Nie wiedziałabym nawet, jak zacząć rozmowę. Nie wspomniałam też słowem o fakcie, że zainstalowałam w domu bezprzewodowe kamery. Jedna jest skierowana na drzwi frontowe, druga znajduje się na tyłach domu, trzecia jest na pobliskim drzewie, zapewniając widok z szerokiej perspektywy, a czwarta jest zamontowana na kratce klimatyzacji w przestrzeni jadalnej łączonej z kuchnią. Mogę z łatwością przełączać się z jednego podglądu na drugi na tablecie dołączonym do zestawu. W razie nagłego wypadku mogę wysłać mailem linka do monitoringu do Departamentu Policji w Norton.

Nie chodzi o to, że mu nie ufam. Po prostu muszę mieć jakieś zabezpieczenie.

– Sam? Masz broń?

Udaje mi się go zaskoczyć w trakcie picia piwa. Zanoszę się kaszlem i odwraca do mnie z wyrazem zaciekawienia na twarzy. Unoszę pytająco brew, a on wybucha skruszonym śmiechem.

– Wybacz. Kompletnie mnie zaskoczyłaś. Tak, mam broń. Czemu pytasz?

– Czy mógłbyś ją przynieść i mieć przy sobie przez cały czas, gdy tu będziesz? Ja tylko...

– Martwisz się o dzieci? Jasne. Nie ma sprawy – mówi, ale nie przestaje mi się przyglądać, a jego głos jest nieco cichszy, gdy pyta: – Gwen, chodzi o jakieś konkretne zagrożenia, o których powinienem wiedzieć?

– Konkretnie? Nie. Ale... – waham się, zastanawiając się jak to ubrać w słowa. – Mam wrażenie, że jesteśmy obserwowani. Czy to brzmi idiotycznie?

– W Killhouse Lake? Ani trochę.

– Killhouse?

– Ja nie mam z tym nic wspólnego. Pretensje możesz mieć do swojej córki. Jeden z jej gotyckich kumpli wpadł na ten pomysł. Chwytniwi, prawda?

Nie podoba mi się. „Stillhouse” było już wystarczająco makabryczne.

– Tak, no cóż... opiekuj się nimi, tylko o to cię proszę. Nie będzie mnie niecałe dwadzieścia cztery godziny.

Kiwa głową.

– Popracuję trochę nad tarasem, jeśli nie masz nic przeciwko.

– Jasne, że nie. Dzięki.

Pod wpływem impulsu wyciągam dłoń, a on ujmuje ją i ściska przez chwilę. To wszystko. Żaden pocałunek. Nawet nie uścisk ramion. Ale to coś intensywnego, co sprawia, że oboje siedzimy i rozkoszujemy się przez moment tym uczuciem.

Sam wreszcie wstaje z miejsca, osusza butelkę orzechowego portera i mówi:

– Przyjdę wczesnym rankiem, zanim wyjedziesz.

– Świetnie. Wyjeżdżam do Knoxville o czwartej rano. Dzieciaki pojedą do szkoły przed ósmą. Same się przygotowują i wyjdą na autobus. Będiesz miał dom tylko dla siebie aż do trzeciej po południu, dopóki nie wrócą. Ja przyjadę nieco po zapadnięciu wieczoru.

– Brzmi nieźle. Zadbam o to, żeby wyjeść ci całe jedzenie z lodówki i obejrzeć najdroższe programy telewizyjne w pakiecie *pay-per-view*. Nie masz nic przeciwko temu, że kupię sobie parę rzeczy z twojego konta przez telezakupy?

– Sam, ty wiesz jak imprezować.

– Masz cholerną rację.

Rzuca mi szeroki, słodki uśmiech i idzie na szczyt wzgórza do swojego domku. Przyglądam mu się, całkiem nieświadoma tego, że również się uśmiecham. Wydaje mi się to całkiem normalne.

„Normalność – myślę sobie, gdy w końcu uśmiech znika z mojej twarzy – jest teraz bardzo niebezpieczna”. Oszukiwałam się przekonaniem, że mogę żyć w tym świecie, ale mój prawdziwy świat kryje się pod spodem, w mroku. To miejsce, w którym nic nie jest bezpieczne, trwałe ani normalne. W obecności Sama prawie o tym zapomniałam. Jeśli tu zostanę, pomogę dzieciom, ale ryzykuję całą resztę.

Tu nie ma dobrych odpowiedzi, jednak tym razem nie będę tylko silna.

Tym razem oddam cios za cios.

Następnego dnia mam nieludzko wczesny lot z Knoxville do Wichity, gdzie kiedyś mieszkałam, a stamtąd jadę wypożyczonym autem do El Dorado. Więzienie ma dziwnie industrialny charakter, przypominając ogromny kompleks fabryczny otoczony kilometrami pustkowi. Jednak człowiek nie ma żadnych wątpliwości, czym naprawdę jest, gdy tylko zobaczy iskrzące się w słońcu ogrodzenie przyozdobione kryzą z drutu kolczastego. Nigdy wcześniej tu nie byłam. Nie wiem, co robić. Powietrze ma inny zapach. Przypomina mi o starym życiu i domu, które dawno przepadły. Dom został zajęty przez bank, gdy byłam w więzieniu. Jakiś miesiąc później ktoś podłożył w nim ogień, a budynek spalił się do gołej ziemi. W jego miejscu pobudowano cmentarz.

Gdy chcę się ukarać, patrzę w Google Maps na miejsce, w którym dawniej mieszkałam. Staram się nałożyć obraz domu na wierzch cmentarza, odtwarzając go z pamięci. Wydaje mi się, że wielki, kamienny blok z tablicą pamiątkową znajduje się dokładnie na środku dawnego garażu Mela i jego sali tortur. Całkiem stosownie.

Nie zbaczam z trasy, by rzucić okiem na okolicę w drodze do El Dorado. Nie mogę. Jestem skupiona wyłącznie na jednej rzeczy, gdy stosuję się do instrukcji wydanych przez strażnika odnośnie do tego, gdzie zaparkować i co mogę wnieść ze sobą do środka. Zostawiłam glocka w sejfie w bagażniku jeepa, który został w Knoxville. Jedyne, co ze sobą mam, to ubrania, w których przyjechałam, przedpłaconą kartą bankomatową z pięciuset dolarami na koncie, tablet, telefon i stary dowód osobisty Giny Royal.

Przechodzę przez proces odprawy, w trakcie którego zostają sprawdzone moje dokumenty i pobrane odciski palców. Jestem poddana krytycznym spojrzeniom i szeptom nie tylko ze strony personelu więzienia, ale także kobiet odwiedzających członków swoich rodzin. Nie patrzę nikomu w oczy. Jestem mistrzynią w okazywaniu braku zainteresowania. A strażnicy sprawiają wrażenie wyraźnie zainteresowanych. Nigdy wcześniej nie przyszłam tu, aby odwiedzić Melvina. Na pewno będą gorączkowo omawiać ten temat w całym budynku.

Potem wszystko prócz moich ubrań zostaje zabrane i umieszczone w pokoju strażników, a następną w kolejności jest rewizja osobista. To

upokarzająca, naruszająca prywatną przestrzeń procedura, ale zaciskam zęby i przechodzę przez nią bez narzekania. „To ważne”, myślę sobie. „Mel lubi grać w szachy. Ten ruch, ta wizyta, to mój szach-mat. Aby wygrać, nie mogę sobie pozwolić choćby na mrugnięcie okiem”.

Po ponownym założeniu ubrań jestem prowadzona do kolejnej poczekalni, gdzie zabijam czas czytaniem magazynu plotkarskiego z pozaginаныmi rogami, który zostawiła tu jakaś kobieta przede mną. Mija godzina, nim zjawia się strażnik i wywołuje moje nazwisko – jest młody, ma surowe rysy twarzy i przenikliwe, ostre jak skalpel spojrzenie. Jest Afroamerykaninem. Wygląda na kulturystę. Nie chciałabym z nim zadzierać.

Prowadzi mnie do małego, klaustrofobicznego boks z poplamionym blatem, krzesłem i przytwierdzonym do ściany telefonem. Za barierę służy podrapana, gruba płyta z pleksiglasu. Takich boksów jest cały rząd. Siedzą w nich zdesperowani, przygarbieni ludzie, szukając odrobiny spokoju i człowieczeństwa w miejscu, które nie oferuje żadnej z tych rzeczy. Słyszę strzępy przypadkowych rozmów. „Mama nie czuje się najlepiej”... „Brat znowu został zamknięty za jazdę po pijaku”... „Tym razem nie stać mnie na opłacenie prawnika”... „Chciałabym, żebyś wrócił do domu, Bobby, tęsknimy za tobą”...

Siadam ciężko na krześle, w ogóle go pod sobą nie czując, z kompletną pustką w głowie, i patrzę przez mglistą, plastikową barierę prosto na Melvina Royała. Mojego byłego męża. Ojca moich dzieci. Mężczyznę, który zawrócił mi w głowie urokiem i wdziękiem, który oświadczył mi się w rozkołysanym wagoniku na szczycie diabelskiego młyna w wesołym miasteczku – teraz już wiem, że czekał do chwili, w której poczuje się na tyle zagubiona i samotna, aby go przyjąć. Wtedy uznałam jego gest za szalenie romantyczny. Pewnie uważał za zabawne wyobrażanie sobie, jak spadam gwałtownie w dół, a świadomość, że byłam zdana wyłącznie na jego łaskę, musiała być dla niego podniecająca.

Wszystko, co zrobił, jest dla mnie skażone. Każdy uśmiech był sztuczny. Każdy śmiech mechaniczny. Każda publiczna oznaka czułości była wyłącznie na użytek publiczności.

A tuż pod powierzchnią wszystkiego od zawsze czał się potwór.

Mel nigdy nie imponował sylwetką. Był zwodniczo silny, a podczas procesu dowiedzieliśmy się, że polegał na sztuczkach i podstępach, by

zwabić do siebie kobiety, oraz na paralizatorze i opaskach zaciskowych, którymi je krępował. Przytył. Miękką, drżąca warstwa tłuszczu przykrywa długie, sprężyste mięśnie, a jego mocno zarysowana szczęka straciła na wyrazistości. Był strasznie próżny w kwestii własnego wyglądu. I mojego. Chciał, abym zawsze wyglądała elegancko i schludnie, co dobrze by o nim świadczyło.

Mam spory problem, żeby go rozpoznać, bo został stłuczony na kwaśne jabłko. Oglądam dokładnie zniszczenia na jego twarzy – puchnące sińce, skaleczenia, całkiem zamknięte prawe oko, ledwie otwarte lewe. Wokół szyi ma paskudne, czerwone wybroczyny. Widzę wyraźne ślady czyichś palców. Lewe ucho jest całe w bandażach. Gdy sięga po słuchawkę telefonu, widzę, że kilka palców u dłoni jest złamanych i zabezpieczonych opatrunkiem.

Nie macie pojęcia, jak bardzo mnie cieszy ten widok.

Podnoszę słuchawkę i przykładam ją do ucha, a wtedy Mel odzywa się ochryłym, ale starannie kontrolowanym głosem:

– Witaj, Gina. Trochę ci to zajęło.

– Świetnie wyglądasz – mówię i ku mojemu zaskoczeniu, mój głos brzmi zupełnie normalnie. W środku cała się trzęsę, ale nie wiem, czy to z powodu instynktownego strachu, czy dzikiej radości na widok jego obrażeń. Mel nie odpowiada. – Mówię serio. Ta mina świetnie na tobie wygląda, Mel.

– Dzięki, że przyszedłeś – mówi, jakby mnie tu, kurwa, zaprosił. Jakbyśmy urządzali proszony obiad. – Widzę, że dostałaś mój list.

– A ty moją odpowiedź – odpowiadam i pochylam się do przodu, aby upewnić się, że patrzy mi prosto w oczy. Że widzi obojętność parzącą niczym lód. Boję się go, nieustannie, ale jednocześnie nie mam zamiaru mu tego pokazywać. – To było ostrzeżenie, Mel. Nie próbuj ze mną tych numerów, bo następnym razem zdechniesz. Wyraziłam się wystarczająco jasno? Czy musimy odbębnić kolejną rundę tych gównianych gróźb?

Nie wygląda na przestraszonego. Emanuje tą samą obojętnością, którą pamiętam z czasów aresztowania, procesu i ogłoszenia wyroku – choć istnieje to jedno, szczególne zdjęcie z sali rozpraw, gdy ogląda się przez ramię, które demaskuje bestię kryjącą się w jego oczach. Przyprawia mnie o dreszcze właśnie dlatego, że jest prawdziwe.

Mel sprawia wrażenie, jakby wcale mnie nie słuchał. Głosy w jego głowie i zbrodnicze fantazje muszą być w tej chwili wyjątkowo silne. Ciekawe, czy wyobraża sobie, że rozdziera mnie na strzępy przy akompaniamencie moich wrzasków. A potem dzieci. Chyba tak, bo źrenice jego oczu zmniejszyły się do rozmiaru chciwych, małych punkcików. Mel jest jak czarna dziura. Nawet światło przed nim nie ucieknie.

– Domyślam się, że musiałaś kupić tu sobie paru przyjaciół – mówi. – To dobrze. Każdy potrzebuje przyjaciół, nieprawdaż? Zaskakujesz mnie, Gina. Nigdy nie byłaś dobra w zawieraniu znajomości.

– Nie będę grać w twoje pieprzone gierki, dupku. Przyszłam tu, żeby dać ci jasno do zrozumienia, że musisz o mnie zapomnieć i zostawić nas w spokoju. Nic nas ze sobą nie łączy. Absolutnie nic. Przyznaj to.

Dłonie mi się pocą – jedną ściskam słuchawkę, a druga spoczywa na poplamionym blacie. Nie widzę zbyt dobrze jego oczu. Muszę je zobaczyć, aby wiedzieć, co z nich wygląda.

– Wiem, że nie chciałaś mnie w ten sposób ukarać, Gina. Nie jesteś okrutną kobietą. Nigdy nie byłaś.

Jego głos. Boże. Jest identyczny jak ten w mojej głowie. Idealnie wyważony, spokojny i rozsądny, podszyty współczuciem. Ćwiczył go, jestem tego pewna. Słuchał sam siebie. Poprawiał tak, aby uderzyć we właściwe nuty. Kamuflaż drapieżnika. Myślę o tych wszystkich wieczorach, gdy siedzieliśmy obok siebie, z jego ręką przerzuconą przez moje ramiona, oglądając film lub rozmawiając. O nocach, gdy zwiijałam się w kłębek i tuliłam do jego ciepłego boku, a on mówił coś tym samym, kojącym tonem.

„Ty pieprzony kłamco”.

– Zrobiłam to specjalnie. Każdy siniak. Każde skaleczenie. Zrozum to wreszcie, Mel. To już na mnie nie działa.

– Co takiego?

– Ta... farsa.

Milczy przez chwilę. Prawie jestem w stanie uwierzyć, że zraniłam jego uczucia. Oczywiście gdybym sądziła, że jakieś miał. Nie ma, a przynajmniej nie takie, które umiałabym rozpoznać. Jeśli udało mi się je zranić tak samo jak jego ciało, to nie dbam o to.

Gdy Mel znowu się odzywa, jego głos jest całkiem inny. Głos niby ten

sam, ale jego ton, brzmienie... zupełnie inne. Porzucił maskę, tak jak robi to w każdym trzecim liście.

– Nie powinnaś mnie denerwować, Gina.

Nienawidzę dźwięku swojego dawnego imienia w jego ustach. Ani sposobu, w jaki praktycznie je wymruczał.

Ignoruję go, bo wiem, że brak jakiejkolwiek reakcji zbija go z tropu. Po prostu siedzę w milczeniu na swoim krześle, obserwując go. Nagle Mel pochyła się do przodu. Strażnik stojący po jego stronie bariery skupia na nim całą swoją uwagę niczym wiązkę lasera, a jego dłoń zawisa w powietrzu nad paralizatorem, w który jest wyposażony. Najwyraźniej nikt tu nie chce zabijać więźniów na oczach rodzin.

Mel zdaje się nie zwracać uwagi, albo ma gdzieś, że strażnik stoi tuż za jego plecami.

– Wiesz, twoi internetowi fani nadal cię szukają – mówi jeszcze cichszym głosem. – Byłoby szkoda, gdyby nigdy cię nie znaleźli. Nie jestem w stanie sobie wyobrazić, co by zrobili. A ty?

Cisza między nami trzeszczy niczym przewód pod napięciem. Powoli pochylam się do przodu, aż moja twarz znajduje się niecałe trzy centymetry od pleksiglasu. Sześć centymetrów od niego.

– Jeśli dojdzie do mnie choćby strzęp informacji, że wiedzą, gdzie jestem, wykończę cię.

– Powiedz, jak masz zamiar to zrobić, Gina. Bo to ja mam władzę. Zawsze ją miałem.

Wpatruję się w niego pustym wzrokiem. Trzyma telefon w prawej dłoni, ale lewą ma schowaną pod blatem. Jest zasłonięta przez jego ciało przed wzrokiem strażnika, który stoi tuż za nim. Strażnika, który w tym momencie nie patrzy na Mela, tylko na mnie.

Ze wstrząsem uświadamiam sobie, że Melvin masuje się tą dłonią po kroczu. Myślenie o tym, jak zaaranżować moje morderstwo sprawia, że mu staje. Czuję obrzydzenie, ale *żadnego* strachu. Już dawno przestało to robić na mnie wrażenie. Nie widzę wyraźnie jego oczu, ale wiem, że wyziera z nich bestia.

Czuję narastający we mnie bunt. I *wściekłość*.

– Zabieraj łapę z fiuta, Melvin. Jeszcze raz mnie wkurzysz, a nic ci z niego nie zostanie. Rozumiesz?

Uśmiecha się do mnie beztrąsko.

– Jeśli tu umrę, wszystko, co wiem, trafi do sieci. Poczyliem pewne przygotowania. Zupełnie jak ty.

Wierzę mu na słowo. Mel jest do tego zdolny – to byłby jego ostatni cios w plecy z za grobu. Nie obchodziłoby go, że skrzywdziłby tym własne dzieci – już nie. Kiedyś je kochał, nie mam co do tego wątpliwości, ale to była egoistyczna miłość. Był z nich dumny, ponieważ był dumny z siebie. Kochał je, bo one kochały jego, bezwarunkowo i niezależnie od wszystkiego.

Jednak w ostatecznym rozrachunku istnieje tylko Mel i chodzące mięso, z którym robił, co chciał. Nauczyłam się tego na własnej skórze.

Przemoc to jedyne, co rozumie, dlatego poprosiłam Absaloma o tę przysługę. Chcę, aby Melvin *poczuł*, czym ryzykuje, gdy rzuci się za nami w pościg. Strach przed śmiercią to jedyna rzecz, która może go przekonać, aby zostawił nas w spokoju. Nie wiem, czy boi się bólu. Wiem, że go doświadcza, lecz strach w jego przypadku to pojęcie dość skomplikowane. Jedna rzecz jest pewna: nie będzie chciał umrzeć ani zostać kaleką na całe życie, chyba że odbędzie się to na jego własnych warunkach. Wynosi kontrolę na odrażająco perwersyjny poziom.

– Sprawa wygląda następująco. Zostawisz nas w spokoju i zapomnisz o ściganiu nas, a ja nie każę nikomu zerznąć cię metalowym prętem i stłuc na miazgę pod prysznicem. Co ty na to?

Usta ma spuchnięte i popękane, ale mimo to uśmiecha się, a wtedy posiniaczona skóra rozciąga się i tryska z niej szkarłatna krew, spływając strumyczkiem po jego brodzie. Cieknie mu po złamanych palcach i wsiąka w czysty, bawełniany bandaż, na którym widać powiększającą się, czerwoną plamę. Potwór wreszcie wyszedł z ukrycia. Mel albo tego nie zauważa, albo przestało go to obchodzić.

– Skarbie – mówi. – Nie wiedziałem, że jesteś gotowa na taką przemoc. To naprawdę seksowne.

– Pieprz się.

– Pozwól, że powiem ci, jak będzie, Gina. – Lubi wypowiadać moje stare imię. Obracać je na języku. Smakować. Wszystko mi jedno. I tak nie jestem Giną. – Znam cię. Jesteś równie tajemnicza co nakręcana zabawka. Wrócisz do swojej małej, wiejskiej chatki i będziesz się modlić, żebym nie dotrzymał słowa ze swoimi groźbami. Będziesz się wahać przez dzień lub dwa, a potem dojdiesz do wniosku, że nie możesz

polegać na mojej dobrej woli, po czym weźmiesz moje dzieci i znowu uciekniesz. Niszczysz je tym całym uciekaniem i ukrywaniem się. Myślisz, że się nie złamią? Brady popada w milczący obłąd, a ty niczego nie widzisz. Ale *ja* tak. Jabłko nie pada tak daleko od jabłoni. A ty uciekniesz, rozbijesz ich życie i skazesz na kolejne ześlizgnięcie się w otchłań...

Rozłączam się w trakcie jego spokojnej, niesamowicie zrównoważonej tyrady, wstaję i patrzę na niego przez brudny plastik. Inni ludzie opierali się o barierkę. Widzę spocone odciski dłoni i niewyraźny ślad szminki.

Pluję na niego.

Ślina trafia w pleksiglas i spływa w dół. Sprawia, że wygląda, jakby płakał, nie licząc przyprawiającego o mdłości uśmiechu, który nie schodzi mu z twarzy. Przez chwilę czuję się wszystkim przytłoczona – smrodem potu i lizolu, którymi cuchnie to miejsce. Widokiem świeżej krwi ciekącej mu po brodzie. Przekonujący, straszny sposób, w jaki jego głos nadal wkrada się do mojej głowy, wyzwalając dreszcze strachu, wstrętu i brak wiary w siebie, ponieważ kiedyś ufałam *temu czemuś*.

Mel nadal mówi coś do słuchawki.

Nie podnoszę jej, ale opieram dłonie o blat i patrzę potworowi prosto w oczy. Mężczyźnie, którego poślubiłam. Ojcu moich dzieci. Zabójcy ponad dwunastu młodych kobiet, których ciała falowały pod powierzchnią wody, gnijąc powoli. Jedna z nich nigdy nie została zidentyfikowana. Nie jest nawet *wspomnieniem*.

Nienawidzę go tak bardzo, że czuję, jakbym umierała. Siebie również nienawidzę.

– Zabiję cię – mówię, wypowiadając słowa tak wyraźne, że jest w stanie rozróżnić je nawet przez dźwiękoszczelną barierę. – Ty ohydny, pieprzony potworze. – Mam świadomość, że nagrywają mnie na kamerze w osłonie zainstalowanej wysoko nad naszymi głowami. Mam to gdzieś. Jeśli kiedykolwiek wyląduję po złej stronie bariery, być może będzie to cena, jaką przyjdzie mi zapłacić za chronienie dzieci. Nie mam z tym żadnego problemu.

Mel wybucha śmiechem. Rozchyła wargi, otwiera je, a ja widzę ciemną jamę jego ust. Pamiętam, że gryzł tymi zębami swoje ofiary, przeżuwał nimi kawałki ich ciał. Wyraz jego oczu musiał być wtedy taki sam jak

teraz, gdy wysiła się, aby otworzyć spuchnięte, posiniaczone powieki. W ogóle nie przypomina to spojrzenia człowieka.

– Uciekaj – mówi, wymawiając słowo wyraźnie, abym mogła odczytać je z ruchu warg. – Uciekaj, gdzie pieprz rośnie.

Wychodzę. Powoli, bez okazywania jakichkolwiek emocji.

Pieprz się, Mel.

W drodze powrotnej na lotnisko trzęsę się tak bardzo z powodu opóźnionej reakcji, że muszę zjechać z trasy i kupić słodki napój z dużą ilością cukru, aby uspokoić zszargane nerwy. Piję go na parkingu, a potem decyduję się zrobić objazd. Na nosie mam ogromne okulary przeciwsłoneczne, a na głowie blond perukę i kapelusz z dużym, opadającym rondem. Już prawie zmierzcha, gdy parkuję samochód cztery przecznice dalej i idę w kierunku pustej działki, na której dawniej stał nasz rodzinny dom.

Mały park jest całkiem przyjemny. Gęsta, zielona trawa została starannie przycięta. Jest tu rabata pełna kolorowych kwiatów i surowy, marmurowy placyk z szumiącą fontanną. Czytam napis na tabliczce, który ani słowem nie odnosi się do niego jak do miejsca zbrodni. Widnieje na niej lista ofiar Mela, data, a na końcu słowa „Pokój niech będzie temu miejscu”.

Niedaleko stoi ławka. Dalej widać mały stolik i krzesła z kutego żelaza, które stoją na betonowym patio jakieś trzy metry dalej, gdzie mógł się znajdować nasz salon.

Nie siadam. Nie mam prawa, aby czuć się tutaj komfortowo. Patrzą tylko, pochylam na moment głowę i odchodzę. Jeśli ktoś mnie obserwuje, nie chcę, aby mnie rozpoznał albo podszedł. Chcę uchodzić za kobietę, która wyszła na spacer w ładny dzień.

Mam wrażenie, że jestem obserwowana, ale wydaje mi się, że to przez poczucie winy ciężące mi na ramionach. Duchy nadal unoszą się nad tym miejscem, głodne i wściekłe. Nie mogę ich za to winić. Mogę winić jedynie siebie.

Wracam do samochodu i wyjeżdżam z parkingu odrobinę za szybko, jakby coś mnie goniło. Pokonuję wiele kilometrów, zanim znów czuję się

bezpieczna i pozbywam się duszącej, spoconej peruki oraz kapelusza. Okulary zostawiam, bo bez nich zachód słońca za bardzo razi mnie w oczy.

Zatrzymuję się na poboczu i wyciągam tablet. Zasięg nie jest najlepszy, więc muszę poczekać, aż nagrania się załadują, ale w końcu się udaje. Widzę swój dom, od frontu, z tyłu, z dalszej perspektywy i od środka. Widzę Sama na zewnątrz, jak przybija deski do nieskończonego tarasu.

Dzwonię do niego, a on informuje mnie, że wszystko jest w porządku. Zwykły, spokojny, dzień. Bez żadnych niespodzianek.

Normalność jest jak niebo, nieosiągalne i zakazane. Jestem aż nadto świadoma, jak wielką siłę w dalszym ciągu ma nad nami Mel. Nie mam zielonego pojęcia, jak nas znalazł, i pewnie nigdy się tego nie dowiem. Musi mieć informatora, to pewne. Ktokolwiek sprzedaje mu informacje, może nie mieć pojęcia, jak wielką wyrządza szkodę. Mel to urodzony kłamca. Zawsze był mistrzem manipulacji. To złośliwy wirus na wolności, a ja powinnam była wykorzystać swoją szansę i zabić sukinsyna. Jeśli zadzwonię do Absaloma, żeby zaaranżował coś w tej sprawie, będzie mnie to kosztować więcej, niż jestem w stanie zapłacić. A jeśli chodzi o zlecenie morderstwa, nawet morderstwa człowieka przebywającego w celi śmierci... jakaś część mnie wzdraga się przed tym pomysłem. Może chodzi o obawę, że zostanę przyłapana, a moje dzieci zostaną same na świecie. Bezradne i całkowicie bezbronne.

Przez resztę trasy zachowuję wyjątkową ostrożność. Jestem nadmiernie świadoma tego, że istnieją ludzie, którzy mogą mnie śledzić, desperacko próbuję więc wrócić jak najszybciej do domu. Każda minuta mojej nieobecności to minuta, w której nie mogę ochronić dzieci, być ich tarczą. Korzystam z punktu ekspresowego zrzutu bagażu. Kontrola bezpieczeństwa trwa całe wieki, a ja mam ochotę wrzeszczeć na idiotów, którzy nie wiedzą, że muszą zdjąć buty, wyjąć laptopy na wierzch i telefony z kieszeni.

Kiedy udaje mi się wreszcie przejść, okazuje się, że to bez znaczenia, ponieważ mój lot do Knoxville został odwołany. Muszę czekać dwie godziny na następny. W myślach obliczam dystans. Ogarnia mnie gorączkowa chęć, aby wsiąść z powrotem za kółko, zająć się czymś, ale to potrwałoby jeszcze dłużej.

Muszę czekać. Zajmuję miejsce przy kontakcie i ładuję tablet. Oglądam

nagrania z domu, gdy słońce zaczyna zachodzić, a obraz przybiera bardziej ziarnisty odcień szarości. Przełączam się na kamerę wewnątrz i widzę, że Sam siedzi na kanapie z kieliszkiem w ręku i ogląda telewizję. Lanny przygotowuje coś w kuchni. Nie widzę Connora, ale pewnie siedzi w swoim pokoju.

Cały czas obserwuję wnętrze domu. Na wypadek... czegokolwiek. Nie wyłączam podglądu, nawet gdy wchodzimy wreszcie na pokład samolotu, i robię to niechętnie dopiero wtedy, kiedy steward każe mi wyłączyć internet. Staram się nie myśleć, co może się stać w czasie, gdy jestem w powietrzu. Lot nie trwa zbyt długo, ale dla mnie ciągnie się w nieskończoność. Wyciągam tablet, jak tylko kontrolka nad głową pokazuje, że mogę, podłączam się do kosztownego wi-fi i sprawdzam wszystko ponownie.

W domu panuje spokój. Niesamowity spokój. Myślę o zakrwawionym uśmiechu Mela i orientuję się, że drzę, jakbym zamarzała. Może faktycznie tak jest. Wyłączam górny nawiew i proszę o koc, a potem przez resztę lotu oglądam przerywane od czasu do czasu zakłóceniami nagranie, aż do momentu, w którym kierujemy się na lotnisko.

Dotarcie do bramki i wyjście z samolotu zajmuje wieczność. Obserwuję kamery przez całą drogę do drzwi. W chwili, w której przez nie przechodzę, chowam tablet i biegnę tunelem, mijając po drodze innych pasażerów. Pędzę sprintem przez terminal w stronę wyjścia. Znowu odczuwam na karku czyjś gorący oddech. Czuję coś w rodzaju draśnięcia kłapiącymi szczękami.

Gdy wybiegam na zewnątrz w gorącą ciemność, gorączkowo szukam miejsca, w którym zaparkowałam jeepa. Gdy wreszcie go znajduję, znowu sprawdzam kamery, po czym kładę włączony tablet ekranem do góry na siedzeniu pasażera, wyjeżdżając z lotniska i kierując się w stronę Stillhouse Lake. Dzwonię do Sama i mówię mu, że jestem już w drodze.

Gdy tylko mam okazję, zerkam na obraz z kamer, upewniając się, że moje dzieci są bezpieczne, że nikt ich nie dopadł... Przez całą drogę widzę przed oczami upiorny uśmiech na poobijanej twarzy Mela.

Uśmiech, który mówi mi, że to jeszcze nie koniec.

Że między nami to jeszcze nie koniec.

Rozdział szósty

Jest już ciemno, gdy skręcam w drogę prowadzącą do Stillhouse Lake. Jadę zbyt szybko, przyśpieszając na czarnych, pozbawionych oświetlenia zakrętach, mając nadzieję, że nikt nie spaceruje dziś tą ścieżką i nie prowadzi auta z wyłączonymi światłami.

Całe szczęście, nikogo nie ma. Wokół panuje cisza. Paradoksalnie, wjeżdżam na podjazd z poczuciem ulgi, chociaż ten dom, to sanktuarium, przestał być bezpieczny. Jest iluzją. Zawsze nią był.

Sam Cade siedzi na werandzie, pijąc piwo, gdy podjeżdżam i wyłączam reflektory. Sięgam po tablet, żeby go wyłączyć, ale okazuje się, że bateria już dawno padła. Chowam go i biorę kilka głębokich wdechów na uspokojenie. W pewnym sensie nigdy się nie spodziewałam, że wrócę i wszystko będzie w porządku.

A przecież taka była moja najskrytsza nadzieja.

Wysiadam i dołączam do Sama na werandzie. W milczeniu podaje mi butelkę Samuela Adamsa, którą otwieram i z wdzięcznością wychylam. Smakuje wybornie, jak powrót do domu.

– Cholernie krótka ta wycieczka – mówi. – Wszystko w porządku?

Jestem ciekawa, jakie biją ze mnie emocje, że o to spytał.

– Tak. Tak myślę. Musiałam dopilnować pewnej sprawy. Wszystko załatwione.

„Wcale nie. Nic nie jest załatwione. Myślałam, że zrozumie moją wiadomość, ale on nawet się nie przejął. W ogóle się mnie nie boi. Co oznacza, że to ja muszę zacząć bać się jego. Znowu”.

– Udało nam się zbudować stelaż pod taras. Potrzebujemy jeszcze paru dni, żeby położyć deski i zaimpregnować drewno, i będzie można z niego korzystać. – Waha się przez chwilę, po czym mówi: – Gwen, godzinę

temu była tu policja. Chcieli z tobą porozmawiać o... no wiesz, dziewczynie z jeziora. Powiedziałem im, że oddzwonisz.

Żołądek kurczy mi się ze strachu, ale kiwam głową i mam nadzieję, że nie wyglądam na zaniepokojoną.

– Pewnie chwytają się wszelkich możliwych tropów. Myślałam, że już dawno rozwiązali tę sprawę.

„A może pojawiło się coś nowego? Coś dzięki uprzejmości Mela?”

– Chyba niczego nie rozwiązali, bo nie udało im się złapać mordercy – mówi. Upija kolejny łyk piwa. – Niczego nie ukrywasz, prawda?

– Nie, oczywiście, że nie.

– Pytam, bo nie spodobał mi się sposób, w jaki mnie potraktowali. Lepiej zachowaj ostrożność, gdy będziesz z nimi rozmawiać. Może powinnaś wziąć prawnika.

Prawnika? Moim pierwszym odruchem są szok i negacja, ale potem zmieniam zdanie. To może być dobry pomysł. Mogłabym wyznać prawnikowi każdy szczegół ze swojej przeszłości, a jego obowiązywałaby tajemnica zawodowa. Może zrzucenie z ramion tego ciężaru sprawiłoby, że w końcu poczułabym się dobrze. A może nie. Skoro nadal nie potrafię zaufać Samowi, to zaufanie jakiemuś prowincjonalnemu prawnikowi spoza Norton będzie niemożliwe. To małe miasteczko. Ludzie bez przerwy plotkują.

Zmieniam temat.

– Jak dzieci?

– W porządku. Zjadły pizzę na obiad. Odrobiły pracę domową. Nie były specjalnie uszczęśliwione. W sensie, pracą domową. Jedzenie bardzo im smakowało.

– To normalne. – Nagle uświadamiam sobie, że umieram z głodu. Nie licząc kawy i napoju gazowanego, przez cały dzień nie zjadłam żadnego konkretnego posiłku. – Zostało trochę pizzy?

– Przy dwójce nastolatków? Chyba śniesz, jeśli myślisz, że nie zjadły w całości dużej pizzy. – Uśmiecha się kątem ust. – Właśnie dlatego zamówiłem dwie. Trzeba ją tylko lekko podgrzać.

– Brzmi cudownie. Zjesz ze mną?

Siedzimy przy kuchennym stole w przyjemnej ciszy, a ja pożeram dwa kawałki i zastanawiam się nad trzecim. Lanny wypada ze swojego pokoju po napój energetyczny i kradnie kawałek pizzy. Unosi brwi ze

zdziwienia i mówi:

- Wróciłaś.
- Nie ekscytuj się tak.

Otwiera szeroko oczy, macha rękami i mówi denerwująco słodkim, piskliwym głosem:

- Wróciłaś! Och, mamusiu, tak bardzo za tobą tęskniłam!

O mały włos, a udławiłabym się kawałkiem pizzy. Lanny uśmiecha się pod nosem i wraca do siebie, niepotrzebnie trzaskając drzwiami. Hałas sprawia, że Connor wysuwa głowę ze swojego pokoju. Na mój widok uśmiecha się szeroko.

- Cześć, mamó.
- Cześć, skarbie. Potrzebujesz pomocy z pracą domową?
- Nie, już odrobiłem. Łatwizna. Cieszę się, że wróciłaś.

W jego ustach brzmi to zupełnie szczerze, a ja uśmiecham się ciepło. Ciepło znika, gdy Connor wycofuje się do swojego pokoju, a ja jestem zmuszona stawić czoła ponurym faktom: „Mel wie, gdzie jesteśmy. On wie. Mówił o Bradym. Opowiadał konkretnie o moim synu”.

Odpowiedź jest oczywista. Van Javiera jest gotowy. Muszę tylko pojechać tam swoim jeepem, zamienić pojazdy, załadować nasze bagaże i ruszyć w drogę. Znaleźć miejsce, w którym możemy zacząć wszystko od nowa. Możemy skorzystać z zapasowych tożsamości, które leżą zakopane w skrytce prawie dziewięćdziesiąt kilometrów stąd. Umieściłam tam również część pieniędzy, których na razie nie będę ruszać. Mam przy sobie ponad trzydzieści tysięcy dolarów. Będę musiała zapłacić Absalomowi w bitcoinach, aby załatwił nam nowe dokumenty po tym, jak obecne ulegną zniszczeniu. Będzie nas to kosztować co najmniej kolejne dziesięć tysięcy. Sądząc po łatwości, z jaką Absalom się tym zajmuje, przypuszczam, że pracuje dla jakiejś sekretnej agencji szpiegowskiej, gdzie tworzenie fałszywych tożsamości jest na porządku dziennym.

Melvin się spodziewa, że będę uciekać. Sam tak powiedział. Wszyscy uciekają jak najdalej od potwora. „Wszyscy oprócz pogromcy potworów”, odzywa się głos w mojej głowie. Tym razem nie należy do Mela. Jest mój. Jest spokojny, zrównoważony i zdeterminowany. „Nie rób tego. Jesteś tu szczęśliwa. Nie pozwól mu wygrać. Masz przewagę i on o tym wie. Nie chce umrzeć, a ty zawsze możesz skorzystać z tej opcji”.

Zastanawiam się nad tym, kończąc pizzę i piwo. Sam przygląda mi się, ale ani razu nie przerywa ciszy, o nic nie spyta. Podoba mi się, że tego nie zrobił.

– Sam... – mówię w końcu. – Muszę ci coś powiedzieć. Jeśli wyjdiesz, nie ma sprawy. Nie będę mieć ci tego za złe. Ale muszę komuś zaufać i doszłam do wniosku, że tym kimś będziesz ty.

Wygląda na trochę zaskoczonego.

– Gwen... – Czuję, że chce mi coś powiedzieć, więc czekam, ale nie robi tego. W końcu kręci głową. – W porządku. Wal.

– Na zewnątrz. Nie chcę, żeby dzieci cokolwiek podsłuchały.

Wychodzimy na dwór i siadamy na krzesłach. Znad jeziora unoszą się strzępy mglistych oparów, dodając mu tajemniczości. Księżyc jest w pierwszej kwadrze, ale opromienia nocne niebo usiane gwiazdami niczym podziurawiony kulami znak drogowy. Jest na tyle jasno, że widzimy siebie nawzajem.

Mimo to nie patrzę na Sama. Nie chcę zobaczyć chwili, w której to wszystko do niego dotrze.

– Tak naprawdę nie nazywam się Gwen Proctor – mówię. – Jestem Gina Royal.

Czekam. Kątem oka zauważam, że język jego ciała nie uległ zmianie.

– W porządku – mówi. Uświadamiam sobie, że nie znał wcześniej tego nazwiska.

– Byłam żoną Melvina Royała. Na pewno go pamiętasz. Słyszałeś o masakrze w Kansas?

Bierze gwałtowny oddech i odchyła się na krzesło. Przystawia piwo do ust i osusza całą butelkę na raz, po czym siedzi w milczeniu, obracając ją w dłoniach. Słyszę plusk wody. Zapewne ktoś pływa we mgle. Nie słychać warkotu silnika, więc pewnie wiosłują. Noc jest dość ciemna na takie rzeczy, ale niektórzy ludzie to lubią.

– Zostałam postawiona przed sądem jako współniczka. Nazwali mnie Małym Pomocnikiem Melvina. Nie byłam nim. Nie miałam pojęcia o tym, co zrobił, ale to nie miało żadnego znaczenia: ludzie wierzyli w to, co chcieli wierzyć. Wyszłam za mąż za potwora, spałam w jego łóżku. Jakim cudem mogłam tego nie wiedzieć?

– Dobre pytanie – mówi Sam. – Jakim cudem? – W jego głosie słychać twardą nutę. Jest mi przykro.

Z trudem przełykam ślinę, czując na języku posmak metalu.

– Nie wiem... Mel był świetny w *udawaniu* człowieka. Był dobrym ojcem. Mój Boże, w ogóle się tego nie spodziewałam. Myślałam, że jest po prostu... ekscentryczny. Że oddaliliśmy się od siebie, jak wszystkie małżeńskie pary. Dowiedziałam się o wszystkim tylko dlatego, że czyjś SUV wjechał w ścianę garażu, a policja odkryła w środku jego ostatnią ofiarę... Widziałam ją, Sam. Widziałam ją. I już nigdy, przenigdy, nie zapomnę, jak to było. – Przerrywam i patrzę na niego. Nie siedzi zwrócony twarzą do mnie. Obserwuje zmarszczki na powierzchni jeziora i unoszącą się mgłę. Jego twarz jest tak pozbawiona wyrazu, że nie potrafię odczytać żadnych emocji, które nim targają. – Zostałam oczyszczona z zarzutów, ale to niewiele znaczy. Ludzie, którzy wierzą, że jestem winna, nie odpuszczą. Chcą mnie ukarać. I udało im się. Musieliśmy się przenosić, uciekać, stale zmieniać nazwiska.

– Może mają rację – mówi. Ton jego głosu jest zupełnie inny. Sztywny i ostry. – Może nadal myślą, że jesteś winna.

– Nie jestem! – To miejsce w moim wnętrzu, o którym myślałam, że może w nim wykiełkować nadzieja, boli. Czuję, jak umiera. – A co z moimi dziećmi? Nie zasługują na ten horror.

Sam nie mówi nic przez bardzo długi czas, ale nie podnosi się i nie odchodzi. Myśli. Nie wiem, co dzieje się w jego głowie. Wiele razy nachodzi mnie wrażenie, że zaraz się odezwie, ale on robi inaczej, a chwila przyska.

Gdy w końcu się odzywa, mówi rzecz, której najmniej się spodziewałam.

– Pewnie martwisz się o to, że ktoś cię śledzi. Na przykład rodziny ofiar.

– Tak. Przez cały czas. Dlatego tak trudno mi komuś zaufać. Pewnie domyślasz się dlaczego. W końcu udało nam się stworzyć tutaj dom, Sam. Nie chcę stąd uciekać. Ale teraz...

– Zabiłaś ją? Dziewczynę z jeziora? Dlatego mi o tym wszystkim mówisz?

Na chwilę odbiera mi mowę. Gapię się na jego profil i nie potrafię sformułować zdania. Czuję odrętwienie, takie jak po poważnym urazie. „Popełniłam straszliwy błąd”, myślę. „Ty idiotko”. Nigdy bym nie pomyślała, że Sam tak szybko dojdzie do podobnej konkluzji.

– Nie – mówię w końcu, bo co mam właściwie powiedzieć? – Nigdy nikogo nie zabiłam. Nigdy nikogo nie *skrzywdziłam*. – To nie do końca prawda. Mam przed oczami sińce i skaleczenia na twarzy Mela, pamiętam gorzką satysfakcję płynącą z widoku tych obrażeń. Nie licząc tego konkretnego przypadku, cała reszta jest prawdą. – Nie wiem, jak mam cię o tym przekonać.

Sam nie odpowiada. Siedzimy przez chwilę, pogrążeni w milczeniu. Cisza jest krępująca, ale ja nie chcę być osobą, która musi ją przerwać.

Robi to Sam.

– Gwen, wybac. Czy nadal powinienem nazywać cię...

– Oczywiście. Zawsze. Z tego, co wiem, Gina Royal już dawno nie żyje.

– A... a twój mąż?

– Były mąż. Żyje. Siedzi w więzieniu w El Dorado. Właśnie tam dzisiaj pojechałam.

– Nadal go *odwiedzasz*? – Wstręt w jego głosie jest namacalny. Poczucie zdrady, zupełnie jakbym zniszczyła wyobrażenie, które o mnie miał. – Na litość boską, Gwen...

– Nie odwiedzam. To był pierwszy raz, gdy go widziałam od czasu jego aresztowania. Możesz mi wierzyć, że prędzej podciąłabym sobie żyły, niż na niego spojrzała. Tyle że on *mi groził*. Groził *moim dzieciom*. Właśnie to próbuję ci powiedzieć: wie, gdzie jesteśmy, cholera wie skąd. Wystarczy, że szepnie słówko jednej z osób, które nas prześladowają. Musiałam się z nim zobaczyć, żeby dać mu jasno do zrozumienia, że nie mam zamiaru brać udziału w jego grze.

– I jak ci poszło?

– Tak jak się tego spodziewałam – mówię. – Stoję przed bardzo trudnym wyborem. Uciekać albo zostać. Chcę zostać, Sam, ale...

– Ale o wiele mądrzej byłoby uciec – dokańcza za mnie. – Posłuchaj, nie mam pojęcia, przez co musisz przechodzić, ale nie martwiłbym się byłym mężem w więzieniu tak bardzo, jak... krewnymi ofiar. Stracili członka rodziny. Może myślą, że jeśli on też straci jednego, to tak będzie sprawiedliwie.

To również mnie martwi. Niepokoi mnie rzeczywisty, słuszny gniew i żal tych ludzi. Niepokoi mnie sadystyczna napastliwość Patrolu Psycholi, dla którego to zwykłe ćwiczenie z socjopatii. Martwi mnie dosłownie każdy.

– Może. Chryste. Nie mogę powiedzieć, że tego nie rozumiem, bo rozumiem aż za dobrze. – Urywam i wypijam kolejny łyk piwa, żeby pozbyć się z ust nieprzyjemnego posmaku. – Mel jest w celi śmierci, ale minie jeszcze dużo czasu, nim przywiążą go do fotela, a ja sądzę, że on się zabije, zanim do tego dojdzie. Nie będzie chciał, aby ktokolwiek miał nad nim kontrolę.

– W takim razie może nie powinnaś uciekać – mówi Sam. – On tego oczekuje, że będziesz się stale bać i zmieniać adres. – Milknie i odkłada butelkę na podłodze werandy. – Boisz się?

– Cholernie – przyznaję. W obecności Mela powiedziałabym „kurewsko”. Dziwne. Przy nim przeklinałam jak szewc, bo wyzwalał tłamszoną we mnie wściekłość, ale nie chcę używać takiego języka przy Samie. Nie mam poczucia, że muszę się bronić. Nie potrzebuję tarczy. – Nie powiem, że nie obchodzi mnie, co się ze mną stanie. Oczywiście, że obchodzi. Ale moje dzieci... Już teraz muszą dźwigać wystarczająco dużo, będąc dziećmi kogoś takiego jak... on. Wiem, że lepiej dla nich będzie, jeśli zostaniemy, ale jak mam podjąć takie ryzyko?

– One wiedzą? O ojcu?

– Tak. Większość. Robię, co mogę, aby uchronić je przed odkryciem najgorszych szczegółów, ale... – Wzruszam bezradnie ramionami. – W dobie internetu Lanny prawdopodobnie zdążyła dowiedzieć się już niemal wszystkiego. Connor... Boże, mam nadzieję, że nie. Dorosłemu jest trudno znieść to wszystko, a co dopiero komuś w jego wieku.

– Dzieci są silniejsze, niż ci się zdaje. I mają zamiłowanie do makabry. Ja też taki byłem. Fascynowałem się martwymi rzeczami. Opowiadałem krwawe historie. Ale istnieje różnica między wyobraźnią a rzeczywistością. Nie pozwól, aby kiedykolwiek zobaczyły zdjęcia.

Przypominam sobie, że był w Afganistanie. Zastanawiam się, co takiego widział, że stał się tak ponury. Pewnie więcej niż ja, choć w trakcie swojego procesu musiałam stawić czoła tym wszystkim potwornym zdjęciom, przerażeniu i wściekłości rodzin ofiar. Tym, którzy mieli odwagę, aby przyjść, choć wtedy nie było ich jeszcze tak dużo. Gdy zostałam uniewinniona, na werdykt oczekiwały już tylko cztery osoby.

Troje z nich groziło mi śmiercią.

Większość rodzin przyjechała na proces Mela, a przynajmniej tak słyszałam, i wyszli zdruzgotani. Mel uważał cały proces za śmiertelnie

nudny. Ziewał, a potem zasnął. W którymś momencie wybuchnął nawet śmiechem, gdy matka zemdlała po tym, jak pierwszy raz zobaczyła zdjęcie rozkładającej się twarzy swojego dziecka unoszącego się pod wodą. Czytałam o tym w gazetach.

Dla Mela ból tamtej kobiety – tamtej matki – był *niczym*.

– Sam... – Sama nie wiem, co chcę mu powiedzieć. Wiem jednak, co chciałabym, aby *on* powiedział: że wszystko będzie dobrze. Że mi wybacza. Że porozumienie, które wzajemnie wypracowaliśmy, ta krucha, nieokreślona relacja, nie została zniszczona przez moje wyznanie.

Podnosi się z krzesła, nadal stojąc twarzą do jeziora, i wkłada dłonie do kieszeni dzinsów. Nie muszę się znać na psychologii, aby wiedzieć, że to oznaka wycofania.

– Zdaję sobie sprawę, jak trudna musiała być dla ciebie ta rozmowa. Nie twierdzę, że nie cenię sobie twojego zaufania, ale... muszę się nad tym zastanowić. Nie martw się. Obiecuję ci, że nikomu nie powiem.

– Nigdy bym ci o tym nie powiedziała, gdybym sądziła, że to zrobisz.

Najtrudniejsze wcale nie jest to, że poznał prawdę, lecz rozdzierająca obawa, że odwróci się do mnie plecami, że to ostatnia chwila, w której jesteśmy przyjaciółmi, i w ogóle życzliwi w stosunku do siebie. Nigdy nie sądziłam, że to będzie boleć, ale tak jest. Kruche, małe korzonki, które powoli zapuszczałam, zostały brutalnie wyrwane. Może tak będzie lepiej, wmawiam sobie, ale jedyne co czuję to głęboki smutek.

– Dobranoc, Gwen – mówi, schodząc po schodach... jednak nie do końca. Waha się i w końcu patrzy na mnie. Nie potrafię odczytać wyrazu jego twarzy, ale przynajmniej nie wygląda na złego. – Jesteś pewna, że nic ci nie będzie?

Jego słowa brzmią jak pożegnanie. Kiwam głową i milczę, bo cokolwiek bym powiedziała, i tak nie pomoże. Paranoja wynurza się z ukrycia i zaczyna oplatać mnie swoimi mackami. „Co będzie, jeśli nie dotrzyma słowa? Jeśli się komuś wygada? Zacznie pisać o tym w sieci? A co, jeśli zdradzi naszą prawdziwą tożsamość?”

Uświadamiam sobie, że w pewnym sensie podjęłam decyzję bez podejmowania żadnej decyzji. Ta rozmowa wykluczyła wszelkie pozostałe opcje. Mel wie, gdzie jesteśmy, a teraz Sam Cade wie o wszystkim. Przyjaciół czy nie, sprzymierzeniec czy nie, nie mogę mu ufać. Nikomu nie mogę ufać. Nigdy nie mogłam. Oszukiwałam się

całymi miesiącami, ale pora wreszcie obudzić się ze snu. To wszystko będzie drogo kosztować moje dzieci, ale najpierw muszę ochronić ich ciała, a dopiero potem zajmę się umysłami.

Patrzę, jak Sam znika w ciemnościach, po czym wyjmuję komórkę i wysyłam wiadomość do Absaloma.

„Ostatnia wiadomość. Niedługo wyjeżdżam. Muszę zniszczyć tożsamości i telefony, nowy pakiet potrzebny od zaraz. Na razie mogę używać zapasowych dokumentów”.

Odpowiedź nadchodzi po zaledwie paru sekundach. Ciekawe, kiedy Absalom właściwie śpi, o ile w ogóle to robi.

„Cena za nowe papiery jest taka sama. To może trochę potrwać. Znasz zasady”.

Nigdy nie pyta o przyczynę kolejnej ucieczki. Nie jestem pewna, czy w ogóle go to obchodzi.

Wchodzę do środka i sprawdzam, co u dzieciaków. Mają się dobrze, żyjąc w dwóch oddzielnych światach. Chciałabym mieć ten spokój, ten luksus. Dzika, mroczna radość w spojrzeniu Mela odebrała mi to wszystko, a teraz, gdy nie ma Sama, czuję się naga i odsłonięta w sposób, jakiego nigdy wcześniej nie czułam.

Sięgam po kolejne piwo i siadam przy komputerze. Krok po kroku, wypełniam instrukcję, którą wbił mi do głowy Absalom w sprawie przelewu bitcoinami. Przechodzi mi przez myśl, że będę musiała zniszczyć również ten komputer. Ma w sobie zbyt wiele informacji. Muszę go zabrać, spalić twardy dysk, rozwalić na kawałki i wrzucić do rzeki. Zacząć od początku z nowym sprzętem i kopią zapasową dysku.

„Nowy początek”, myślę sobie, próbując przekonać samą siebie, że to nie jest kolejna ucieczka i że nie pozbywam się kolejnej warstwy tożsamości. Już i tak jestem zdarta prawie do kości.

Zaczynam spisywać w myślach listę rzeczy do zniszczenia, spakowania i zostawienia na miejscu, lecz zanim udaje mi się to zrobić, słyszę głośne pukanie do drzwi. Jest tak gwałtowne i donośne, że prawie spadam z fotela. Wyjmuję pistolet i sprawdzam obraz w kamerze, aby zobaczyć kto jest na zewnątrz.

To policja. A konkretnie oficer Graham, wysoki, umięśniony i w pomiętym uniformie. Nie podoba mi się to, ale odkładam broń do sejfu, zamykam go i idę otworzyć drzwi. Był u mnie niezapowiedzianym

gościem, jadł przy moim stole, a teraz nawet się nie uśmiecha.

– Pani Proctor, proszę, aby pani ze mną poszła.

Szereg myśli przelatuje mi przez głowę, gdy gapię się na niego, zaskoczona. Po pierwsze, musiał mnie szpiegować, skoro wie, że wróciłam do domu. Albo to, albo Sam do niego zadzwonił, co jest równie prawdopodobne. Po drugie, tak późna pora ma mnie zaskoczyć i zbić z tropu. Element taktyki. Znam tę grę tak samo dobrze jak on. Jestem tego prawie pewna.

Czekam kilka sekund w milczeniu, nie ruszając się z miejsca. Walczę z neodpartą falą wspomnień i strachu, i wreszcie mówię:

– Jest bardzo późno. Może pan wejść do środka, jeśli ma pan do mnie jakieś pytania, ale nie zostawię dzieci samych. Nie ma takiej opcji.

– W takim razie niech pani poprosi kogoś, żeby z nimi posiedział. Musi pani pojechać ze mną na komisariat, pani Proctor.

Wpatruję się w niego ostrym wzrokiem. Gina Royal, biedna, głupia słabeuszka, zdenerwowała by się, narzekała, ale i tak poszłaby za nim jak bezwolne ciele. Taka właśnie była – bierna. Na nieszczęście dla Grahama, nie jestem Giną Royal.

– Nakaz – mówię stanowczym, rzeczowym tonem. – Ma pan nakaz?

Moje pytanie sprawia, że cofa się o krok. Przygląda mi się baczniej, zmieniając podejście do swojej taktyki zastraszającej. Zastanawia się nad innymi metodami, odrzuca kilka, a potem odzywa się znacznie przyjaźniejszym tonem:

– Gwen, będzie o wiele łatwiej, jeśli pójdziesz dobrowolnie. Nie ma potrzeby przechodzić przez nieprzyjemności, do których może dojść, gdy zdobędziemy nakaz. Co się stanie z twoimi dziećmi, jeśli sprawa zostanie rozdmuchana, a ty będziesz miała przeszłość kryminalną? Sądzisz, że dasz radę je zatrzymać?

„Świetna linia ataku”, myślę bez mrugnięcia okiem. Przebiegła.

– Potrzebuje pan nakazu, żeby zmusić mnie do pojechania z panem na komisariat. Dopóki go pan nie pokaże, nie muszę odpowiadać na żadne pytania. Mam takie prawo. Dobranoc, oficerze Graham.

Zaczynam zamykać drzwi. Serce wali mi jak oszalałe, a mięśnie napinają się jak postronki, gdy uderza w nie dłoń i przytrzymuje. Jeśli oprze się na nich całym ciężarem ciała, wytrąci mnie z równowagi i wejdzie do środka. Zdążyłam przeanalizować wszystkie opcje. Pistolet

z sejfu jest bezużyteczny. Sejf jest otwierany za pomocą odcisku palca, a on zdąży się na mnie rzucić, zanim zdołam go wyjąć. Najlepszym wyjściem jest odwrót w stronę kuchni, gdzie w szufladzie ze szpargałami ukryłam mały pistolet kaliber .32, nie wspominając już o zestawie noży kuchennych w bloku. Ta cała analiza jest odruchowa, utrwalona przez lata życia w paranoi. Szczerze mówiąc, nie spodziewam się, żeby zastosował przemoc.

Po prostu wiem, jak zareagować na wypadek, jeśli to zrobi.

Oficer Graham przytrzymuje uchylone drzwi, sprawiając wrażenie skruszzonego.

– Proszę pani, otrzymaliśmy informację od pewnej osoby z sąsiedztwa, że widziano panią na łodzi w nocy, gdy ciało tamtej kobiety zostało wrzucone do jeziora. Tak się składa, że opis pasuje do tej samej łódki, którą opisała pani córka. Albo pójdzie pani ze mną, albo oficerowie śledczy będą tu za pół godziny, a oni nie przyjmą odmowy. Jeśli potrzeby będzie nakaz, aby skłonić panią do współpracy, przyniosą go. Po prostu byłoby dla pani lepiej, gdyby poszła pani teraz ze mną.

– Z tego, co rozumiem, nie macie nic prócz anonimowego informatora – mówię, choć w myślach wyję ze strachu. „Sam. Sam mógł ci to zrobić”. Jednak bardziej prawdopodobne jest, że to Mel za wszystkim stoi. – Powodzenia z nakazem. Moja przeszłość jest czysta. Jestem przestrzegającą prawa kobietą z dwójką dzieci i nigdzie się z panem nie wybieram.

Graham poddaje się i pozwala mi zamknąć drzwi. Robię to po cichu, choć mam ochotę nimi trzasnąć. Dłonie trzęsą mi się lekko, gdy zasuwam wszystkie zamki i włączam alarm.

Odwracam się i widzę Connora i Lanny stojących na korytarzu, wpatrujących się we mnie szeroko otwartymi oczami. Lanny wysunęła się przed brata. W dłoni trzyma kuchenny nóż. W tej chwili dociera do mnie z całą mocą, jak bardzo wpłynęła na nich moja paranoja, szczególnie na moją córkę, która najwyraźniej jest gotowa zabić w obronie brata, choć nie ma żadnego bezpośredniego zagrożenia. Cieszę się, że nie wpadła jej w ręce broń.

Oficer Graham ma rację. Muszę zaprowadzić ją na strzelnicę i nauczyć obchodzenia się z bronią. Znam swoje dziecko. Wkrótce wszystkie moje zakazy dotyczące dotykania broni przestaną wystarczać. Lanny wzoruje

się na mnie, choć nie chce, żebym o tym wiedziała. Gdy tak na nią patrzę, jak trzyma nóż, blada, wystraszona, a mimo to nieugięta, kocham ją tak mocno, że to aż boli. Boję się również tego, kim się przeze mnie stała.

– Już dobrze – mówię łagodnym tonem, choć to przecież nieprawda. – Lanny. Odłóż nóż.

– Dźganie policjantów na śmierć to chyba nie najlepszy pomysł, ale mam, jeśli...

– Jeśli wrócą z oficjalnym nakazem, pójdę bez stawiania oporu. A ty zaopiekujesz się Connorem. Connor, będziesz robił wszystko, co każe ci Lanny. Rozumiesz?

– To ja jestem mężczyzną w tym domu – mamrocze pod nosem, a mnie przenika zimny dreszcz, bo słyszę w tym echo słów jego ojca. Jednak w odróżnieniu od niego, nie ma w tym agresji. Tylko marudzenie.

Lanny przewraca oczami, wsuwając nóż z powrotem do bloku, ale powstrzymuje się od komentarza. Zamiast tego delikatnie popycha Connora w stronę jego pokoju. Connor wbija stopy w podłogę i ani myśli się ruszyć. Jest zbyt zajęty patrzeniem na mnie. Jest oczy są pełne zmartwienia, a między brwiami rysuje się pionowa zmarszczka.

– Mamo. Powinniśmy stąd wyjechać. Natychmiast.

– Co takiego? – wypala Lanny, zanim udaje jej się powstrzymać, a ja wiem, że też o tym myślała. Lękała się tego pomysłu i spodziewała. Zbyt długo pozwalałam im balansować na ostrzu noża. – Nie. Nigdzie nie jedziemy. Serio? Naprawdę musimy? *Dzisiaj?*

Dostrzegam w jej oczach błagalną prośbę. Właśnie udało jej się zdobyć przyjaciół, coś, co straciła w Wichicie w następstwie niewyobrażalnej tragedii. Znalazła tu radość, jakkolwiek tymczasową. To nie jest błaganie. To nadzieja.

Nie muszę nic mówić, bo sama dopowiada sobie resztę. Wbija wzrok w ziemię i mówi:

– No tak, oczywiście, że jedziemy. Musimy, prawda? Jeśli gliny zaczną szperać, dowiedzą się...

– Jeśli pobiorą ode mnie odciski palców, to tak, dowiedzą się, kim jesteśmy. Spowalnim ich, żeby dać nam więcej czasu. – Biorę głęboki wdech, tak głęboki, że aż płuca mnie palą. – Spakujcie najpotrzebniejsze rzeczy. Po jednej walizce, dobrze?

– Uznają cię za winną, jeśli teraz uciekniemy – mówi Lanny.

Ma rację. Ale nie mogę zatrzymać tego łańcucha wydarzeń. To zadanie wykracza poza moją kontrolę. Jeśli zostaniemy, ryzykuję, że piekło rozpęta się na obu frontach. Ucieczka sprawi, że *wydam się* winna, ale przynajmniej uda mi się wyciągnąć stąd dzieci, zapewnić im bezpieczeństwo i wrócić, aby oczyścić się z wszelkich podejrzeń.

Connor błyskawicznie zrywa się z miejsca. Lanny patrzy na mnie w ponurym milczeniu i po chwili idzie w ślad za bratem.

– Tak mi przykro – mówię do jej pleców.

Nie odpowiada.

Rozdział siódmy

Jest cholernie późno, ale dzwonię do Javiera i proszę, aby przywiózł vana najszybciej jak się da. Informuję go, że jeep jest gotowy do odebrania, a ja dopłacę mu za fatygę. O nic nie pyta i obiecuje, że będzie u nas za pół godziny. Mamy bardzo mało czasu.

Idę do swojego pokoju, odłączam laptop i wkładam do torby podróżnej. Później rozłożę go na części i wyrzucę. Do myślenia daje mi fakt, że pod tym względem jestem podobna do swojego byłego męża.

„Tym razem jest inaczej, prawda?”, szepcze niedający mi spokoju głos Mela, gdy wciskam do torby rzeczy, które chcę zatrzymać. „Nie uciekasz już tylko przed prześladowcami, ani nawet przede mną. Teraz uciekasz też przed policją. Jak daleko uda ci się uciec, gdy naprawdę zaczną cię szukać? Gdy wszyscy zaczną cię szukać?”

Sięgam po album ze zdjęciami, którego nigdy nie zostawiam, ale zatrzymuję się wpół ruchu. Nie ma w nim zdjęć Mela, tylko moje, dzieci i przyjaciół. Mel równie dobrze mógłby nie istnieć... Z wyjątkiem tego, że ma rację. A przynajmniej Mel w mojej głowie. Jeśli ucieknę, a policja zdecyduje się rozpocząć pościg, sytuacja przybierze całkowicie inny obrót. Wątpię, aby Absalom pomógł mi uniknąć aresztowania. Założę się, że wyda mnie jako pierwszy.

Rozlega się pukanie do drzwi. Wpycham album do torby, zasuwam zamek i zostawiam na łóżku. Reszta mojego dobytku została kupiona za bezcen, można ją łatwo wymienić i się jej pozbyć.

Gdy otwieram drzwi, stoi za nimi Javier.

– Dzięki – mówię. – Zaraz przyniosę ci kluczyki...

– No właśnie, skoro już o tym mowa... – przerywa mi z żalem. – Nigdy tak naprawdę nie mieliśmy okazji, aby o tym porozmawiać, ale

przypominam ci, że jestem zastępcą szeryfa. Usłyszałem w radiu, że policja chce z tobą porozmawiać, mniej więcej w tym samym czasie, gdy zadzwoniłaś w sprawie vana. Nigdzie nie pojedziesz, Gwen. Musiałem do nich zadzwonić.

Tuż za nim stoi detektyw Prester. Dziś ma na sobie ciemny garnitur i niebieski krawat zawiązany tak nieudolnie, że zastanawiam się, czy po prostu nie zawiązał go na supeł i uznał, że jest w porządku. Wygląda na zmęczonego i wkurzonego, a w dłoni trzyma sztywną, potrójnie złożoną kartkę papieru z oficjalną pieczęcią.

– Jestem rozczarowany, pani Proctor – mówi. – Myślałem, że przeprowadziliśmy cywilizowaną rozmowę. A pani chciała zwyczajnie przede mną uciec, co nie wygląda zbyt dobrze. Ani trochę.

Czuję, jak zaciska się wokół mnie pułapka. Nie metalowa, ale coś w rodzaju jedwabistych pasm splatających się w niemożliwą do zerwania sieć. Mogę krzyczeć i wpadać w furję, ale nie ucieknę przed tym.

Cokolwiek to jest.

Posyłam Javierowi sztuczny uśmiech i mówię:

– W porządku.

Nie odwzajemnia go. Obserwuje mnie z nieufną powagą. Wszyscy mają świadomość, że mam pozwolenie na broń. Wiedzą, że jestem niebezpieczna. Ciekawe, czy na zewnątrz w ciemnościach czają się snajperzy.

Myślę o dzieciach i unoszę ręce do góry.

– Nie jestem uzbrojona. Śmiało. Możecie sprawdzić.

Prester czyni honory, szybko i bezosobowo przesuwając rękoma po moim ciele, a ja wracam pamięcią do pierwszego razu, w którym przydarzyło się to Ginie Royal, leżącej na nagrzanym masce rodzinnego minivana. Biedna, głupia Gina, której wydawało się *wtedy*, że to uwłacza jej godności. Nie miała pojęcia, co będzie później.

– Żadnej broni – potwierdza Prester. – No dobrze. Załatwmy to po ludzku, okej?

– Nie będę stawiać oporu, jeśli najpierw pozwolicie porozmawiać mi z dziećmi.

– W porządku. Javier, idź z nią.

Javier kiwa głową, wyciąga z tylnej kieszeni spodni czarne etui i przypina do paska. W środku lśni wypolerowana, złota odznaka

policyjna. Jest teraz oficjalnie na służbie.

Wchodzę do środka i znajduję Lanny i Connora siedzących w napięciu i wpatrujących się w drzwi. Ogarnia ich ulga, ale zauważam zmianę w ich zachowaniu, gdy Javier wchodzi za mną i zajmuje pozycję przy drzwiach.

– Mamo? – pyta Lanny odrobinę łamiącym się głosem. – Wszystko w porządku?

Siadam na sofie i obejmuję ich ramionami, przytulając do siebie mocno. Całuję ich, a potem mówię najłagodniej jak się da:

– Muszę pojechać z detektywem Presterem. Wszystko będzie dobrze. Javier zostanie z wami, dopóki nie wrócę.

Spoglądam na niego, a on kiwa głową i odwraca wzrok. Lanny nie płacze, ale Connor tak, bardzo cicho. Wyciera oczy obiema rękami, a ja wiem, że jest na siebie wściekły. Żadne z nich nie mówi ani słowa.

– Bardzo was kocham – mówię, a potem wstaję. – Proszę, opiekujcie się sobą nawzajem, dopóki nie wrócę.

– O ile wrócisz – mówi Lanny prawie szeptem. Udaję, że nie słyszę, bo gdybym teraz na nią spojrzała, załamałabym się, a oni musieliby wywlekać mnie stąd siłą.

Udaje mi się wyjść z domu o własnych siłach, zejść po schodach i dołączyć do Prestera przy samochodzie. Gdy się odwracam, Javier wchodzi do środka i zamyka drzwi.

– Nic im nie będzie – mówi Prester. Gestem zaprasza mnie na tylne siedzenie i wsiada tuż za mną. To jak dzielenie taksówki, tyle że drzwi nie otwierają się od środka. Przynajmniej czeka mnie darmowa przejażdżka. Graham zajmuje fotel kierowcy i prowadzi.

Prester milczy. Nie umiem określić nastroju, w jakim się znajduje. Mam wrażenie, jakbym siedziała obok kawałka nagrzanego przez słońce granitu wydzielającego nikły zapach środka do czyszczenia na sucho i Old Spice. Ciekawe, jak pachnę dla niego. Pewnie strachem. Duszącą wonią kobiety, która jest winna. Znam sposób myślenia policji. Nie przyszliby po mnie, gdybym nie była – jak lubią to określać – „w kręgu podejrzeń”. A to znaczy, że nie mają wystarczająco dużo dowodów, aby wysunąć oskarżenie. Martwię się o Lanny, na którą olbrzymia odpowiedzialność spadła w najgorszym możliwym okresie życia. Wtedy uświadamiam sobie, że faktycznie myślę tak, jakbym była *winna*.

A nie jestem. Nie jestem winna morderstwa w jeziorze. Nie jestem winna niczego, prócz wyjścia za mąż za niewłaściwego mężczyznę i przeoczenia faktu, że był diabłem w ludzkiej skórze.

Biorę głęboki wdech, wypuszczam powietrze i mówię:

– Cokolwiek myślicie, że zrobiłam, jesteście w błędzie.

– Nigdy nie powiedziałem, że coś pani zrobiła – mówi Prester. – Jak to mówią Anglicy, pomaga nam pani znaleźć odpowiedzi na nasze pytania.

– Jego angielski akcent jest niemal tak samo tragiczny jak umiejętność wiązania krawatów.

– Jestem podejrzana, bo w przeciwnym razie nie otrzymalibyście nakazu – odpowiadam beznamiętnym głosem.

W odpowiedzi Prester rozwija kartkę papieru. To oficjalny dokument z logo miasta na górze i słowem NAKAZ wydrukowanym pogrubionymi literami, ale w miejscu szczegółowych danych widnieją bezsensowne słowa, których graficy używają do zapełnienia luk. *Lorem ipsum*. Wypełniacz tekstu. Posługiwałam się nim tak często, że nie mogę powstrzymać się od śmiechu.

– Nie ma możliwości, abyśmy otrzymali nakaz dzięki dotychczas zgromadzonym informacjom, pani Proctor. Akurat to mogę pani zdradzić bez obaw.

– Fajny rekwizyt. Sprawdza się?

– Przez cały cholerny czas. Idioci z okolicy rzucają na niego jednym okiem i myślą, że to urzędowa łacina czy inna tego typu bzdura.

Tym razem parskam śmiechem, bo oczami wyobraźni widzę pijanego, wściekłego faceta próbującego rozgryźć znaczenie słów. *Urzędowa łacina*.

– Co jest tak pilne, że musieliście przyjechać po mnie w środku nocy?

Widmowy uśmiech Presterera znika, a wyrazu jego twarzy nie da się odczytać.

– Pani nazwisko. Karmiła nas pani samymi kłamstwami. Muszę przyznać, że niespecjalnie mi się to podoba. Dostaliśmy anonimowy telefon odnośnie do pani prawdziwej tożsamości i dowiedzieliśmy się, że może pani planować ucieczkę z miasta. Musiałem podjąć błyskawiczne działania.

Robi mi się zimno, ale nie jestem zaskoczona. To było logiczne posunięcie ze strony mojego byłego męża – uczynić moje życie jeszcze

trudniejszym i żalosnym. Mściwy gest, który miał mnie zaboć. Zatrzymał mnie w Norton i uniemożliwił mi rozpoczęcie nowego cyklu. Zamiast odpowiedzieć, odwracam głowę.

– Zdaje sobie pani sprawę, jak dziwnie to wygląda, prawda? – pyta Prester.

Milczę. Nic, co powiem, w żaden sposób nie poprawi mojej sytuacji. Czekam, aż radiowóz wytoczy się na główną drogę prowadzącą do Norton i ruszy w stronę miasta.

Nie wzdragam się, gdy Prester rozkłada przede mną zdjęcia. Po co miałabym to robić? Setki razy stawałam oko w oko z makabrycznymi dokonaniem Melvina. Zdążyłam się do nich w pełni przyzwyczać.

Już tylko dwa zdjęcia nadal budzą we mnie trwogę. Zdjęcie kobiety zwisającej z metalowej pętli w moim dawnym garażu, nagiej, a jednak ogołoczonej jeszcze bardziej przez usunięcie fragmentów skóry. Drugim jest wykonane pod wodą zdjęcie trupiarni Mela, jego kobiet unoszących się w dziwacznych pozach w mrocznej toni, z nogami przykutymi do betonowych bloków. Z niektórych zostały już prawie same szkielety.

Z pozbywania się ciał Mel uczynił prawdziwą sztukę. Doskonale wiedział, jakiego obciążenia użyć. Doszedł do tego metodą prób i błędów na martwych zwierzętach, aż w końcu zyskał pewność, ile ciężaru dodać, aby ciała nigdy nie wypłynęły na powierzchnię. To wszystko zostało ujawnione w sądzie.

Mel jest czymś gorszym od potwora. Jest *inteligentnym* potworem.

Wiem, że wcale nie pomaga mi fakt, że wyraz mojej twarzy pozostaje spokojny w trakcie oglądania makabrycznych zdjęć, a ciało jest nieruchome i nie drgnie nawet na milimetr, ale wiem też, że udawanie od razu wyjdzie na jaw. Patrzę na Prestera ponad szeregiem zdjęć.

– Jeśli chciał mnie pan zaszokować, musi się pan bardziej postarać. Proszę sobie wyobrazić, ile razy musiałam oglądać wcześniej podobne zdjęcia.

Nie odpowiada. Zamiast tego dokłada do sterty jeszcze jedno zdjęcie. Zostało zrobione w dokach Stillhouse Lake, prawdopodobnie całkiem blisko mojego domu. Widzę znoszone buty od garnituru, które Prester

ma teraz na sobie, a które zostały uchwycone na dole zdjęcia, oraz standardowe, wypolerowane, czarne trzewiki, które należą do jednego z umundurowanych funkcjonariuszy, pewnie do Grahama. Wpatruję się w buty, aby uniknąć gapienia się na to, co znajduje się na środku zdjęcia.

Gdy w końcu jestem zmuszona na nią spojrzeć, okazuje się, że młoda kobieta jest kompletnie nie do rozpoznania. Wygląda jak anatomiczna rycina przedstawiająca różowe mięśnie, zmętniałe, żółte ścięgna i prześwitujące gdzieś białe kości. Ma zapadnięte, szkliste oczy, a połowę jej oskórowanej twarzy przesłaniają mokre, ciemne włosy. Usta pozostały nienaruszone, co sprawia, że szokująca fotografia prezentuje się jeszcze makabryczniej. Nie chcę nawet myśleć, dlaczego jej usta nadal są pełne i idealne.

– Jej ciało zostało obciążone – mówi Prester. – Lina została przecięta przez wirnik, a bakterie jelitowe wyniosły ją na powierzchnię. I tak nie utrzymałaby się długo na dnie, skoro pozbawiono ją skóry. Gazy gnilne miały mnóstwo otworów, przez które mogły uciec. Przypuszczam, że pani doskonale o tym wie. W końcu tak postępował pani mąż, prawda?

Ofiary Mela nigdy nie wypłynęły na powierzchnię. Udałoby mu się zgromadzić kolejny tuzin do stworzenia milczącego, falującego, podwodnego ogrodu, gdyby nie doszło do *Zdarzenia*. To jedyna rzecz, której nie można mu zarzucić: bycie złym w tym, co robił.

– Melvin Royal lubił robić takie rzeczy kobietom, jeśli to ma pan na myśli.

– Pozbywał się ciał swoich ofiar w wodzie, czyż nie tak?

Kiwam twierdząco głową. Teraz, gdy udało mi się spojrzeć na martwą dziewczynę, nie mogę odwrócić wzroku. To boli, zupełnie jak wpatrywanie się prosto w słońce. Wiem, że powidok utrwali się w mojej wyobraźni i zostanie tam do końca mojego życia. Z trudem przełykam ślinę. Mam sucho w gardle. Zanoszę się kaszlem i nagle dopadają mnie silne mdłości. Jakimś cudem udaje mi się powstrzymać, ale czuję, jak pot oblewa moją nagle zimną skórę.

Prester od razu to zauważa. Ma przy sobie butelkę z wodą, którą przesuwając po stole w moją stronę. Zdejmuję korek i piję łąpczywie, wdzięczna za zimny ciężar osadzający się w żołądku. Wypijam pół butelki, zakręcam i odkładam na bok. To sprytny manewr, mający na

celu pobranie ode mnie próbki DNA. Mam to gdzieś. Jeśli detektyw zdecyduje się chwilę poczekać, może poprosić o przesłanie potwierdzenia z Departamentu Policji w Kansas. Moja sprawa została udokumentowana, wydrukowana, obfotografowana i umieszczona w aktach kartoteki. Mimo że Gina Royal od dawna nie żyje, nadal łączy nas ta sama krew i ciało.

– Chyba dostrzega pani mój problem – mówi tym swoim leniwym, ciepłym głosem. Jego niskie, dźwięczne brzmienie nasuwa mi myśli o dawnych, wieszających sędziach, kapturach, sznurach i pętlach. Przypominam sobie dziewczynę dyndającą na końcu metalowego drutu. – Była pani zamieszana w podobną sprawę w Kansas. Została oskarżona o współudział. Chodzi mi o to, że trudno uznać to za zwykły zbieg okoliczności.

– Nie miałam pojęcia, co robił Mel. *Nigdy*. Aż do dnia wypadku.

– Zabawne, że pani sąsiadka twierdziła co innego.

Pomimo wysiłku włożonego w to, aby zachować spokój, jego uwaga irytuje mnie.

– Pani Millson? Była złośliwą plotkarą, która upatrzyła w tym swoją szansę na zaistnienie jako gwiazda jakiegoś reality show. Złożyła fałszywe zeznania, żeby znaleźć się w wiadomościach. Mój prawnik obalił je w sądzie. Wszyscy wiedzą, że kłamała, *a ja nie miałam z tym nic wspólnego*. Zostałam uniewinniona!

Prester patrzy na mnie bez mrugnięcia okiem. Wyraz jego twarzy się nie zmienia.

– Uniewinniona czy nie, sprawa nie wygląda zbyt dobrze. Ten sam rodzaj zbrodni, te same cechy charakterystyczne. A zatem omówmy wszystko krok po kroku.

Kładzie kolejne zdjęcie, zakrywając poprzednie. W pewnym sensie jest niemal tak samo niepokojące co pierwsze, ponieważ widzę młodą brunetkę z zalotnym uśmiechem, siedzącą z głową pochyloną tak, że dotyka nią głowy innej kobiety. Ta druga, blondynka o pełnym zadumy spojrzeniu, jest w podobnym wieku. To chyba przyjaciółki. Nie są do siebie na tyle podobnie, aby być krewnymi.

– Tak kiedyś wyglądała ta dziewczyna, Rain Harrington, którą znaleźliśmy w naszym jeziorze. Ładna. Bardzo lubiana w okolicy. Miała dziewiętnaście lat. Chciała być weterynarzem. – Kładzie kolejne zdjęcie,

na którym przytula rannego, zabandażowanego psa. To jawna manipulacja i sentymentalizm, ale mimo to czuję, jak przetaczają się przeze mnie niczym delikatne trzęsienie ziemi. Spuszczam wzrok. – Miła, ładna dziewczyna, która nie miała żadnych wrogów. *Niech pani nie odwraca wzroku!*

Ostatnie zdanie to szokująco głośny ryk. Jeśli Prester spodziewa się, że się skrzywię, to będzie bardzo rozczarowany. Skoro nie robię tego na strzelnicy, na dźwięk odrzutu broni, to z całą kurewską pewnością nie okażę mu żadnej oznaki słabości *tutaj*. Mimo to przyznaję, że ma świetną taktykę. Policja z Kansas mogłaby nauczyć się czegoś od detektywa Presterera. Przełączył się z jednego trybu na drugi tak szybko i swobodnie, że nie mam wątpliwości, że musiał ćwiczyć w naprawdę trudnym miejscu... Sądząc po jego akcencie, prawdopodobnie w Baltimore. Łamał prawdziwych kryminalistów.

Jego problem polega na tym, że nie jestem jednym z nich.

Wpatruję się bacznie w zdjęcie. Serce boli mnie z powodu tej biednej dziewczyny. Nie dlatego, że coś jej zrobiłam, ale dlatego, że jestem *człowiekiem*.

– Zdarła pani z niej większość skóry, gdy jeszcze żyła – mówi detektyw cichym, łagodnym głosem, który przypomina jeden z wielu głosów w moje głowie. Na przykład Mela. – Nie mogła krzyczeć, bo miała przecięte struny głosowe. To dopiero wyczyn. Z tego, co wiemy, była związana w każdym możliwym stawie, a na głowie miała zaciśniętą skórzaną opaskę. Zaczęła pani od stóp i szła w górę. Wiemy, w którym dokładnie momencie umarła. Żywa tkanka reaguje, martwa nie.

Nie odzywam się. Nie ruszam się z miejsca. Staram się nie wyobrażać jej przerażenia i agonii, całkowicie bezsensownej, niepotrzebnej tragedii, która ją spotkała.

– Robi to pani dla męża? Dla Mela? Zmusza panią do tego?

– Domyślam się, że pana zdaniem ma to jakichś chory sens – mówię takim samym tonem. Może detektyw Prester też słyszy głosy w swojej głowie. Mam taką nadzieję. – Mój były mąż to potwór, więc dlaczego ja miałabym nim nie być? Która *normalna kobieta* wyszłaby za mąż za takiego mężczyznę, a tym bardziej z nim została?

Gdy unoszę wzrok, przeszywa mnie swym spojrzeniem na wskroś. Czuję, jak parzy, ale nie odwracam się. Niech patrzy. Niech *zobaczy*.

– Gdy wyszłam za Melvina Royała, zrobiłam to, ponieważ mnie *poprosił*. Nie byłam szczególnie piękna. Nie sądzę, abym była szczególnie bystra. Zostałam nauczona, że cała moja wartość opiera się na uszczęśliwieniu jakiegoś mężczyzny, byciu jego żoną i urodzeniu mu dzieci. Byłam dla niego *idealna*. Niewinna, wychowywana pod kloszem dziewica, która uległa fantazji o rycerzu w lśniącej zbroi, który już na zawsze miał ją kochać i chronić.

Prester słucha w milczeniu, postukując długopisem w notatnik i obserwując mnie.

– Chodzi o to, że w gruncie rzeczy byłam głupia. To ja *zdecydowałam*, że chcę być jego idealną, siedzącą w domu żoną i matką. Mel świetnie zarabiał, a ja dałam mu dwójkę cudownych dzieci. Tworzyliśmy szczęśliwą rodzinę. To było *normalne*. Wiem, że pan w to nie wierzy. Do diabła, sama nie wierzę, że byłam aż tak naiwna. Całymi latami urządzałam przyjęcia gwiazdkowe i urodziny, chodziłam na spotkania komitetu rodzicielskiego, konkursy taneczne, woziłam dzieci na zajęcia kółka teatralnego i do klubu piłki nożnej, *i nikt niczego nie podejrzewał*. Na tym polega prawdziwy talent Mela. Jest tak dobry w udawaniu człowieka, że nawet ja się nabrałam.

Prester unosi brwi ze zdumienia.

– A ja sądziłem, że poczęstuje mnie pani mową zgnębionej przez los kobiety. Czy to nie jest przypadkiem pani standardowa odpowiedź?

– Być może – odpowiadam. – I być może większość z tych kobiet to ofiary. Ale Mel nie był... – Wracam pamięcią do tamtej chwili w naszej sypialni, gdy zacisnął miękki sznur wokół mojej szyi, a ja zobaczyłam jego zimne, gadzie spojrzenie, za którym kryła się nienawiść. Instynkt podpowiedział mi, że to, co robił, było złe. – Mel to potwór. Ale to nie znaczy, że nie mógł być dobry w udawaniu całej reszty. Jak pan myśli, co czuję, gdy sobie pomyślę, *że spałam z tym czymś? Że zostawiałam z tym dzieci?*

Cisza. Prester nie mówi nic, żeby ją przerwać.

– Gdy zajrzałam do tego zdemolowanego garażu i odkryłam prawdę, coś się zmieniło. *Przejrzałam* na oczy. *Wszystko zrozumiałam*. Gdy patrzę na to z perspektywy czasu, widzę wskazówki, drobiazgi, które się nie zgadzały i nie miały sensu, ale wiem, że wtedy, biorąc pod uwagę moje wychowanie i poglądy, nie zdawałam sobie sprawy z ich znaczenia.

– Wypijam kolejny łyk wody, a plastikowa butelka wydaje z siebie trzask niczym wystrzał z pistoletu. – Po uniewinnieniu zmieniłam tożsamość i zaczęłam ochraniać dzieci. Myśli pan, że chciałabym znów mieć coś wspólnego z Melvinem Royalem? Nienawidzę go. Gardzę nim. Jeśli kiedykolwiek stanie na mojej drodze, wpakuję my w łeb cały pieprzony magazynek, tak że nie zostanie nic, po czym można by go rozpoznać.

Mówię szczerą prawdę. Wiem, że detektyw Prester potrafi ją instynktownie wyczuć. Nie podoba mu się, ale pieprzyć to. Ja tu walczę o życie. O kruche poczucie bezpieczeństwa, które udało mi się utrzymać.

Prester milczy, nie spuszczaając ze mnie wzroku.

– Nie macie żadnych dowodów – mówię w końcu. – Nie dlatego, że jestem równie inteligentna co Hannibal Lecter, ale dlatego, że nie zrobiłam nic tej biednej dziewczynie. Nigdy wcześniej jej nie widziałam. Przykro mi z powodu tego, co się z nią stało, i nie, nie jestem w stanie wytłumaczyć, dlaczego doszło do tego akurat w miejscu, w którym mieszkam. Chciałabym, aby było inaczej. Mel ma wyznawców, którzy wielbią każde jego słowo, ale nawet wtedy nie byłabym w stanie powiedzieć, jak udało mu się nakłonić kogokolwiek, aby to dla niego zrobił. Żaden z niego Rasputin ani nawet Manson. Nie mam pojęcia, co sprawia, że ktoś może być takim psychopata. A pan?

– Natura – mówi beznamiętnym tonem. – Wychowanie. Urazy mózgu. Cholera, najgorsi w ogóle nie mają żadnych wymówek. – Powiedział „oni”, nie „ty”. Ciekawe, czy się zorientował. – Może powie mi pani, co sprawiło, że Mel stał się takim człowiekiem, skoro żyła pani w jego najbliższym otoczeniu?

– Nie mam bladego pojęcia – odpowiadam zupełnie szczerze. – Jego rodzice byli wspaniałymi ludźmi. Nie widywałam ich zbyt często, a oni zawsze byli delikatnego zdrowia. Gdy patrzę na to z perspektywy czasu, to wydaje mi się, że się go bali. Nigdy o tym nie myślałam, zanim zmarli.

– W takim razie co sprawia, że *pani* rozrywa te kobiety na kawałki?

Wzdycham głęboko.

– Panie detektywie. Wyszłam za mąż za potwora i nie byłam wystarczająco mądra, aby w porę to zauważyć. To jedyne, co mam sobie do zarzucenia. Niczego nie zrobiłam.

Walkujemy temat przez prawie cztery godziny. Nie proszę o prawnika,

choć zastanawiam się nad tym pomysłem. Jednak jakość usług, jakie mogłabym otrzymać w Norton, nie zapowiada się obiecująco. Nie, lepiej trzymać się prawdy. Mimo całych swych umiejętności, detektyw Prester nie wmówi mi, że kłamię. Mogłoby mu się to udać w czasach, gdy byłam dawną, łatwowierną Giną Royal, ale to nie jest moja pierwsza runda przesłuchań i on dobrze o tym wie. Nic na mnie nie ma. Otrzymał anonimowy telefon sugerujący mój udział w tym wszystkim, ale przecież mógł go wykonać internetowy troll, który odkrył moją tożsamość, albo ktoś, kogo mój były mąż opłacił, aby wywołać zamieszanie. Mimo to instynkt go nie zawodzi... To, że ta młoda, biedna kobieta została zamordowana w tak znajomy sposób, a jej ciało wyrzucone do jeziora tuż za moim domem, nie może być przypadkiem.

Ktoś chce nam przekazać wiadomość.

To musi być Mel.

To osobliwy, niepokojący zwrot akcji, a ja mam nadzieję, że to faktycznie Mel, bo przynajmniej go znam. Wiem, gdzie jest. „Tyle, że ktoś mu pomaga”, myślę. „Ktoś gotowy zrobić wszystko, o co Mel poprosi”. Nie będę kłamać, że mnie to nie przeraża. Nie chcę, żeby następna w kolejce była Lanny. Albo Connor, zamordowany we własnym łóżku. Nie chcę umrzeć na końcu drucianej pętli, cierpiąc niewyobrażalne katusze obdzierania ze skóry.

Prester odsyła mnie do domu późno w nocy. Norton wygląda na wymarłe. Na pustych ulicach nie ma ani jednego samochodu. Robi się coraz ciemniej i ciemniej. Radiowóz skręca w stronę jeziora. Odwozi mnie oficer Lancel Graham – chyba dlatego, że może potem pojechać prosto do domu. Nie odzywa się do mnie, a ja nie próbuję nawiązać rozmowy. Opieram głowę o chłodną szybę i chciałabym móc zasnąć. Jednak dziś na pewno nie zmrużę oka i pewnie jutro też nie. Zdjęcia zamordowanej kobiety rozbłyskują makabrycznymi kolorami pod moimi powiekami i z całą pewnością nie dam rady odpędzić ich mruganiem.

Ofiary Mela nigdy nie nawiedzały go w snach. Zawsze spał jak kamień i budził się wypoczęty.

To mnie śnią się koszmary.

– Jesteśmy na miejscu – mówi Graham, a ja uświadamiam sobie, że sedan się zatrzymał, a ja zamknęłam oczy i jakimś cudem udało mi się zapaść w niespokojną drzemkę. Dziękuję mu, gdy wychodzi i otwiera mi

drzwi. Podaje mi nawet swoją dłoń, co biorę za gest uprzejmości, ale ogarnia mnie niepokój, gdy nie puszcza od razu mojej ręki. Widzę – a raczej *czuję* – jak mi się przygląda. – Wierzę pani, pani Proctor – dodaje, zaskakując mnie. – Prester wpadł na ślepy trop. Wiem, że nie ma pani z tym nic wspólnego. Przykro mi. To na pewno niszczy pani życie.

Ciekawe, ile Prester mu powiedział i czy informacja o moim pierwszym nazwisku, o Ginie Royal, zdążyła już wyciec. Przypuszczam, że nie. Graham nie wygląda, jakby wiedział o moim byłym mężu.

Wydaje się po prostu przygnębiony i lekko zmartwiony.

Dziękuję mu ponownie, tym razem serdeczniej, a on wypuszcza moją dłoń. Javier wychodzi na werandę, potrząsając kluczykami. Najwyraźniej chce już wracać do domu.

– Dzieci... – zaczynam.

– Nic im nie jest – mówi, przerywając mi. – Śpią, a przynajmniej udają, że śpią. – Rzuca mi ostre, bezwzględne spojrzenie. – Długo cię nie było.

– To nie ja, Javier. Przysięgam.

Mamrocze coś pod nosem, co brzmi jak „akurat”, ale trudno cokolwiek usłyszeć przez hałas odpalanego przez Grahama radiowozu. Rozbłysk tylnych świateł oblewa twarz Javiera szkarłatem. Wygląda na zmęczonego i pociera twarz rękoma jak człowiek, który chce się z niej pozbyć kilku ostatnich godzin. Zastanawiam się, czy to sprawi, że przestanie być moim przyjacielem, tak jak Sam Cade. Z pewnością odstraszy to oficera Grahama, jak tylko pozna moją przeszłość – co prawda, nie jest moim przyjacielem, ale zachowuje się w stosunku do mnie po przyjacielsku.

Każdy odchodzi. Już dawno powinnam to wiedzieć. Każdy oprócz dzieci, które nie mają w tej kwestii nic do powiedzenia, bo ugrzęzły w tym bagnie po samą szyję, tak samo jak ja.

– Kobieto, w coś ty się wpakowała? – pyta mnie Javier, ale nie sądzę, by chciał poznać prawdę. – Powiedziałem ci, że jestem zastępcą szeryfa. Lubię cię, ale jeśli przyjdzie co do czego...

– Spełnisz swój obowiązek, tak jak dzisiaj. – Kiwam głową. – Rozumiem to. Po prostu jestem zaskoczona, że zgodziłeś się pomóc mi w opuszczeniu miasta.

– Myślałem, że uciekasz przed agresywnym byłym. Mnóstwo razy

widywałem to spojrzenie. Nie wiedziałem...

– Czego nie wiedziałeś? – pytam bez ogródek, patrząc mu prosto w oczy. Nie wiem, co myśli, ale nie sędzę, aby wiedział, co sama myślę. Nie do końca.

– Że byłaś zamieszana w coś takiego – mówi.

– *Nie* jestem zamieszana!

– Fakty prezentują się inaczej.

– Javi...

– Bądźmy ze sobą szczerzy, pani Proctor. Jak zostanie pani oczyszczona z zarzutów, między nami wszystko wróci do normy. Ale do tego czasu zachowajmy dystans, dobrze? Radziłbym pani zabrać z domu całą broń i zawieźć ją na strzelnicę na przechowanie. Możemy ją tam dla pani trzymać, dopóki sprawa nie przycichnie, a ja złożę pisemne oświadczenie pod przysięgą dla policji. Nie podoba mi się, że...

– Że przyjdzie tu policja, a ja mam pod ręką cały arsenał, tak? – pytam łagodnym głosem. – Że będą przypadkowe ofiary?

Kiwa powoli głową. W jego języku ciała nie ma cienia agresywności, ale kryje się za nim siła, spokojna męska siła, która sprawia, że chcę mu uwierzyć. Zaufać.

Nie robię tego.

– Zatrzymam broń do czasu, aż zobaczę sądowe pismo nakazujące mi jej oddanie – informuję go bez mrugnienia okiem. Jeśli uzna tę odpowiedź za agresywną, to już jego sprawa. W tej chwili, w *każdej* chwili, począwszy od teraz, nie mogę pozwolić sobie na to, aby ktoś uznał mnie za słabą. Nie chodzi o mnie. Mam dwójkę dzieci w domu i jestem odpowiedzialna za ich życie – życie, które nigdy nie jest bezpieczne ani stabilne. Zrobię wszystko, co konieczne, aby je obronić.

Nie mam zamiaru oddawać broni.

Javier wzrusza ramionami. Sam gest mówi, że ma to gdzieś, ale powolny, pełen żalu sposób, w jaki go wykonuje, zdaje się mówić co innego. Nie żegna się ze mną, tylko odwraca i podchodzi do białego vana, którym przyjechał. Tym samym, którym prawie udało mi się uciec. Nim zdążę cokolwiek powiedzieć, opuszcza szybę i rzuca mi akt własności jeepa. Nie mówi ani słowa, że nasza umowa została anulowana, ale z drugiej strony, wcale nie musi.

Trzymając dokument w ręku, patrzę, jak odjeżdża wielkim,

transportowym vanem, po czym odwracam się i wchodzę do domu.

Jest ciemno i cicho. Bezgłośnie sprawdzam jeszcze raz wszystkie zabezpieczenia i ponownie ustawiam alarm. Dzieci są przyzwyczajone do jego odgłosów, więc nie sądzę, aby to je obudziło... ale gdy idę korytarzem, aby sprawdzić co u Connora, Lanny otwiera drzwi swojego pokoju. Przez chwilę patrzymy na siebie w ciemnościach, po czym zaprasza mnie do środka i zamyka za mną drzwi.

Moja córka zwiija się w kłębek na łóżku, podciągając kolana i obejmując je rękami. Rozpoznaję tę pozę, choć ona pewnie nie. Pamiętam, jak wiele razy znajdowałam ją w takim stanie, wiele miesięcy po uwolnieniu mnie z aresztu po zakończonym procesie. To postawa obronna, choć Lanny sprawia, że wygląda na całkiem naturalną.

– Jednak nie wsadzili cię z powrotem do więzienia – mówi.

– Nic nie zrobiłam, Lanny.

– Ostatnim razem też nic nie zrobiłaś – wytyka mi, co jest absolutną prawdą. – Nienawidzę tego. Connor jest śmiertelnie przerażony.

– Wiem. – Siadam na łóżku, a ona odsuwa palce stóp tak, żeby mnie nie dotknąć. Serce mi pęka, ale nieco otuchy dodaje mi fakt, że nie wzdraga się, gdy kładę dłoń na jej kolanie. – Skarbie, nie będę cię okłamywać. Twój ojciec wie, gdzie jesteśmy. Chciałam nas stąd zabrać, ale...

– Ale doszła do tego ta sprawa z martwą dziewczyną, a policja wie, kim jesteśmy, i nie możemy wyjechać – dokańcza za mnie. Bystra dziewczyna. Nie mruga, ale widzę, że w jej oczach lśnią łzy. – W ogóle nie powinnam była nic mówić. Gdybym nie...

– Kochanie, przestań. Zrobiłaś, co należało. Nawet tak nie myśl.

– Gdybym niczego nie powiedziała, już dawno byśmy stąd uciekli – ciągnie upartym tonem. – Znów bylibyśmy bezdomni, ale przynajmniej bezpieczni, a on nie wiedziałby, gdzie jesteśmy. Mamo, skoro on wie...

Milknie, a łzy w jej oczach robią się większe, coraz bardziej błyszczące, aż w końcu spływają jej po policzkach. Nie wyciera ich. Nie jestem pewna, czy zdaje sobie sprawę z tego, co się dzieje.

– Skrzywdzi cię – mówi ledwie słyszalnym szeptem, po czym pochyla głowę i opiera ją o kolana.

Przysuwam się do niej i obejmuję. Moje dziecko przypomina w dotyku twardy supeł mięśni, kości i smutku. Nie rozluźnia się. Mówię jej, że

wszystko będzie dobrze, ale wiem, że mi nie wierzy.

W końcu zostawiam ją samą, milczącą, zamkniętą w swoim ochronnym kokonie, i idę sprawdzić, co u jej brata. Wygląda na pogrążonego we śnie, ale nie sędzę, by spał. Jest blady, a pod oczami ma ciemne, lekko fioletowe kręgi przypominające sińce. Jest taki zmęczony.

Ja również.

Zamykam cicho drzwi, idę do swojego pokoju i zapadam w pozbawiony snów sen wśród głębokiej ciszy zalegającej w Stillhouse Lake.

Rankiem w jeziorze unosi się ciało kolejnej dziewczyny.

Rozdział ósmy

Budzi mnie krzyk. Siadam prosto na łóżku i wygrzebuję się z niego, zanim jeszcze dociera do mnie, że nie śpię. Ubieram się w tempie strażaka, zakładając spodnie i koszulkę. W drodze do drzwi naciągam buty. Wychodząc z sypialni, uświadamiam sobie, że nie krzyczało żadne z moich dzieci. Drzwi ich pokoi również otwierają się gwałtownie. Lanny stoi zaspana we flanelowym szlafroku. Connor ma na sobie spodnie od piżamy, a włosy sterczą mu z boku głowy.

– Zostańcie tutaj! – krzyczę na nich, podbiegając do frontowych drzwi. Odsuwam zasłony i spoglądam na jezioro.

Krzyki dochodzą z małej łódki oddalonej od doku o jakieś sześć metrów. W środku są dwie osoby, starszy mężczyzna w rybackim kapeluszu i roboczej kamizelce oraz wyglądająca na starszą ode mnie kobieta z włosami w kolorze popielatego blondu, która szarpie się w jego objęciach. Mężczyzna przytrzymuje ją, a łódka kołysze się gwałtownie na boki, zupełnie jakby zerwała się wichura i rzuciła łodzią w tył tak nagle, że prawie ją wywróciła.

Wyłączam alarm i wybiegam na zewnątrz, pędząc po żwirze podjazdu, a potem po drewnianym moło. Zwalniam, gdy dostrzegam ciało.

Wyłania się z ciemności. Zwłoki są nagie i leżą na brzuchu. Widzę długie włosy unoszące się na wodzie niczym wodorosty.

W mglistym świetle poranka widok różowych, odsłoniętych mięśni przyprawia o mdłości, ale nie da się go z niczym pomylić. Ktoś zerwał większość skóry z pośladków ofiary, dolnej części pleców i szeroki pas odsłaniający białe kości kręgosłupa. Jednak nie cała skóra została usunięta. Nie tym razem.

Kobieta nagle przestaje krzyczeć i wychyla się gwałtownie za burtę,

żeby zwymiotować. Mężczyzna nie wydał z siebie żadnego dźwięku, a jego ruch, aby uspokoić kołyszącą się łódkę jest automatyczny. To reakcja człowieka, który przebywał na wodzie przez większość swojego życia, ale w tej chwili jest nieobecny. Jest w szoku. Na jego twarzy maluje się osłupienie. Patrzy prosto przed siebie, próbując ogarnąć rozumem to, co widzi.

Wyjmuję telefon i dzwonię pod 911. Nie mam innego wyboru. Doszło do tego tuż pod moimi drzwiami.

Słuchając kolejnych sygnałów, myślę o nieuniknionej, potwornej prawdzie, że ciało spoczywało pod wodą, czekając, unosząc się powoli niczym leniwa, upiorna bańka, która wydostała się w końcu na powierzchnię. Ciało unosiło się w wodzie zeszłej nocy, gdy rozmawiałam z Javierem. Unosiło się, gdy spałam. Mogło czaić się głęboko na dnie w nocy, gdy siedziałam na werandzie z Samem Cade'em, piłam piwo i rozmawiałam o Melvinie Royalu.

Kobieta na łódce wymiotuje po raz kolejny, zanosząc się szlochem.

Wreszcie udaje mi się dodzwonić pod numer alarmowy. Nie myślę o tym, co mówię, ale opisuję zdarzenie, miejsce i podaję swoje nazwisko. Wiem, że mój głos brzmi zbyt spokojnie i że później odbije się to na mnie, gdy ludzie będą przesłuchiwać ponownie nagranie. Ktoś każe mi pozostać na linii, ale nie robię tego. Rozłączam się, wkładam telefon do kieszeni i próbuję *pomyśleć*.

Jedna martwa, potwornie okaleczona kobieta mogła być wyjątkowo okropnym zbiegiem okoliczności. Dwie martwe kobiety wyglądają jak część planu. Wkrótce na miejscu zjawi się policja, a gdy już tu będzie, zostanę aresztowana. Tym razem pytania będą traktowane na poważnie.

Zostanę aresztowana.

Stracę dzieci.

Rozlega się dźwięk przychodzącej wiadomości, więc wyjmuję telefon i widzę, że została wysłana z anonimowego numeru Absaloma. Przesuwam kciukiem po ekranie, aby ją odczytać.

Wiadomość zawiera pojedynczy link. Klikam na niego i patrzę, jak ekran zapełnia się widokiem forum internetowego. Nie obchodzi mnie, co to za forum. Powiększam tekst, żeby przeczytać pierwszy wpis.

Jest o mnie.

Znaleziona: ta mordercza suka! O tak, wysłodziłem małego pomocnika Melvina! Mam zdjęcia i całą resztę. Potwierdzone info. Jego bachory są razem z nią, więc chyba nie zdążyła jeszcze potopić tych małych gnojków. Mam jeszcze lepszy news: doszło do morderstwa! Szczegóły później.

Pod spodem widnieje morze odpowiedzi, całe setki, ale osoba, która opublikowała oryginalny post, powoli dawkuje informacje, zwodzi, rzuca wskazówki i zaprzecza plotkom. I wtedy, jakies pięć przesunień kciuka w dół po ekranie, publikuje jeden konkretny fakt.

DZIWKA UKRYWA SIĘ W STANIE OCHOTNIKÓW.

Ta wiadomość na pewno sprawiła, że połowa użytkowników rzuciła się na Google, aby sprawdzić, o co chodzi, ale ja orientuję się w mgnieniu oka. On wie, że jestem w Tennessee. A to oznacza, że ma prawie stuprocentową pewność, że jestem w Stillhouse Lake. Prawdopodobnie ma te same zdjęcia, które widział Melvin, albo to on sam je wykonał.

Mój ruch nie sprawdził się w przypadku mojego psychopatycznego byłego męża. Melvin spuścił prawdziwą bombę. Wyobrażam go sobie teraz, jak leży na swojej pryczy i zrywa boki ze śmiechu. Oczami wyobraźni widzi, jak zostaje odarta z bezpieczeństwa, jak paski skóry z ciała. Pewnie masturbuje się na samą myśl o tym.

Świadomość tego jest tak bolesna, że aż zapiera mi dech w piersiach.

Przez chwilę mam wrażenie, że jestem w stanie nieważkości. Nie do końca spadam, ale nie czuję też gruntu pod nogami. Wydało się. *To koniec*. Cały mój wysiłek, uciekanie, ukrywanie się... już po wszystkim. W internecie nigdy nic nie ginie.

Trolle nigdy nie zapominają.

Słyszę wyjące w oddali syreny. Policja jest już w drodze. Martwa dziewczyna kołysze się miarowo na wodzie, a jej włosy wirują niczym obłok dymu. Łódka odpływa dalej, kierując się na molo. Rybak najwyraźniej otrząsnął się już z transu. Gdy unoszę wzrok, widzę, że jego twarz nabrała chorowitego koloru jak przed atakiem serca. Wiosłuje wściekle, a jego żona leży przy nim bez sił, wyglądając równie źle. To ludzie, których normalny, bezpieczny świat rozpadł się na kawałki u ich stóp, i którzy wpadli do mrocznej otchłani. Do miejsca, w którym żyję ja.

Widzę światła radiowozu docierającego na odległe wzgórze, wyjeżdżającego z Norton.

Odpisuję Absalomowi. „To już bez znaczenia. Zaraz mnie aresztują”.

Następuję chwila niekończącej się ciszy, po której przychodzi odpowiedź zapowiedziana ostrym, przenikliwym brzęczeniem. Zupełnie jak rozwścieczona osa na sekundę przed użądleniem. „Ja pierdołę. Zrobiłaś to?”

Musi spytać. Każdy musi o to spytać.

Odpisuję „Nie” i wyłączam telefon. Gdy łódka uderza z hukiem w dok – prawie pękając – rzucam linę rybakowi. Lina uderza w jego żonę, czego nie chciałam, ale ona wygląda, jakby nawet tego nie zauważyła.

Wyczuwam, że ktoś nam się przygląda, i odwracam głowę.

Sam Cade stoi na swojej werandzie, oddalony o jakieś dwie długości boiska. Ma na sobie kraciasty, czerwono-czarny płaszcz kąpielowy i kapcie, i patrzy na mnie. Na przerażonych ludzi w łódce. Czuję, jak jego uwaga skupia się na zwłokach w jeziorze, a potem znowu na mnie.

Nie odwracam wzroku. On też tego nie robi.

Odwraca się i wchodzi z powrotem do swojego domku.

Pomagam starszej kobiecie wysiąść z łódki, a potem jej mężowi, i sadzam ich na pobliskiej ławce, po czym biegnę do domu po ciepłe koce. Owijam im je wokół ramion, gdy na miejscu zjawia się pierwszy radiowóz, zatrzymując się z piskiem opon kilka metrów dalej. Jego światła mrugają, ale syrena jest wyłączona. Tuż za nim nadjeżdża kanciasty sedan. Wcale mnie nie dziwi widok detektywa Prestera za kółkiem. Wygląda, jakby w ogóle nie spał.

Czuję się martwa. Odrętwiała. Prostuję plecy, gdy detektyw wysiada z samochodu. Z radiowozu wysiadają dwaj młodzi funkcjonariusze policji. Żaden nie jest oficerem Grahamem, ale poznaję ich z przejazdów po Norton. W drodze jest ich więcej, całe mrowie samochodów jadących w naszą stronę. Ten świt niesie ze sobą poczucie nieuchronności. Wiem, że powinnam się bać, ale nie czuję strachu. Jakimś cudem wszystkie moje obawy zniknęły po zobaczeniu tej kobiety w jeziorze, zmasakrowanej i porzuconej. Zupełnie jakby od samego początku tak właśnie miało być, a ja podświadomie o tym wiedziałam.

Na widok zbliżającego się Prestera odwracam się i mówię:

– Proszę się upewnić, że moim dzieciom nic nie jest. Ktoś wyjawiał

w internecie miejsce naszego zamieszkania. Dzieci otrzymywały pod swoim adresem groźby śmierci. Realne groźby. W tej chwili nie obchodzi mnie, co się ze mną stanie, ale one muszą być bezpieczne.

Jego twarz jest poważna i nieruchoma, ale kiwa w milczeniu głową. Zatrzymuje się obok mnie i patrzy na dwójkę nieszczęśników, która była w łódce. Odwracam się, gdy zaczyna ich przesłuchiwać. Zerkam na domek Sama Cade'a i chwilę później zostaję nagrodzona. Widzę, jak wychodzi z domku, ubrany w sprane dżinsy i zwykłą, szarą koszulkę. Zamyka drzwi – na oba zamki – i schodzi powoli w naszą stronę. Funkcjonariusze nie zdążyli jeszcze ustawić kordonu policyjnego, ale w rzeczywistości nie ma takiej potrzeby. Sam podchodzi i zatrzymuje się parę metrów ode mnie. Przez chwilę nic nie mówimy, a on wkłada dłonie do kieszeni spodni i kołysze się w przód i w tył, patrząc nie na mnie, lecz na ciało unoszące się na wodzie.

– Chcesz, żebym do kogoś zadzwonił? – rzuca w eter, zupełnie jakby pytał martwą dziewczynę. Ja też staram się nie patrzeć prosto na niego. To rodzaj rozmowy, w której żadne z nas nie chce uczestniczyć. Typowe zachowanie dla naszej dwójki.

– Chyba już na to za późno – mówię, mając na myśli siebie i martwą dziewczynę. Obie jesteśmy zagubione i odsłonięte dla świata, bez żadnej nadziei na schronienie. Momentalnie czuję wstyd za to, że nas do siebie porównałam. Nie spędziłam godzin, a może nawet dni, cierpiąc katusze w rękach sadysty, i nie doświadczyłam makabrycznej śmierci. Ja tylko wyszłam za mąż za jednego z nich. – Powiedziałam już Presterowi, ale gdybyś mógł dopilnować, żeby zajął się Connorem i Lanny... Wszystko się wydało, Sam. Wiedzą, gdzie jesteśmy. Zrobiłeś to?

Przenosi na mnie swą uwagę z raptownością, która wydaje się całkiem naturalna. Ogarnia go zaskoczenie, a ja wyczuwam zmianę w jego emocjach.

– Zrobiłem co?

– Obsmarowałeś mnie w internecie?

– Oczywiście, że nie! – wyrzuca z siebie, marszcząc brwi, a ja mu wierzę. – Nie zrobiłbym tego, Gwen. Choćby nie wiem co. Nie naraziłbym ciebie ani dzieci na takie ryzyko.

Kiwam potakująco głową. Nie sądzę, aby to był on, choć podejrzewanie go jest całkiem logiczne. Pewnie jakiś geniusz z Departamentu Policji

w Norton uznał, że pora wymierzyć uzasadnioną, anonimową sprawiedliwość. Równie dobrze mógł to być zwykły urzędnik. Każdy, kto poznał moją prawdziwą tożsamość, łącznie z detektywem Presterem. Nie mogę ich za to winić. Nikt nie zapomniał o Melvinie Royalu.

Ani o jego Małym Pomocniku. Ludzie żywią osobliwą, chorą fascynację seryjnymi mordercami mężczyznami, ale kobiety współniczki są przez nich znienawidzone ze zdwojoną siłą. To toksyczne bagno składające się z mizoginii, usprawiedliwionej furii i prostego, cudownego faktu, że *w porządku* jest zniszczyć taką kobietę, ale nie *w porządku* jest niszczyć innych.

Bycie niewinną nigdy nie zostanie mi wybaczone, ponieważ nigdy taka nie *będę*.

Sam ponownie odwraca wzrok, a ja znów mam irracjonalne poczucie, że chce mi coś powiedzieć. Coś wyznać. Kołysze się w przód i w tył jeszcze przez chwilę, nie mówiąc ani słowa, po czym kręci głową i zaczyna iść w stronę mojego domu.

– Panie Cade, z panem też będę musiał zamienić słowo.

– Znajdzie mnie pan w domu pani Proctor. Pójdę sprawdzić, czy dzieciom nic nie jest.

Widzę, że Prester zastanawia się, czy nalegać dalej, czy nie, ale uznaje, że to najwyraźniej może poczekać. Zdążył już złowić swoją grubą rybę. Nie ma sensu łapać więcej.

Piszę szybko wiadomość do Lanny, że może wpuścić Sama do środka. Gdy Cade dociera do drzwi, otwiera je na oścież i rzuca się w jego objęcia. Connor również. Zdziwiająco, z jaką łatwością go witają. Muszę przyznać, że czuję małe ukłucie bólu.

Po raz pierwszy w mojej głowie pojawia się myśl, że być może moja ciągła obecność w ich życiu nieustannie *ich niszczy*. Kwestia jest tak poważna, tak nieprzyjemna, że oddech więźnie mi w gardle i czuję narastającą w nim kulę. Sytuacja wymyka mi się z rąk. Moje dzieci mogą zostać zabrane przez opiekę społeczną, a ja mogę ich już nigdy nie zobaczyć.

„Przestań. Myślisz dokładnie tak, jak ON chce. Jak bezradna ofiara. Nie pozwól mu odebrać wszystkiego, co osiągnęłaś. Walcz o to”.

Przymykam na chwilę oczy i zmuszam się do odpędzenia wszelkich zmartwień i bólu. Mój oddech uspokaja się, a gdy otwieram oczy,

detektyw Prester kończy rozmawiać z parą, która znalazła ciało. Idzie w moją stronę.

Nie czekam na niego. Odwracam się i kieruję w stronę jego sedana. Słyszę ciche szuranie jego butów po pomoście, gdy przystaje, lekko zaskoczony, ale nie mówi mi, że mam zawrócić. Wiem, że chce porozmawiać ze mną w cztery oczy.

Siadamy na tylnym siedzeniu, ja po stronie pasażera, a on za fotelem kierowcy. Zapadam się w miękką, tanią tapicerkę, wzdychając powoli. Nagle dopada mnie zmęczenie. W głębi duszy nadal jestem przerażona, ale wiem, że cokolwiek będzie się działo, nie dam rady tego zmienić.

– Powiedziała mi pani, że informacje na pani temat pojawiły się w internecie – mówi Prester. – Zanim zaczniemy, chcę, aby pani wiedziała, że nie miałem z tym nic wspólnego. Gdyby to był ktoś z naszego posterunku, dowiedziałbym się o tym i zrobił mu z tyłka jesień średniowiecza.

– Dziękuję, ale to mi teraz w niczym nie pomoże, prawda?

Detektyw doskonale o tym wie. Jego wahanie trwa tylko sekundę, po czym wyciąga z kieszeni dyktafon i włącza go.

– Mówi detektyw Prester z Departamentu Policji w Norton. Mamy... – zerka na zegarek, co uznaję za zabawne, ale po chwili okazuje się, że nosi klasyczny model z wbudowanym kalendarzem – ...dwudziesty trzeci wrześnie, trzydzieści dwie minuty po siódmej. Przesłuchuję Gwen Proctor, znaną też jako Gina Royal. Pani Proctor, teraz odczytam pani prawa, to zwykła formalność.

Oboje wiemy, że nie, a ja uśmiecham się kącikiem ust. Słucham, jak wylicza moje prawa monotonnym głosem człowieka, który ma dużą praktykę w recytowaniu formułek. Gdy kończy, mówię, że rozumiem prawa, które mi wytłumaczył. Formalności mamy już z głowy. Jesteśmy jak para starych wyjadaczy.

Głos Prestera zmienia się w niski, cichy pomruk.

– Woli pani, abym mówił do niej Gwen?

– Tak mam na imię.

– Gwen, dziś rano, nieopodal twojego domu, znaleziono w jeziorze drugie ciało. Domyślasz się, że wygląda to dość kiepsko, biorąc pod uwagę twoją... no cóż, historię. Twoim mężem jest Melvin Royal, który robił w przeszłości bardzo specyficzne rzeczy. Przyznaję, że ciało

pierwszej dziewczyny, którą znaleźliśmy w jeziorze, mogło być zwykłym zbiegiem okoliczności. Ale dwa ciała? To mi wygląda na plan.

– Nie *mój* plan – mówię. – Detektywie, może mnie pan wypytywać na milion różnych sposobów, ale oszczędzę panu tego i od razu opowiem wszystko, co wiem. Usłyszałam krzyk, który mnie obudził. Wybiegłam z pokoju w tej samej chwili co dzieci. Mogą to potwierdzić. Wyszłam na zewnątrz, aby sprawdzić co się dzieje, i zobaczyłam dwójkę ludzi w łódce i ciało unoszące się na wodzie. To absolutnie wszystko, co mam do powiedzenia o tej sytuacji. O tym pierwszym ciele wiem jeszcze mniej.

– Gwen. – W głosie Prestera słysząc tak wielki wyrzut, że brzmi zupełnie jak rozczarowany ojciec. Jeśli chodzi o wzgląd intelektualny, doceniam jego taktykę. Wielu detektywów rzuciłoby się na mnie bez pardonu, ale on instynktownie wie, że tym, co mnie rozbiera i czego nie umiem odeprzeć, jest życzliwość. – Oboje wiemy, że to jeszcze nie koniec. A teraz wróćmy do początku.

– To właśnie był początek.

– Nie chodzi mi o dzisiejszy ranek. Chcę wrócić do momentu, w którym po raz pierwszy zobaczyłaś podobnie okaleczone ciało. Czytałem stenogramy z procesu i obejrzałem wszystkie dostępne nagrania. Wiem, co zobaczyłaś tamtego dnia w garażu swojego domu. Jak się wtedy czułaś?

Technika kognitywna. Chce, żebym wróciła wspomnieniami do traumatycznych zdarzeń, na nowo poczuła tamto pełne bezradności przerażenie. Czekam chwilę, po czym mówię:

– Jakby całe życie usunęło mi się spod nóg. Jakbym żyła w piekle i nawet nie zdawała sobie z tego sprawy. Byłam wstrząśnięta. Nigdy w życiu czegoś takiego nie widziałam. Nie sądziłam, że ktoś może być do tego zdolny.

– A gdy odkryła pani, że mąż był winny nie tylko tego morderstwa, ale innych?

– A jak pan *sądzi*? – pytam, lekko zirytowana. – Jak mogłam się czuć? Jak nadal się czuję?

– Nie mam pojęcia, pani Proctor. Najwyraźniej na tyle źle, by zmienić nazwisko. A może zrobiła to pani tylko po to, żeby ludzie przestali panią nękać.

Obrzucam go morderczym spojrzeniem, bo ma rację, jednocześnie

bagatelizując problem. Dla większości ludzi, którzy żyją w normalnym świecie, branie na poważnie czczych gróźb internetowych trolli jest oznaką słabości. Prester pewnie uważa tak samo. Nagle bardzo się cieszę, że Sam został z dziećmi. Jeśli telefon zacznie dzwonić, poradzi sobie z zalewem nienawiści. Będzie zszokowany jej intensywnością i skalą. Większość mężczyzn tak właśnie reaguje.

Czuję się dziwnie pusta i zbyt zmęczona, aby się tym przejmować. Myślę o całym swoim wysiłku, wszystkich wydanych pieniądzach. Może powinnam była zostać w Kansas i pozwolić, aby te dupki mogły się wyżyć. Skoro wszystko skończy się w ten sam sposób, to po co marnować czas i energię na próbę zbudowania nowego, bezpiecznego życia?

Prester pyta mnie o coś, ale zapominam się i proszę go, aby powtórzył. Wygląda na cierpliwego. Wszyscy dobrzy detektywi sprawiają wrażenie cierpliwych, przynajmniej na początku.

- Niech pani opisz swój zeszły tydzień.
- Zaczynając od kiedy?
- Od ubiegłej niedzieli.

Zupełnie przypadkowy dzień, więc posłusznie spełniam jego prośbę. Opis nie jest długi. Moje życie nie kipi aktywnością. Biorąc pod uwagę stan zwłok, zakładałam, że druga ofiara zniknęła około niedzieli. Zdaję szczegółową relację, ale w jej trakcie uświadamiam sobie, że mam do podjęcia decyzję. Lot, który odbyłam, żeby spotkać się z Melvinem w El Dorado, przypada akurat w tym okresie czasu. Czy powiem Presterowi, że złożyłam wizytę byłemu mężowi, seryjnemu mordercy? Czy skłamię i będę miała nadzieję, że nie zostanę przyłapana? Druga opcja nie wchodzi w rachubę. Prester to dobry detektyw. Sprawdzi rejestr osób odwiedzających w Kansas i odkryje, że spotkałam się z Melem. Co gorsza, zorientuje się, że widziałam się z nim tuż przed pojawieniem się ciała.

Żadna z możliwości nie jest dobra. Mam poczucie, że niewidzialna siła, która popycha mnie do działania, zaaranżowała również tę konkretną chwilę. Spoglądam w dół na swoje dłonie i unoszę wzrok, wyglądając przez przednią szybę sedana. W środku jest ciepło i pachnie starą, zwietrzałą kawą. Jak na pokój przesłuchań, mogłam trafić znacznie gorzej.

Odwracam się, patrzę na Prestera i opowiadam mu o swojej wizycie

w El Dorado, kopiach listów Melvina Royała, które znajdzie w moim domu, oraz morzu nienawiści i gróźb skierowanych pod moim adresem. Nie dramatyzuję. Nie szlocham, nie trzęsę się i nie okazuję żadnej oznaki słabości. Nawet jeśli to zrobię, to nie będzie miało żadnego znaczenia.

Prester kiwa głową, jakby już o wszystkim wiedział. Może faktycznie tak jest. A może po prostu jest świetnym pokerzystą.

– Pani Proctor, teraz zabiorę panią na posterunek. Rozumie pani?

Kiwam twierdząco głową. Wyjmuje zza pleców kajdanki. Spoczywają z tyłu w starym, wyblakłym etui przypiętym do jego paska. Odwracam się bez słowa sprzeciwu i pozwalam mu je założyć. Robiąc to, informuje mnie, że zostałam aresztowana pod zarzutem morderstwa.

Nie jestem tym zaskoczona.

Nie jestem nawet wściekła.

Przesłuchanie pamiętam jak przez mgłę. Piję lurowatą kawę, wodę, w którymś momencie jem też zimną kanapkę z indykiem i serem. Prawie zasypiam, taka jestem wykończona. Odrętwienie wreszcie znika, a ja znów mogę zacząć się bać. Strach jest tak wielki, że przypomina nieustającą, lodowatą burzę szalejącą w moim wnętrzu. Zdaję sobie sprawę, że jeśli wieści nie zdążyły się jeszcze przedostać do wiadomości publicznej, to dojdzie do tego w przeciągu paru godzin, a za mniej niż dwadzieścia cztery godziny informacje rozejdą się wszędzie. Całodobowa relacja w wiadomościach zaspokajająca nienasycony apetyt na przemoc i rodząca tysiące nowych chętnych rekrutów gotowych mnie ukarać.

Moje dzieci są bezbronne, podatne na zranienie, a to wszystko wyłącznie *moja wina*.

Trzymam się swojej wersji, która jest w całości prawdziwa. Zostaję poinformowana o tym, że są świadkowie, którzy przysięgają, że byłam widziana w mieście w dniu zaginięcia pierwszej dziewczyny. Okazuje się, że ona również siedziała w cukierni, do której wybrałyśmy się razem z Lanny, aby objadać się słodkościami po jej zawieszeniu w szkole. Ledwie ją pamiętam – dziewczynę w rogu sali, z iPadem i tatuażem. Byłam skupiona wyłącznie na córce i wszystkich swoich problemach.

Ciarki przechodzą mi po krzyżu, gdy okazuje się, że nikt nie widział tamtej dziewczyny *po* wizycie w cukierni. Że ktoś porwał ją prosto z parkingu, gdy jeszcze byliśmy w środku lub dopiero co zdążyliśmy odjechać.

Ktokolwiek to zrobił, obserwował nas przez cały czas. A nawet gorzej – musiał nas śledzić, śledzić *mnie*, czekać, aż będę odpowiednio blisko ofiary pasującej do profilu, którą mógł bezpiecznie porwać. Jednak nawet wtedy ryzyko było ogromne. Czegoś takiego nie mógł zrobić amator. Nawet w małym miasteczku, *szczególnie* w małym miasteczku, ludzie szybko zauważają każdy niecodzienny szczegół. Porwanie kobiety w biały dzień...

Coś nieuchwytnego przemyka mi przez głowę, coś ważnego, ale jestem zbyt zmęczona, aby to rozgryźć. Prester znowu chce wrócić do początku. Opowiadam mu o swoim życiu od momentu ucieczki z Wichity. Opisuję szczegółowo każdy ruch, od chwili zniknięcia pierwszej dziewczyny, aż do czasu, gdy ciało drugiej wypłynęło na powierzchnię jeziora. Mówię mu wszystko, co pamiętam z rozmowy z byłym mężem. Ani trochę mu to nie pomaga, ale *staram się*, jak mogę, i wiem, że to docenia.

Rozlega się pukanie do drzwi. Inny śledczy proponuje kanapkę i napój, które z chęcią przyjmuję. Prester również. Jemy razem, a detektyw próbuje nawiązać spontaniczną rozmowę. Nie jestem w nastroju, a poza tym domyślam się, że nie stoi za tym zainteresowanie, tylko kolejna metoda przesłuchiwania. Jemy nasze kanapki w milczeniu i już mamy wracać do pytań, gdy rozlega się kolejne pukanie.

Prester opiera się na krześle, marszcząc brwi, gdy drugi oficer nachyla się w jego stronę. Nie znam go. Też jest Afroamerykaninem, ale o wiele młodszym od Prestera. Wygląda jakby dopiero co skończył college. Zerka na mnie z ukosa, po czym skupia się na detektywie.

– Przepraszam, sir – mówi. – Jest postęp w śledztwie. Powinien pan tego wysłuchać.

Prester wygląda na poirytowanego, ale odpycha się od stołu i idzie za nim.

Nim drzwi zdążą się za nimi zatrzasnąć, widzę, jak prowadzą kogoś korytarzem. To tylko przelotne spojrzenie, ale zauważam białego mężczyznę w kajdankach i momentalnie ogarnia mnie uczucie *rozumienia* na długo przed tym, zanim zdążę pomyśleć, kto to jest.

Gdy już to do mnie dociera, siadam na krześle wyprostowana jak struna, zgniatając opróżnioną do połowy puszkę coli tak mocno, że strzela pod wpływem nacisku.

Co, *do cholery*, robi tu Sam Cade, i dlaczego jest w kajdankach?

I gdzie, u diabła, są moje dzieci?

Rozdział dziewiąty

Pokój przesłuchań jest zamknięty. Mimo że walę w drzwi i wrzeszczę z całych sił, nie ma żadnego odzewu... do momentu, w którym mój głos staje się ochrypły, a kłykcie robią się czerwone.

W końcu zjawia się Prester i tarasuje przejście tak, żebym nie wybiegła na zewnątrz. Staram się go nie dotknąć. Cofam się o krok, oddychając z trudem.

– Gdzie są *moje dzieci*? – warczę nowym, zdartym głosem.

– Nic im nie jest – mówi niskim, kojącym tonem, zamykając za sobą drzwi. – Pani Proctor, proszę się uspokoić i usiąść. Jest pani zmęczona, a ja zaraz wszystko pani wyjaśnię.

Opadam z powrotem na krzesło, nieufna i spięta, z dłońmi zaciśniętymi w pięści na udach. Detektyw wpatruje się we mnie przez chwilę, po czym siada i opiera się na łokciach.

– A zatem, na pewno widziała pani, że jakiś czas temu przyprowadzono tu pana Cade’a.

Kiwam głową, świdrując go spojrzeniem. Rozpaczliwie chciałabym móc czytać w jego myślach.

– Czy... czy Sam zrobił coś moim dzieciom?

Mina rzadnie mu odrobinę, po czym jego twarz napina się, a on kręci głową.

– Nie, Gwen. Nic im nie zrobił. Są całe i zdrowe. Nic im się nie stało. Domyślam się, że są nieco przerażone tym, co się dzieje i tym, gdzie teraz są.

– W takim razie *dlaczego zatrzymaliście Sama*?

Tym razem Prester przygląda mi się bacznie przez długą chwilę, analizując moje zachowanie. Orientuję się, że ma w dłoni teczkę

z dokumentami. Inną od tej, którą miał poprzednio. Ta ma nową, żółtobrazową okładkę i nie została jeszcze opisana.

Kładzie ją na stole, ale nie otwiera.

– Co dokładnie wie pani o Samie Cade?

– Ja... – Mam ochotę wrzasnąć „No wyrzuć to z siebie”, ale wiem, że muszę grać według zasad. Odpowiadam zatem starannie kontrolowanym głosem: – Sprawdziłam jego przeszłość oraz zdolność kredytową. Tym podobne rzeczy. Robię to w przypadku każdego, kto przebywa w towarzystwie moim lub dzieci. Był czysty. To weteran, który służył w Afganistanie. Sam mi o tym powiedział.

– To wszystko prawda – zgadza się Prester. Otwiera teczkę i wyjmuje oficjalne zdjęcie zrobione w wojsku przedstawiające nieco młodszego i mniej zmęczonego przez życie Sama Cade’a, ubranego w nieskazitelny, niebieski mundur wojskowych sił powietrznych. – Odznaczony medalami pilot helikoptera. Odbył cztery tury w Iraku i Afganistanie. Wrócił do domu i odkrył, że jego ukochana siostra nie żyje. – Otwiera *moją* teczkę. Wyjmuje zdjęcie przesładującego mnie koszmaru, martwej kobiety wiszącej na metalowej pętli. Nagle przenoszę się w czasie i znów stoję w słońcu na zrujnowanym trawniku przed domem, wpatrując się w zniszczone sanktuarium garażu Mela. Czuję odór rozkładającego się ciała i mnóstwo wysiłku kosztuje mnie to, aby nie zamknąć oczu i przed tym uciec. – To – ciągnie dalej Prester, stuknąwszy raz grubym paznokciem w zdjęcie – jego siostra Callie. Nic dziwnego, że przeoczyła pani łączące go z nią pokrewieństwo. Zostali osieroceni w wypadku samochodowym, gdy on miał osiem lat, a ona zaledwie cztery. Wysłano ich do dwóch różnych domów zastępczych. On zatrzymał nazwisko rodziców, ale ona nie. Została adoptowana i dorastała, nie mając pojęcia o jego istnieniu. Zaczęli do siebie pisać, gdy wysłano go na misję. Najwyraźniej nie mógł się doczekać, aż odnowią stosunki po jego powrocie do domu. Gdy w końcu wraca po odbyciu służby dla kraju, zastaje *to*.

Czuję, jak zasycha mi w ustach. Myślę o tym, jak bliska byłam odkrycia prawdy. O wszystkich analizach, które nie przyniosły żadnych rezultatów. Musiał zadać sobie wiele trudu, aby nie dopuścić do pojawienia się swojego nazwiska w sieci. Albo wynajął kogoś, kto je usunął.

Sam Cade okazał się stalkerem. Teraz nie mam co do tego wątpliwości. Wprowadził się do tamtego domku zaraz po mnie, choć zadbał o to, żeby nawiązać kontakt dopiero po upływie dłuższego czasu. Nadał wszystkiemu pozory naturalności. Udało mu się przeniknąć do mojego życia, do życia moich dzieci, *a ja niczego nie zauważyłam*.

Chce mi się rzygać. Gwen Proctor wcale nie była nową osobą. Była po prostu Giną Royal 2.0, gotową uwierzyć we wszystko, co wcisnął jej miły facet z przystojną twarzą i przyjacielskim uśmiechem. „Zostawiłam dzieci pod jego opieką. Boże, wybacz mi”.

Nie mogę złapać oddechu. Zbyt szybko łykam powietrze. Schylam głowę i próbuję nad nim zapanować. Mam zawroty i słyszę szuranie krzesła Prester, który podchodzi i kładzie delikatnie dłoń na moich plecach.

– Spokojnie. Proszę oddychać wolniej i głęboko. Wdech, wydech. Właśnie tak.

– Co takiego zrobił? – pytam zdyszonym głosem, ignorując jego rady. Potrzebuję gniewu. Gniew mnie uspokaja, przywraca do rzeczywistości, daje cel i błyskawicznie odpędza panikę. Prostuję się na krześle, mruganiem pozbywając się sprzed oczu czarnych plam, a Prester odsuwa się o krok. Ciekawe, co takiego zobaczył w mojej twarzy. – Czy to on? To Sam zabił te dwie kobiety? – Czy to nie *idealny* zbieg okoliczności? Gina Royal zadurza się po uszy w seryjnym mordercy *po raz drugi*. Nie mogę nie zauważyć, że podoba mi się jeden typ faceta.

– Sprawdzamy to – mówi Prester. – Pani Proctor, chodzi o to, że pan Cade jest osobą powiązaną ze sprawą, a my jesteśmy w trakcie przesłuchiwanie go. Proszę mi wybaczyć, że tak szybko podzieliłem się z panią tą rewelacją, ale musiałem wiedzieć...

– Chciał się pan przekonać, czy wiedziałam, kim był – rzucam zgryźliwym tonem. – Oczywiście, że *nie miałam*, kurwa, pojęcia. Nigdy w życiu nie zostawiłabym dzieci pod jego opieką.

Widzę, że zastanawia się nad moimi słowami. Nie ma mowy, bym dobrowolnie dopuściła krewnego ofiary do swojego życia i rodziny, gdybym wiedziała, kim jest. Prester stara się wymyślić scenariusz, w którym Sam Cade i ja wspólnie dopuściliśmy się zbrodni, ale nie tylko krawędzie się nie zgadzają, ale poszczególne elementy tej sprawy nie należą nawet do tej samej układanki. Albo to ja zabiłam tamte kobiety,

albo Sam Cade, w jakieś szalonej próbie wrobienia mnie w morderstwo i zapewnienia skazującego wyroku sądowego, którego według niego uniknęłam... albo żadne z nas tego nie zrobiło. Jednak pewne jest, że nie popełniliśmy tych zabójstw razem. Przeczą temu zgromadzone przez niego fakty.

Presterowi ani trochę się to nie podoba. Widzę, jak próbuje to rozgryźć, i wcale mu się nie dziwię, że wygląda jakby potrzebował butelki bourbona i dnia wolnego.

– Skoro Cade to zrobił, powinien go pan zdemaskować. Na litość boską, niech pan to *zrobi!*

Prester wzdycha. Czeka go kolejny długi dzień i doskonale o tym wie. Ponownie kartkuje dokumenty w teczce, a ja pozwalam mu się chwilę zastanowić.

Gdy w końcu podnosi się z krzesła, zgarnia ze stołu teczkę i zdjęcia. Domyślam się, że podjął decyzję. Istotnie, otwiera przede mną drzwi i mówi:

– Pani dzieci są na końcu korytarza po prawej, w pokoju socjalnym. Sam przywiózł je tutaj pani jeepem. Proszę zabrać je do domu. Niech pani nie wyjeżdża z miasta. Jeśli pani to zrobi, uczynię z tego osobistą misję, aby napuścić FBI na pani ślad, i *zniszczę* resztki życia, które udało się pani zbudować. Rozumiemy się?

Kiwam potakująco głową. Nie dziękuję mu, bo w rzeczywistości nie oddaje mi żadnej przysługi. Dociera do niego, że ma przeciwko mnie znikome dowody, o ile w ogóle jakieś posiada, i że dobry adwokat – na przykład z Knoxville – zniszczyłby go bez najmniejszego wysiłku, szczególnie z asem w rękawie w postaci ukrywającego się na widoku Sama Cade’a. Chryste, w tej chwili jest mi nawet trochę żal Prestera.

Jednak nie na tyle, aby się wahać. W sekundę opuszczam pokój, mijając po drodze małą, zbiorową celę Departamentu Policji w Norton. Oficer Graham wypełnia jakieś papiery i unosi wzrok, gdy przechodzę obok. Nie kiwam mu głową na powitanie ani nie uśmiecham się, bo jestem zbyt skupiona na pomieszczeniu socjalnym. W jego szybach wiszą minirolety ustawione pod kątem, a przez szparę między nimi dostrzegam Lanny i Connora, którzy siedzą przy wielkim, kwadratowym białym stole i bez entuzjazmu podjadają popcorn ze stojącej między nimi torebki. Biorę głęboki wdech, bo widok moich dzieci całych i zdrowych

jest tak cudowny, że aż czuję fizyczny ból.

Otwieram drzwi i wchodzę do środka, a Lanny wstaje tak szybko, że jej krzesło ślizga się po płytkach i prawie przewraca. Podbiega do mnie, w ostatniej chwili przypominając sobie, że jest starsza z rodzeństwa, i *nie* rzuca się w moje ramiona. Connor mija ją pędem i rzuca mi się na szyję, a ja ściskam go z całych sił i wyciągam jedną rękę w stronę Lanny, którą ona niechętnie przyjmuje. Czuję, jak bolesna ulga zaczyna przemijać, zastąpiona przez coś znacznie czulszego, cieplejszego i serdeczniejszego.

– Aresztowali cię – mówi Lanny zduszonym głosem. Odsuwa się i patrzy mi prosto w oczy przy ostatnim słowie. – Dlaczego to zrobili?

– Sądzą, że mogę być odpowiedzialna za...

Nie kończę swojej myśli, ale robi to za mnie.

– Za morderstwa. No jasne. Z powodu taty. – Mówi to w taki sposób, jakby to był najlogiczniejszy wniosek na świecie. – Ale ty nic nie zrobiłaś – dodaje z nonszalancką pewnością siebie, a ja czuję, jak zalewa mnie fala miłości do córki z powodu jej odruchowego zaufania. Zwykle jest tak podejrzliwa co do kierujących mną motywów, że jej bezwarunkowe zaufanie znaczy dla mnie więcej, niż jestem w stanie pojąć.

– Mamo, przyjechali i zabrali nas stamtąd! – mówi Connor, odsuwając się. – Powiedziałem, że nie powinniśmy z nimi iść, ale Lanny...

– Lanny odparła, że nie będziemy wdawać się w idiotyczne bójki z glinami – podsuwa Lanny. – I oczywiście tego nie zrobiliśmy. Poza tym, oni wcale po nas nie przyszli. Po prostu nie mogli nas tam zostawić samych. Kazałam im sprowadzić jeepa, żebyśmy mieli jak wrócić do domu. – Waha się przez chwilę, próbując nadać pozór niedbałości następnemu pytaniu. – Ehm... wiesz, dlaczego chcieli rozmawiać z Samem? Czy to dlatego, że coś im powiedziałaś?

Nie chcę poruszać tematu tego, co zrobił ich ojciec, jak wielu zniszczył ludzi, jak wiele rodzin się przez niego rozpadło, wliczając w to jego własną... ale z drugiej strony, wiem, że muszę im to wytłumaczyć. Nie są już małymi dziećmi, a instynkt podpowiada mi, że dla nas wszystkich sprawy przybiorą jeszcze gorszy obrót.

Mimo to nie chcę niszczyć ich wyobrażenia o Samie Cade. Lubią go. I z tego, co wiem, on również ich lubił. Chociaż, z drugiej strony, sądziłam, że *mnie* też lubił.

Może rzeczywiście *jest* częścią zbrodniczego planu, który kosztował życie dwóch kobiet. Mimo to nadal nie potrafię wyobrazić sobie, że to Sam mógłby je zabić... ale jestem w stanie zrozumieć, jak smutek, wściekłość i ból mogą popchnąć człowieka do przekroczenia granic, których nigdy w życiu by nie naruszył. Zniszczyłam dawną Ginę Royal i odrodziłam się z jej prochów. Sam skupił swój gniew na zewnątrz, na *mnie* – swoim nieistniejącym wrogu. Może te młode kobiety były dla niego czymś w rodzaju przypadkowych ofiar, wojskową zagrywką służącą do osiągnięcia upragnionego celu. Prawie, *prawie* jestem w stanie w to uwierzyć.

– Mamo?

Mrugam oczami. Connor wpatruje się we mnie z autentyczną troską, a ja zastanawiam się, na jak długo odpłynęłam myślami. Jestem wyczerpana. Pomimo zjedzenia kanapki nadal umieram z głodu, i tak bardzo chce mi się siku, że mam wrażenie, że pęcherz mi pęknie, zanim zdążę dojść do łazienki. Zabawne. Te wszystkie szczegóły były zupełnie nieistotne, dopóki nie dowiedziałam się, że dzieciom nic nie jest.

– Porozmawiamy w drodze do domu. Zrobię tylko krótki przystanek i ruszamy w drogę, dobrze?

Kiwa głową z powątpiewaniem. Martwi się o Sama, a ja nie chcę ponownie łamać mu serca. Jednak to co się stało, to nie moja wina.

Docieram do łazienki w ostatniej chwili. Drżę i płaczę bezgłośnie, siedząc w kabinie. Po umyciu twarzy i dłoni, i wzięciu kilku głębokich wdechów, twarz spoglądająca na mnie z lustra wygląda prawie normalnie. Prawie. Muszę obciąć i ufarbować włosy, wśród których zauważam kilka niepożądanych, siwych kosmyków. „Zabawne. Zawsze myślałam, że umrę, zanim zdążę się zestarzeć”. To wspomnienie dawnej Giny, która postrzegała dzień *Zdarzenia* jako koniec całego swojego życia. Nienawidzę dawnej Giny, która naiwnie wierzyła w potęgę prawdziwej miłości i była święcie przekonana o tym, że jest porządną kobietą, a jej mąż dobrym człowiekiem. Że to było coś, na co zasługiwała bez włożenia jakiegokolwiek wysiłku ze swojej strony, aby to mieć.

Nienawidzę jej jeszcze bardziej, gdy dociera do mnie fakt, że po tym wszystkim nadal jestem do niej bardzo podobna.

Jazda powrotna do domu rozpoczyna się w ciszy, ale to cisza przed burzą. Dzieci chcą wiedzieć. Chcę im o wszystkim powiedzieć. Po prostu nie wiem, jak ubrać to w słowa, więc zaczynam majstrować przy pokrętlach radia, przeskakując ze stacji grającej współczesne country na rocka z Południa Stanów, potem na country tradycyjne, trafiając w końcu na coś, co brzmi jak muzyka folk, gdy Lanny wyciąga rękę i wyłącza radio stanowczym wciśnięciem guzika.

– Dość tego – mówi. – No dalej. Mów. O co chodzi z Samem?

Dobry Boże, nie chcę zaczynać tego od nowa, ale odsuwam od siebie strach i mówię:

– Siostra Sama... okazuje się, że Sam nie jest tym, za kogo się podawał. To znaczy, jest, ale nie powiedział nam całej prawdy.

– Gadasz bez sensu – mówi Connor. Pewnie ma rację. – Zaraz, ta dziewczyna z jeziora to jego siostra? Sam zabił swoją siostrę?

– Hej! – wtrąca Lanny ostrym tonem. – Nie wyciągajmy pochopnych wniosków. Sam nikogo nie zabił!

Zastanawiam się, dlaczego nie zauważyłam tego wcześniej, bo w tej chwili wystarczy mi jedno spojrzenie na jej twarz, aby wiedzieć, że jest rozsierdzona, wstrząśnięta i autentycznie wściekła. Błyskawicznie zadurzyła się w oficerze Grahamie, ale ten przypadek jest inny. To nie jest zauroczenie, to *potrzeba*. Sam, który niezauważenie pojawił się w jej życiu, człowiek silny, troskliwy i niezawodny, stał się dla niej substytutem ojca.

– Nie – zgadzam się z nią i szybko ściskam jej dłoń. Czuję, jak tężeje pod moim dotykiem. – Oczywiście, że nikogo nie zabił. Connor, policja zabrała go na komisariat, ponieważ odkryła, że coś go z nami łączy. Pewne zdarzenie z przeszłości.

Lanny odsuwa się i wciska w drzwi samochodu. Connor też opiera się na siedzeniu.

– Z przeszłości? – pyta cicho mój syn. Głos drży mu odrobinę. – To znaczy wtedy, gdy byliśmy innymi ludźmi?

– Tak – przyznaję. Ogarnia mnie podszyta poczuciem winy ulga, że nie muszę im już tego tłumaczyć. – W czasach gdy mieszkaliśmy w Kansas. Jego siostra... była jedną z osób, które zabił wasz ojciec.

Nie mówię im, że była ostatnią ofiarą. Wydaje mi się, że to tylko

pogorszyłoby sytuację.

– Och – mamrocze Lanny zduszonym głosem wypranym z emocji. – Czyli przyjechał tu za nami, tak? Tak naprawdę nigdy nie był naszym przyjacielem. Chciał nas mieć na oku. I zrobić nam krzywdę, bo był wściekły z powodu tego, co zrobił tatuś.

„Na litość boską, nazwała go tatusiem”. Jej słowa ranią mnie do żywego i sprawiają, że w środku szaleję z niepokoju.

– Skarbie...

– Ma rację – odzywa się z tyłu Connor. Gdy zerkam we wsteczne lusterko, widzę, że patrzy przez szybę. W tej chwili wygląda zupełnie jak ojciec. Tak bardzo, że gapię się na niego zbyt długo i muszę z powrotem wjechać na właściwy pas, jadąc krętą drogą w stronę jeziora. – On nie był naszym przyjacielem. My nie mamy przyjaciół. Głupotą było myślenie, że jest inaczej.

– Hej, to nieprawda – protestuje Lanny. – Ty masz swój Gang Dziwaków, z którym grasz w gry wideo. A co z Kyle’em i Lee, dziećmi Grahama? Zawsze proszą cię o różne rzeczy...

– Powiedziałem, że nie mam żadnych przyjaciół. Tylko grupę ludzi, z którymi gram w gry – mówi Connor. W jego głosie słychać zdenerwowanie, którego wcześniej nie było. Nie podoba mi się to. Ani trochę. – Poza tym, dziećmi Grahama też nie lubię. Udaję, że jest inaczej, żeby nie spuścili mi znowu manta.

Sądząc po wyrazie twarzy mojej córki, ona również nie miała o tym pojęcia, aż do teraz. Najwyraźniej Connor musiał zwierzyć się Samowi, a ponieważ Sam zdradził, Connor nie musi już trzymać tego w tajemnicy. Mam wrażenie, że zamieniam się w bryłę lodu. Pamiętam czujność i rezerwę, z jakimi Connor odnosił się do chłopców Grahama. Pamiętam jego ostrzeżenie, gdy powiedział, że wcale nie zgubił telefonu, że jeden z nich musiał go zabrać. Nienawidzę się za to, że tego nie sprawdziłam. W całym tym zamieszaniu, przytłoczona zmartwieniem z powodu postępków Mela i zabójstwem, kompletnie wyleciało mi to z głowy. Zawiodłam swojego syna.

Gdy Sam znalazł go z rozbitym nosem i siniakami, okazało się, że to sprawa braci Graham.

Zaciskam zęby i nie odzywam przez resztę drogi do domu. Lanny i Connor też nie są w nastroju do rozmowy. Zatrzymuję się na wjeździe,

parkuję jeepa i odwracam w ich stronę.

– Nie naprawię tego, co zostało zaprzepaszczone. Nie wiem, czyja to wina, i już przestało mnie to obchodzić. Obiecuję wam jedno: zaopiekuję się wami. Wami obojgiem. A jeśli ktokolwiek spróbuje was skrzywdzić, najpierw będą musieli zmierzyć się ze mną. Rozumiecie?

Rozumieją, ale widzę po nich, że to nie uspokaja tkwiącego w nich napięcia.

– Nie zawsze jesteś w pobliżu, mamó – mówi Lanny. – Wiem, że chcesz, ale czasami musimy opiekować się sobą nawzajem i byłoby lepiej, gdybyś udostępniła mi kod do...

– Lanny. Nie.

– Ale...

Wiem, czego chce – dostępu do sejfu z bronią. Nie chcę tego robić. Nigdy nie chciałam. Nigdy nie chciałam wychowywać swoich dzieci tak, aby wyrosły na uzbrojonych bandytów, wojowników ani dzieci-żołnierzy.

Tak długo jak będę w stanie ich chronić, nie dopuszczę do tego.

Wrzucam bieg w pełnej napięcia ciszy i zajeżdżam pod dom z chrzęstem opon.

Gdy padają na niego światła samochodu, widzę krew. W pierwszej chwili to jedyne, co widzę: jaskrawa, czerwona plama na drzwiach garażu, a dookoła pełno rozbryzgów. Wciskam hamulec z całej siły, tak że całej naszej trójce wbijają się pasy bezpieczeństwa. Halogeny podkreślają czerwień, a ja uświadamiam sobie, że to wcale nie krew. Jest zbyt czerwona i zbyt gęsta. Nadal jest mokra i połyskuje w świetle, a gdy się jej przyglądam, jeden ze strumyczków nadal spływa w dół.

Najwyraźniej doszło do tego całkiem niedawno.

– Mamó – szepcze Connor. Nie patrzę na niego. Gapię się na słowa wymalowane na naszych oknach, ceglach i drzwiach frontowych.

MORDERCZYNI

SUKA

SZUMOWINA

ZABÓJCZYNI

DZIWKA

PIEPRZ SIĘ

ZDECHNIJ

– Mamo! – Connor ściska mnie za ramię, a ja słyszę panikę w jego głosie. Autentyczny strach. – Mamo!

Wrzucam wsteczny i mknę podjazdem w stronę drogi, rozpryskując żwir na wszystkie strony. Muszę gwałtownie zahamować, bo stoją na niej samochody, a dokładnie dwa. Nowiutki, nieskazitelnie czysty SUV mercedes i pokiereszowana furgonetka, która pod warstwą błota wygląda na czerwoną. Zablokowali nam drogę.

Johansenowie, cicha, miła para ze wzgórza, ci sami, którym przedstawiłam się zaraz po przeprowadzce... siedzą w SUV-ie, unikając kontaktu wzrokowego. Wpatrują się w drogę, tak jakby zablokowanie mojego podjazdu było zupełnie *przypadkowe*. Jakby nie mieli z tym nic wspólnego.

Dupek w ubłoconej furgonetce i jego kumple nie mają takich skrupułów. Wyglądają na *zadowolonych* z faktu, że ich zauważyłam. Z furgonu wysiada trójka mężczyzn, a kolejna trójka zeskakuje niezdarnie z paki. Sądząc po braku koordynacji, są pijani, i wyglądają na bardzo podekscytowanych. Rozpoznaję jednego z nich. To ten pajac ze strzelnicy, Carl Getts, którego Javier zbojkotował za niestosowne zachowanie.

Zaczynają iść w naszą stronę, a ja uświadamiam sobie z przerażeniem, że mam przy sobie dzieci, jestem nieuzbrojona i, Jezu Chryste, policja nawet nie pokwapiła się, żeby zostawić radiowóz, który patrolowałby okolicę w poszukiwaniu jakichkolwiek oznak nękania. To by było na tyle, jeśli chodzi o dobre intencje Prestera, o ile w ogóle jakieś miał. Nie minął nawet jeden dzień, odkąd zostaliśmy zdemaskowani, a już musimy się obawiać o własne życie.

Właśnie dlatego jeżdżę jeepem.

Wrzucam pierwszy bieg, jadę kawałek pod górkę, po czym zjeżdżam po stromym zboczu po łące usianej niewidocznymi, wystającymi kamieniami. Udaje mi się ominąć najgorsze z nich, ale muszę przyśpieszyć, gdy dociera do mnie, że kierowca furgonu i jego załoga wsiadają z powrotem do auta, które też posiada napęd na cztery koła. Kierowca będzie próbował nas dogonić, jadąc najszybciej jak się da. Muszę zwiększyć odległość między nami.

„Potrzebuję broni”, myślę rozpaczliwie. W sejfie z tyłu wozu już jej nie ma. Wyjęłam ją, gdy przygotowywałam się do przekazania jeepa

Javierowi. „To bez znaczenia”, mówię sobie w duchu. Poleganie na czymkolwiek i kimkolwiek jest złe. Muszę polegać wyłącznie na sobie, od początku do końca. To lekcja, której nauczył mnie Mel.

Po pierwsze, muszę znaleźć dla nas bezpieczne miejsce. Po drugie, musimy się przegrupować. Po trzecie, muszę zabrać dzieci jak najdalej z tego miejsca, wszelkimi możliwymi sposobami.

Prawie, *prawie*, udaje mi się dotrzeć bezpiecznie do drogi.

Wygląda to mniej więcej tak: muszę skrócić ostro kierownicą, aby uniknąć wystającego głazu schowanego za kępą gęstych zarośli, i w trakcie tego manewru wjeżdżam prawym kołem w szeroki, niewidoczny rów. Cały pojazd przechyla się, a ja przez jedną, mrozącą krew w żyłach chwilę myślę o wysokim prawdopodobieństwie dachowania w takich przypadkach, ale odbijamy się od ziemi, a jeep odzyskuje równowagę, zanim nagły wrzask Lanny zdąży wwiercić mi się w uszy. „Udało nam się”, gratuluję sobie w duchu.

Okazuje się, że nie.

Lewe koło uderza w na wpół zakopany w ziemi kamień, a jeep skręca gwałtownie. Słyszę metaliczny chrzęst towarzyszący zderzeniu, a cały układ kierowniczy wypada mi z rąk, podskakując dziko. Chwytam za kierownicę, czując, jak serce wali mi w piersi jak młot, ale uzmysławiam sobie, że pękł wał osiowy. Straciłam kontrolę nad przednimi kołami i kierownicą.

Nie jestem w stanie wyminąć kolejnego głazu, który jest na tyle duży, że lecimy gwałtownie w kierunku przedniej szyby, tak mocno napierając na pasy bezpieczeństwa, że zostaną nam siniaki. Poduszki powietrzne wybuchają, bo nagle czuję na twarzy nacisk jednej z nich i palący smród gazu. Moja twarz jest gorąca i boli z powodu gwałtownego napływu krwi oraz otarcia. Jestem bardziej świadoma zaskoczenia niż bólu, ale w pierwszym odruchu tego nie zauważam. Obracam się na siedzeniu i roztrzęsiona sprawdzam, co z Connorem i Lanny. Oboje wyglądają na oszołomionych, ale nic im nie jest. Lanny pojękuje cicho i dotyka nosa, z którego leci krew. Zasypuję ich pytaniami – „nic ci nie jest?”, „wszystko w porządku?” – ale nawet nie słucham odpowiedzi. Łapię garść chusteczek higienicznych i przyciskam do jej nosa, aby zatrzymać krwotok, jednocześnie zerkając niespokojnie na Connora. Wygląda dobrze, lepiej niż Lanny, chociaż ma na czole czerwony ślad. „To od

bocznej poduszki”, przypominam sobie. Te po stronie Lanny również się aktywowały i stąd jej krwawiący nos.

Z mojego też pewnie leci krew, ale mam to gdzieś.

Uspokajam się na tyle, by pamiętać, że do wypadku nie doszło przez przypadek, i że ściga nas furgonetka pełna pijanych mężczyzn, jadąca tym samym zbozdem. Spieprzyłam sprawę. Naraziłam swoje dzieci na śmiertelne niebezpieczeństwo.

I teraz muszę to *naprawić*.

Gramolę się z jeepa i prawie upadam na ziemię. Przytrzymuję się drzwi i dociera do mnie, że cały przód białej koszuli mam poplamiony śladami wielkich kropel krwi. To bez znaczenia. Kręcę głową, rozpryskując dokoła czerwone plamki, i z trudem docieram do bagażnika. Mam tam dwie rzeczy: łyżkę do opon i latarkę awaryjną pulsującą dezorientującym, biało-czerwonym światłem. Ma nawet wbudowany głośny sygnał alarmowy. Baterie są nowe, bo zmieniłam je w zeszłym tygodniu. Biorę latarkę i ciężką, metalową łyżkę. Zanim zatraskuję drzwi od strony kierowcy, znajduję telefon i rzucam go Connorowi, który wygląda na bardziej przytomnego.

– Zadzwoń pod 911 – instruuję go. – Powiedz im, że zostaliśmy zaatakowani. Zamknij drzwi.

– Mamo, nie wychodź na zewnątrz! – mówi, a ja martwię się, że jednak nie zamknie tych drzwi. Że zawaha się i zostanie wywleczony z samochodu. Otwieram je więc i uruchamiam zamki. Potem podnoszę szyby w oknach i zostawiam w środku jego, Lanny i kluczyki.

Odwracam się z łyżką do opon w prawej ręce i wielofunkcyjną latarką w lewej, i czekam, aż furgonetka podjedzie bliżej.

Nie udaje jej się. W połowie drogi po zbozcu uderza w coś, zarzuca nią na bok, a ja patrzę, jak mężczyźni na pace wyskakują z wrzaskiem, gdy pojazd przewraca się na zbozcu. Jeden krzyczy tak, jakby coś złamał albo doznał paskudnego zwichnięcia, ale pozostała dwójka odbija się bezwładnie od ziemi, tak jak to robią pijani. Furgonetka przewraca się na dach przy akompaniamencie zgrzytu metalu i melodyjnego trzasku pękającego szkła, ale nie stacza się już w dół po zbozcu. Zatrzymuje się na boku. Koła wirują w powietrzu, a silnik porykuje, jakby kierowca nie miał wystarczająco dużo oleju w głowie, aby zdjąć stopę z gazu. Trójka pasażerów w środku zaczyna wzywać pomocy, a trzymająca się na

nogach dwójka z tyłu gramoli się z trudem, aby im pomóc. Prawie przewracają cały pojazd i spychają go kawałek dalej po zboczu. To wszystko wygląda nieco komicznie.

Widzę, jak SUV Johansenów nagle włącza silnik i odjeżdża w pośpiechu w stronę drogi, zupełnie jakby przypomnieli sobie, że są już spóźnieni na własną imprezę. Pewnie mdleją na sam widok krwi. Nawet mojej. Wiem, że nie wezwą policji, ale to nie ma żadnego znaczenia. Connor już to zrobił. Muszę jedynie zająć jakoś wrogo nastawionych do mnie ludzi do momentu, aż pojawią się światła i rozlegną syreny policyjnych wozów. Nie zrobiłam niczego złego.

Przynajmniej na razie.

Jeden z pijanych kolesi odłącza się od grupy i kieruje w moją stronę. Zupełnie mnie nie dziwi, że jest nim facet ze strzelnicy, Carl. Ten sam, który obraził Javiego. Krzyczy coś do mnie, ale tak naprawdę wcale go nie słucham. Staram się wypatrzyć, czy ma przy sobie broń. Jeśli tak, to już po mnie. Nie tylko może mnie zabić z miejsca, w którym stoi, ale może potem twierdzić, że zaatakowałam go poręczną łyżką do opon i powiedzieć, że zrobił to w geście samoobrony. Znam Norton wystarczająco dobrze, aby domyślić się, jak potoczy się ta sprawa. Uniewinniliby tego drania już po upływie pięciu minut, nawet gdyby moje dzieci złożyły zeznania. „Działiałem w obawie o własne życie”, powie. Standardowa technika obronna morderczych tchórzów. Problem polega na tym, że to również linia obrony autentycznie przerażonych ludzi. Takich jak ja.

Czuję ulgę. Wygląda na to, że Carl nie ma przy sobie broni, a przynajmniej żadnej nie widzę, a on z pewnością nie jest typem człowieka, który by się tego wstydził. Wymachiwałby nią dokoła, gdyby tylko mógł, co sprawia, że moja łyżka do opon staje się narzędziem obrony z prawdziwego zdarzenia.

Zatrzymuje się, a do mnie dociera, że Connor wali pięściami w szybę jeepa, próbując zwrócić na siebie moją uwagę. Ryzykuję jedno krótkie zerknięcie. Jego twarz ma rozpaczliwie blady kolor. Słyszę, jak wrzeszczy:

– Mamo, zadzwoniłem po policję. Już tu jadą!

„Wiem, że to zrobiłeś, kochanie”. Posyłam mu uśmiech, szczery uśmiech, bo to może być ostatnia okazja, w której będzie mi dane to

zrobić.

Odwracam się do pijanego faceta, którego kumpel zaczyna iść w naszą stronę, i mówię:

– Cofnijcie się, kurwa, do tyłu.

Obaj parskają śmiechem. Ten, który właśnie dotarł na miejsce, jest nieco szerszy w barach i wyższy, ale pijany do tego stopnia, że musi uwiesić się na pierwszym koleśiu, gdy kamienie usuwają mu się spod nóg. Są niczym policjanci z Keystone Kops, tyle że podchodzą śmiertelnie poważnie do przemocy, którą lubią stosować.

– Rozpieprzyłaś nam furgonetkę – mówi. – Będziesz musiała za nią zapłacić, ty mordercza suko.

Drzwi po stronie pasażera w przewróconej furgonetce skrzypią niczym właz z czołgu, jednak w odróżnieniu od czołgu – o czym mogłabym poinformować tych idiotów – drzwi samochodu nie są zaprojektowane tak, aby otwierać się do góry i odsuwać na płask. Próba ich podrzucenia i wypchnięcia kończy się tym, że uderzają w zawiasy i odbijają się w stronę napierającego na nie mężczyzny z olbrzymią prędkością.

Facet wydaje z siebie zduszony okrzyk i puszcza bok furgonetki, cudem unikając zmiżdżenia palców. To byłoby nawet zabawne, gdybym nie była tak cholernie przerażona i odpowiedzialna za dwójkę niewinnych dzieci, podczas gdy ci kretyni nie są nawet odpowiedzialni za samych siebie.

Gdy dwójka stojących przede mną mężczyzn decyduje się mnie postraszyć, wciskam na latarce guzik odpowiedzialny za funkcję ogłuszania i aktywuję ją, trzymając latarkę wycelowaną z dala od siebie. Jest niczym cios w twarz. Pulsujące, niesymetryczne, niesamowicie jaskrawe światła i przeraźliwy hałas są wyjątkowo nieprzyjemne z tyłu, a co dopiero z przodu.

Ich siła rażenia powala Carla i jego kumpla na ziemię. Otwierają usta do wrzasku, którego nie słyszę z powodu zgiełku. Zalewa mnie fantastyczna, potężna fala adrenaliny, sprawiająca, że mam ochotę stłuc ich na kwaśne jabłko łyżką do opon i mieć absolutną pewność, że te dupki już nigdy nie zagrożą moim dzieciom.

Nie robię tego jednak. Czuję przemożną pokusę, ale powstrzymuje mnie świadomość, że udowodnię tym Presterowi, że ma rację. Że jestem morderczynią, która ma na rękach krew mieszkańców miasteczka.

Równie szybko jak uniewinniliby kogoś za zastrzelenie mnie, przywiązaliby mnie do fotela i podali śmiertelny zastrzyk, gdybym uderzyła któregoś z tych leżących na ziemi mężczyzn. Tylko to sprawia, że nie ruszam się ze swojego miejsca, celując w nich wyjąca i pulsująca światłem latarką, zamiast wykończyć ich na dobre.

Choć jestem oślepiąca błyskającymi światłami, wiem, że policja już tu jedzie, gdy Connor opuszcza szybę i chwyta mnie za ramię. Wskazuje na drogę, a gdy zerkam w tamtą stronę, widzę nadjeżdżający radiowóz z włączonymi reflektorami przecinającymi ciemność. Wsiadają z niego dwie osoby i zaczynają biec wzgórzem w moim kierunku. Światła ich latarek podskakują i oświetlają niepokojąco wyglądające kępy zielonych zarośli i białych jak kość kamieni.

Wyłączam tryb ochronny latarki i celuję halogenową wiązką w dwóch pijaków, którzy z trudem podnoszą się na nogi, wyglądając na rozwścieczonych. Nadal zakrywają uszy dłońmi. Jeden zgina się wóół i wymiotuje strugą jasnego piwa, ale drugi – Carl – nie spuszcza ze mnie oczu. Widzę, jak płonie w nich nienawiść. Wchodzenie z nim w dyskusję nie ma żadnego sensu. I na pewno nie można się przy nim czuć bezpiecznie.

– Policja zaraz tu będzie – informuję go. Ogląda się przez ramię, jakby niczego nie zauważył – i pewnie tak właśnie było – a przebłysk czystej wściekłości sprawia, że zaciskam mocniej dłoń na łyżce do opon. Carl chce mi zrobić krzywdę. Może nawet zabić. I może chce wyładować swą wściekłość na moich dzieciach.

– Ty pieprzona dziwko – mówi. Myślę o jakże satysfakcjonującym chrześcicie, który rozległby się, gdyby metalowa łyżka do opon trafiła go w zęby. Ma prawie metr osiemdziesiąt wzrostu, cuchnący oddech i beznadziejną sylwetkę. Nie sądzę, abym odebrała światu wyjątkową postać, gdybym go teraz uśmierciła. Zakładam jednak, że istnieją ludzie, którzy go kochają.

Nawet mnie ktoś kocha.

Oficer Graham dociera na miejsce jako pierwszy. Cieszę się, że go widzę. Jest większy i wyższy, i wygląda jakby był w stanie zastraszyć każdego, gdyby tylko spróbował. Ogarnia wzrokiem sytuację, marszczy brwi i pyta:

– Co tu się, *do cholery*, dzieje?

W moim interesie leży, aby opowiedzieć swoją wersję historii jako pierwszą, więc nie marnuję ani sekundy.

– Ci idioci postanowili złożyć mi mało przyjacielską wizytę – tłumaczę.
– Zablokowali nam podjazd. Ktoś – prawdopodobnie któryś z nich – zdewastował nasz dom. Próbowałam jechać na przełaj, ale kamień uszkodził kierownicę. Nie miałam wyboru. Musiałam spróbować utrzymać ich z dala od dzieci.

– Ty zakłamana *suko*...

Nie spuszczając ze mnie wzroku, oficer Graham wyciąga rękę w stronę pijanego mężczyzny.

– Oficer Claremont spisze wasze zeznania – mówi. – Kez?

Partnerem Grahama jest dzisiaj wysoka, smukła Afroamerykanka z krótko obciętymi włosami, emanująca aurą rzeczowej energiczności. Prowadzi dwóch pijanych mężczyzn do wraku i wzywa posiłki oraz karetkę, żeby wydostać ze środka pozostałą trójkę i ściągnąć ze wzgórza tego ze złamaniem. Paplają jeden przez drugiego piskliwymi, bełkotliwymi głosami. Jakoś nie umiem sobie wyobrazić, by dobrze się bawiła.

– A więc doszło do tego wszystkiego bez wcześniejszej prowokacji? Czy właśnie to chce pani powiedzieć? – pyta Graham.

Odwracam się, aby na niego spojrzeć, po czym pochylam w stronę otwartego okna Connora i całuję go w czoło.

– Lanny? Nic ci nie jest, skarbie?

Unosi oba kciuki do góry i przechyla głowę do tyłu, aby spowolnić krwawienie z nosa.

– Mogłaby pani to odłożyć? – pyta Graham oschłym tonem, a ja uświadamiam sobie, że wciąż ściskam w dłoni łyżkę do opon, jakby nadal coś mi groziło. Mój kciuk ciągle spoczywa na przycisku od ogłuszania. Odsuwam się w myślach od niewidzialnej przepaści i kładę oba przedmioty na ziemi obok jeepa, po czym robię kilka kroków w tył. – W porządku. Dobry początek. Powiedziała pani, że ci ludzie zablokowali drogę. Rozmawiała pani z nimi?

– Nawet ich nie znam. Ale domyślałam się, że informacje na temat mojego eks zostały ujawnione. Pewnie już pan wie.

Jego mowa ciała nie zdradza zbyt wiele, ale widzę jakiś przebłysk w jego oczach. Zaciska usta w wąską kreskę, po czym celowo je

rozluźnia.

– Jeśli dobrze rozumiem, pani mąż odbywa karę za morderstwo.

– Były mąż.

– Uhm. Seryjny morderca, z tego, co słyszałem.

– Dobrze pan słyszał. Wieści szybko się rozchodzą, zwłaszcza w takim miasteczku jak to. Poprosiłam detektywa Prestera o jakąś ochronę ze względu na dzieci...

– Właśnie jechaliśmy, żeby się tym zająć – mówi. – Dziś wieczorem zaparkujemy przed domem.

– Farba pewnie zdąży wyschnąć do tego czasu.

– Jaka farba?

– Proszę sobie obejrzeć, jak już pan tu skończy. Nie da się tego przeoczyć – mówię. Jestem wyczerpana. W poobijanym podczas stłuczki ciele zaczyna odzywać się ból. Lewe ramię boli mnie w miejscu, które prawdopodobnie naciągnęłam sobie od pasa bezpieczeństwa. Szyję mam sztywną, a grzbiet nosa pulsuje tęnym bólem. Krwotok ustał. Najwyraźniej niczego nie zламаłam. Gdy dotykam nosa, nie czuję, żeby coś przesuwalo się pod palcami. Nic mi nie jest. Wyszłam z wypadku w lepszym stanie, niż na to zasługuję. – To dopiero pierwsza runda. Właśnie dlatego powiedziałam, że potrzebujemy ochrony.

– Pani Proctor, może powinna pani wziąć pod uwagę, że z sześciu mężczyzn, którzy panią zaatakowali, co najmniej czterech odniosło jakieś obrażenia – stwierdza Graham życzliwie. – Chyba możemy uznać, że wygrała pani tę rundę, o ile liczy pani punkty.

– Nie – mówię, ale to kłamstwo. Cieszę się, że ta rozklekotana furgonetka leży na boku, a z jej chłodnicy wycieka płyn. Cieszę się, że wyżej wspomniana czwórka będzie miała okazję wylizać się z ran i już nigdy nie przyjdzie im do głowy mnie zaatakować. Szkoda tylko, że nie zostali ranni na tyle poważnie, aby już nigdy tego nie próbować. – Nie aresztuje mnie pan.

– W pani ustach nie zabrzmiało to nawet jak pytanie.

– Każdy przyzwoity adwokat przerobi pana na karmę dla psów. Matka z dwójką dzieci zaatakowana przez szóstkę pijanych mężczyzn? *Serio?* Za pół godziny będę największą gwiazdą Twittera.

Oficer Graham wzdycha. To przeciągły, powolny dźwięk, który miesza się z szumem fal na jeziorze poniżej. Mgła zaczyna unosić się nad wodą,

gdy powietrze ochładza się na tyle, aby rozpocząć ten proces, przypominając tysiące uciekających, podobnych do duchów smug. „Jezioro umarłych”, przechodzi mi przez myśl. Staram się nie patrzeć w jego stronę. Stillhouse Lake straciło dla mnie cały swój urok.

– Nie – odzywa się w końcu Graham. – Nie aresztuję pani. Aresztuję ich za wandalizm i jazdę pod wpływem alkoholu. To pani wystarczy?

Oczywiście, że nie. Chcę, żeby wszyscy zostali aresztowani za napaść, a to słowo nawet nie przeszło mu przez usta.

Chyba zorientował się, że zaraz zacznę się wyklócać, bo unosi dłoń, aby mnie powstrzymać.

– Proszę posłuchać, żaden z nich nie tknął pani palcem. Jeden jest na tyle trzeźwy, że może potwierdzić, że zobaczyli wrak pani samochodu, zeszli na dół, by pomóc, a pani wpadła w paranoję, włączyła to cholerstwo i ich zaatakowała. Dopóki nie znajdziemy farby lub dowodów na to, że mieli ją w furgonetce, mogą utrzymywać, że nie mieli pojęcia, że pani dom został pomazany graffiti...

– *Graffiti?* To nie jest kolejne dzieło Banksy’ego!

– W porządku, a zatem zdewastowany. Chodzi o to, że oni są świetni w wypieraniu się wszystkiego, co ma jakikolwiek związek z nachodzeniem lub napaścią. W końcu to pani miała łyżkę do opon. Z tego, co widzę, ci mężczyźni byli nieuzbrojeni.

Sześciu na jednego nie potrzebuje żadnej broni, i on doskonale o tym wie, ale ma rację. Obrońcy w sądzie działają w obie strony.

Opieram się o wrak mojego jeepa, czując, jak opuszczają mnie siły.

– Potrzebna nam będzie laweta. Bez niej mój jeep się stąd nie ruszy.

– Załatwię to. A teraz niech pani weźmie dzieci i wraca do domu. Tylko proszę sprawdzić, czy nikt nie dostał się do wewnątrz.

Wiem, że nie. Mój alarm przesyła mi natychmiastowe powiadomienia na komórkę, więc jeśli się włączy, mogę od razu spojrzeć w tablet i przewinąć nagranie z kamer, aby sprawdzić kto wdarł się do środka. Nikt nie rozbił żadnych okien ani nie wyważył drzwi, ale nawet wtedy dom jest ostatnim miejscem, do którego chcę zabrać dzieci, szczególnie, że nadal ocieka czerwoną farbą. Domyślałam się, że celowo wybrali do tego garaż. Chcieli mi przypomnieć o miejscu, w którym Melvin zajmował się swoim makabrycznym hobby.

Nie mam jednak innego wyboru. Wystarczy mi jedno spojrzenie na

wyraz twarzy Grahama, by wiedzieć, że nie zawiezie nas na noc do żadnego motelu w Norton, i podejrzewam, że każdy mój telefon do detektywa Prestera pozostanie bez odpowiedzi. Ponieważ jeep jest zniszczony, moją jedyną opcją jest poleganie na uprzejmości obcych mi ludzi... ale moja paranoja jest zbyt wielka, aby w ogóle wziąć to rozwiązanie pod uwagę. Moi najbliżsi sąsiedzi, Johansenowie, pomogli zablokować mój podjazd. Sam Cade okłamywał mnie od samego początku. Javier jest zastępcą szeryfa i pewnie też nie odbierze mojego telefonu.

Wkładam rękę przez otwarte okno jeepa, wciskam guzik zwalniający zamek w drzwiach, zabieram kluczyki ze stacyjki i pomagam Lanny wysiąść. Jej nos prawie przestał krwawić i nie wygląda na złamany, choć mogą jej zostać siniaki. Nam wszystkim. To moja wina.

Obejmuję ją ramieniem, gdy cała nasza trójka idzie powoli za oficerem Grahamem na wzgórze do miejsca, które przestało być dla nas domem.

Rozdział dziesiąty

Oficer Graham skrzętnie obfotografowuje zniszczenia. Czerwony płyn to nie krew. Nadal ma żywy, jaskrawy kolor, a krew już dawno zdążyłaby się utlenić i zmienić barwę na brązową. To farba. Większość słów została wypisana sprejem, nie licząc „Zabójczyni”, której litery zostały dodatkowo ozdobione gotycko wyglądającymi zaciekami z obficie nasączonego farbą pędzla. Otwieram zamek w drzwiach i wyłączam alarm, a Graham sprawdza dokładnie wszystkie pomieszczenia. Niczego nie znajduje, o czym już dawno sama wiedziałam.

– W porządku – mówi, wkładając broń do kabury i wracając do salonu.

– A teraz proszę mi oddać całą broń, pani Proctor.

– A ma pan nakaz? – pytam, a on świdruje mnie wzrokiem. – W takim razie nie. Odmawiam współpracy. Proszę zdobyć nakaz.

Wyraz jego twarzy nie zmienił się, ale język ciała owszem: wysunął się nieco naprzód i stał odrobinę bardziej agresywny. Bardziej to wyczuwam, niż widzę. Przypominam sobie, co Connor powiedział w drodze powrotnej – to synowie Grahama są odpowiedzialni za pobicie go. Ciekawe, czego właściwie nauczyli się od ojca. Chcę mu zaufać, bo przecież nosi odznakę i jest jedyną osobą stojącą między mną a atakującym mnie wściekłym tłumem. Jednak gdy tak na niego patrzę, nie jestem pewna, czy mogę sobie pozwolić na ten krok.

Może już nie jestem w stanie nikomu zaufać. Moja ocena ludzkiego charakteru uległa całkowitemu spaczeniu.

– W porządku – mówi Graham, choć wyraźnie się z tym nie zgadza. – Proszę zamknąć drzwi i włączyć alarm. Czy łączy się z posterunkiem?

„Czemu, żebyś mógł go zignorować?”

– Owszem, dzwoni bezpośrednio na posterunek – informuję go. –

Uruchamia się nawet wtedy, gdy zostanie odcięte zasilanie.

– A co ze schronem...? – Nie komentuję tego, tylko odwzajemniam jego spojrzenie. Wzrusza ramionami. – Chcę się upewnić, że otrzyma pani pomoc, gdyby zamknęła się pani od środka. Nie będziemy mogli nic zrobić, jeśli nie otrzymamy informacji, że pani w nim jest.

– Schron ma osobną linię telefoniczną. Nic nam nie będzie.

Zdaje sobie sprawę, że już więcej nie ugra, więc kiwa głową na pożegnanie i idzie do drzwi. Otwieram je i odprowadzam kawałek, starając się nie patrzeć na zniszczenia. Gdy je zamykam, mogę po cichu udawać, że wszystko wróciło do normalności. Wpisuję kod alarmowy, a ciche piknięcie sygnału aktywującego uspokaja drzenie w moim wnętrzu, z którego nie zdawałam sobie sprawy. Rygluję wszystkie zamki i się odwracam, opierając plecy o drzwi.

Lanny siedzi na kanapie z podciągniętymi kolanami, obejmując je rękami w obronnej pozycji. Connor opiera się o nią. Moja córka ma na brodzie smugi krwi, więc idę do kuchni, moczę ręcznik do rąk i wracam, by delikatnie oczyścić jej twarz. Gdy kończę, wyjmuję mi ręcznik z dłoni i bierze się za obmywanie mojej. Nie zdawałam sobie sprawy z ilości krwi, która na niej była. Biały ręcznik barwią jaskrawe, czerwone smugi. Tylko twarz Connora nie wymaga czyszczenia, więc odkładam ręcznik na bok i siadam razem z dziećmi, obejmując je ramionami i kołysząc się powoli. Żadne z nas nie ma nic do powiedzenia.

Nie musi.

W końcu biorę brudny ręcznik i opłukuję go w zimnej wodzie w zlewie, a Lanny wchodzi do kuchni, bierze karton soku pomarańczowego i pije łapczywie. Gdy kończy, przejmuje go Connor. Nie mam już siły, by kazać im wziąć szklanki. Kręcę głową i wypijam mnóstwo wody.

– Chcecie coś do jedzenia? – pytam. Oboje mamroczą pod nosami, że nie. – Dobrze. W takim razie idźcie spać. Jeśli będziecie mnie potrzebować, najpierw wezmę prysznic, a potem położę się na kanapie w salonie.

Nie okazują zdziwienia. Chyba pamiętają, że po uniewinnieniu i tuż przed opuszczeniem Kansas co noc spałam z bronią pod ręką na starej sofie w pozbawionym mebli salonie naszego wynajmowanego mieszkania. Ludzie rozbijali nam okna cegłami, a któregoś dnia ktoś wrzucił zapaloną butelkę, która na szczęście zgasła, nie wznecając

pożaru. Zanim nie przeprowadziliśmy się po raz drugi, wandalizm był stałym elementem naszego życia.

Wiedziałam wtedy tak samo jak teraz, że nie mogę polegać na pomocy sąsiadów. Ani policji.

Prysznic jest niczym cudowne wytchnienie po długim, wyczerpującym dniu. Wycieram włosy ręcznikiem i zakładam świeży sportowy stanik i majtki. Potem znajduję parę najbardziej miękkich dresów, jakie mam, zakładam bluzkę z mikrofibry i skarpetki. Chcę być tak bardzo ubrana, jak to tylko możliwe, nie licząc butów do biegania, do których przyszyłam elastyczne taśmy, by móc włożyć je bez trudu na wypadek niebezpieczeństwa. Kanapa jest wystarczająco wygodna, a ja chowam pistolet w miejscu, z którego mogę łatwo po niego sięgnąć. Kładę go z lufą wycelowaną z dala od siebie. Zbyt wielu paranoików zapomniało o możliwości przypadkowego naciśnięcia spustu.

Ku mojemu zaskoczeniu, zasypiam. Nie mam żadnych snów. Pewnie dlatego, że jestem zbyt zmęczona. Budzi mnie cichy pisk automatycznego ekspresu do kawy, który włącza się, by zaparzyć świeżą porcję porannej kawy. Zapisuję sobie w myślach, żeby powiedzieć Lanny, że jeśli znów zostanę aresztowana, ma wyłączyć to cholerstwo. Na zewnątrz nadal jest ciemno. Znajduję kaburę na ramię i zakładam ją na bluzkę, chowam do środka pistolet i idę nalać sobie kawy. Jestem w skarpetkach i stąпам bardzo cicho, a mimo to słyszę skrzypienie drzwi otwierających się na końcu korytarza.

To Lanny. Od razu widać, że nie spała zbyt wiele, bo zdążyła już założyć czarne bojówki i porwaną, szarą koszulkę z wizerunkiem czaszki oraz czarny, prześwitujący przez dziury tank top. Za dwa lata będę musiała walczyć z nią, żeby nosiła pod spodem dodatkową koszulkę. Uczesała włosy, ale nie wyprostowała ich, a delikatne, naturalne fale błyszczą w świetle wraz z każdym jej ruchem. Zaczerwienione sińce pod jej oczami przybrały odcienia szkarłatu wpadającego w brąz. Nos ma lekko spuchnięty, ale nie tak mocno, jak się obawiałam.

Pomimo obrażeń, nadal wygląda tak pięknie, że oddech więźnie mi w gardle z powodu nieoczekiwanego bólu, i muszę zająć czymś ręce, więc dosypuję cukru do kawy, byle tylko nie pokazać swoich emocji. Nie wiem, czemu w ogóle je czuję. Ogarniają mnie niczym potężna, ciepła fala, która sprawia, że chcę zniszczyć świat, zanim będzie miał okazję

ponownie ją skrzywdzić.

– Przesuń się – mówi zirytowanym głosem, a ja schodzę jej z drogi, gdy szarpnięciem zdejmuję kubek z półki. Sprawdza go – to u niej automatyczny odruch z czasów, gdy miała dwanaście lat i znalazła karalucha w kubku w wynajmowanym domu – po czym nalewa sobie kawy. Pije czarną, ale nie dlatego, że lubi, a dlatego, że wydaje jej się, że powinna. – Nadal żyjemy.

– Żyjemy – zgadzam się.

– Sprawdziłaś Patrol Psycholi?

Obawiam się tego, ale Lanny ma rację. To kolejny krok.

– Zaraz się tym zajmę.

Parska gorzkim śmiechem.

– Wygląda na to, że nie wrócę już do szkoły.

Nie ubrała się jak na zajęcia i w dodatku ma rację.

– Koniec ze szkołą. Chyba najwyższa pora rozpocząć nauczanie domowe.

– No tak, świetnie. Już nigdy nie wyjdziemy z domu. Będziemy musieli sprawdzać dane każdego kuriera UPS, zanim pozwolimy mu dostarczyć paczkę.

Jest w paskudnym nastroju i szuka powodu do kłótni. Unoszę brwi ze zdziwienia.

– Proszę cię, przestań – mówię, czym zaskarbiam sobie jej mordercze spojrzenie. – Będę potrzebować twojej pomocy, Lanny.

Do morderczego spojrzenia dochodzi przewracanie oczami – elegancka sztuczka, którą chyba tylko nastoletnia dziewczyna jest w stanie opanować po mistrzowsku.

– Niech zgadnę. Chcesz, żebym zajęła się Connorem. Jako jego strażnik. Może powinnaś dać mi jakąś odznakę i, no wiesz... – wskazuje niedbałym, lecz stanowczym gestem na moją kaburę.

– Nie. Chcę, żebyś ze mną poszła i pomogła posortować maile. Weź swój laptop. Pokażę ci co robić. A kiedy już się z tym uporamy, porozmawiamy o następnych krokach.

Momentalnie zapomina języka w gębie, co jest całkowitą nowością, po czym odkłada kubek, przełyka kawę i mówi:

– Najwyższy czas.

– Owszem – zgadzam się. – Ale wierz mi, wolałabym nigdy cię w to nie

wplątywać.

Stopniowe przyzwyczajanie jej do poziomu ludzkiej deprawacji i demonstrowanie, jak sortować i klasyfikować maile to żmudna i ciężka praca. Sprawdzam uprzednio, co nadaje się do wysłania na jej laptop – żadnego porno z gwałtami ani zdjęć naszych twarzy doklejonych do ciał ofiar. Nie mogę jej tego zrobić. Wkrótce sama może się na nie natknąć, ale wyłącznie dlatego, że temu nie zapobiegłam, a nie że na to pozwoliłam.

Dziś rano zastajemy prawdziwe tsunami nienawiści. Nawet pracując we dwie, selekcjonując i zgłaszając groźby do różnych instytucji zajmujących się przeciwdziałaniem przemocy, zajmuje nam to bardzo dużo czasu. Większość to regularnie pojawiające się groźby śmierci. Jedna z nich sprawia, że Lanny odrywa się do pracy, odjeżdża krzesłem od laptopa i zabiera rękę, zupełnie jakby dotknęła czegoś martwego. Patrzy na mnie bez słowa, a ja widzę, jak zapala się w niej mały płomyk. Cień nadziei. Odrobina wiary w to, że świat nadal może być dobry, nawet dla nas.

– To tylko słowa – przekonuję ją. – Napisane przez małych ludzi, którzy są odważni w internecie i po drugiej stronie klawiatury. Mimo to wiem, jak się czujesz.

– To okropne – odzywa się głosem, który pasuje bardziej do małej dziewczynki, niż dorosłego, którego udaje. Chrząka dyskretnie i próbuje ponownie. – Ci ludzie są obrzydliwi.

– Tak – zgadzam się z nią i kładę dłoń na jej ramieniu. – Nigdy nie będzie ich obchodzić, czy zraniły cię ich słowa, ani nawet czy je przeczytałaś. Dla nich liczy się sam fakt, że je napisali. To normalne, że czujesz się zastraszone i że twoje prawa są bezkarnie łamane. Ja czuję się tak przez cały czas.

– Ale?

Moja córka wie, że zawsze jest jakieś „ale”.

– Ale masz nad nimi przewagę. Możesz wyłączyć komputer i odejść w każdej chwili. To tylko piksele na ekranie. Dranie, którzy mogą siedzieć na drugim krańcu świata lub kraju, a nawet jeśli nie, to istnieje niebotycznie wielka szansa, że nigdy nie zrobią niczego, co nie będzie wymagało krzyczenia do komputera. Jasne?

Wygląda na to, że moje słowa ją uspokoiły.

– Jasne. A co jeśli oni... okażą się lepsi?

– Właśnie dlatego masz mnie, a ja mam to. – Dotykam kabury na ramieniu. – Nie lubię broni. Żaden ze mnie wojownik. Wolałabym, aby broń była *trudniejsza* do zdobycia, a ja mogła polegać wyłącznie na pastuchu elektrycznym i kiju baseballowym. Jednak świat, w którym żyjemy, taki nie jest. Jeśli będziesz chciała nauczyć się strzelać, załatwimy to. A jeśli nie, to też w porządku. Wierz mi, że wolałabym, abyś nie zaczynała, bo szanse na to, że zostaniesz zastrzelona, są nieporównywalnie większe, gdy jesteś uzbrojona. Robię to bardziej po to, żeby odciągnąć ogień od was, niż samej zacząć strzelać. Rozumiesz?

Rozumie. Widzę to po niej. Po raz pierwszy postrzega broń, którą noszę, jako jednoczesne zagrożenie i zabezpieczenie. I dobrze. To najtrudniejsza lekcja dla kogoś, kto został nauczony, że broń to jedyne wyjście... że jest jedynym rozwiązaniem prostego i bezpośredniego problemu, jakim jest zabicie kogoś.

Nie chcę, aby kiedykolwiek musiała to zrobić. Ja sama nie chcę tego robić.

Ponownie podłączam jej laptop do sieci. Pracujemy w milczeniu, gdy w drzwiach pojawia się Connor, ziewając, nadal ubrany w spodnie od piżamy. Na ramieniu ma rozległy, ciemniejszy siniak, ale oprócz niego wygląda na całego. Mruga, zaskoczony naszym widokiem, i próbuje przyczesać palcami włosy.

– Wstałyście już – mówi. – Dlaczego nie ma jeszcze śniadania?

– Zamknij się – odparowuje Lanny, ale to zwykły odruch. – Ale z ciebie maminsynek. Naucz się smażyć naleśniki, przecież to żadna filozofia.

Ziewa przeciągle i posyła mi ponure spojrzenie.

– Mamo...

Najwyraźniej chce być dzisiaj traktowany jak dziecko, tulony, rozpieszczany i chroniony. To zupełnie przeciwieństwo Lanny, która woli stawać oko w oko z problemami. To również jest w porządku. Connor jest młodszy i to jego wybór. Lanny też.

Odrywam się od zalewu internetowej nienawiści i idę przygotować ciasto naleśnikowe z gotowej mieszanki. Dodaję do niego świeże orzechy pekan, które i tak musiałabym zużyć. Chwilę później jesteśmy już w trakcie jedzenia zaskakująco normalnego śniadania, gdy nagle od strony naszych zdewastowanych drzwi frontowych odzywa się stanowcze

pukanie.

Wstaję od stołu. Lanny zdążyła już odłożyć widelec i prawie wstała z krzesła, ale ruchem ręki każe jej wrócić na miejsce. Connor przestaje żuć naleśnika i wpatruje się we mnie, a przez moje myśli przelatują setki możliwych rozwiązań. Właśnie dziś jest dzień, w którym stajemy twarzą w twarz z całkiem nowymi zagrożeniami. To może być listonosz. Albo facet ze strzelbą, gotowy odstrzelić mi twarz w sekundzie, w której ją zobaczy. Możliwe, że ktoś zostawił mi na wycieracze okaleczone, martwe zwierzę. Nie sposób to stwierdzić bez wyglądania na zewnątrz, więc biorę tablet i próbuję go włączyć, po czym przypominam sobie, że padł. Bateria się wyczerpała. Cholerna technologia.

– Wszystko w porządku – mówię dzieciom, choć tak naprawdę nie mam pojęcia, o co chodzi. Podchodzę do drzwi i zerkam ostrożnie w wizjer. Moim oczom ukazuje się wyglądająca na zmęczoną Afroamerykanka stojąca na progu. Wydaje się dziwnie znajoma. Przez kilka sekund mam problem, żeby ją sobie przypomnieć, bo ostatnim razem widziałam ją tylko przelotnie, a ona miała na sobie policyjny mundur.

To policjantka, która ubiegłej nocy towarzyszyła Grahamowi i która zajęła się pijakami, gdy on z nami rozmawiał.

Rozbrajam alarm i otwieram drzwi, a ona zastyga na chwilę w bezruchu na widok mojej kabury.

– Tak? – pytam, ani jej nie zapraszając, ani nie wyganając. Przenosi na mnie spojrzenie swoich ciemnobrązowych oczu i bardzo ostrożnie pokazuje mi, że nie trzyma niczego w dłoniach.

– Nazywam się Claremont.

– Oficer Claremont. Pamiętam panią z ubiegłej nocy.

– Owszem. Mój ojciec mieszka po drugiej stronie jeziora. Powiedział, że spotkał panią i pani córkę, gdy wyszłyście pobiegać.

Ezekiel Claremont, tamten staruszek. Easy. Waham się przez chwilę, po czym wyciągam dłoń. Wymieniamy uścisk rąk. Oficer Claremont ma konkretny, pewny chwyt. Z bliska, w codziennych ubraniach, prezentuje się bardzo elegancko, co można dostrzec nie tylko w kroju jej ubrań, ale także we fryzurze i idealnie ukształtowanych paznokciach. Nie spodziewałabym się czegoś takiego po funkcjonariuszu policji z Norton.

– Mogę wejść? Chcę pani pomóc.

Mówi to ot tak, lekką ręką. Z jej oczu biją pewność i opanowanie,

a w sposobie, w jaki to mówi, jest spokój i siła.

Mimo to wychodzę na zewnątrz i zamykam za sobą drzwi.

– Przepraszam, ale nie znam pani. Nie wiem nawet, jak pani ma na imię.

Jeśli jest zaskoczona moim brakiem uprzejmości, nie pokazuje tego po sobie. Przez ułamek sekundy mruży odrobinę oczy, a potem uśmiecha się i mówi:

– Kezia. W skrócie Kez.

– Miło mi panią poznać – mówię, ale to tylko pusty frazes. Zastanawiam się, co, do cholery, ona tu *naprawdę* robi.

– Mój ojciec chciał, żebym wpadła zobaczyć, co u pani słyhać – tłumaczy. – Słyszał o kłopotach, w jakie pani wpadła. Mój ojciec nie jest zbyt wielkim fanem nortońskiej policji.

– Zatem wasze niedzielne obiady muszą wyglądać naprawdę niezręczne.

– Nie ma pani *pojęcia*.

Wskazuję na krzesła na werandzie i uświadamiam sobie z ostrym ukłuciem bólu, że zajmuje to, na którym zawsze siadał Sam Cade. Dociera do mnie, że tęsknię za tym sukinsynem. Nie, wcale nie. Tęsknię za kimś, kto nigdy nie istniał, tak samo jak Mel nigdy nie istniał. Prawdziwy Sam Cade to stalker i skończony kłamca.

– Całkiem tu ładnie po tej stronie jeziora – stwierdza, podziwiając widok. Jestem pewna, że myśli, tak samo jak wszyscy inni, że miałam stąd doskonały widok na ciała wyrzucane do wody. – Jego strona jest bardziej przesłonięta drzewami, choć tańsza. Ciągle staram się go namówić, żeby przeniósł się do domku u stóp wzgórza, żeby nie wspinać się po szlaku, ale...

– Z przyjemnością uciełabym sobie pogawędkę, ale naleśniki mi stygną – przerywam jej. – Co chce pani wiedzieć?

Kręci lekko głową, nie spuszczając wzroku z jeziora.

– Wie pani co, nie pomaga mi pani w udzieleniu pomocy. Biorąc pod uwagę pozycję, w jakiej się pani znajduje, radziłabym zapanować nad tego typu nastawieniem. Będzie pani potrzebować przyjaciół.

– To *nastawienie* utrzymuje mnie przy życiu. Dziękuję za wizytę.

Zaczynam podnosić się z miejsca, ale wyciąga perfekcyjnie wymanikiowaną dłoń i powstrzymuje mnie, po czym przenosi na mnie

swój wzrok.

– Wydaje mi się, że będę w stanie pomóc pani odkryć, kto za tym stoi. Obie wiemy, że to ktoś stąd. Okoliczny mieszkaniec. I że ma motyw.

– Sam Cade też ma motyw.

– Pomogłam potwierdzić jego alibi w przypadkach obu zaginięć. To nie on. Został wykluczony ponad wszelkie podejrzenie. Wypuściliśmy go.

– Wypuściliście? – Patrząc na pochłapany farbą garaż, na pełne wściekłości słowa wymalowane na ceglach. – Świetnie. W takim razie już wiem, kto to zrobił.

– Nie sądzę...

– Posłuchaj, Kez, doceniam twoje starania, ale wcale mi nie pomagasz, jeśli postawiłaś sobie za cel przekonać mnie, że Sam Cade nie jest złym człowiekiem. Śledził mnie.

– Zgadza się. Przyznał się do tego. Powiedział, że był wściekły i pragnął zemsty, ale okazało się, że nie jesteś taka, jak sądził. Gdyby chciał cię skrzywdzić, miał ku temu mnóstwo sposobności, nie sądzisz? Wydaje mi się, że to ktoś zupełnie inny. Pracowałam nad pewnym tropem. Chcesz wysłuchać, co mam do powiedzenia, czy nie?

Kusi mnie, żeby odmówić, zerwać się z krzesła i odejść... ale nie potrafię się do tego zmusić. Kezia Claremont może mieć ukryty motyw, ale jej propozycja wydaje się całkiem szczerą. Rzeczywiście potrzebuję przyjaciela, nawet jeśli jest to ktoś, komu nie do końca mogę zaufać. Nie bardziej niż Samowi.

– Słucham – mówię w końcu.

– W porządku. Stillhouse Lake to dość hermetyczna społeczność, zamieszkała głównie przez białych. Dość zamożnych, jeśli nie bogatych.

– Nie od czasu spadku koniunktury, gdy wszystkie domy zostały wystawione na aukcje komornicze.

– Owszem, około jedna trzecia nieruchomości została sprzedana lub wynajęta w pośpiechu w zeszłym roku. Jeśli wykluczymy mieszkańców, którzy zamieszkują te tereny od samego początku, zostaje nam do sprawdzenia jakieś trzydzieści domów. Po odjęciu twojego, dwadzieścia dziewięć. Ma nadzieję, że nie masz nic przeciwko, jeśli usunę z listy mojego ojca. Zatem zostaje dwadzieścia osiem.

Nie jestem skłonna tego przyznać, ale ze względu na jej logiczny argument, mogę wyeliminować Easy'ego Claremonta. Nie wyglądał na

takiego, co da radę wdrapać się na wzgórze do własnego domu, a tym bardziej porwać, zabić i pozbyć się ciał dwóch zdrowych, silnych, młodych kobiet. Mogę też wykluczyć siebie. A zatem zostaje dwadzieścia osiem domów. Oczywiście, wliczając w to Sama Cade'a, którego policja zdążyła już wykluczyć, i równie dobrze ja sama, choć niechętnie, mogę to zrobić. Pozostaje dwadzieścia siedem domów. Niewielka liczba.

– Masz nazwiska? – pytam.

Kiwa potakująco głową i wyjmuje z kieszeni złożoną kartkę papieru, wręczając mi ją. To zwykły papier do kserokopiarki, typowy dla każdego biura, z listą nazwisk, adresów i numerów telefonów. Oficer Claremont jest bardzo skrupulatna. Przy niektórych nazwiskach zaznaczono gwiazdki odsyłające do przeszłości kryminalnej. Nie jestem zbyt podejrzliwa w stosunku do dwóch facetów zajmujących się gotowaniem metamfetaminy, którzy dzielą wspólny domek na wzgórzu, ale ta informacja z całą pewnością jest użyteczna. Na liście znajduje się również przestępca seksualny, ale czytelne odręczne notatki Kezii pokazują, że został już drobiazgowo przesłuchany i choć nie wyeliminowano go ze śledztwa, uznano go wyłącznie za podejrzanego.

– Zrobiłabym więcej, ale uznałam, że możesz potrzebować czegoś, co pomoże ci odwrócić uwagę od własnych myśli. Sama zebrałam te informacje. Nie ma ich w oficjalnych aktach.

Spoglądam na nią. Nie uśmiecha się. Ma w sobie pewną nieustępliwość, coś, co potrafi się ugiąć, ale nie złamać, i od razu to rozpoznaję. Ja też taka jestem.

– Znasz moją przeszłość – mówię. – Dlaczego chcesz mi pomóc?

– Bo tego potrzebujesz, a poza tym Easy mnie prosił. Ale chodzi też o to, że... – Kręci głową i odwraca wzrok. – Wiem, jak to jest być krytykowaną za coś, nad czym nigdy nie miało się kontroli.

Przełykam z trudem ślinę, czując na języku ulotny posmak stygnących naleśników i syropu. Muszę napić się kawy.

– Wejdiesz do środka? – pytam. – Robimy naleśniki. Mam ich wystarczająco dużo, żeby się podzielić.

– Jak najbardziej – mówi, uśmiechając się.

Rozdział jedenasty

Kezia Claremont przypada do gustu moim dzieciom, które są z początku ostrożne i nieufne, ale ona potrafi nawiązać z nimi świetny kontakt. Jej wrodzony urok osobisty sprawia, że rozmowa zaczyna się kleić z niczego. Pewnego dnia będzie z niej świetny oficer śledczy. Marnuje się w policji, użerając z awanturującymi się pijakami – choć w tym również okazała się bezbłędna. Odgrzewam swoje śniadanie i przygotowuję porcję dla niej. Jemy razem, a dzieci sprzątają talerze i rozchodzą się do swoich pokoi. Wydaje mi się, że Lanny chce zostać, ale kręcę nieznacznie głową, więc wychodzi.

– Mam swoje kontakty – mówi Kezia przyciszonym głosem, gdy zostajemy same. – Mogę poprosić, żeby zaczęli nad tym pracować po godzinach, nieoficjalnie. Mój ojciec powiedział, że masz kłopoty, i faktycznie, ci wandale szybko cię dopadli. Będzie ci potrzebna ochrona na miejscu.

– Wiem. Mam broń, ale...

– Ale atak nie jest obroną. Słuchaj, znasz Javiera. On jest drugim powodem, dla którego tu jestem. Lubi cię. Nie jest jeszcze skłonny uwierzyć, że jesteś całkiem niewinna, ale chce ci pomóc trzymać tych drani z dala od ciebie, pod warunkiem, że się zgodzisz.

Myślę o tym, że wszystko mogłoby wyglądać zupełnie inaczej, gdybym tylko posłuchała instynktu, załadowała bagaże do vana i uciekła za pierwszym razem z miasteczka, zamiast zostać w nim jak skończona idiotka, która niczego się nie spodziewa. Miałam ku temu dobre powody, które teraz, z perspektywy czasu, wydają się kompletnie bezsensowne, niczym iluzje. Nie mogę wymienić się na vana, skoro z jeepa został wrak, a poza tym Javier i tak nigdy by mi go nie dał. Żadne z nas nie

chciałoby, aby został jakiś ślad na papierze.

– Jeśli chce nas przypilnować, to nie mam nic przeciwko. Czułabym się o niebo lepiej, gdyby miał przy sobie resztę swojego pułku.

Kez unosi w górę ostro zarysowane brwi.

– Lepiej ciesz się z tego, co masz. Sojuszników będziesz mieć jak na lekarstwo.

Ma rację, więc zamykam się i kiwam głową.

– Wezmę połowę listy – mówię. – Chyba znam kogoś, kto może pomóc zebrać informacje.

Absalom nie będzie tani, ale próba uniknięcia opłaty za pomoc byłaby jak strzał we własną stopę. Nie mogę dłużej uciekać. Równie dobrze mogę wykorzystać pieniądze do uwolnienia się z sieci, którą Mel (bo to musi być Mel) zarzucił wokół mnie. Nie mogę zacząć nowego życia, jeśli trafię za kratki. Nie uratuję rodziny, jeśli dzieci zostaną mi odebrane i przekazane rodzinie zastępczej.

Kezia ma rację. W tej chwili potrzebuję każdego sprzymierzeńca, jakiego tylko uda mi się zdobyć.

Gdy kończymy śniadanie, dziękuję jej i biorę od niej numer telefonu. Mam świadomość, że jeśli źle odczytałam jej intencje, wszystko, o czym rozmawialiśmy, mogło zostać nagrane, udokumentowane i stać się częścią oficjalnego kartoteki policyjnej Norton... nie sądzę jednak, aby Prester posunął się do takiej ostateczności.

Piszę wiadomość do Absaloma, który odpowiada zwięzłym „CZEGO”, jakbym przerwała mu robienie czegoś niesłychanie ważnego, i w krótkich słowach odpisuję mu, czego od niego chcę. Jego odpowiedź jest bezpośrednia i dosadna: „Myślałem, że siedzisz w więzieniu”. Odpisuję „Jestem niewinna”, a Absalom milczy przez całą minutę, po czym wysyła mi wiadomość w postaci pojedynczego znaku zapytania, która w typowym dla niego sposobie komunikowania się oznacza „czego potrzebujesz”.

Robię zdjęcie kartki papieru zapisanej starannym, eleganckim pismem Kezii, i instruuje, którymi nazwiskami ma się zająć. Jego wiadomość z ceną podaną w bitcoinach wywołuje grymas skrzywienia na mojej twarzy, ale on wie, że i tak zapłacę, więc robię przelew ze swojego komputera. Nie sprawdzam maili. Najwyższa pora zniszczyć ten adres. Nawet jeśli znajdują się tam jakieś wskazówki, nie dam rady zanurzyć

się w toksycznej powodzi nienawiści bez skażenia swojej duszy. Zostawiam to na później, wysyłam mu pieniądze, a także mail z tym samym zdjęciem listy z zaznaczonymi nazwiskami do prywatnego detektywa, z którego usług korzystałam już wcześniej, wraz ze standardową opłatą za stawkę.

Korzystam z ubikacji, gdy nagle dzwoni mój jednorazowy telefon na kartę, więc łapię go i sprawdzam numer. Nie rozpoznaję go, ale możliwe, że to Absalom.

Wycieram się szybko i spuszczam wodę, po czym wciskam guzik odbierający połączenie i mówię:

– Halo?

– Witaj, Gina.

Oddech więźnie mi w gardle na dźwięk tego głosu. To głos z mojej głowy, którego nigdy nie będę w stanie wygnać, bez względu na to jak dużo będę się modlić. Palce mi drętwieją i opieram się o zlew, wpatrując się w swoją przerażoną, ponurą twarz w lustrze.

Melvin Royal rozmawia ze mną przez telefon. *Jak to w ogóle możliwe?*

– Gina? Jesteś tam?

Chcę się rozłączyć. Kontynuowanie połączenia jest jak trzymanie torby pełnej pajaków. Jakimś cudem udaje mi się wykrztusić:

– Tak. Jestem.

Melvin lubi się przechwalać. Kocha celebrować swoje zwycięstwa. Jeśli to zaaranżował, powie mi, albo zdradzi coś, co będę mogła wykorzystać.

Ma mój numer. Jakim cudem go zdobył? No jak?

Kez. Dopiero co pojawiła się w moim życiu... ale przecież nie dałam jej swojego numeru. *Sam.* Nie, tylko nie Sam. Proszę, tylko nie on.

Zaraz.

Wzięłam telefon do więzienia. Musiałam go oddać przy wejściu i odebrać w drodze powrotnej. Ktoś z wewnątrz jest odpowiedzialny za przekazywanie mu poczty. Bardzo możliwe, że zdołał się włamać do mojego telefonu. Miał na to wystarczająco dużo czasu. Robi mi się niedobrze na myśl o tym, że tego nie przewidziałam.

Mel mówi coś do mnie przez telefon. W jego głosie słychać teraz sztuczną czułość.

– Skarbie. Masz za sobą wyjątkowo paskudny tydzień. To prawda, że wyłowili kolejne ciało?

– Tak. Widziałam ją.

– Jakiego była koloru?

Spodziewałabym się po nim wielu pytań, ale nie tego.

– Co takiego? – mówię wypranym z emocji tonem.

– Któregoś razu zrobiłem tabelkę z kolorami ilustrującą to, jak wyglądały w różnych etapach bez skóry. Była bardziej różowa jak surowy kurczak, czy bardziej brązowa?

– Zamknij się.

– Zmusz mnie, Gina. Odłóż słuchawkę. Ale chwileczkę, jeśli to zrobisz, jeśli naprawdę to zrobisz, nigdy się nie dowiesz, kto cię prześladowuje.

– Zabiję cię.

– O tak, powinnaś. Ale nie będziesz miała czasu. Obiecuję ci to.

Jest mi zimniej niż kiedykolwiek wcześniej. Jego głos nadal brzmi jak dawniej... jest rozsądny, spokojny, zrównoważony. Racjonalny. Tyle że nic co mówi, takie nie jest. Ani trochę.

– W takim razie powiedz mi. Marnujesz tylko czas.

– Domyślałam się, że odkryłaś prawdę o swoim nowym przyjacielu Samie. Ty po prostu nie możesz opędzić się od facetów, co? Założę się, że myślał o wszystkich okropnych rzeczach, jakie chciał ci zrobić. Podniecało go to każdego wieczora, to oczekiwanie.

– Czy ciebie też to podnieca, Mel? Bo to jedyne, na co możesz liczyć. Już nigdy więcej mnie nie zobaczysz. Nigdy mnie nie dotkniesz. A ja przejdę przez to wszystko z podniesioną głową.

– Nie masz pojęcia, co się dzieje. Nie *widzisz* tego.

– Więc powiedz mi. Zdradź mi, co przeoczyłam. Wiem, że wprost umierasz z pragnienia, aby mi powiedzieć, jaka jestem głupia!

– Zrobię to – mówi i nagle ton jego głosu się zmienia. Zrzuca maskę, a ja słyszę, jak przemawia przez niego potwór. Jest zupełnie inny. Nawet nie brzmi po ludzku. – Chcę, żebyś wiedziała, że gdy nadejdzie ta chwila, gdy wszystko rozpadnie się jak domek z kart, że to wyłącznie *twoja wina*, ty bezwartościowa, głupia suko. Powinienem był zacząć od ciebie. Któregoś dnia to zrobię. Myślisz, że już nigdy cię nie dotknę? *Zrobię to*. Od środka.

Dostaję gęsiej skórki i chowam się w kącie, zupełnie jakby mógł dosięgnąć mnie przez telefon. Nie ma go tutaj. Nigdy nie będzie. Ale ten głos...

– Nigdy nie opuścisz swojej celi – udaje mi się wykrztusić. Wiem, że nie mówię już jak Gwen. Mówię teraz jak Gina. *Jestem* teraz Gina.

– Och, nie słyszałaś najnowszych wieści? Mój prawnik uważa, że moje prawa zostały naruszone. Może pojawią się nowe dowody w sprawie. Może dojdzie do kolejnego procesu, Gina. Chcesz znowu przechodzić przez to wszystko? Chcesz tym razem *zecznować*?

Sam pomysł sprawia, że robi mi się niedobrze. Czuję, jak gorycz kwasów żołądkowych podchodzi mi do gardła. Nie odpowiadam mu. „Rozłącz się”. Wrzeszczę na siebie w duchu, jakbym stała po drugiej stronie swojego ciała. „Rozłącz się, rozłącz się, rozłącz!” To jak bycie uwięzionym w koszmarze. Nie mogę się poruszać... po czym biorę głęboki wdech i paraliż ustępuje, a ja przesuwam kciuk w stronę guzika z napisem „rozłącz”.

– Zmieniłem zdanie – mówi, ale ja już go wciskam. – Powiem ci...

Klik. Zrobiłam to. Zniknął. Czuję się, jakbym zdobyła ważny punkt... ale czy na pewno? A może znowu uciekłam?

„Dobry Boże. Skoro dobrali się do mojego telefonu, mogli wydobyć z niego więcej informacji. Numery telefonów dzieci. Numer Absaloma. Co jeszcze w nim miałam?”

Kucam na podłodze z plecami wciśniętymi w róg między umywalką a zawiasami drzwi, i ostrożnie kładę telefon na ziemi, wpatrując się w niego tak, jakby miał się zmienić w kawał gnijącego mięsa albo kłębowisko jadowitych skorpionów. Biorę ręcznik do rąk i zaciskam na nim zęby tak mocno, że aż szczęki zaczynają mnie boleć, i krzyczę w tłumiący dźwięki materiał.

Robię to do chwili, w której czuję, że przejaśnia mi się w głowie. Trwa to kilka minut. W końcu zaczynam się koncentrować na pytaniach. Jak? Ktoś w więzieniu musiał wykraść mój numer z telefonu w trakcie mojej wizyty. Jak udało mu się zadzwonić? Przywilej korzystania w telefonu jest zarezerwowany wyłącznie dla prawnika Melvina. Nie pozwolono mu na kontakty z nikim innym, a ja zajmuję szczególne miejsce na liście osób, do których nie wolno mu dzwonić. Jednak nawet w celi śmierci można kupić sobie trochę czasu nielegalnie przemyconym telefonem.

Mam nadzieję, że drogo to drania kosztowało.

Nie mogę zostać w domu. Mam wrażenie, że się duszę. Jestem zdesperowana i wściekła. Przez chwilę chodzę w kółko po salonie, po

czym dzwonię do Kezii Claremont pod numer, który zostawiła, by poprosić ją, żeby popilnowała moich dzieci.

– Wyrzyj przez okno – mówi. Odsuwam na bok zasłonę w salonie i widzę ją w samochodzie stojącym nadal na podjeździe. Macha mi ręką.
– O co chodzi?

Mówię jej o telefonie od Mela, a ton jej głosu staje się chłodny i rzeczowy, gdy zapisuje numer, który jej odczytuję – Mel nie przejmował się tym, by go zablokować – i mówi, że zaraz to sprawdzi. Nie mam wątpliwości, że trop prowadzi donikąd. Nawet jeśli zlokalizują telefon, to nie będzie miało znaczenia. Mel udowodnił już, że potrafi osiągnąć mnie z za krat swojego więzienia, kiedy tylko chce. Następnym razem to nie będzie on, tylko ktoś wykonujący ślepo jego rozkazy.

– Kezia... – Drżę z napięcia, od którego aż mnie mdli. – Czy możesz tu zostać i popilnować domu przez około godzinę?

– Jasne. Mam wolne. Jest całkiem ładny dzień i w ogóle. A co? Groził ci w jakiś konkretny sposób?

– Nie, ale... muszę stąd wyjść. Chociaż na chwilę. – Czuję się tu jak w pułapce. Jestem o włos od popadnięcia w załamanie nerwowe i zdaję sobie z tego sprawę. Muszę złapać dystans, odzyskać choć odrobinę kontroli. – Najwyżej na godzinę. – Muszę pozbyć się z organizmu śladów konfrontacji z Melem, zanim staną się toksyczne.

– Nie ma sprawy – mówi. – I tak jestem zajęta wykonywaniem telefonów. Będę tu przez cały czas.

Mówię dzieciom, że niedługo wrócę i że Kezia jest na zewnątrz. Każę im przysiąc, że nie otworzą nikomu drzwi w trakcie mojej nieobecności. Powtarzamy instrukcję postępowania na wypadek niebezpieczeństwa. Dzieci są ciche i czujne. Wiedzą, że coś jest nie tak, i to je przeraża. Widzę to gołym okiem.

– Wszystko będzie dobrze – uspokajam je. Całuję Lanny w czubek głowy, a potem Connora. Wypuszczają mnie z objęć bez wrywania się. Właśnie dlatego wiem, że się martwią.

Biorę plastikowe etui i chowam w nim broń. Magazynek jest wyjęty, a komora spustowa pusta. Nie zdejmuję mocowanej na ramieniu kabury, ale nie wkładam do niej broni. Zakładam zasuwaną na zamek bluzę z kapturem, aby ją ukryć, a etui wrzucam do małego plecaka.

– Mamo? – To Lanny. Zastygam z dłonią na panelu, gotowa

dezaktywować alarm. – Kocham cię – mówi cichym głosem, ale jej słowa uderzają we mnie niczym tsunami. Zbija mnie z nóg od wewnątrz. Zalewa mnie tak potężna fala emocji, że przez chwilę nie mogę oddychać. Moje palce drżą na klawiaturze i na ułamek sekundy oślepiają mnie łzy.

Odpędzam je mruganiem powiek, odwracam się i silę się na uśmiech.

– Ja też cię kocham, skarbie.

– Wracaj szybko – dodaje. Patrzą, jak podchodzi do kuchennego bloku i wyjmuje jeden z noży. Odwraca się i idzie do swojego pokoju.

Chce mi się krzyczeć. Wiem, że nie mogę zrobić tego tutaj. Wbijam kod, robię to źle, próbuję ponownie i wyłączam alarm. Drzwi otwierają się, zanim jest bezpiecznie, ale ustawiłam je w odpowiedni sposób. Po wyjściu resetuję alarm i zamykam drzwi. Gotowe. Moje dzieci są bezpieczne. Chronione. Kezia wisi na telefonie, gdy przechodzę obok, i kiwa mi głową, zapisując coś w notatniku.

Zaczynam biec. To nie jest trucht, tylko maksymalny sprint wzdłuż podjazdu. Każdy krok balansuje na krawędzi równowagi i kontroli. Jeden zły ruch, a wywalę się jak długa lub coś sobie złamię, ale mam to gdzieś. *Mam to gdzieś*. Muszę pozbyć się z organizmu trucizny Melvina Royała.

Pędzę, jakby sam diabeł mnie gonił.

Docieram do drogi i biegnę pod górę zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Z naciągniętym na głowę kapturem wyglądam jak kolejny, anonimowy biegacz wokół jeziora. Mijam po drodze kilku ludzi. Jedni spacerują, drudzy siedzą w dokach. Obrzucają mnie zaciekawionymi spojrzeniami z powodu prędkości, z jaką biegnę, ale poza tym nikt nie zwraca na mnie uwagi. Po prawej mijam domek Sama Cade'a, jednak nie zatrzymuję się przy nim. Przelewam więcej energii w mięśnie, pozbywając się napięcia, i docieram aż na szczyt, gdzie parking przed strzelnicą zapewnia pożądaną płaską powierzchnię. Zwalniam i zaczynam iść, aby mięśnie przestały mnie palić z bólu. Okrążam wzgórze. Moja bluza jest mokra od potu i ciężka, a ja nadal czuję bużującą we mnie wściekłość.

Nie pozwolę, aby Mel wygrał. Nigdy więcej.

Ściągam kaptur przed wejściem na strzelnicę – zwykły gest uprzejmości, ale i ostrożności – i prawie wpadam na Javiera, który stoi w przejściu zwrócony plecami do drzwi, przypinając coś do tablicy

ogłoszeń. To część sklepowa, w której sprzedają amunicję, sprzęt łowiecki, akcesoria do polowania z łukiem... a nawet popcorn w kamuflujących barwach. Młoda kobieta za ladą ma na imię Sophie i należy do siódmego pokolenia rdzennych mieszkańców Norton. Wiem to, bo uraczyła mnie długą i obszerną opowieścią o swoim pochodzeniu w dniu, w którym przyszłam zapisać się na strzelnicę. Wyjątkowo gadatliwa i przyjacielska dziewczyna.

Wystarczy jej jeden rzut oka na mnie, żeby na jej twarzy pojawił się taki wyraz, jakby chciała zamknąć sklep. Zero uprzejmości, zero rozmów o niczym. Ma nerwowe, szkliste spojrzenie osoby skłonnej chwycić schowaną pod ladą broń i wypalić z niej w ułamku sekundy.

– Panie Esparza – witam się, a Javier wbija ostatnią pinezkę w ulotkę i odwraca się, aby na mnie spojrzeć. Nie wygląda na zaskoczonego. Jestem pewna, że dzięki swojej doskonałej orientacji przestrzennej wiedział, kim jestem, w chwili, w której otworzyłam drzwi.

– Pani Proctor. – Nie emanuje wrogością tak jak Sophie, lecz zachowuje uprzejmą obojętność. – Lepiej, żeby ta kabura była pusta. Zna pani zasady.

Odsuwam zamek bluzy, żeby udowodnić mu, że kabura jest pusta, i zdejmuję plecak, by pokazać etui na broń. Widzę, że się waha. W każdej chwili z byle powodu może odmówić mi prawa wstępu na strzelnicę – to jego przywilej instruktora. Mimo to kiwa głową i mówi:

– Stanowisko numer osiem na końcu jest otwarte. Zna pani zasady.

Znam. Biorę słuchawki z półki i mijam szybkim krokiem odwróconych do mnie plecami strzelających, idąc na sam koniec. Być może wybór stanowiska nie jest przypadkowy, bo górne oświetlenie ósmego jest nieco bardziej przytłumione niż w pozostałych. Zazwyczaj strzelam w tych znajdujących się bliżej drzwi. Pamiętam, że w dniu, w którym Javier zbeształ go za niewłaściwe zachowanie na strzelnicy, Carl Getts korzystał właśnie ze stanowiska numer osiem. Może to tutaj Javier zsyła wyrzutków.

Wyciągam broń oraz magazynek i zakładam ciężkie nauszники. Ulga płynąca z odcięcia się od jednostajnego huku wystrzałów jest natychmiastowa. Kończę ładować broń gładkimi, spokojnymi ruchami. Stało się to dla mnie formą medytacji, miejscem, w którym pozwalam, aby opuściły mnie wszelkie emocje. Jestem tylko ja, broń i cel.

I Mel, który unosi się przed tarczą strzelniczą niczym duch. Gdy strzelam, wiem dokładnie, kogo zabijam.

Niszczę sześć tarcz, nim znów czuję się oczyszczona i pusta. Opuszczam broń, opróżniam magazynek i komorę, po czym odkładam broń oknem wyrzutu łusek do góry, z lufą skierowaną w dół. Przepisowo, tak jak zawsze.

Nagle orientuję się, że odgłosy wystrzałów ucichły. Na strzelnicy panuje cisza, co jest dość szokujące i dziwne. Szybko pozbywam się nauszników.

Jestem sama. Wszystkie stanowiska są puste. Przy drzwiach stoi już tylko Javier i mnie obserwuje. Z miejsca, w którym stoi, nie widzę wyraźnie jego twarzy. Znajduje się tuż pod jedną z lamp rzucającą jaskrawe światło na czubek jego głowy, które lśni w krótko obciętych, brązowych włosach i spowija jego twarz w cieniu.

– Przeze mnie twój interes się nie kręci – mówię.

– Wręcz przeciwnie, fantastycznie go napędzasz – rewanżuje się. – W ciągu paru dni sprzedałem tyle amunicji, że już dwa razy musiałem zamawiać towar. Szkoda, że nie jestem właścicielem sklepu z bronią. Mógłbym przejść na emeryturę już po upływie tego tygodnia. Paranoja świetnie się sprzedaje.

Ton jego głosu brzmi całkiem normalnie, ale coś mi nie gra. Wkładam wszystkie elementy broni do etui, zamykam je i wpycham do plecaka, gdy Javier robi krok w moją stronę. Jego oczy są... martwe. Ogarnia mnie niepokój. Nie jest uzbrojony, ale to wcale nie czyni go mniej niebezpiecznym.

– Mam do ciebie pytanie. Jest całkiem podstawowe. Wiedziałaś?

– Co wiedziałam? – mówię, choć w rzeczywistości istnieje tylko jedno pytanie.

– Co robił twój mąż.

– Nie. – Mówię mu stuprocentową prawdę, ale nie mam cienia nadziei, że mi uwierzy. – Mel nie chciał ani nie potrzebował mojej pomocy. Jestem kobietą. Kobiety nigdy nie są *ludźmi* dla osób takich jak on. – Zasuвам plecak. – Jeśli masz zamiar samodzielnie wymierzyć sprawiedliwość tu i teraz, to nie zwlekaj ani chwili. Nie jestem uzbrojona. Nie pokonałabym cię, nawet gdyby było inaczej, i oboje o tym wiemy.

Javier nie rusza się z miejsca ani się nie odzywa. Przygląda mi się tylko, oceniając moje możliwości, a ja przypominam sobie, że podobnie jak Mel, Javier wie, co to znaczy odebrać komuś życie. Jednak w odróżnieniu od Mela przyczyna jego gniewu nie wywodzi się z egoizmu ani narcyzmu: Javier postrzega siebie jako obrońcę, człowieka walczącego o sprawiedliwość.

Co wcale nie znaczy, że nie jestem w niebezpieczeństwie.

Gdy w końcu się odzywa, jego głos przypomina prawie szept.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– O Melu? A jak *myślisz*? Zostawiłam to za sobą. Chciałam tego. Zrobiłbyś inaczej? – Wzdycham głęboko. – Daj spokój, Javi. Proszę. Muszę wracać do dzieci.

– Nic im nie jest. Kez je pilnuje. – Po sposobie, w jaki wymawia jej imię, coś zaczyna do mnie docierać. Kezia Claremont nie przyszła do mnie wyłącznie dlatego, że poprosił ją o to ojciec. Easy spotkał mnie tylko raz i choć wyglądał na miłego staruszka, to wytłumaczenie nie wydawało mi się do końca prawdziwe. Kez wspomniała o Javierze rzeczowym tonem. Jednak sposób, w jakim odnosi się do niej Javier, mówi zdecydowanie więcej. Od razu dostrzegam związek. Javier lubi silne kobiety, a Kez z całą pewnością taka właśnie jest. – Rzecz w tym, że prawie *pomogłem* ci uciec z miasta tuż po dokonaniu pierwszego morderstwa. Nie podoba mi się to, Gwen. Ani trochę. Siedziałaś w mojej kuchni i piłaś piwo, a ja myślę sobie, co jeśli faktycznie *wiedziałaś*? Jeśli siedziałaś w swojej kuchni w Kansas i słyszałaś, jak tamte kobiety krzyczą w garażu, gdy twój mąż dopuszczał się na nich tych wszystkich okropieństw? Myślisz, że bym się tym nie przejął?

– Wiem, że tak – mówię i zarzucam plecak na ramię. – One nigdy nie krzyczały, Javier. Nie mogły. Pierwszą rzeczą, jaką robił Mel, było przecięcie im strun głosowych zaraz po porwaniu. Miał do tego specjalny nóż. Policja mi go pokazała. Nigdy nie słyszałam, jak krzyczą, bo nie mogły tego zrobić. Więc tak. Przygotowywałam lunch w kuchni, gotowałam posiłki dla dzieci, jadłam śniadania, obiady i kolacje, a po drugiej stronie tej pieprzonej ściany umierały kobiety. Nie sądzisz, że nienawidzę faktu, że nie zdołałam tego powstrzymać?

Po ostatnich słowach tracę kontrolę, a echo mojego krzyku powraca do mnie niczym uderzający z całej siły pocisk. Zamykam oczy i oddycham

głęboko, czując zapach spalonego prochu, oleju do czyszczenia broni i własnego potu, który znienacka mnie oblał. W ustach mam kwaśny posmak. Śniadanie podchodzi mi do gardła. Znów widzę ją przed oczami, pozbawioną skóry dziewczynę wiszącą na drucianej pętli. Zginam się wzdłuż i kładę dłonie na kolanach. Etui na broń wysuwa się i uderza mnie w tył głowy, ale nie dbam o to. Skupiam się na oddychaniu.

Wzdragam się, gdy Javier mnie dotyka, ale on tylko pomaga mi wstać i podtrzymuje mnie do momentu, w którym kiwam głową i odsuwam się. Wstyd mi za siebie. Za swoją słabość. Chce mi się krzyczeć. Znowu.

– Zużyłam całą amunicję, którą przyniosłam – mówię zamiast tego. – Mogę kupić jeszcze kilka pudełek?

Wychodzi w milczeniu i wraca z dwoma pudełkami, które kładzie na krawędzi ścianki działowej boks numer osiem. Odwraca się do wyjścia. Otwieram plecak i stawiam go u swoich stóp, opierając się o ścianę stanowiska.

– Dziękuję.

Javier nie odpowiada. Opuszcza strzelnicę.

Zużywam prawie całą zawartość obu pudełek, niszcząc cel za celem – klatka piersiowa, głowa, klatka piersiowa, głowa, a potem kończyny dla urozmaicenia – aż zaczyna mi dzwonić w uszach pomimo nauszników, a nieustająca wrzawa w moim wnętrzu wreszcie cichnie. Pakuję się i wychodzę.

Javiera nie ma w sklepie. Płacę za amunicję. Sophie przeprowadza transakcję w będącym wyrazem buntu milczeniu, rzucając resztę na ladę zamiast podać mi ją do ręki. Nie daj Boże, żeby dotknęła przypadkowo byłej żony seryjnego mordercy. To cholerstwo może być zaraźliwe.

Wychodzę, rozglądając się wkoło za Javierem, ale jego samochodu nie ma, a parking jest prawie pusty, nie licząc klasycznego, niebieskiego forda Sophie zaparkowanego w cieniu.

Wracam do domu tą samą trasą, a gdy mijam chatę Sama Cade'a, zastaję go siedzącego na werandzie i popijającego kawę z kubka. Wbrew podjętej wcześniej świadomej decyzji, zwalniam tempo, żeby na niego spojrzeć. Odwzajemnia się tym samym, odstawia kawę i podnosi z miejsca.

– Hej – mówi. Niby niewiele, ale i tak więcej niż udało mi się zyskać na

strzelnicy. Wygląda na skrępowanego, lekko zaczerwienionego, ale pełnego determinacji. – Chyba powinniśmy pogadać.

Gapię się na niego przez sekundę. Zastanawiam się nad tym, czy nie wznowić biegu i nie uciec stąd gdzie pieprz rośnie. Jednak dwie rzeczy, które powiedziała Kezia, nadal dźwięczą mi w głowie: po pierwsze, Sam Cade ma alibi na czas porwania obu kobiet, a po drugie, potrzebuję sprzymierzeńców.

Zerkam w stronę domu. Samochód Kezii nadal stoi na swoim miejscu.

– Jasne – mówię, wspinając się po stopniach werandy. Ogarnia go jeszcze większe napięcie, zresztą mnie również, a na ułamek sekundy zapada między nami cisza tak głęboka jak na strzelnicy. – Mów.

Patrzy w dół na swój kubek, a ja widzę ze swojego miejsca, że jest pusty. Wzrusza ramionami, otwiera drzwi i wchodzi do domu.

Przystaję na progu na sekundę, dwie, i idę za nim.

W środku panuje ciemność. Mrugam przez chwilę, po czym Sam włącza przytłumione górne oświetlenie i odsuwa jedną z krzasiastych zasłon zakrywających okna. Idzie prosto do dzbanka z kawą, napełnia swój kubek, bierze drugi i nalewa do pełna. Podaje mi go w milczeniu razem z cukrem.

Powinnam czuć się swobodnie, ale atmosfera jest napięta. Mam wrażenie, jakby dzieliła nas metalowa poprzeczka, którą ze wszystkich sił staramy się obejść. Upijam łyk kawy. Wiem, że lubi orzechową mieszankę. Ja również.

– Dzięki – mówię.

– Pachniesz prochem strzelniczym. Byłaś na strzelnicy?

– Będę tam chodzić, dopóki mi nie zabronią. Widzę, że policja wypuściła cię z aresztu.

– Na to wygląda. – Przygląda mi się znad brzegu kubka, a w jego ciemnych oczach czai się ostrożność. – Ciebie również.

– Bo nie jestem, kurwa, winna, Sam.

– Tak. – Wypija łyk kawy. – Już to mówiłaś, Gwen.

Prawie chlustam mu w twarz kawą za tę uwagę, ale udaje mi się opanować, głównie dlatego, że zostałabym aresztowana za napaść, a poza tym kawa nie jest wystarczająco gorąca. Potem zaczynam się głowić nad powodem, dla którego jestem taka wściekła. Sam ma prawo mnie nienawidzić. Ja nie. Mogę mieć mu za złe podstęp, do którego się

uciekł, ale ostatecznie tylko jedno z nas odczuwa prawdziwy żal. Prawdziwe cierpienie.

Osuwam się na krzesło, czując, jak dopada mnie nagłe zmęczenie. To, że nadal piję kawę, dociera do mnie jak przez mgłę. Pochłania mnie obserwowanie go i zastanawianie się, kim naprawdę jest. Kim *ja* naprawdę jestem. W jaki sposób możemy odbudować ten niewymuszony luz, który charakteryzował naszą więź.

– Dlaczego tu przyjechałeś? – pytam. – Tylko tym razem powiedz prawdę.

Sam nie daje się zbić z tropu.

– Nie kłamałem. Faktycznie piszę książkę. Opowiada o morderstwie mojej siostry. Wyśledziłem cię, to prawda. Potrzebowałem do tego kumpla w wywiadzie wojskowym, który, nawiasem mówiąc, był pod *wielkim* wrażeniem twoich umiejętności znikania. Zgubiłem twój ślad cztery razy z rzędu. Zaryzykowałem, że skoro tym razem kupiłeś dom, postanowisz tu zostać.

A więc prześladowanie nie było wymysłem mojej wyobraźni.

– To nie jest powód.

– Chciałem, żebyś przyznała się do tego, co zrobiłaś. – Mruga, jakby był zaskoczony, że powiedział to na głos. – To jedyne, o czym myślałem. Stałaś się centralną częścią mojego planu... Słuchaj, wierzyłem, że brałaś we wszystkim udział. Że o wszystkim wiedziałaś. Myślałem, że...

– Jestem winna – dokańczam za niego. – Nie tylko ty. Nie jesteś nawet w mniejszości. – Wypijam trochę kawy, wcale nie czując jej smaku. – Nie mam ci tego za złe. Na twoim miejscu zrobiłabym...

Wszystko, aby wymierzyć sprawiedliwość.

Zabiłabym się.

– Tak – mówi, przeciągając słowo w westchnięcie. – Problem w tym, że gdy już cię spotkałem, porozmawiałem z tobą, poznałem cię bliżej... coś mi tu nie pasowało. Zobaczyłem kogoś, kto ledwo wyszedł cało z koszmaru i chciał jedynie zapewnić bezpieczeństwo swojej rodzinie. Ty po prostu nie byłaś... *niq*.

– Gina też była niewinna. Była po prostu naiwna. Pragnęła szczęścia. On wiedział jak to wykorzystać. – Między nami zapada cisza. Przerywam ją słowami: – Widziałam twoją siostrę. Była... ostatnią z ofiar. Zobaczyłam ją w dniu, w którym samochód staranował garaż.

Sam zastyga w bezruchu na ułamek sekundy, po czym odstawia swoją kawę jednym, płynnym ruchem. Kubek uderza dość mocno w blat stołu. Między nami rozciąga się matowa, wypolerowana, drewniana powierzchnia. Nie jest to niewidzialna bariera i chyba tak jest lepiej. Mogę przynajmniej wyciągnąć dłoń w jego stronę. On również.

Jednak żadne z nas tego nie robi.

– Widziałem zdjęcia – mówi, a ja przypominam sobie, jak powiedział mi, żebym nigdy nie pokazywała dzieciom zdjęć. Teraz już wiem, dlaczego. To nie był nieokreślony gest współczucia, a jemu wcale nie chodziło o rzeczy, których był świadkiem w Afganistanie. – Domyślam się, że ty też nie możesz wymazać ich z pamięci.

– Nie. – Przełykam kawę, ale czuję suchość w ustach. Usiadłam na krześle stojącym najbliżej otwartego okna. Padający na niego łagodny blask oświetla Sama w sposób, który jest zarówno korzystny, jak i niekorzystny. Podkreśla drobne zmarszczki wokół oczu i ust, oraz osobliwie wyglądające, niewielkie wcięcie tuż przy lewej brwi. Spod linii włosów aż do prawego policzka biegnie blada, niemal niewidoczna siatka blizn. Światło uwypukla mieniające się drobinki w jego oczach, czyniąc jego spojrzenie hipnotyzującym. – Widzę ją przez cały czas. W przeblyskach wspomnień. Za każdym razem, gdy zamykam oczy, ona tam jest.

– Miała na imię Callie. – Już to wiem, ale pod pewnymi względami łatwiej było myśleć o niej jak o *ciele*, *kobiecie* i *ofierze*. Nazwanie jej imieniem, usłyszenie, jak wymawia je ze smutkiem zmieszany z miłością... boli. – Straciłem z nią kontakt, gdy zostaliśmy rozdzieleni przez opiekę społeczną, ale znalazłem ją, a raczej ona znalazła mnie. Napisała do mnie, gdy byłem na misji.

– Nie mam bladego pojęcia, jak musisz się z tym czuć – przyznaję. Mówię szczerze, ale Sam sprawia wrażenie, jakby mnie nie słyszał. Myśli o dziewczynie, która żyje, nie o zwłokach, które pamiętam.

– Rozmawiała ze mną przez Skype'a, kiedy tylko mogła. Dopiero co zaczęła studia na Uniwersytecie Stanowym Wichita. Nie wybrała jeszcze przedmiotu kierunkowego, bo nie mogła się zdecydować między informatyką a sztuką, więc doradziłem jej... żeby wybrała coś praktycznego, czyli komputery. Chyba powinienem był powiedzieć, by robiła to, co sprawia jej przyjemność. Ale wiesz, jak to jest. Myślałem...

– Że jeszcze będzie miała na to czas – kończę za niego w ciszy. – Nie umiem sobie tego wyobrazić, Sam. Tak mi przykro. Tak bardzo mi...

Ku mojemu przerażeniu, głos zaczyna mi się łamać, a w środku czuję, że rozpadam się na kawałki. Nie zdawałam sobie sprawy, że jestem zrobiona ze szkła. Aż do teraz, gdy wszystko wokół się wali, a do moich oczu napływają łzy. Łzy, jakimi nie płakałam nigdy wcześniej, tsunami smutku, wściekłości, furii, poczucia zdrady, przerażenia i wyrzutów sumienia. Odkładam kawę na bok i szlocham z twarzą ukrytą w dłoniach, jakby moje serce pękło na pół razem z całą resztą.

Sam milczy. Siedzi w bezruchu, ograniczając się do podsunięcia mi rolki papierowych ręczników. Biorę całą garść i przyciskam do twarzy, tłumiąc rozpacz i dojmujący ból, który od tak dawna trzymałam na dystans i z którym nigdy tak naprawdę się nie zmierzyłam.

Nie mam pojęcia, jak długo tak siedzimy. Wystarczająco długo, by papierowe ręczniki przesiąkły łzami. Gdy upuszczam je na drewnianą podłogę, wydają z siebie ciche, mokre plaśnięcie. Roztrzęsiona, mamroczę pod nosem słowa przeprosin i sprzątam po sobie. Wyrzucam wszystko do śmieci, a kiedy wracam, Sam mówi:

– Utknąłem na wsi w trakcie procesu twojego męża, ale codziennie śledziłem jego przebieg. Myślałem, że to twoja wina. A potem, gdy zostałeś uniewinniona... uznałem... że uszło ci to płazem. Byłem przekonany, że mu pomagałaś.

Teraz w to nie wierzy. Słyszę to w bólu obecnym w jego głosie. Nie mówię ani słowa. Wiem, dlaczego tak myślał, dlaczego wszyscy tak myśleli. Jaka idiotką trzeba być, żeby dopuścić do czegoś takiego we własnym domu, łóżku, małżeństwie, i *nie* być tego częścią? Nadal jestem poniekąd zaskoczona, że ktoś w ogóle zdecydował się mnie uniewinnić. Nie zbliżyłam się jeszcze na krok do wybaczenia dawnej Ginie Royal.

– Powinnaś była wiedzieć – mówię. – Gdybym go powstrzymała...

– Zabiłby cię. I twoje dzieci pewnie też – mówi bez cienia wątpliwości. – Poszedłem się z nim zobaczyć. Z Melvinem. Musiałem spojrzeć mu prosto w oczy. Musiałem wiedzieć...

Oddech ucieka mi z płuc na myśl, że siedział na tym samym więziennym krześle i patrzył Melwinowi w twarz. Myślę o niszczącym poczuciu przerażenia, które budzi we mnie Mel. Nie jestem w stanie wyobrazić sobie, jak musiał czuć się Sam.

Pod wpływem impulsu chwytam jego dłoń, a on pozwala mi ją ująć. Nasze palce splatają się w luźnym uścisku, nie wymagając niczego prócz najłżejszego możliwego dotyku. Nie umiem powiedzieć, czy to moje tak drżą, czy jego. Czuję jedynie ruch.

Dostrzegam coś w oknie za jego plecami. To tylko kształt, jakiś cień, ale gdy mój mózg w końcu identyfikuje go jako *ludzką sylwetkę*, to jest już bez znaczenia, ponieważ czyjaś *postać* nie jest tak ważna jak rzecz, którą trzyma, unosi i z której *celuje*.

To strzelba wymierzona w tył głowy Sama.

Mój instynkt bierze górę. Łapię Sama mocno za rękę i ciągnę go w bok, wytrącając z równowagi tak, że pada na podłogę. Jednocześnie sama zrywam się z krzesła i rzucam na ziemię. Nie przestaję ciągnąć Sama. Spada z krzesła i osuwa się na stół. Krzesło wysuwa się spod niego, a on uderza bokiem w podłogę w chwili, w której słyszę niesamowicie głośny *huk*. Jak przez mgłę dociera do mnie, że kubek spadł ze stołu i trafił mnie w udo. Gorąca kawa oblewa mnie niczym krew, a potem zasypuje mnie deszcz szklanych odłamków, więc osłaniam twarz, chcąc uniknąć zranienia.

Gdybym niczego nie zauważyła, gdybym w porę nie zareagowała, tył głowy Sama zamieniłby się w dżem. Zginąłby w ułamku sekundy.

Sam leży na ziemi obok mnie. Puszczą moją dłoń, przetacza się po szkle i w szokująco szybkim tempie pełźnie do rogu, gdzie jego skryta w półcieniu strzelba stoi oparta o ścianę. Łapię ją w trakcie obrotu, zatrzymuje się na podpartym łokciu z uniesioną bronią, po czym zerka w stronę okna i wysuwa kolana do przodu, siadając w kucki. Ja nie ruszam się z miejsca. Podnosi się powolutku, w każdej chwili gotów zrobić unik lub paść na podłogę, ale chyba niczego nie dostrzega i błyskawicznie obraca się na pięcie w kierunku drzwi wyjściowych. Ma rację. Kolejne zagrożenie może nadejść właśnie z tamtej strony.

Wykorzystuję tę szansę na dopełnienie do plecaka, odsunięcie zamka i otwarcie etui z bronią. Składam ją szybkimi, fachowymi ruchami, wkładam magazynek i przetaczam się na łokciach po podłodze. Łączy nas milczące porozumienie: Sam strzela wysoko, ja nisko.

Jednak nic się nie dzieje. Znad jeziora unosi się czyjś krzyk. „Strzał padł od strony domu za drzewami”, myślę sobie. Tego, który najtrudniej dostrzec od strony drogi czy jeziora. Wiadomo jedynie, że ktoś strzelał.

Wiadomo, że strzał oddano z tamtego kierunku. *A ja jestem pokryta śladami prochu.* Ciekawe, czy to też była część planu. Wcale by mnie to nie zdziwiło. Jednak wyniki badań kryminalistycznych będą jednoznaczne: to my siedzieliśmy przy stole i to do nas strzelano.

Słyszę więcej krzyków znad terenów wokół jeziora, oraz stłumione wołanie „policję”, w sensie „wezwanie”. Sam podnosi się z kucek. Nie opuszcza strzelby. Zbliża się do drzwi z ostrożnością wojskowego, sprawdza okna, otwiera drzwi i czeka. Widzę stąd jezioro. Łódki pospiesznie dobijają do pomostu. Wokół panuje cisza i spokój, pozostając w całkowitej sprzeczności z bużującą w moich żyłach adrenaliną wysyłającą uderzenia gorąca i zimna po całym moim ciele, które maskują ból wywołany obrażeniami.

Nic się nie dzieje. Nie słyhać kolejnych strzałów. Sam rzuca mi wymowne spojrzenie, a ja gramolę się z podłogi i opieram się o ścianę obok niego. Gdy wychodzi na zewnątrz, idę tuż za nim, sprawdzając wszystko dokoła, podczas gdy on sunie naprzód.

Okrażamy cały dom.

W pobliżu nie ma nikogo. Sam wskazuje palcem na zatarte ślady stóp – odciski podeszew z bieżnikiem w kształcie gofra, dość niewyraźne i niekompletne. Oczywiście jest jednak, że ktoś tu stał, celował z broni i strzelił prosto w tył jego głowy – a ja uratowałam mu życie.

Dopadają mnie dreszcze. Z wielką ostrożnością usuwam magazynek z komory, po czym chowam broń do kabury na ramieniu. Znajomy ciężar niesie ukojenie, choć wbija mi się w pierś. Kucam, aby przyjrzeć się lepiej odciskom. Żaden ze mnie ekspert. Nie widzę niczego, co posłużyłoby za jakąkolwiek wskazówkę.

– Lepiej schowaj tego siga – mówi Sam, kładąc strzelbę na ramieniu. – Chodź. Policja zaraz tu będzie.

Ma rację. Nie oddałam strzału i z całą pewnością nie chcę, aby ktoś „niechcący” postrzelił mnie za legalne posiadanie broni.

Po wejściu do domku rozkładam pistolet na części i chowam do futerału. Gdy wkładam pudełko do plecaka, Sam stawia strzelbę w rogu i otwiera drzwi, aby uraczyć mnie wspaniałym widokiem jadącego w naszą stronę samochodu na pełnym gazie.

To nie jest oficer Graham, tylko Kezia Claremont, która wychodzi z auta z wyciągniętą bronią.

– Panie Cade, dostałam wezwanie, że w okolicy strzelano.

Patrzę na swój dom przycupnięty na zboczu na końcu drogi. „Zostawiła ich samych. Nic im nie będzie”. Jediną rzeczą, która wygląda nieco inaczej, jest pojazd przypominający SUV-a, znikający za wzgórzem po drugiej stronie. To pewnie Johansenowie.

– Owszem – mówi spokojnym tonem Sam, jakbyśmy mieli do czynienia z kiepsko strzelającym myśliwym. – Proszę spojrzeć. Pocisk rozbił szybę. Jest w środku.

– Miał pan cholerne szczęście – mówi Kezia, patrząc na Sama. – Miał pan niezłe oko.

– Nie. Stałem odwrócony plecami do okna. – Kiwa brodą w moją stronę. – To *ona* zareagowała.

Nie spuszczam wzroku ze swojego domu z nadzieją, że nikt nie zbliży się do niego w czasie mojej nieobecności. W pobliżu nikogo nie ma. „Nic im nie jest. Wszystko będzie dobrze”.

– Nie widziałam zbyt wiele. Tylko krótkie mignięcie. On – to chyba był biały mężczyzna, ale nie mam stuprocentowej pewności – wyskoczył nagle spod okna. Jeśli mam być zupełnie szczerą, skupiłam się głównie na lufie i tym, żeby ściągnąć nas z linii strzału.

Kezia kiwa głową.

– W porządku. Zostańcie na swoich miejscach.

– Muszę wracać do domu – mówię.

– Za chwilę. Na razie usiądź. Muszę to sprawdzić.

W jej głosie słyszę rozkazującą nutę. Cofam się, nie spuszczać wzroku z domu, i siadam przy stole.

Po chwili Sam podnosi swoje przewrócone krzesło i siada. Po sposobie, w jaki jego dłonie zaciskają się w pięści na blacie, wiem, że w tym momencie *nie* czuje się komfortowo, siedząc plecami do okna. Kawa kapie z krawędzi stołu i wsiąka w moje spodnie do biegania.

Nie zniosę tego dłużej. Ze swojego miejsca widzę drogę, ale nie dom.

– Tylko się pośpiesz! – wołam do Kezii, ale ona zdążyła już wyjść na zewnątrz, kierując się w stronę okna.

Sam i ja wpatrujemy się w siebie w milczeniu. Jest blady, a na czole wystąpiły mu kropelki potu.

– Masz oko na to, co dzieje się za moimi plecami? – pyta. Kiwam potakująco głową. Wierci się nieco, a ja się zastanawiam, jaką trzeba

mieć wewnętrzną dyscyplinę, żeby siedzieć w miejscu z wirtualną tarczą strzelniczą z tyłu głowy, i jakie traumatyczne przeżycia mogą się w nim obudzić. – Dzięki, Gwen. Mówię serio. Nigdy bym tego nie przewidział.

– Już go tu nie ma – uspokajam go. – Jesteśmy bezpieczni.

Jestem obolała, pokryta krwawymi zadrapaniami po odłamkach szkła z okna i chyba uszkodziłam sobie coś w lewym ramieniu. Muszę stąd iść. *Natychmiast.*

Kezia pojawia się w strzaskanym oknie za plecami Sama, a jego szósty zmysł daje o sobie znać. Widzę dreszcz przebiegający przez całe jego ciało. Tylko siła woli nadal trzyma go w miejscu.

– Spokojnie. To oficer Claremont. Nic ci nie będzie.

Zbladł jak ściana. Krople potu spływają mu po policzku, ale nie rusza się z krzesła.

Stojąca za nim Kezia unosi ręce do góry, udając, że trzyma strzelbę.

– Musiał być mojego wzrostu albo wyższy. Podszedł bardzo blisko. Stoję w miejscu, które sama bym wybrała, ale ślady jego stóp wskazują, że stał jakieś trzydzieści centymetrów bliżej. Broń musiała być cholernie blisko okna. – Opuszcza wyimaginowaną strzelbę. – Odważny skurwiel. Macie szczęście, że oboje żyjecie.

Kezia ma rację. Widziałam nabój wbity w ścianę naprzeciwko, za miejscem, w którym teraz siedzę. To właśnie tam wylądowałby mózg Sama. Przez ułamek sekundy mam przed oczami obraz ściany upstrzonej czerwienią, jasnym różem i ostrymi kawałkami kości. Ociekałabym jego krwią. Przedziurawiona czaszka zadziałałaby niczym szrapnel.

– Wchodzę – mówi Kez, znikając mi z oczu. Sam rozluźnia się odrobinę, wstaje i przestawia krzesło na drugą stronę stołu, z dala od okna. Ja nie ruszam się z miejsca. Dochodzę do wniosku, że lepiej mieć je cały czas na oku, bo jakaś część paranoi Sama momentalnie zastąpiła moją.

– Chryste – mówi Sam, sięgając po rolkę kuchennych ręczników, która jakimś cudem nadal stoi na stole. Odłamki szkła wyrwały w niej kilka dziur. Odrywa trochę papieru i ściera rozlaną kawę. – Drań zabił mój ulubiony kubek.

Jego uwaga jest tak oderwana od rzeczywistości, że prawie wybucham śmiechem, ale wiem, że gdybym zaczęła, wy dostałby się on całkiem spod kontroli, więc się opanowuję. Zaczynam sprzątać kawałki kubka leżące

obok mnie, ale po chwili dociera do mnie, co robię. Co *on* robi.

– Sam. – Kładę dłoń na jego ramieniu, a on wzdraga się lekko. – Przestań. To miejsce zbrodni.

– Cholera. – Zostawia papierowy ręcznik nasiąknięty brązowym płynem na środku stołu. – Masz rację.

Do środka wchodzi Kezia. Zapisuje coś w notesie Moleskine i mówi:

– W porządku, teraz proszę was, abyście oboje stąd wyszli. Zabezpieczę miejsce popełnienia przestępstwa, jak tylko przyjedzie drugi radiowóz. Funkcjonariusze są już w drodze.

Wstaję i podchodzę do drzwi, skąd znów mogę obserwować swój dom. Nic się nie zmieniło. Wyciągam telefon z kieszeni.

– Odjechałaś spod domu, żeby móc zjawić się tutaj?

– Nie – mówi Kez. – Musiałam odpowiedzieć na wezwanie do rannego policjanta na głównej drodze. Wysłano wszystkie jednostki. Właśnie wracałam, gdy dostałam to wezwanie z centrali. Wybacz. Zanim to zrobiłam, zapukałam do drzwi, powiedziałam im, że muszę jechać. Twoja córka powiedziała, że nic im nie będzie.

Nagle doznaję olśnienia, które widzę również w wytrzeszczonych oczach Sama.

– I co, faktycznie *był* jakiś ranny policjant? – pyta, wyprzedzając mnie o włos.

Na twarzy Kezii pojawia się wyraz konsternacji, a potem jej rysy twardnieją.

– Nie. Niczego nie znaleźliśmy.

Do całej naszej trójki dociera nagle, że wezwanie, a także wystrzał z broni... były elementami układanki mającymi za zadanie *odwrócić naszą uwagę*.

Sam w gnieniu oka zrywa się na równe nogi i chwyta strzelbę oraz mój plecak. Rzuca mi go w locie, a ja już pędzę przed siebie tak, jakby gonił mnie sam diabeł.

– Czeka! – krzyczy za mną Kezia.

Nie czekam. Biegnę coraz szybciej. Nie mogę się zatrzymać. Słyszę za plecami ryk silnika i skręcam w bok, a Kezia zwalnia, gdy Sam otwiera drzwi i przywołuje mnie skinieniem ręki. Rzucam się do środka, cudem unikając uderzenia się w nogi drzwiami. Kez ma rację. Tak jest szybciej.

Patrzę, jak droga ucieka nam spod kół. Kezia Claremont prowadzi jak

pieprzona wariatka, ale na drodze nie ma żadnej blokady. Odległość nie jest duża. Skręca na mój podjazd tak, że aż zarzuca autem na żwirze, po czym wciska pedał gazu i pruje w stronę domu. Czerwona farba na drzwiach garażu bije po oczach, powiększając się niczym świeża, nadal krwawiąca rana.

Wyskakuję z samochodu. Biegnę w stronę frontowych drzwi. Są zamknięte. Gdy odryglowuję je i otwieram, alarm zaczyna piszczeć ostrzegawczo. Wpisuję kod i biorę głęboki oddech. *Dzięki Bogu.* Alarm nadal jest włączony. *Dzieci nigdzie nie poszły. Wszystko w porządku, są bezpieczne.*

Rzucam plecak na kanapę i idę na koniec korytarza.

– Lanny! Connor! Gdzie jesteście?

Nie słyhać żadnej odpowiedzi. Żadnego dźwięku. Nadal poruszam się wkoło w tym samym tempie, ale czas zdaje się zwalniać. Korytarz robi się mroczniejszy. Zamknięte drzwi po obu jego stronach wydają się większe. Chcę się odwrócić, zaczekać na pozostałych, ale nie robię tego. *Nie mogę.*

Otwieram na oścież drzwi pokoju Lanny i widzę, że pościel leży splątana na ziemi. Jedna strona prześcieradła na gumkę wysunęła się spod materaca, a druga zwisa całkiem luźno. Jej laptop leży na podłodze, otwarty i do góry nogami, pod dziwacznym kątem. Biorę go i patrzę w monitor. Wygaszacz ekranu to kolorowa czaszka z Dnia Zmarłych, odbijająca się wesoło od rogu do rogu. Jej wygaszacz jest widoczny tylko przez chwilę, po czym komputer przechodzi w stan uśpienia. „Więcej niż pięć minut, mniej niż piętnaście”. To do niej niepodobne. Nigdy nie potraktowałaby tak swojego laptopa.

Kładę komputer na materacu i rozglądam się dokoła. Otwieram szafę, choć boję się tego, co mogę znaleźć. Sprawdzam pod łóżkiem.

– Gwen... – rozlega się za moimi plecami głos Sama.

Oglądam się przez ramię. Sam stoi przed pokojem mojego syna. W jego głosie pobrzmiewa nienaturalny spokój, a gdy na mnie spogląda, źrenice w jego oczach są wielkości główki od szpilki, zupełnie jakby patrzył w wyjątkowo jaskrawe, białe światło. Podchodzę do niego, ale zatrzymuje mnie, unosząc wolną rękę do góry. Niczym strażnik próbujący uchronić mnie przed śmiertelnościami upadkiem. Musiałby użyć strzelby, którą trzyma w drugiej ręce, żeby mnie zatrzymać.

Prześlizguję się obok niego i chwytam się futryny, żeby nie odciągnął mnie do tyłu.

Widzę krew.

To scena rodem z mojego najgorszego koszmaru. Wygnieciona, jasnoniebieska pościel Connora jest usmarowana krwią. Jej ciemne smugi ciągną się po podłodze. W poduszce widać podłużne rozdarcie, z którego wypadają kłęby opryskanego krwią pierza.

Mojego syna tu nie ma.

Moje dzieci zniknęły.

Kolana zaczynają się pode mną uginać, więc podtrzymuję się futryny obiema rękami. Sam mówi coś do mnie, dotyka mojego ramienia, ale nie słyszę go. Gdy udaje mi się opanować drzenie nóg i chcę się rzucić naprzód, Kezia Claremont obejmuje mnie w pasie jednym, silnym ramieniem i obraca mną w powietrzu, po czym przyciska plecami do ściany. Jej broń spoczywa w kaburze, a brązowe oczy przyglądają mi się badawczo.

– Zaczynaj myśleć, Gwen. Nie możesz tam wejść. – Wyjmuje telefon z kieszeni i dzwoni pod numer z szybkiego wybierania, niemal natychmiast otrzymując odpowiedź. – Detektywie? Niech pan przyjedzie jak najszybciej do domu Gwen Proctor. Prawdopodobnie doszło do porwania. Dwie ofiary. Proszę przysłać wszystkie jednostki. – Rozłącza się, nadal przytrzymując mnie w miejscu. – Wszystko w porządku? Gwen? Gwen!

Jakimś cudem udaje mi się kiwnąć głową. Nic nie jest w porządku, ale nie widzę sensu, żeby się o to spierać, a poza tym, nie o to jej chodzi. Pyta, czy dam radę się kontrolować. Dam. A przynajmniej spróbuję.

Sam zbliża się do nas, a gdy patrzę mu w twarz, dostrzegając malujące się na niej skupienie i wątpliwość, uświadamiam sobie, że ta scena może oznaczać *dwie całkiem różne rzeczy*.

Po pierwsze, prawdę: moje dzieci zostały uprowadzone.

Po drugie, bardzo prawdopodobne kłamstwo: zrobiłam coś własnym dzieciom, zanim wyszłam z domu. Osoba postronna może tak pomyśleć. Kezia nie. Była tutaj, pilnowała domu i rozmawiała z Lanny przez drzwi. Mimo wszystko to ja będę pierwszą podejrzaną. Możliwe, że jedyną, pomimo tego, co mówi.

– Nie. Kezia, przecież wiesz, że *tego nie zrobiłam!*

– Wiem. Nie wnośmy tu żadnych dodatkowych dowodów, które mogą zaciemnić prawdziwy obraz sytuacji – mówi, przenosząc mnie z wprawą fachowca na kanapę do salonu. Na podłodze leżą pady do gry, które podnoszę i usuwam spod nóg odrętwiałymi ruchami. Connor wyrobił sobie zły nawyk, rzucając je gdzie popadnie. Wtedy przychodzi mi do głowy, że jego dłonie dotykały padów jako ostatnie, więc ściskam jeden delikatnie, jakby miał się zaraz rozpaść i zniknąć, jakby mój syn nigdy nie istniał, nie licząc mojej wyobraźni.

– Gwen. – Sam kuca przy mnie, wpatrując się w moją twarz. – Jeśli mówisz prawdę, to znaczy, że ktoś *wiedział*, że nie będzie cię w domu. Komu powiedziałaś?

– Nikomu – mówię martwym głosem. – Tobie. I dzieciom. Powiedziałam im, że niedługo wrócę. Były bezpieczne. – To wszystko moja wina. Nigdy nie powinnam była zostawiać ich samych. Nigdy. – *Miałaś ich pilnować!* – krzyczę do Kezii.

Nie reaguje na moje słowa, ale widać po niej, że przygotowuje się na kolejny, bolesny cios. Ma świadomość, że zawiodła, a cena... cena może być wyższa, niż którekolwiek z nas chce przyznać.

– Kogo wpuściłyby do środka?

– Nikogo! – prawie wykrzykuję, ale już po sekundzie dociera do mnie, że to nieprawda.

Bardzo możliwe, że wpuściłyby Sama Cade'a, ale czy Sam... czy miałby wystarczająco dużo czasu, aby to zrobić? *Tak*. Widział, jak biegnę na szczyt wzgórza. To dałoby mu co najmniej godzinę czasu, aby przyjść tu i zrobić... no właśnie, co? Wejść do środka podstępem i jakimś cudem porwać moje dzieci bez odniesienia jakichkolwiek obrażeń? Niby *dokąd* miał je zabrać? Nie. Nie wierzę, że to Sam. To nie ma najmniejszego sensu, nie pod względem emocjonalnym. Ani nawet logistycznym. Moje dzieci stawiałyby opór. Sam nie miał na sobie ani jednej kropli krwi, gdy zatrzymałam się pod jego domem. W dodatku Kezia zauważyłaby go.

Chyba że działają razem.

Wyczuwam w międzyczasie, że Sam myśli dokładnie to samo o *mnie*. Próbuje zrozumieć, jak mogłam zrobić coś takiego własnym dzieciom. Znów sobie nie ufamy, o co mogło chodzić sprawcy od samego początku.

Kto jeszcze? Kto jeszcze oprócz Sama? Nie sądzę, aby dzieci wpuściły do środka Kezię Claremont, pomimo faktu, że ją polubiły, a ona nosiła

odznakę. A może detektyw Prester?

I wtedy doznaję potwornego, mrożącego krew w żyłach olśnienia. Zapomniałam o kimś. O kimś, komu ufały. Przed kim bez zastanowienia otworzyłyby drzwi, ponieważ to *ja* mu ufałam i zostawiłam go z nimi, aby ich pilnował. Javier Esparza. Javier, który zniknął zaraz po tym, jak przyniósł mi amunicję.

Gdy opuszczałam strzelnicę, jego furgonetki nie było na parkingu.

Może znać kod do wyłączenia alarmu. Widział, jak go aktywowałam i rozbijałam, widział, jak robiły to dzieci. Javier Esparza to dobrze wyszkolony żołnierz. Wiedziałby, jak kogoś porwać i zrobić to po cichu.

Próbuję im o tym powiedzieć, ale nie jestem w stanie. Nie potrafię wydusić z ust żadnego dźwięku. Płuca mnie palą, więc nabieram gwałtownie powietrza, aby zmniejszyć ból. Plastikowa obudowa pada jest ciepła, zupełnie jak skóra, a przez moją głowę przechodzi myśl o tym, że skóra Connora już od dawna może być zimna, że on może być... jednak mój mózg buntuje się i nie chce dokończyć zdania. Javier, który miał łatwy dostęp do strzelb ze strzelnicy, albo z tylnego okna swojej furgonetki. Javier, któremu zaufałam na tyle, aby powierzyć mu opiekę nad dziećmi. Któremu ufały wystarczająco mocno, że wpuściły go do środka, wyłączając uprzednio alarm. Który z łatwością mógł wydobyć z nich informację o kodzie i zresetować go w drodze powrotnej.

„Zapominasz o czymś”, szepcze mi do ucha głos Mela. Wzdragam się, bo nie chcę jego obecności w swojej głowie. Jednak głos ma rację. Zapominam o czymś...

– Zadzwońię do firmy ochroniarskiej – mówi Kez. – Będziesz musiała wydać im pozwolenie, aby ze mną porozmawiali, dobrze? Powinni mieć zapis tego, kiedy alarm się włączył i uruchomił ponownie...

– Kamery! – wyrzucam z siebie. Rzucam się w stronę podpiętego pod ładowarkę tabletu. Kamery przekazują obraz bezpośrednio na urządzenie. Mogę sprawdzić, co dokładnie się wydarzyło.

Okazuje się jednak, że tablet zniknął. Zwisający smętnie kabel ładowarki nadal jest wpięty do kontaktu.

Biorę do ręki końcówkę, jakbym nie mogła uwierzyć, że nie jest do niczego podłączona, i patrzę na Kezię bez słów, z nadzieją, że jakoś mi to wytłumaczy. Kez marszczy brwi.

– Masz tu kamery? Są podłączone do systemu bezpieczeństwa?

– Nie. Są oddzielne. Był tu tablet... – Nie wiem, co sprawia, że mój mózg przeskakuje z jednego pomysłu do drugiego. To dzieje się tak szybko, że myśli zlewają się w jedno. Coś o pilnowaniu dzieci, żeby zapewnić im bezpieczeństwo, i o bezpieczeństwie, po czym uświadamiam sobie o czym *naprawdę* zapomniałam.

Schron.

Skaczę na równe nogi i omijam wyspę kuchenną, podbiegając do ściany, podczas gdy pozostała dwójka przygląda mi się ze zdumieniem wypisanym na twarzach.

Schron mieszczący się w tym domu, który wybudowali dawni, bogaci właściciele, kryje się za panelem na zawiasach w rogu aneksu kuchennego, obok stołu śniadaniowego. Odsuwam go jednym szarpnięciem, o mały włos nie uderzając nim zbliżającej się Kezii, po czym zaczynam gorączkowo obmacywać boazerię. Drzwi powinny odskoczyć, ale nie ruszają się z miejsca. Ogarnia mnie przedziwne, pozacielesne uczucie, jakbym wyobrazila sobie istnienie schronu, jakby rzeczywistość wokół mnie zamieniła się w szaloną wersję mojego życia, a schron zniknął razem z dziećmi. Napieram i napieram, aż w końcu panel odchyła się z kliknięciem. Chwytam za niego i szarpnięciem z całych sił. Za boazerią znajdują się ciężkie, metalowe drzwi i panel z klawiaturą.

Klawisze są umazane krwią. Przestaję oddychać na ich widok, ale to przecież oznacza, że są w środku, że *nic im nie jest*. Inna opcja nie wchodzi w grę.

Wpisuję hasło, ale palce drżą mi tak mocno, że się mylę. Biorę głęboki wdech i zmuszam się, by zwolnić tempo. Sześć cyfr. Tym razem wpisuję je poprawnie. Rozlega się brzęczyk i mruga zielone światelko. Przekręcam uchwyt i krzyczę „Connor! Lanny!”, zanim jeszcze otwierają się drzwi.

Wnętrze schronu jest kompletnie zrujnowane. Stracone z półki butelki wody leżą porozrzucone na podłodze, a pudełko wysokoproteinowych zapasów się przewróciło, wysypując na ziemię gotowe posiłki. Część uległa zgnieceniu w trakcie walki.

W środku widać krople krwi. Długie strugi, które świadczą o gwałtownych ruchach. W rogu, pod żółtym znakiem Connora z napisem UWAGA, ZOMBIE, widać małą kałużę.

Na podłodze leży połamana kusza, również własność mojego syna.

Uwielbia faceta, który nosi taką w tym programie o zombiakach. Telefon wraz z kablem został wyrwany ze ściany i rzucony w przeciwną stronę.

Nie spuszcza wzroku z krwi. Jest świeża. Świeża i czerwona.

Moich dzieci tu nie ma.

Przez moment stoję jak wryta, gapiąc się na pobojowisko i niczego nie rozumiejąc. *Muszą* tu być. To nie ma żadnego sensu. To ich azyl, ich sanktuarium. Kryjówka. Nikt nie mógł ich tu dopaść.

Jednak komuś się udało. Byli tu. Walczyli ze sobą. Zostali ranni.

A teraz zniknęli.

Rzucam się w stronę jedynej możliwej kryjówki w schronie – małej toalety. Ma drzwi z matowego szkła, przez które wyraźnie widać, że nikogo w niej nie ma, ale i tak otwieram je jednym szarpnięciem i czuję, jak przerażenie ściska mi gardło na widok czystej pustej kabiny.

Stoję nieruchomo jak słup soli, a zalegająca w pomieszczeniu cisza wsiąka we mnie niczym lodowate zimno. Nieobecność moich dzieci jest jak otwarta, żywa rana, a krew wokół jest tak świeża, czerwona i jaskrawa, że aż oślepia.

Kezia kładzie dłoń na moim ramieniu. Ciepło jej promieniującego na moją twarz dotyku jest wręcz szokujące. Zmarzłam. To przez szok. Dygoczę z zimna, choć tak naprawdę go nie czuję.

– Chodź – mówi. – Nie ma ich tu. Wyjdź stamtąd.

Nie chcę. Mam poczucie, że opuszczając to dziwne, chłodne sanktuarium, przyznaję się do czegoś strasznego. Czegoś, przed czym chcę się schować, jak dziecko naciągające na głowę prześcieradło.

To irracjonalne i szalone, ale nagle potrzebna mi obecność *Mela*. Przeraża mnie to, ale chcę mieć przy sobie kogoś, do kogo mogę się zwrócić po pomoc, kto zrozumie to wszechogarniające poczucie pustki. A może wcale go nie potrzebuję. Może potrzebuję jego wyobrażenia. Kogoś, z kim łączy mnie smutek, strach i *dzieci*. Chcę, aby objął mnie ramionami. Chcę, by powiedział mi, że wszystko będzie dobrze, choć sam jest kłamstwem i zawsze nim był.

Kezia wywleka mnie ze środka. Zostawiamy schron otwarty, a ja opadam bezwładnie na jedno z kuchennych krzeseł – to, przy którym Lanny siedziała podczas śniadania. Ze wszystkim wiążą się wspomnienia – ślady palców na blacie, prawie pusta solniczka, o napełnienie której poprosiłam Connora, ale jak zwykle zapomniał.

Jedna ze spinek do włosów Lanny z motywem czaszki leży na podłodze pod krzesłem. Nadal tkwi w niej pojedyncze pasmo jedwabistych włosów. Podnoszę ją i trzymam w dłoni, a gdy podsuwam pod nos, czuję zapach jej szamponu. Do oczu napływają mi łzy.

Sam siedzi teraz obok mnie, a jego dłoń spoczywa bezwładnie obok mojej. Nie wiem, w którym momencie usiadł. Mam wrażenie, jakby dopiero co się zmaterializował, jakby czas skoczył naprzód. Świat wokół mnie znów się wali. Wszystko wydaje się takie odległe, lecz ciepło jego skóry wsiąka we mnie niczym światło słoneczne.

– Gwen – mówi. Po krótkiej chwili, której potrzebuję na uświadomienie sobie, że to przecież moje imię, imię, którego nauczyłam się używać, unoszę głowę i napotykam jego spojrzenie. Coś w jego oczach uspokaja mnie. Wyciąga mnie o cal lub dwa z mrocznej otchłani ku czemuś, co przynosi choć odrobinę nadziei. – Gwen, znajdziemy je, rozumiesz? Znajdziemy twoje dzieci. Czy masz jakiś pomysł...

Przerywa mu dzwonek mojej komórki. Chwytam ją rozdygotanymi rękami, rzucam z trzaskiem na stół i włączam tryb głośnomówiący, nie patrząc nawet na numer.

– Lanny? Connor?

Nie rozpoznaję głosu w słuchawce. Wydaje mi się, że należy do mężczyzny, ale przepuszczono go przez program zmieniający głos.

– Myślisz, że ci się upiekło, ty głupia dziwko? Możesz uciekać, ile chcesz, ale i tak się nie ukryjesz. Jak tylko cię dopadniemy, będziesz żałować, że twój pieprzony mąż cię nie związał i nie obdarł cię żywcem ze skóry!

Telefon wytrąca mnie z równowagi i sprawia, że oddech więźnie mi w gardle. Przez sekundę nie mogę się poruszać ani myśleć. Sam odchyła się w tył, jakby otrzymał fizyczny cios. Kezia odsuwa się gwałtownie. Mimo spłaszczonego komputerowo głosu jadowita, szydercza radość zawarta w słowach jest szokująca.

Mam wrażenie, że minęło co najmniej pół godziny, zanim odzyskałam mowę, ale równie dobrze to mogło trwać ułamek sekundy.

– Oddaj mi dzieci, ty draniu! – krzyczę.

Po drugiej stronie zapada cisza. Tak jakbym go zaskoczyła. Jakbym nie postępowała według jakichś z góry ustalonych instrukcji. Wtem zsyntetyzowany głos mówi:

– Co jest, kurwa?

Zniknęło całe zaskoczenie.

– Nic im nie jest? Ty sukinsynu, jeśli zrobiłeś krzywdę moim dzieciom, znajdę cię i rozerwę na strzępy... – Stoję teraz, pochylając się nad telefonem na sztywnych ramionach, a mój głos jest ostry jak nóż.

– Ja wcale nie... uch... kurwa. Niech to szlag.

Połączenie kończy się z trzaskiem i cichym, jednostajnym piszczeniem telefonu, które mówi mi, że stracił zasięg. Osuwam się na krzesło, biorę telefon i sprawdzam identyfikator rozmówcy. Numer nieznany. No jasne.

– On nie miał o niczym pojęcia. Nie wiedział nawet, że zniknęły.

Powinam była się tego domyślić. Mój adres był ogólnodostępny. Ktoś, komu udało się do mnie zbliżyć, ujawnił go, zrobił zdjęcia. Mel również musiał rozesłać do wszystkich mój numer. Mogę się spodziewać zalewu podobnych telefonów: gróźb śmierci, gwałtu, zabicia mi dzieci i zwierząt, podpalenia domu, torturowania rodziców. Doświadczyłam tego już wcześniej. W świecie Patrolu Psycholi już niewiele jest mnie w stanie zaskoczyć. Wiem też, o czym policja przypomina mi wraz z każdym zgłoszeniem, że większość tych żalonych, nienormalnych ludzi nigdy nie spełni składanych przez siebie ohydnych obietnic. Ich zadowolenie bierze się z urazu psychicznego.

Ten troll nie rozłączył się dlatego, że poczuł się winny za to, co mi zrobił. Został zaskoczony i bał się, że zostanie wmieszany w śledztwo dotyczące porwania. Plusem tej sytuacji jest to, że już więcej nie zadzwoni.

Jednak tuż za nim ustawi się cała kolejka.

Kezia wytrąca mnie z zamroczenia, zabierając mi telefon z ręki.

– Będę odpowiadać za ciebie, dopóki nie zdecydujemy co robić, dobrze?

Kiwam głową, choć wiem, że to sprytna sztuczka mająca na celu skonfiskowanie telefonu jako dowodu rzeczowego. Sam odwraca wzrok, jakby był zawstydzony. Ciekawe, czy w przeszłości jemu również zdarzyło się zostawić mi kilka złośliwych wiadomości na pocztę głosowej. Albo wysłać mi parę nienawistnych e-maili z anonimowego konta. Nie napisałby takich jak reszta tych socjopatów. Jego wiadomości byłyby pełne bólu, poczucia prawdziwej straty i uzasadnionego gniewu.

Żałuję teraz, że nie podpisał się na nich swoim nazwiskiem. Żałuję, że

nie byliśmy ze sobą szczerzy, że nie zrozumieliśmy się i nie widywaliśmy od samego początku.

Policja przyjeżdża wkrótce potem. Zabierają się do roboty. Zostajemy wyprowadzeni na zewnątrz, a funkcjonariusze sprawdzają dokładnie dom i rozpoczynają oficjalne śledztwo. Prester zjawia się na miejscu w towarzystwie drugiego, młodego detektywa – oprócz niego, wszyscy wydają się zbyt młodzi, by posiadać jakiegokolwiek doświadczenie – i kręci głową, gdy widzi mnie z Kezią i Samem. Fakt, że Sam jest z nami, sprawia, że jego brwi podjeżdżają w górę ze zdumienia, a ja widzę, że zaczyna kalkulować sprawę na nowo, rewidując wszystkie swoje wcześniejsze opinie i przypuszczenia. Ciekawe, czy przypisuje mnie i Sama z powrotem do kategorii spiskowców.

Jeśli tak, jego założenie ma w sobie przekonującą autentyczność. Łączy nas przeszłość, nawet jeśli o tym nie wiedzieliśmy. Znamy się. I lubimy, do pewnego stopnia. Głowa zaczyna mnie boleć od próby myślenia jak Prester, ale mam przeczucie, że właśnie zaczął nas postrzegać w zupełnie innym świetle.

– Proszę mi wszystko opowiedzieć – mówi Prester.

Gdy tylko zaczynam, nie mogę przestać.

Rozdział dwunasty

Nie chcę opuszczać domu, ale z drugiej strony nie mam ochoty w nim przebywać... Przestałam się tu czuć jak w naszej bezpiecznej przystani. To miejsce jest skażone, rozdarte jak tamten dom w Wichicie, ujawniając paskudną prawdę w samym centrum. Tyle że tym razem nie ma to nic wspólnego z Melem. Dom przestał być domem z powodu dojmującej nieobecności jedynych osób, które go dla mnie tworzyły.

Siedzę na werandzie z Presterem, który drobiazgowo przesłuchuje mnie i Sama. Kezia krąży w pobliżu, aby w razie czego potwierdzić nasze zeznania. Oczami wyobraźni widzę oś czasową, którą szkicuje w notatniku. Ciekawe, gdzie stawia czerwoną gwiazdkę, czyli chwilę, w której ktoś wdarł się do mojego domu i wyrwał mi serce. Prester jest przekonany, że mogłam to zrobić, ale nie dbam o to. Moje dzieci muszą zostać *znalezione*.

Muszę wierzyć, że nic im nie jest – na pewno są przerażone, ale całe i zdrowe. Że ta krew w domu to tylko farba w spreju albo krew zwierzęcia, zostawiona celowo, by mnie wystraszyć. Że wkrótce otrzymam telefon z żądaniem okupu. Że możliwy jest *każdy inny* scenariusz prócz tego, w który instynktownie wierzę.

Podaję Presterowi numery telefonów moich dzieci, a on przekazuje je Kezii, która wraca pół godziny później i mówi:

– Telefony są wyłączone i nie wychwytuje ich satelitarny system nawigacyjny.

– Nic dziwnego. Każdy oglądający telewizję kretyn wie, żeby natychmiast pozbyć się telefonu. – Detektyw kręci lekko głową i zamyka notatnik. – Zaangażowałem w poszukiwania każdego policjanta w hrabstwie, pani Proctor, ale na razie proszę opowiedzieć mi, co stało

się dziś rano po tym, jak oficer Claremont zjadła z panią śniadanie.

– Już panu mówiłam.

– Jeszcze raz. – Jego oczy są zimne i bezlitosne, a ja nienawidzę go całą sobą, zupełnie jakby to on więził moje dzieci i ukrywał je przede mną. – Muszę zrozumieć, jak dokładnie do tego doszło. Gdy już odprowadziła pani oficer Claremont, co było dalej?

– Zamknęłam drzwi. Zresetowałam alarmy. Umyłam naczynia. Dostałam telefon od Mela. Wzięłam kaburę, wyjęłam pistolet z sejfu i futerał, żeby ją schować. Założyłam bluzę.

– Czy zapukała pani do drzwi pokojów dzieci? Powiedziała im pani, dokąd się wybiera?

– Powiedziałam Lanny. Powiedziałam, że nie będzie mnie około godziny. Potem poprosiłam Kezię, żeby pilnowała domu.

Prester kiwa głową. „Ocenia mnie za to, że ich zostawiłam”, myślę sobie w duchu. Zostawiłam ich jednak w zamkniętym, zabezpieczonym domu ze schronem i jasnymi instrukcjami odnośnie do tego, co robić, gdyby coś, *cokolwiek*, poszło nie tak. I z policyjnym radiowozem stojącym od frontu. *To była tylko jedna godzina!* Jednak w rzeczywistości nie było mnie dłużej o jakieś dwadzieścia minut, bo zatrzymałam się pod domkiem Sama, którego ktoś próbował zabić. Godzina i dwadzieścia minut. Właśnie tyle było trzeba, aby moje życie legło w gruzach.

– A więc twierdzi pani, że minęło jakieś pół godziny między tym, jak Kezia odjechała spod domu po śniadaniu, a tym jak wybrała się pani na wzgórze?

– Widziałem, jak mija po drodze mój dom – odzywa się nieproszony Sam. – Czas się zgadza. Minęła prawie godzina od momentu, gdy wyszła z domu na strzelnicę, do chwili gdy zeszła na dół, a ja zaprosiłem ją do siebie.

Prester patrzy na niego z ukosa, a Sam unosi dłonie w obronnym geście i opiera się do tyłu na krześle. Ma rację.

– Minęło najwyżej pół godziny, nim wyszłam z domu – mówię Presterowi. – A potem Sam widział mnie na drodze. Proszę posłuchać, to nie ma żadnego znaczenia. Niech pan zapyta Kezii. Ona rozmawiała z moją córką.

– W tej chwili nie interesuje mnie, co ma do powiedzenia. A zatem mamy pół godziny między chwilą, w której oficer Claremont widziała

pani dzieci jako ostatnia, a gdy widziano panią w drodze na strzelnicę. Mam rację?

– Myśli pan, że w ciągu pół godziny zamordowałam dzieci i gdzieś je wywiozłam, a potem poszłam pobiegać, nie mając na sobie ani jednej plamki krwi?

– Tego nie powiedziałem.

– Nie musiał pan! – Wychyłam się do przodu z rękami opartymi o kolana i świdruję go wzrokiem na wylot, ale Prester nie odpuszcza. – Nigdy. Nie. Skrzywdziłabym. Swoich. *Dzieci*. – Głos załamuje mi się na ostatnim słowie, a przed oczami rozmazują się łzy, ale nie pozwalam, aby to mnie powstrzymało. – Nie jestem Melvinem Royalem. Nie jestem nawet Giną Royal. Jestem człowiekiem, jakim musiałam się stać, aby ochronić swoje dzieci przed ludźmi, którzy chcieli zrobić im krzywdę i *nadal tego chcą*. Jeśli chce pan mieć podejrzanych, dam panu swoje teczki. Może dla odmiany zrobi pan z nimi coś użytecznego! – Z rozkoszą rzuciłabym mu je w twarz, a także ohydne zdjęcia i sterty papieru pełne morderczych, nienawistnych słów użytych tak, aby zniszczyć moją nadzieję i spokój ducha. – Mam to wszystko w swoim gabinecie. Niech pan porozmawia z Melvinem. On coś wie. Musi wiedzieć!

– Sądzi pani, że zbiegł z celi śmierci i jakimś cudem trafił niezauważony aż do Stillhouse Lake?

– Nie. Sądzę, że Melvin ma swoich *ludzi*. Z tego, co wiem, może mieć współnika. Próbowali mi przypisać tę rolę, ale to nie byłam ja. Możliwe, że jego prawdziwy współnik...

Urywam, bo nawet w moich własnych uszach brzmi to tak, jakbym zaczęła tracić rozum. Melvin Royal nie miał współnika. Nie potrzebował go. Był królem swojego szczególnego, makabrycznego królestwa, a ja nie umiem sobie wyobrazić, by podzielił się nim z kimś innym. Ale naśladowcy? O tak. Chciałby mieć naśladowców. Uważał się za równie charyzmatycznego i wpływowego co przywódca sekty. Skoro nie mógł dręczyć mnie osobiście, z przyjemnością pozwolilby działać komuś innemu jako swojej marionetce.

Jednak Prester kręci głową.

– Sprawdziłem pani byłego. Facet jest trzymany na naprawdę krótkiej smyczy. W ogóle nie ma dostępu do komputera. Dostaje kilka książek w miesiącu, spędza trochę czasu z prawnikiem, dostaje listy, ale

wszystkie są przedtem sprawdzane przez więzienną administrację. Otrzymuje również... listy od fanek, jeśli można to tak nazwać. Wie pani, takie z rodzaju „on wcale nie jest złym człowiekiem, tylko niezrozumianym”. Jedna z nich chce go poślubić. Pani były zastanawia się nad tym od czasu – cytuję – „gdy porzuciła go żona”.

– Czy może pan sprawdzić...

– Już to zrobiłem – uprzedza moje pytanie. – Potencjalna żona Royała nigdy nie opuściła swojego domu, który znajduje się w rolniczej części Alaski. Gdyby zrobiła jakiś ruch, byłaby niemal równie widoczna jak Melvin. Miejscowa policja twierdzi, że babka jest niespełna rozumu, ale zupełnie niegroźna. Policja stanowa z Kansas zajęła się już sprawdzaniem całej listy jego korespondentów, a jest ona krótka.

– Najwidoczniej coś im umyka. Nie wiem, jakim cudem udaje mu się przesłać mi te listy, ale to robi.

– Sprawdzamy to. Oraz strzał, który padł w domku pana Cade’a. A także fałszywe zgłoszenie o rannym funkcjonariuszu i telefon, który pani podobno otrzymała. Mamy w tej chwili sporo spraw do rozwiązania i staramy się to zrobić najszybciej, jak się da. – Pochyla się do przodu na łokciach. – Przydzieliłem też ludzi do sprawdzenia znajomych pani dzieci. Nie mogłem znaleźć zbyt wiele w kontekście mediów społecznościowych...

– Wie pan, dlaczego!

– Chyba tak. Ale jeśli przychodzi pani do głowy ktoś, z kim musimy porozmawiać, proszę powiedzieć. W tej chwili musimy czepiać się każdego możliwego tropu.

Uświadamiam sobie nagle, że tym, o czym nie wspomina ani słowem, są szanse przetrwania. Przykra prawda jest taka, że jeśli moje dzieci żyją, to nie potrwa to długo, a szczególnie nie w przypadku, gdy porwał je ktoś żywiący urazę do mnie lub Mela. Mają jeszcze mniej szans na przeżycie, jeśli uprowadził je morderca ze Stillhouse Lake. Wracam pamięcią do widoku krwi, a prawdopodobieństwo porażki sprawia, że czuję ściskanie w gardle.

Ciągle o czymś zapominam. Nie mogę ogarnąć umysłem, co to może być. To coś, co widziałam, coś, co wydawało się nieistotne. Wiem, że nie mogę zwolnić szalejących myśli na tyle, aby określić to dręczące, nieuchwytnie coś. Na pewno ma to związek z Connorem. Zamykam oczy

i widzę go takiego, jakim był dziś rano: moim poważnym synem, cichym, zamkniętym w sobie, uroczym mołem książkowym.

Mol książkowy.

Staram się rozwinąć tę myśl, ale nie mogę. Ulatuje mi z głowy, gdy Prester mówi:

– A teraz proszę, żeby pojechała pani na komisariat. Mamy tu ręce pełne roboty i nie może pani przeszkadzać. Panie Cade, chciałbym, żeby pan do nas dołączył. Potrzebujemy więcej informacji dotyczącej incydentu ze strzelaniem.

Mówię coś kompletnie bez znaczenia, chyba wyrażając zgodę, ale w głębi duszy czuję co innego. Mój mózg pracuje na najwyższych obrotach, myśli wędrują w stu różnych kierunkach i nic już nie ma sensu. Nagle uświadamiam sobie, że jest jedna rzecz, którą mogę zrobić.

Proszę o oddanie mi telefonu i wysyłam wiadomość do Absaloma. „Ktoś porwał moje dzieci. Nie wiem kto. Pomóż mi, proszę”.

Wciskam „wyślij”, nie wiedząc, czy zostanie to potraktowane jako modlitwa w mroku, czy okrzyk rozpacz. Nie mogę się na niego wściekać, jeśli nie zechce się w to zaangażować. Absalom jest niczym butelka rzucona na szerokie, mroczne wody internetu, a z mojego doświadczenia wynika, że internet wcale nie jest przyjaznym miejscem.

Nie dostaję żadnej odpowiedzi. Proszę Prestera, aby zaczekał. Czeka, wyraźnie zniecierpliwiony, przez całe pięć minut, po czym zabiera telefon i chowa do plastikowej torebki na dowody rzeczowe.

Jeśli zadzwoni, nie usłyszę go, ponieważ trafia do brązowego, kartonowego pudła, stając się częścią materiału dowodowego, który zostanie zabrany z domu do Norton. Nie mojego domu, już nie. To tylko sterta cegieł, drewna i metalu, z niedokończonym tarasem. Żałuję, że nie udało nam się go zbudować i posiedzieć na nim, chociaż raz, z Samem i dziećmi. Może dzięki temu miałabym przynajmniej jedno szczęśliwe wspomnienie związane z tym miejscem.

Sam podaje mi rękę, a ja wpatruję się w nią tępo, dopóki nie dociera do mnie, że Prester czeka przy sedanie. Czas ruszać w drogę.

Już tu nie wrócę.

Tak czy inaczej, to już nie jest mój dom.

Pokój przesłuchań na komendzie policji jest nużąco znajomy, aż po odłupany róg stołu. Grzebię w nim nerwowo paznokciem, czekając. Sam został zabrany do osobnego pomieszczenia – oddzielne przesłuchania, rzecz jasna – a Kezia zostawiła nas, by przywdziać mundur i dołączyć do reszty funkcjonariuszy z patrolu szukającego moje dzieci. Nie pokładam zbyt dużej wiary w policję, choć Prester poinformował mnie spokojnym, rozsądnym tonem o blokadach na drogach, znajomości terenu i wynajęciu grupy najlepszych psów tropiących, by złapały zapach z sypialni Connora.

Wyobrażam sobie, że to wszystko zaprowadzi nas jedynie do miejsca, w którym stał wcześniej samochód, furgonetka albo van. Ustawiony w odpowiedniej pozycji, van, który Javier próbował mi sprzedać, świetnie by się do tego nadawał... ustawiony od frontu, z odsuwanymi drzwiami za siedzeniem pasażera. Idealny do przeniesienia ciał nieprzytomnych nastolatków z domu, załadowania ich i zamknięcia.

Psy nie zaprowadziłyby nas do nich. Zaprowadziłyby nas wyłącznie do miejsca, w którym byli po raz ostatni, prawdopodobnie do drogi.

Nie zwróciłam na to uwagi, dopóki nie wsiadłam do samochodu, ale gdy tak czekałam w pokoju przesłuchań, ciężkie, parne powietrze ochłodziło się wraz z nadejściem wieczora, a chmury pozbijały w gromady i do moich uszu dotarło stłumione bębnienie rozpoczynającej się ulewy. Deszcz z całą pewnością zmyje pozostałości zapachu.

Woda zatrze wszelkie ślady i dowody, zmyje je do czysta, aż w końcu ciała moich dzieci uniosą się powoli ku powierzchni, wyłaniając z niej niczym blade bąble powietrza.

Chowam twarz w dłoniach i staram się nie krzyżeć. Udaje mi się stłumić wrzask, ale ktoś stojący za drzwiami otwiera je, zagląda do środka, marszczy brwi, po czym zamyka je, gdy przekonuje się, że nie krwawię i nie straciłam przytomności. Nie wiem, jak potraktowałiby rodzica dwójki zaginionych dzieci, ale Ginę Royal? Gina Royal jest podejrzaną, zawsze i wszędzie.

Prester nie śpieszy się z powrotem. Gdy w końcu się zjawia, deszcz zdążył przybrać na sile, zmieniając się w nawałnicę uderzającą w dach. Choć w środku nie ma okien, słyszę dalekie grzmotnięcia piorunów przetaczających się nad wzgórzami. Powietrze robi się chłodniejsze.

Bardziej wilgotne.

Prester był na zewnątrz, bo wyciera sobie twarz i włosy ręcznikiem, który niedawno leżał na półce w pomieszczeniu socjalnym. Osusza z wilgoci marynarkę od garnituru. Krople wody rozpryskują się na podłodze niczym małe, ciemne gwiazdy, a ja przypominam sobie plamy i smugi krwi w pokoju Connora, które do tej pory zdążyły już zbrązowieć. Nie wyglądają już jak plamy, które wyobrażają sobie ludzie, gdy myślą o krwi.

Krew Connora ma co najmniej kilka godzin, a ja siedzę tutaj, zmarznięta, drżąca i zdesperowana, Prester zaś mówi mi, że jeszcze ich nie znalazł.

– Nie znaleźliśmy Javiera Esparzy. Sophie ze strzelnicy powiedziała, że wyjechał na ryby.

– Wygodna wymówka.

– W tej okolicy to nie zbrodnia. Około dziesięć procent mieszkańców Norton wyjeżdża co tydzień na kemping, łowić ryby albo polować. Poszukiwania trwają. Departament Rybołówstwa sprawdza pola biwakowe. Poprosiliśmy Knoxville o przysłanie helikoptera. Musimy na niego trochę poczekać, ale przyleci.

Pokazuje mi mapę terenów przylegających do Stillhouse Lake, rozmieszczenie ekip poszukiwawczych, blokad drogowych i rejestr wszystkich mieszkańców. Mówię mu o Johansenach i ich lśniącym SUV-ie, którzy nie kiwnęli palcem, wystawiając nas na pastwę innych. Zwijam dłonie w pięści i przyciskam mocno do blatu. W miejscu, w którym krawędź drewnianego blatu jest wyszczerbiona, wzmocniona powierzchnia podwinęła się nieco do góry. Ktoś mógłby rozciąć sobie na niej nadgarstek.

– Czy mogę wyjść? – pytam go przyciszonym głosem. Przygląda mi się znad oprawek okularów do czytania, które założył, by spojrzeć na mapę. Wygląda jak profesor z college'u, dla którego porwanie moich dzieci jest niczym naukowa zagadka. – Chcę ich szukać. Proszę.

– Warunki na zewnątrz są ciężkie. Jest błoto. Deszcz leje jak z cebra i utrudnia widoczność między drzewami. Z łatwością można się zgubić, doznać upadku albo coś złamać. Na razie najlepiej zostawić wszystko w rękach specjalistów. Może jutro pogoda będzie lepsza. W dodatku będziemy mieli helikopter do pomocy.

Nie umiem powiedzieć, czy wydaje mu się, że jest dla mnie miły, czy po prostu chce za wszelką cenę zatrzymać mnie tu najdłużej jak się da, na wypadek gdyby pojawiły się jakieś dowody. Mam na sobie inny zestaw ubrań. Kezia wzięła z mojej szafy parę dzinsów i koszulę, z zadziwiającą precyzją wybierając moje najmniej ulubione rzeczy. Pozostałe ubrania – bluza z kapturem, koszulka, dresowe spodnie, buty do biegania i skarpetki – zostały wysłane do badań do laboratorium, przypuszczalnie w celu znalezienia śladów krwi moich dzieci.

Znowu chce mi się krzyknąć, ale nie sądzę, aby Prester to zrozumiał. Nie przyniesie mi to żadnego pożytku. Jeśli już, sprawi, że zatrzyma mnie tu jeszcze dłużej.

Świdruję go wzrokiem. Chce mi się mrugać, ale jakimś cudem tego nie robię. W końcu Prester wzdycha i odchyła się na krześle. Zdejmuje okulary, rzuca je na mapę i pociera zmęczone oczy. Wygląda na wyczerzonego, ma obwisłą, zwiędłą skórę, zupełnie jakby kilka ostatnich dni odjęło mu kilka kilogramów i lat. Współczułabym mu, gdybym sama nie czuła się gorzej.

– Może pani iść – mówi. – Nie mogę tu pani trzymać. Nie ma żadnych dowodów oprócz tych, które, poświadczają, że dzisiaj stała się pani ofiarą nie jednej, ale dwóch zbrodni. Przykro mi, pani Proctor. Wiem, że to niewiele, ale naprawdę jest mi przykro. Nie wiem, co bym zrobił, gdyby ktoś porwał moje córki. – Wstaję z krzesła, zbierając się do drogi. – Proszę zaczekać. Proszę *zaczekać*.

Nie chcę. Stoję, drżąc na całym ciele w gotowości do wyjścia, ale Prester podnosi się z miejsca i wychodzi. Zamyka drzwi. Słyszę trzask zapadek w zamku. Sukinsyn! Już mam zamiar je wyważyć, ale Prester zaraz wraca, niosąc... mój plecak. I plastikową torebkę na dowody z moim telefonem.

– Proszę. Sprawdziliśmy już pani broń i zrobiliśmy analizę balistyczną. Sophie potwierdziła pani zeznania co do ram czasowych, a zeznanie oficer Claremont oczyszcza panią z zarzutów. Zrobiliśmy kopię pani telefonu.

Nie powinien oddawać mi tych rzeczy. Policja nie pozbywa się dowodów, a przynajmniej nie tak łatwo. Jednak w jego zmęczonych oczach widzę, że martwi się o mnie i moje dzieci. Ma do tego dobry powód.

Biorę plecak i zarzucam go na ramię, po czym wyjmuję telefon z torebki i włączam go. Bateria wciąż jest naładowana, co świetnie się składa, bo nie mogę wrócić do domu po ładowarkę. Wsuwam go do bocznej kieszeni plecaka.

– Dziękuję – mówię, przekręcając gałkę w drzwiach. Otwiera się bez stawiania oporu. Przechodzący obok policjant zerka na mnie i idzie dalej. Nikt nie zachodzi mi drogi.

Odwracam się i patrzę na Prestera. Wygląda na pokonanego. Sfrustrowanego.

– Niech każe pan zeszlifować komuś tę krawędź stołu. Ktoś mógłby się o nią skaleczyć.

Patrzy na wskazane przeze mnie miejsce i wyciąga rękę, aby przesunąć po nim palcem.

Zanim udaje mu się coś powiedzieć, wychodzę przez zbiorową celę. Zaczepiam pierwszego lepszego funkcjonariusza – młodego detektywa, który dziś rano robił Presterowi kawę – i pytam gdzie jest Sam Cade. Informuje mnie, że Cade wyszedł wraz z jedną z ekip poszukiwawczych, a ja mówię mu, że potrzebuję podwózki, aby do nich dołączyć. Jednak sądząc po jego minie, nie zamierza robić za mojego taksówkarza.

– Zawiozę ją – odzywa się głos za moimi plecami, a ja odwracam się i widzę Lancela Grahama. Nie ma na sobie munduru. Jest ubrany we flanelową koszulę, znoszone dzinsy i trapery. Na jego twarzy widać co najmniej jednodniowy, jasny zarost. Wygląda jak model z reklamy biura podróży. – Jadę na miejsce, aby dołączyć do reszty. Przepraszam, Gwen. Zabrałem chłopaków na kemping w górach. Wróciliśmy stamtąd, jak tylko usłyszałem o twoich dzieciach. Dobrze się czujesz?

Z trudem przełykam ślinę i kiwam głową, nagle przytłoczona jego współczuciem i opanowaniem, z jakim na mnie patrzy. Uprzejmość jest trudna. Detektyw, który w ogóle na mnie nie patrzy, tak jakbym mogła go zarazić wirusem Krewnej Seryjnego Mordercy, wygląda jakby mu ulżyło.

– Tak – mówi do Grahama. – Proszę to zrobić.

Wyczuwam, że ani nie są przyjaciółmi, ani nie łączą ich przyjazne stosunki. Graham nie zaszczycą go nawet jednym spojrzeniem. Prowadzi mnie drzwiami na zewnątrz, pod zadaszenie. Niespodziewany chłód w powietrzu zaskakuje mnie. Mój oddech paruje na biało.

Deszcz pada z nieba niczym lśniaca, srebrzysta kurtyna, którą zatrzymuje jedynie dach nad naszymi głowami rozciągający się na plac. Widzę w oddali czerwone i zielone światła sygnalizacji oraz blask ulicznych latarni nad parkingiem, ale szczegóły są zamazane od deszczu.

– Zaczekaj tutaj – mówi Graham.

Wybiega w deszcz. Po niecałej minucie wraca za kółkiem masywnego SUV-a, po którym widać, że radził sobie w warunkach gorszych od obecnej ulewy. Jest ciemnoszary albo czarny. Pomarańczowe światła latarni sprawiają, że trudno to ocenić.

Otwiera drzwi od strony pasażera, a ja wskakuję szybko do środka – najwyraźniej nie dość szybko, by uniknąć strugi zimnej wody, która przykleja mi włosy do czaszki i spływa lodowatymi strumyczkami po szyi i plecach. Mój plecak ześlizguje się na podłogę i wtapia w ciemność zalegającą w miejscu pod nogami. Włączył ogrzewanie, za co jestem wdzięczna, próbując rozgrzać sobie ręce.

– Dokąd jedziemy?

Wrzuca bieg, a gdy to robi, automatyczna funkcja pojazdu uruchamia blokady w drzwiach, które włączają się z głośnym trzaskiem. Zapinam pas. W tym samochodzie jeździ się wyżej niż w moim jeepie. Mam wrażenie, jakbym siedziała w piętrowym autobusie. Muszę jednak przyznać, że auto sunie gładko, gdy Graham wyjeżdża z parkingu na zalane deszczem, prawie puste ulice Norton.

– Chciałaś znaleźć Sama Cade’a, tak? Zawiozłem go na tutejsze odludzie ciągnące się w górę wzgórza od mojego domu. Ciężkie warunki. Dołączył do ekipy, która miała wspiąć się na szczyt. Może być ci trudno go teraz dogonić. Jesteś pewna, że chcesz to zrobić?

I tak nie mam dokąd pójść, a już na pewno nie wrócę do tamtego zdewastowanego domu pozbawionego osób, które kocham. Nie jestem ubrana odpowiednio do warunków pogodowych, szczególnie jeśli chodzi o deszcz i zimno, ale nie wrócę do domu. Myślę o tym, by zadzwonić do Sama, ale jeśli jest w trakcie poszukiwań, może nie usłyszeć telefonu w całym tym zamieszaniu.

Mój plecak wibruje pod stopą, a ja przez chwilę nie wiem dlaczego, dopóki nie przypominam sobie, że wsadziłam tam telefon, aby ochronić go przed deszczem. Pochylam się i wydaję go. Numer jest nieznan, ale nie mogę ryzykować, więc odbieram. To kolejny troll. Masturbuje się,

opowiadając o tym, jak obedrze mnie ze skóry. Rozłączam się. Zauważam, że mam dwie nieodebrane wiadomości, obie wysłane z anonimowych numerów.

– Dowiedziałaś się czegoś użytecznego? – pyta Graham.

– Nie. To był zboczeniec, którego podniecało dręczenie mnie. Tak to już jest, gdy się jest byłą żoną Melvina Royała. Nie jestem człowiekiem, tylko celem.

– Brzmi strasznie. Muszę przyznać, że miałaś dużo odwagi, żeby utrzymać rodzinę w całości i spróbować żyć dalej. Na pewno nie było wam łatwo.

– Nie – przyznaję. Moja rodzina nie jest razem. Świadomość tego boli mnie tak bardzo, że z trudem łapię następny oddech. – Nie było łatwo.

– Trochę mnie zaskoczyło, że Prester pozwolił ci zatrzymać telefon. Zwykle policja konfiskuje je, monitorując rozmowy z posterunku. Pewnie ma w środku zainstalowaną pluskwę.

– Powiedział, że go skopiowali. Może będą w stanie złapać drani, którzy do mnie wydzwanają.

Mówiąc to, sprawdzam pierwszą wiadomość. Jest od Absaloma, bo na końcu widnieje jego szczególny, mały symbol. „Niedaleko ciebie mieszka glina. Sprawdziłem. Wiarygodne źródło”.

To dla mnie szok. Standardową radą Absaloma jest *nigdy nie ufać odznakom*.

Kasuję wiadomość. Miałam rozpaczliwą nadzieję, że ma sprawdzone informacje na temat moich dzieci, ale zamiast tego dostałam coś, o czym już wiem. Mam wrażenie, jakby próbował wymiksować się z naszych problemów.

– Warunki pogodowe są zbyt niebezpieczne, aby przebywać na zewnątrz – odzywa się Graham. – Zawrócę i pojedę do swojego domu. Możesz przespać się na kanapie i dołączyć do ekipy o brzasku. Co ty na to?

– Nie, ja muszę... muszę dalej szukać, jeśli ekipy poszukiwawcze nadal są w terenie. Dam sobie radę.

Graham przygląda mi się spod zmarszczonych brwi.

– Nie, jeśli pójdziesz w tych ubraniach. Te buty są w porządku, ale w tym deszczu i w tym co masz na sobie w ciągu godziny dostaniesz hipotermii. Za fotelem jest kurtka. Możesz ją wziąć.

Odkładam telefon. Macam ręką za siedzeniem po podłodze i dotykam palcami miękkiego materiału puchowej kurtki z ozdobionym futrem kapturem. Przyciągam ją do siebie, a wtedy grzbiet mojej ręki ociera się o coś rozsmarowanego na skórzanej powierzchni tylnego siedzenia – nisko, tuż nad podłogą. W dotyku jest lepkie i nieco wilgotne. Wyciągam kurtkę i kładę sobie na kolanach, zauważając, że moje palce są usmarowane czymś w rodzaju smaru. Sięgam po chusteczkę ze stojącego między nami pojemnika i ścieram go, myśląc jednocześnie, że to *wcale nie przypomina smaru*.

Zbliżając dłoń do oczu, wyczuwam metaliczny zapach, którego nie można z niczym pomylić. Ta plama na grzbiecie mojej dłoni wcale nie jest ze smaru.

Wyjechaliśmy już poza granice Norton, a Graham stale dodaje gazu, jadąc zdecydowanie za szybko jak na mokrą nawierzchnię. Wjazd pod górkę do Stillhouse Lake wygląda jak czarna płachta poprzecinana podświetlonymi kroplami deszczu, z szarą, niewyraźną wstęgą drogi.

Na mojej dłoni jest krew.

Uświadomienie sobie tego sprawia, że wszystkie myśli ulatują mi z głowy i wypełnia ją pustka. Przez ułamek sekundy jestem pewna, że zaraz zemdleję z powodu powagi sytuacji. W SUV-ie Lancela Grahama jest krew. Nagle wszystko, *wszystko*, zaczyna nabierać sensu. Za wszelką cenę staram się tego po sobie nie pokazać.

Kończę wycierać rękę, zwijam chusteczkę w kulkę i chowam do kieszeni dzinsów.

– Jesteś pewien, że Kyle nie będzie miał nic przeciwko, jeśli zatrzymam ją na jakiś czas? – To pewnie kurtka jego syna. Wydziela charakterystyczny zapach dorastającego nastolatka. – Tak przy okazji, chyba rozlał coś na tylnym siedzeniu.

– Tak, miałem zamiar to sprzątnąć. Uderzyliśmy w sarnę, a ja załadowałem ją do bagażnika. Wyrzuciłem truchło przed domem w drodze na komendę. Wybacz – mówi Graham. – Słuchaj, Kyle i tak nie przejmie się stratą kurtki. Zatrzymaj ją tak długo, jak chcesz. Ma ich całe mnóstwo.

Ma taki przyjemny głos. Głęboki, melodyjny, przyjacielski. Ma gotowe wytłumaczenie dla krwi, ale w tej chwili niczego nie czuję. Jestem jak sparaliżowana. Zupełnie jakby mnie tu nie było. Jestem umysłem

składającym do kupy elementy układanki. Wszystkie emocje zostały zablokowane podobnie jak w przypadku naczynia krwionośnego, które zaciska się, aby spowolnić utratę krwi. Uświadamiam sobie, że to szok. Jestem w szoku. *Świetnie*. Mogę to wykorzystać.

Przypominam sobie, jak wpadł do nas z odwiedzinami, co miało miejsce chyba wieki temu, żeby zwrócić telefon mojego syna... lub telefon, który wyglądał identycznie jak tamten. Jednorazowy telefon, któremu można było wgrać całą zawartość telefonu Connora – łatwizna, zwłaszcza że jedyne, co miał w pamięci, to kontakty i wiadomości tekstowe. Mógł zostać skopiowany, tak jak zademonstrował mi to Prester – wraz z całym spisem połączeń, a nawet numerem.

A to, co znalazło się w naszym domu, mogło być całkiem *innym telefonem*. Telefonem, który mógł nas podsłuchiwać. Kamera, która mogła nas *podglądać*. Myślę o tym telefonie, który leżał przy łóżku Connora, poznając nasze zwyczaje, naszą rutynę, godziny, o których Connor wstawał i kładł się spać. Mógł nagrać dźwięki wydawane przez klawisze i odkryć nasze hasło do alarmu.

Choć prawdopodobnie to ostatnie było najłatwiejsze. Bardzo możliwe, że oficer Graham zwyczajnie widział, jak wpisuję kod tej samej nocy, gdy wpadł się przywitać.

Coś we mnie pęka, tylko odrobinę. Czuję pierwszy, gwałtowny przyływ paniki, gdy szok zaczyna mijać i zaczyna się krwawienie. Zamykam oczy i staram się trzeźwo myśleć.

To najważniejsza chwila w całym moim życiu.

W SUV-ie zapada przytłaczająca cisza. Zagłusza ryk siekającego deszczu, prowadząc go do stłumionego, monotonnego syku, podobnego do krzyku dalekich gwiazd. Nie licząc naszego, na drodze nie ma żadnych pojazdów. Nie widać żadnych palących się w ciemności, zbliżających się reflektorów. Równie dobrze możemy być ostatnimi żyjącymi ludźmi na świecie.

Mój telefon znowu wibruje. Układam kurtkę tak, aby go zasłoniła, i odczytuję drugą wiadomość. „Jesteśmy na komendzie policji w Norton. Gdzie się podziewasz?”

To wiadomość od Sama Cade’a. Nie wspina się po górze z ekipą poszukiwawczą. Cała ta wycieczka od początku była kłamstwem.

Mój telefon jest wyciszony, więc nie wydaje z siebie żadnego dźwięku,

gdy powoli i ostrożnie odpisuję: „Graham mnie porwał”.

Naciskam „wyślij” w momencie, w którym SUV zjeżdża gwałtownie na bok. Zanim zdążę się spostrzec, uderzam mocno w drzwi po stronie pasażera. Mój telefon wystrzeliwuje w powietrze, a gdy udaje mi się rzucić na niego okiem po raz ostatni, nie mam pewności, czy zdążyłam wysłać wiadomość, czy nie. Rzucam się, aby go złapać.

Graham sięga po niego w tej samej sekundzie, i celowo – tak mi się zdaje – uderza nim z całej siły o jeden z metalowych wsporników pod siedzeniem. Ekran pokrywa siateczka pęknięć. Bateria pada.

– Cholera! – woła, podnosząc telefon. Potrząsa nim, jak gdyby to miało przywrócić go do działania. Doskonałe przedstawienie. Nawet wygląda na zmartwionego. Gdybym nie była taka przerażona, taka *wściekła*, uwierzyłabym w to bez mrugnięcia okiem. Staram się spowolnić wyrzut adrenaliny do krwiobiegu, bo w tej chwili nie jest mi potrzebny. Trzeba się *skupić* i ułożyć plan, zanim zacznę działać. Muszę pozwolić mu myśleć, że ma mnie w garści.

Muszę zabić tego człowieka. Ale najpierw muszę się dowiedzieć, dokąd zabrał moje dzieci. Powolutku, centymetr po centymetrze, podciągam do góry plecak. Szum deszczu i warkot silnika mogą zamaskować dźwięk odsuwanego zamka. Dłonie trzęsą mi się ze strachu i dziko walącego serca. Macam dokoła ręką i natrafiam palcami na groszkowaną powierzchnię plastikowego futerału na broń.

Jest odwrócony w złą stronę. Muszę go przekreślić, żeby dostać się do zamka.

Lancel Graham wbija ponury wzrok w zepsuty telefon.

– Niech to szlag, przepraszam za telefon. Pewnie i tak kopiują rozmowy na posterunku. Chcesz, żebym sprawdził? – Nie czeka na odpowiedź. Wyjmuje swoją komórkę i wybiera numer. Ekran się podświetla. Komórka wygląda na prawdziwą, ale z tego co wiem, równie dobrze może rozmawiać z automatyczną sekretarką. – Hej, Kez... właśnie rozwaliłem telefon pani Proctor. Tak, wiem. Upuściłem go jak idiota. Nadaje się do wyrzucenia. Słuchaj, czy jej telefony są przechwytywane i nagrywane? – Zerka na mnie z ukosa i uśmiecha się z miną, jakby autentycznie odczuwał ulgę. – Świetnie. Dzięki, Kez. – Kończy połączenie. – Nie ma powodu do obaw. Monitorują wszystkie rozmowy. Kez zadzwoni do mnie, jak tylko pojawią się jakieś informacje

o twoich dzieciach.

To zwykła szopka. Mogę się założyć, że nie zadzwonił na komendę.

Futerał w plecaku jest ciężki. Jeśli zrobię zbyt oczywisty ruch, uderzy mnie, a jeden solidny cios otrzymany z bliska od mężczyzny jego postury może pozbawić mnie przytomności. Muszę zapanować nad strachem. Nie mam wyjścia.

Centymetr po centymetrze udaje mi się podnieść i obrócić futerał. Mam wrażenie, że to trwa całą wieczność. Modłę się, żeby Graham nie domyślił się, co robię. W samochodzie panuje półmrok, a droga jest bardzo ciemna. Kątem oka widzę jednak, że patrzy na mnie z ukosa.

Udało mi się obrócić futerał, ale z tej strony są zawiasy. Potrzebuję obrócić go jeszcze dwa razy, aby dostać się do zamka. Chce mi się krzyczeć i płakać, wziąć plecak i zdzielić go z całej siły w głowę, ale to posunięcie nie zapewni mi teraz żadnej przewagi. Nie na opuszczonej drodze w deszczową noc. Jestem pewna, że Graham ma przy sobie broń.

Założę się, że może sięgnąć po nią o wiele szybciej i łatwiej niż ja. Jeśli nie zachowam kontroli, jeśli zareaguję pod wpływem czystych emocji, *przegram*.

Muszę zrobić to lepiej od tego psychopaty.

Skręcamy w kierunku Stillhouse Lake. Na jeziorze nie ma łódek. Światła palą się niemal w każdym domu, odpędzając ciemność i potwory, gdy mijamy je po drodze. Przy wyjeździe prowadzącym do domu Johansenów Graham skręca w lewo i jedzie na wzgórze. Mijamy ich podjazd, a ja widzę ich, jak stoją w kuchni z kieliszkami czerwonego wina, rozmawiając, i jak niosą talerze do stołu. Wygodne życie nieznanym ludzi. Ten niecodzienny widok normalności znika w następnej sekundzie.

Jedziemy przed siebie. Z prawej widzę posesję Grahama. To autentyczna wiejska posiadłość z dużym domem w ranczerskim stylu, pozbawiona pretensjonalnej elegancji typowej dla Johansenów, z ich nowoczesnym, szklanym monstrum o ostrych rogach stojącym na końcu drogi. W jego budowę miało wkład wiele pokoleń, co widać szczególnie w różnicach między kolorem cegieł.

Z przodu stoi zaparkowany drugi SUV, dwa rowery górskie i quad, a także średnich rozmiarów łódź na holowniku, gotowa do spuszczenia na wodę. Wszystkie niezbędne sprzęty dla człowieka mieszkającego nad

jeziorem.

Przejeżdżamy obok domu. Warunki na drodze stają się ciężkie. Zawieszenie podskakuje na wybojach i tapla się z błocie. Spod kół znika zwirowa nawierzchnia. Przegapiłam swoją szansę. Naprawdę sądziłam, że zatrzyma się pod domem. Miałam zamiar wyskoczyć z auta, skryć się w mroku i strzelić w szklane okna domu Johansenów. To z pewnością skłoniłoby ich do zadzwonienia pod 911, nawet jeśli nie wpuściliby mnie do środka.

Jednak Graham jedzie dalej, a ja ponownie obracam futerał z bronią, tym razem nieco szybciej. Znow natrafiam palcami na gładką stronę bez zamka.

– Podwiozłem Sama na wzgórze – mówi. „Kłamca”. – Droga sięga tylko dotąd, a potem jedyne, co widać, to ślady dzikich zwierząt. Chciałaś dogonić ekipę, tak? To jedyny sposób, aby to zrobić. Przepraszam za ciężką jazdę.

Jestem dotkliwie świadoma faktu, że ten człowiek bawi się mną. Jego głos jest ciepły, łagodny i słychać w nim ledwie zauważalne zadowolenie. Nie widzę wyraźnie w upiornym blasku kontrolki na desce rozdzielczej, ale chyba jest lekko zarumieniony z powodu odniesionego sukcesu. Rozkoszuje się nim, jednocześnie starając się tego po sobie nie pokazać. To część, którą lubi, w której ma kontrolę, a jego ofiara nie ma jeszcze pojęcia, w jak tragicznej znajduje się sytuacji.

Tyle że ja wiem.

Odwracam futerał po raz ostatni, gdy nagle wjeżdżamy na wybój, a plecak podskakuje tak, że całkowicie wypada mi z rąk. „Boże. O Boże, nie”. Jest źle. Jest naprawdę źle.

Lancel Graham sięga po plecak, który zaklinował się między nami. Podnosi go i bez słowa rzuca na tylne siedzenie. Przedstawienie zaczyna dobiegać końca. Kończy mi się czas, *a ja nie mam broni*. Dobry Boże, on zabije mnie i moje dzieci, i *ujdzie mu to na sucho*.

Muszę działać. Natychmiast.

– Czy ekipa ma ze sobą radio? – pytam, sięgając po jego policyjną krótkofalówkę wciśniętą między siedzeniami. – Powinniśmy dowiedzieć się, gdzie dokładnie...

Łapie mnie za rękę, a ja myślę „To koniec” i zaczynam zastanawiać się nad dostępnymi opcjami. Kalkuluję możliwości w ułamku sekundy:

Graham jedną ręką trzyma kierownicę, a drugą moją lewą dłoń. Jeśli przechyle się w bok, mogę uderzyć go z całej siły w jaja. Jego nogi są rozprostowane i rozsunięte. Dzięki temu zyskam minutę lub dwie. Ale co potem? Jest wielki i podejrzewam, że szybki. Nie znam jego tolerancji na ból, ale znam swoją. Jeśli zechce mnie powstrzymać, będzie musiał się nieźle postarać. Muszę go rozbroić, zanim wyciągnę broń z plecaka, złożę ją w całość i strzelę do niego, zmuszając go, żeby *powiedział mi, gdzie są dzieci*. Będę strzelać, aż zniknie z powierzchni ziemi.

Na półce za moimi plecami leży strzelba. Widzę ją kątem oka. Wygląda jak długi, metalowy wykrzyknik. Dostrzegam też kłódkę, która podskakuje, gdy autem zarzuca na boki. Strzelba jest przymocowana w miejscu, całkiem bezużyteczna.

Jestem gotowa zaatakować go z całą gotującą się we mnie furia, gdy Graham puszcza moją dłoń i mówi:

– Wybacz, Gwen. To własność policji. Nie mogę pozwolić ci jej używać.
– To wystarczy, żeby mnie powstrzymać. Wpisuje kciukiem jakiś kod i włącza radio. Ekran jarzy się nieziemskim błękitem, a Graham przeskakuje na częstotliwość, której nie widzę. – Ekipa poszukiwawcza numer dwa z komendy policji w Norton, czy mnie słyszycie? Ekipa poszukiwawcza numer dwa, podajcie swoje współrzędne.

Jestem zaskoczona, że zdecydował się ciągnąć tę szopkę. Strach mnie nie opuszcza, ale przesłania go zwątpienie. Nie mam pojęcia, co on, u diabła, robi. Mrugam szybko i się odsuwam, a adrenalina buzuje mi w żyłach niepotrzebnie, wstrząsając mięśniami. Zdejmuje palec z guzika i nasłuchuje. Rozlega się szmer zakłóceń podobny do szumu padającego deszczu. SUV wjeżdża w głęboką, błotnistą dziurę, a Graham rzuca mi przepraszający uśmiech, ponieważ musi odłożyć radio i wyprostować kierownicę.

– Pogoda lubi czasem płatać figle z łącznością. W dodatku góry zakłócają odbiór sygnału. Chcesz spróbować? Śmiało.

Nie spuszczam z niego wzroku, podnosząc radio, wciskając guzik i powtarzając wcześniejszy komunikat.

– Ekipa poszukiwawcza numer dwa z komendy policji w Norton, słyszycie mnie? Podajcie współrzędne swojej lokalizacji.

Dobrze wiem, co robi. Bawi się mną, tak jak Mel bawił się w warsztacie ze swoimi ofiarami. Sprawdza mnie. Zadaje mi drobne

rany, żeby zobaczyć, jak krwawię. To dla niego ekscytujące.

Radio milczy. Słyszać wyłącznie szum zakłóceń. Zerkam na płonący blaskiem ekran, a potem wyglądam przez szybę. Deszcz przesłania wszystko, ale domyślam się, że zbliżamy się do końca drogi. Gdy dotrzemy na wzgórze, znajdziemy się daleko poza zasięgiem kogokolwiek. W takiej ulewie i przy takim błocie nikt nie będzie mnie szukał.

Tak, jak to sobie zaplanował.

Nie potrafię stwierdzić, co jest nie tak z krótkofalówką. Może przestawił ją na złą częstotliwość albo uszkodził antenę. Pewnie jest całkiem bezużyteczna i w ogóle nie ma sensu z niej korzystać...

Moje myśli zakłóca zmieniająca się częstotliwość zakłóceń i słaby głos mówiący:

– Tu ekipa poszukiwawcza numer dwa, odbiór. Nasze współrzędne to...
– Głos ponownie znika w zalewie zakłóceń, nim udaje mi się wyłapać więcej niż dwie liczby. Zapominam o swoim wcześniejszym planie. Wciskam guzik.

– Ekipa poszukiwawcza numer dwa, powtórz! Powtórz!

Czy to możliwe, że *jakimś cudem* źle to wszystko zinterpretowałam? Może Graham faktycznie mówi prawdę? Wydaje się to niemożliwe, ale ostatnimi czasy wielokrotnie się myliłam.

W krótkofalówce słyszać wyłącznie szum. Żadnych dających się rozróżnić ludzkich głosów. Próbuję ponownie, a gdy unoszę wzrok, widzę, że nachylenie pojazdu się zmieniło, a my docieramy na szczyt na końcu drogi.

Graham parkuje SUV-a pod zwieszającymi się gałęziami gigantycznego drzewa. Krople padające z gałęzi są grubsze i bębnią z o wiele większą siłą, przypominając donośne uderzenia młotka. Słyszę je wyraźnie, gdy Graham wyłącza silnik, zaciąga hamulec i odwraca się w moją stronę. Ponownie wciskam guzik, ale wyjmuję mi radio z ręki i wyłącza je. Kładzie je na podłodze między nami.

– To nie ma sensu – mówi. – Jak już wspominałem, ciężko tu złapać sygnał.

Wygląda na rozbawionego, a ja wcale się nie pomyliłam. Nie myliłam się od samego początku. Nie myliłam się w sprawie krwi ani jego postępów.

Nie myliłam się co do Lancela Grahama.

Nigdy nie rozmawiał z ekipą poszukiwawczą z komendy policji w Norton.

– Jesteśmy tu całkiem sami, Gina – mówi, zupełnie jakby się do mnie przystawiał. Chce mi się krzyczeć. Chcę walnąć go w jaja, ale on jest gotowy, widzę to po nim, *a ja nie*.

– Nie nazywam się Gina, tylko Gwen. W którą stronę poszedł Sam? Widziałam mapę, którą pokazał mi Prester. Czy ruszył trasą na północny wschód?

Próbuję otworzyć drzwi. Nie chcą się otworzyć, tak jak się tego obawiałam. Czuję, jak coś we mnie umiera. Ostatnia deska nadziei. Nie mam już wyboru. Muszę walczyć. W dodatku odchodzę od zmysłów, jestem samotna, nieuzbrojona i zmuszona stawić czoła o wiele większemu ode mnie mężczyźnie.

Nie mogę przegrać. Nawet na sekundę.

– Lepiej, żebyś tego nie robiła. Zgubisz się na tym pustkowiu i pewnie złamiesz sobie kark, spadając ze wzgórza. Już wiem. Zadzwońię bezpośrednio do Sama. Może uda nam się z nim skontaktować.

Nie odpuszcza, nadal ciągnąc tę szopkę.

Ale nie ja.

Chwytam za krótkofalówkę i uderzam go w skroń z tak wielką siłą, jaką jestem w stanie zebrać w tak małej przestrzeni, i słyszę, jak z moich ust wyrywa się okrzyk. Jest niewiarygodnie głośny. Pierwszy cios wyrywa mu dziurę w skórze, z której tryska krew. Lancel Graham wydaje z siebie wrzask i macha dziko rękami, próbując odsunąć od siebie radio, gdy uderzam go jeszcze raz, i *jeszcze*. Przestałam się kontrolować. Wypełnia mnie czysta, przemożna furia, która każe mi go zniszczyć. Plastikowa obudowa pęka w drzazgi. Jeden spory kawałek wbija mu się w policzek. Jest oszołomiony. Rzucam się przez niego w stronę blokady drzwi, którą cały czas miałam na oku, i słyszę głośny *stuk*, gdy zamki się otwierają. Wycofując się, trafiam go pięścią prosto między nogi. Graham nieruchomieje na całym ciele, gdy przeszywa go ból. Świdruje mnie wzrokiem przez sekundę, gdy siedzę na fotelu, po czym zrywam się z miejsca, słysząc, jak wyje z bólu.

Chwytam plecak z tylnego siedzenia.

Szarpnięciem otwieram drzwi i wyskakuję z auta, przyciskając do

siebie plecak i kurtkę.

Dłoń Grahama zaciska się na brzegu kurtki i ciągnie za nią, a zimne błoto usuwa mi się spod stóp. Ześlizguję się, wytrącona z równowagi. Panika wybucha we mnie deszczem bolesnych iskier. Nie mogę pozwolić, aby dostał mnie w swoje łapy. Wpuszczam kurtkę z rąk, przytrzymuję się ramy samochodu i zrywam do *ucieczki*.

Tym razem naprawdę czuję na karku oddech potwora.

Rozdział trzynasty

Gdy wydostaję się na zewnątrz, krople deszczu uderzają we mnie niczym lodowate sztylety. Mimo to nie zwalniam tempa. Dyszę ciężko, niemal oślepią strachem, ale udaje mi się go stłamsić. Muszę zacząć *myśleć*.

Zraniłam Grahama, jednak nie zdołałam go unieruchomić. Nie wiem, jaką ma przy sobie broń – strzelbę, do tego pistolet i na pewno jakieś noże. Ja mam swojego siga i resztki amunicji kupionej na strzelnicy. Utrata kurtki może się okazać zabójcza w skutkach. Zimny front obniżył temperaturę do dziesięciu, może ośmiu stopni, a przez unoszącą się w powietrzu wilgoć czuję na skórze kąsający chłód, choć strach i wściekłość otulają mnie własnym, szczególnym ciepłem. Błoto sprawia, że grunt jest śliski i niepewny. Nie znam okolicznych lasów. Nie jestem tutejsza. Nie odbyłam też wojskowego szkolenia jak Sam i Javier. Nie mam absolutnie żadnych szans.

Jednak mało mnie to obchodzi. *Nie mam zamiaru przegrać.*

Docieram do gęstej ściany zarośli i przedzieram się przez nią najszybciej jak się da. Po drodze kaleczę się i nabijam mnóstwo sińców. Zdaję sobie sprawę, że bieganie w ciemnościach to kompletna głupota. Zwalniam i badam drogę, unikając nadziania się na ostro ułamaną gałąź. Dotykam jej, po czym kucam i otwieram plecak. Wyciągam futerał i składam po ciemku broń. Sprawdzam magazynek. Jest pusty. Szukam dodatkowej amunicji i uświadamiam sobie, że ci dranie z komendy w Norton musieli wystrzelać prawie wszystkie moje zapasy.

Ładuję naboje do magazynku. Siedem kul. Tylko siedem.

„Wystarczy tylko jedna”, wmawiam sobie. To kłamstwo, rzecz jasna. Adrenalina utrzymuje ludzi w ciągłym ruchu i sprawia, że są

niebezpieczni nawet wtedy, gdy już dawno powinni gryźć piach. To działa w obie strony. Ja też nie mam zamiaru dać się zabić. Nie poddam się.

Mój strach czyni mnie silniejszą. Czujniejszą. Dziwnie opanowaną.

Nagle pojawia się rozbłysk białego światła, a włoski na moim ciele unoszą się, gdy do moich uszu dociera rozdzierający huk pioruna. Uderza w pobliskie wzgórze i rosnąca na nim sosna momentalnie staje w płomieniach. Połowa rozłupanego drzewa przewraca się na ziemię, zostawiając po sobie ogniste ślady.

W blasku pioruna widzę ciemną sylwetkę Grahama przedzierającego się przez zarośla. Jest ode mnie oddalony o zaledwie trzy metry.

Muszę uciekać. On też z pewnością mnie widział.

Sceneria oświetlona przez dalekie, płonące drzewo jest jak z koszmaru: gęste zarośla, pnie drzew, deszcz, gęste błoto ślizgające się pod stopami, oblepiające buty i nogawki dzinsów. Jest mi przeraźliwie zimno, ale prawie tego nie czuję. Skupiam się wyłącznie na szybkim, bezpiecznym poruszaniu. Nie wiem, gdzie jest Graham. Nie mogę ryzykować oddania strzału, dopóki nie będę miała czystego pola widzenia. Strzelanie w panice to szczyt głupoty.

Nie mogę zabić Grahama przez przypadek. Potrzebuję go żywego. Muszę się dowiedzieć, gdzie są moje dzieci.

Moje zadanie jest trudniejsze od jego. Dziwne, ale w tej chwili wyobrażam sobie, jak Mel szepcze do mnie: „Dasz radę. Dzięki mnie jesteś silniejsza”.

Nienawidzę tego, ale ma rację.

Jestem w połowie drogi po stromym, śliskim zboczach, gdy czuję palący ból spowodowany postrzałem w lewe ramię. Czuję się, jakbym oberwała wrzątkiem z węża strażackiego. Wstrząs sprawia, że zaczynam się ślizgać, słać na nogach i chwytam pnie drzew dla podparcia. W deszczu rozchodzi się intensywna woń prochu. „Trafił mnie”, myślę, autentycznie zaskoczona. Logiczna część mojego mózgu podpowiada mi, że rana nie jest śmiertelna. To zwykłe draśnięcie, inaczej moje ramię rozerwałoby na kawałki. To... spora niedogodność. Nadal mogę poruszać ręką i chwytam różne rzeczy. Cała reszta musi poczekać. Przerazenie nakazuje mi zboczyć ze ścieżki, znaleźć kryjówkę, zwinąć się w kłębek i *umrzeć*, a ja nie mogę dopuścić, by to przejęło nade mną kontrolę.

Przez ryk deszczu i dudnienie piorunów w oddali przebija się jakiś

dźwięk.

Śmiech Grahama.

Chowam się za grubym pniem i próbuję złapać oddech. Gdy zerkam do tyłu, strzelająca akurat błyskawica oświetla szlak. Graham jest całkiem blisko. Unosi rękę, zasłaniając oczy przed jaskrawym rozbłyskiem – a ja orientuję się, że ma na twarzy noktowizor.

Widzi mnie w ciemności jak na dłoni.

Ogarnia mnie rozpacz. Mam siedem nabojów w starciu z jego strzelbą. Nie ma opcji, żebym oddała celny strzał w tym czarnym jak noc, mokrym piekle, a on ma *noktowizor*. Opuszcza mnie cała nadzieja. Nigdy nie znajdę swoich dzieci. Umrę i zgniję na tej górze, i nikt nigdy się nie dowie, kto mnie zabił.

W odzyskaniu kontroli pomaga mi świadomość tego, w jaki sposób Patrol Psycholi skomentowałyby mój los. „Należało się tej suce. Sprawiedliwość nareszcie zatriumfowała”.

Nie zamierzam dać im powodu do świętowania.

Czekam, aż Graham zmniejszy odległość. Chcąc oddać strzał, muszę to zrobić najlepiej, jak potrafię. Dam radę. Czekam, aż oślepi go kolejna błyskawica, wychodzę z ukrycia i składam się do strzału. Jest jak papierowa plansza z celem ze strzelnicy, a ja wiem, co robię.

Cała akcja przebiega idealnie. Niebiesko-biały blask pioruna oświetla sylwetkę Grahama. Płynnym, opanowanym ruchem unoszę broń i już mam zamiar nacisnąć spust, gdy czuję na szyi dotknięcie lufy strzelby i słyszę, jak Kyle Graham, starszy syn Grahama, woła:

– Mam ją, tato!

Moje zaskoczenie tłumi przyływ paniki. Porzucam wszelkie myślenie i zdaję się wyłącznie na instynkt.

Obracam się w lewo, z wdziękiem i szybkością pomimo błota, które wreszcie zaczyna mi sprzyjać – i kantem dłoni odbijam lufę w bok. Odwracam się, zaciskam rękę na metalu i wykręcam ją, a potem kopię Kyle’a mocno w pachwinę. Odbieram mu strzelbę, pamiętając jednocześnie o tym, że nie walczę z dorosłym mężczyzną. To tylko chłopiec w wieku zbliżonym do mojej córki. Nie jego wina, że jego ojciec jest skończonym psychopata, tak samo jak Lanny nie jest winna temu, że jest dzieckiem Mela.

To wystarcza, aby oszołomić Kyle’a. Dławi się i chwiejnym krokiem się

cofa, wypuszczając strzelbę z rąk. Jej ciężar daje się we znaki mojemu rannemu ramieniu. Wsuwam pistolet do kieszeni dzinsów, modląc się, żeby się nie postrzelić, i z całej siły popycham Kyle'a w plecy.

– Uciekaj albo cię zabiję! – krzyczę, a w następnym rozbłysku pioruna widzę, jak przedziera się niezgrabnie przez zarośla i pnie na wzgórze, zamiast schodzić w dół. Zastanawiam się, dlaczego, ale nie mam czasu na myślenie. Unoszę strzelbę i okręcam się na pięcie, celując w miejsce, w którym musi być jego ojciec, i pociągam za spust.

Siła odrzutu sprawia, że prawie upadam na ziemię na śliskim podłożu, ale udaje mi się przytrzymać grubej, wilgotnej kory sosny. Rozbłysk widoczny podczas wystrzeliwania pocisku pokazał mi, że spudłowałam, ale tylko nieznacznie. Może trafiło go kilka odprysków śrutu, które zostaną mu na pamiątkę.

– Ty suko! – wrzeszczy Graham. – Kyle! Kyle!

– Puściłam go wolno! – odkrzykuję. – Gdzie są moje dzieci? Co im zrobiłeś? – Chowam się w ciemności za drzewem.

– Wkrótce do nich dołączysz, ty pieprzona...

Choć uderzenie grzmotu zagłusza dźwięk wystrzału, czuję lekkie drżenie pnia drzewa, gdy przyjmuje na siebie trafienie. Ciekawe, jak dobrze jest uzbrojony. Gdybym skłoniła go do wyczerpania całej amunicji... Nie. Lancel Graham zaplanował to drobiazgowo, tak jak całą resztę. Nie mogę liczyć na coś tak prostego i oczywistego.

W kolejnym rozbłysku światła zauważam, że stoję niedaleko od kolejnego szlaku, który idzie na zachód. Wygląda na to, że opada w dół wzgórza. Błyskawice strzelają teraz jedna po drugiej, co chyba zmniejsza skuteczność działania noktowizora Grahama. Będzie miał kłopot z wyłapaniem mnie wśród tych wszystkich wyładowań.

Idę pochylona, mając nadzieję, że nawet jeśli mnie zauważy, uzna mnie za sarnę. Docieram do punktu, w którym szlak zaczyna skręcać w dół. Możliwe, że Graham jest jednym z tych chowających kluczyki idiotów, więc jeżeli uda mi się dotrzeć, to znajdę pudełko magnetyczne w komorze podwozia, które pozwoli mi ukraść te kluczyki, wynieść się stąd, znaleźć pomoc i *odszukać dzieci*. Z pewnością musi mieć GPS-a, rejestr miejsc, w których był.

Zaliczam upadek w połowie szlaku, ślizgam się i uderzam mocno głową w wystający głaz. Przed oczami strzelają mi fontanny iskier. Zalewa

mnie fala lodowatego, mrowiącego bólu, który sprawia, że wszystko wydaje się dziwnie miękkie. Leżę przed moment w zimnym deszczu, łapiąc oddech i wypluwając wodę jak niedoszły topielec. Jest mi przeraźliwie *zimno*. Nagle zaczynam się zastanawiać, czy zdołam się jeszcze podnieść. Kręci mi się w głowie i wiem, że mocno krwawię. Czuję, jak wycieka ze mnie ciepło.

O nie. Nie mam zamiaru tu umrzeć. Nie wiem, czy Graham nadal mnie śledzi. Nie wiem nic prócz tego, że muszę wstać, bez względu na to, jak bardzo mi zimno i jak poważnie jestem ranna. Muszę dostać się na grzbiet wzgórza i sprowadzić pomoc. Jeśli będę musiała, zestrzelę jeden z bezcennych obrazów Johansenów, aby zwrócić na siebie ich uwagę.

Udaje mi się stanąć na dłoniach i kolanach. Przypominam sobie, że miałam strzelbę, ale nie mogę jej teraz znaleźć. Przepadła w ciemnościach w trakcie upadku i teraz już w życiu jej nie znajdę. Nadal mam przy sobie pistolet, który jakimś cudem nie zrobił mi wielkiej, ziejącej dziury w udzie. Wyjmuję go z kieszeni i ściskam mocno, wstając i opierając się o głaz, aby chwilę odpocząć. Bok twarzy pokrywa mi warstwa ciepłej krwi, którą niemal natychmiast rozrzedza deszcz.

Ześlizguję się w dół po szlaku, szukając punktów podparcia dla rąk.

To zejście jest najgorszym koszmarem, przed którym nie sposób uciec. Przez głowę przechodzi mi myśl, że Graham jest tuż za mną, uśmiechając się szeroko i kpiąc sobie ze mnie. Wtedy Graham przybiera twarz Mela. Mela zza pleksiglasowej ściany w więzieniu, szczerzącego się do mnie w uśmiechu z zakrwawionymi zębami. Wydaje się całkiem realny, ale gdy w końcu odwracam się, całkiem bez tchu, następny rozbłysk pioruna ujawnia, że na szlaku nie ma żywego ducha.

Jestem sama.

I prawie udało mi się dotrzeć do celu.

Gdy zbliżam się do gęstych zarośli zaczynających się w miejscu, w którym las się przerzedza, coś każe mi się zatrzymać i przykucnąć. Wpatruję się w ścianę liści. Serce wali mi jak młot, a jednocześnie czuję się ociężała i zmęczona, jakbym w każdej chwili miała uciąć sobie drzemkę. Najwyraźniej straciłam więcej krwi, niż sądziłam, albo to zimno zmusza moje ciało do coraz większego wysiłku. Trzęsę się jak w konwulsjach. To ostatnia faza przed złudnym, wszechogarniającym uczuciem ciepła i chęcią zapadnięcia w sen. Zostało mi mało czasu.

Muszę dostać się do samochodu i założyć kurtkę Kyle'a. To pomoże mi w wykonaniu ostatniej części planu: zbiegnięciu ze wzgórza. Czy mi się to podoba, czy nie, będę musiała liczyć na pomoc ze strony Johansenów.

Ledwie zauważalny ruch przy samochodzie sprawia, że zamieram w miejscu. Ulewa zmniejszyła się nieco, choć w górze nadal słychać nieustannie przetaczające się grzmoty. Słabnący deszcz pozwala mi dojrzeć zarys zaokrąglonego kształtu, którego nie powinno tam być, opartego o kraniec pojazdu i osłoniętego przez solidną ścianę bloku silnika. To głowa, zbyt duża, aby należeć do Kyle'a. Kyle pobiegł w górę wzgórza, a nie na dół.

Lancel Graham czeka na mnie w ukryciu. Obrał klasyczną taktykę przyczajonego drapieżcy. Obserwując go, przypominam sobie bezceremonialny, stoicki sposób, w jaki Melvin opowiadał o swojej *metodzie* w udzielonym kilka lat temu wywiadzie: kucał w konkretnym miejscu tuż za samochodem i czekał, aż kobieta się zbliży, po czym atakował pośpiesznie niczym modliszka. Działo niemal za każdym razem.

Graham jest jego prawdziwym fanem. Zna zwyczaje mojego byłego męża, jego ruchy i strategię.

Ale nie zna mnie. Przetrwiałam starcie z Melem.

Tego dupka też załatwię.

Znajduję się niedaleko szlaku, którym wjechaliśmy na wzgórze. Zbliżam się do niego ostrożnie i zajmuję dogodną pozycję.

Ustawiam się w odpowiedni sposób, ale zaczynam się wahać. Jestem przemarznięta do szpiku kości. Mam spowolnione ruchy. Jestem oszołomiona z powodu rany na głowie. *Co, jeśli to nie zadziała? Jeśli zwyczajnie mnie zastrzeli?*

Nie. Polował na mnie tak długo, aby mnie dopaść, a nie pozbyć się problemu. Dzięki noktowizorowi już dawno mógłby przeciąć mnie na pół. Chce mnie dostać żywą.

Lubi bawić się w gierki.

W porządku, Lance. Pobawmy się.

Wychodzę z za drzewa, kulejąc i poruszając się bardzo powoli. Robię wszystko, żeby wyglądać na wyczerpaną i chorą. Gdy docieram na polanę tuż przy wejściu na szlak, zginam się w pół i osuwam na kolana. Słaba. Pokonana.

W precyzyjnie określonym miejscu.

Nie unoszę wzroku, aby sprawdzić, gdzie jest Graham. Czekam, oddychając ciężko. Próbuję wstać, ale niezbyt mocno, i celowo się przewracam, wpadając lewą stroną ciała w błoto. Pistolet jest ukryty pode mną. Przetoczyłam się na bok wystarczająco, aby go zasłonić. Wygląda to tak, jakbym zbierała siły do podniesienia się z ziemi.

Czekam.

W jednostajnym, miarowym bębnieniu deszczu nie słyszę, jak się zbliża, ale wyczuwam go, niczym źródło ciepła na krawędzi pola widzenia. Zachowuje ostrożność. Krąży w oddali. Widzę go niewyraźnie przez zasłonę rzęs, zamazanego przez deszcz. Ma ze sobą strzelbę. Podchodzi bliżej. Jeszcze bliżej.

Aż w końcu pojawia się w zasięgu mojego wzroku.

Widzę ubłocone czubki jego butów i skraj pokrytych warstwą zaskorupiałego błota dzinsów. Lufa strzelby jest wycelowana nie we mnie, ale w dzielącą nas ziemię. Nadal może mnie zabić. Niewiele trzeba, aby unieść ją do góry i wypalić, ale to mu się podoba. Rozkoszuje się widokiem mojej porażki.

– Ty idiotko. Powiedział, że dasz się na to nabrać – mówi, a jego głos twardnieje. – Zbieraj dupę z ziemi, a zaprowadzę cię do dzieci.

Przez moją głowę przelatuje przypadkowa myśl. Ciekawe, co się stało z żoną Grahama. Ogarnia mnie obezwładniająca fala współczucia dla synów, których wychowuje. Jednak myśli szybko ulatują mi z głowy, a pod spodem czuję się równie zimna i twarda co lufa tej strzelby. Jak broń.

Nie mam zamiaru tutaj umrzeć.

Najmniejszego.

Moje ruchy są minimalne. Staram się sprawiać wrażenie słabej i młóć dokoła rękami, jakbym próbowała zastosować się do jego polecenia. Przesuwam prawą dłoń i dźwigam się na kolana. Prostując się, jednym płynnym ruchem unoszę broń.

Graham dostrzega swój błąd na ułamek sekundy przed tym, jak oddaje strzał.

Miejsce, w które posłałam kulę, jest szczególne. Nie celowałam w głowę ani nawet klatkę piersiową, tylko w splot nerwowy w prawym ramieniu Grahama. Jest praworęczny, tak jak ja.

Żłobiony nabój trafia dokładnie tam, gdzie chcę. Oczami wyobraźni widzę, jak otwiera się pod wpływem siły uderzenia, zmieniając w mielőcą skórę i mięśnie, siejącą zniszczenie koseę. Zniszczy mu ramię, uszkodzi nerwy i połamie kości. Postrzał w ramię nie jest taką prostą sprawą, jak to pokazują w filmach czy telewizji. Tego nie da się rozchodzić. Wykonany poprawnie postrzał w ramię może sprawić, że człowiek na zawsze straci czucie w ręce.

A ja wykonałam go jak należy.

Graham wydaje z siebie krótki i przenikliwy wrzask. Zatacza się do tyłu i próbuje unieść strzelbę. Szok pozwoliłby mu na to, gdybym nie uszkodziła mu nerwów i mięśni niezbędnych do wykonania tego ruchu. Upuszcza ją więc i maca na oślep palcami, próbując ją podnieść, ale one nie są już do tego zdolne. Jest ranny, i to poważnie, ale w jednej kwestii telewizja się nie myli: rana prawdopodobnie nie jest śmiertelna.

A przynajmniej nie od razu.

Podnoszę się z miejsca. Jest mi ciepło. Jestem rozluźniona i spokojna, zupełnie jak na strzelnicy. Graham przez cały czas usiłuje podnieść strzelbę, ale zabieram mu ją. Rzuca mi dziwny, zmęczony uśmiech.

– Pieprzona dziwko – mówi. – Miałaś być łatwym celem.

– Gina Royal była łatwym celem. Powiedz mi, gdzie one są.

– Pieprz się.

– Puściłam twojego syna wolno. Równie dobrze mogłam go zabić.

Moje słowa docierają do niego. Wyraz twarzy Grahama ulega zmianie. To tylko ledwie zauważalne drgnięcie, ale jest prawdziwe.

– Pozwolę ci żyć pod warunkiem, że powiesz mi, gdzie są moje dzieci. Nie chcę cię zabijać.

– *Pieprz. Się.* One nie są twoje. Są *jego*. I chce je z powrotem. Potrzebuje ich. Tu wcale nie chodzi o ciebie, *Gina*.

– W porządku – mówię. Robię krok w prawo, a on robi nieufny krok w tę samą stronę, cały czas stojąc naprzeciwko mnie. Robię to jeszcze raz i jeszcze, aż w końcu stoję zwrócona plecami do wzgórze, a on do szlaku.

– Zrobimy to po mojemu.

Nie spodziewa się mojego następnego ruchu. Wysuwam się do przodu i popycham go. Szok sprawia, że jest niezdarny, a jego reakcje spowolnione. Nigdy bym się na to nie odważyła, gdyby nie był ranny. Wszystko działa jak w zegarku. Graham z krzykiem zatacza się do tyłu.

Nogi uginają się pod nim. Upada. Widzę, jak ostry, zakrwawiony czubek gałęzi, na którą prawie nadziałam się wcześniej, przebija mu dziurę w brzuchu na wysokości wątroby. Nie jest to rana powodująca natychmiastową śmierć, ale poważna. Bardzo poważna. Graham macha dziko rękami i odłamuje gałąź. Błoto tylko utrudnia mu sprawę. Wali się z hukiem na ziemię. Próbuje złapać za kawałek drewna i wyciągnąć go, ale wystający z brzucha fragment jest zbyt krótki, a prawa dłoń odmawia mu posłuszeństwa.

– Wyciągnij to! Wyciągnij to! – krzyczy piskliwym, zdesperowanym głosem. – Jezu Chryste!

Deszcz prawie ustał. Graham skręca się z bólu w błocie, przesuwając palcami po paskudnie wyglądającym, ostrym czubku przesiąkniętym jego krwią, a ja kucam obok i przykładam mu do głowy pistolet.

– Jezus nie lubi, gdy używasz jego imienia nadaremno. A to wcale nie wyglądało na modlitwę. Powiedz mi, gdzie są moje dzieci, a sprowadzę pomoc. Jeśli tego nie zrobisz, zostawię cię tutaj. Te lasy zamieszkują baribale, pумы i odyńce. Nie minie dużo czasu, a same cię znajdą.

Ramię boli mnie teraz jak cholera. Mam wrażenie, jakby ktoś je podpalił. Mimo to trzymam je w gotowości, ponieważ nie mam innego wyjścia. Jakakolwiek oznaka słabości może okazać się śmiertelna w skutkach.

Twarz Grahama zrobiła się biała jak papier, prawie lśniąca w ciemności. Wyjmuję mu z kieszeni kluczyki do auta. Ma przy sobie nóż myśliwski w pochwie, który również zabieram. Przetrząsam mu kieszenie w poszukiwaniu telefonu. Aby go odblokować, potrzebny jest odcisk kciuka, więc ujmuję jego dygoczące spazmatycznie ramię i przyciskam odpowiedni palec. Dwie pierwsze próby są nieudane, ponieważ próbuje wyrwać rękę z mojego uścisku, ale w końcu telefon nadaje się do użycia.

– Masz ostatnią szansę – informuję go, podnosząc strzelbę. – Powiedz mi, gdzie są, a uratuję ci życie.

Otwiera usta, a ja przez sekundę mam pewność, że zaraz mi powie. Nagle ogarnia go strach. Jest bezbronny. Zamyka usta bez wydania z siebie żadnego dźwięku i patrzy na mnie, a ja zastanawiam się nad przyczyną jego strachu. Ja? Niemożliwe.

Melvin.

– Mel ma w nosie, czy żyjesz, czy nie – mówię prawie ze współczuciem.
– Powiedz mi. Uratuję cię.

Widzę chwilę, w której się łamie. Chwilę, w której jego fantazja pryska jak mydlana bańka, a brutalna prawda sytuacji wreszcie do niego dociera. Melvin Royal nie przyjdzie mu z odsieczą. Nikt nie przyjdzie. Jeśli go tu zostawię, umrze z powodu utraty krwi, a zwierzęta rozerwą go na strzępy – albo, jeśli będzie miał pecha, kolejność będzie odwrotna. Matka natura jest bezwzględna.

Ja również, kiedy jestem do tego zmuszona.

– Domek myśliwski – mówi. – Na szczycie góry. Należał do mojego dziadka. Tam są. – Oblizuje trupio blade usta. – Moi chłopcy ich pilnują.

– Ty sukinsynu. Oni wszyscy są jeszcze *dziećmi*.

Nie odpowiada. Zalewa mnie fala wściekłości i zmęczenia. Chcę mieć to już z głowy. Odwracam się i brnę przez przywierające do butów błoto w stronę samochodu. Graham próbuje się podnieść, ale z postrzałem w ramię i dziurą w wątrobie raczej daleko nie zajdzie. Przez jakiś czas zimno pomoże mu utrzymać się przy życiu, spowalniając krwotok. Gramoląc się na fotel i włączając silnik, przewijam spis połączeń w poszukiwaniu numeru Kezii Claremont.

Zatrzymuję się na nazwiskach zaczynających się na literę A, ponieważ na początku listy znajduje się jedno, które rozpoznaję. Jest dość niespotykane. Nigdy wcześniej go nie widziałam, nie licząc Biblii.

„Absalom”.

Świadomość ogromu oszustwa przytłacza mnie. Absalom, internetowy troll, który stał się moim nieodłącznym sojusznikiem. Absalom, który brał moje pieniądze i tworzył dla mnie nowe tożsamości. Który mógł zlokalizować mnie w ułamku sekundy, dokądkolwiek bym uciekła. *Który kierował mnie tam, dokąd tylko chciał.*

To tłumaczy, dlaczego zabraliśmy się za to od złej strony. Rodzina Lancela Grahama mieszkała tu od pokoleń. Jego dom w Stillhouse Lake był rodzinnym dziedzictwem, a Kezia i ja błyskawicznie skreśliłyśmy go z listy podejrzanych. *Niech to szlag.* Wysłałam Absalomowi nazwiska mieszkańców do sprawdzenia. Moja prośba na pewno wydała mu się komiczna.

Tak naprawdę nigdy mi nie pomagał. Przez cały czas pomagał Melvinowi, przesuwał mną jak pionkiem, ustawiając i przewracając.

Wystawiając mnie na pastwę fanatycznego naśladowcy Mela.

Muszę zamknąć na chwilę oczy, aby powstrzymać falę ryczącej wściekłości, która przenika mnie niczym słup ognia, po czym wracam do przewijania. Znajduję numer Kezii.

Ekran pokazuje tylko dwie kreski zasięgu, ale połączenie dochodzi do skutku. Jedzie samochodem. Słyszę ryk silnika, po czym mówi pełnym ostrożności głosem:

– Lance? Lance, *wiem o wszystkim*. Masz natychmiast wypuścić tę kobietę na wolność i powiedzieć mi, gdzie jesteś. Lance, wysłuchaj mnie, dobrze? Musimy postąpić, jak należy. Wiesz, że to nieuniknione. Porozmawiaj ze mną.

Bałam się, że ona też była częścią jego planu, ale słyszę pełen napięcia gniew w jej głosie, choć bardzo stara się go pohamować. Próbuje przemówić mu do rozsądku.

Próbuje mnie ocalić.

– To ja – mówię. – Tu Gwen.

– *Jezu Chryste!* – W tle słychać jakieś zamieszanie, zupełnie jakby prawie upuściła telefon. Słyszę też drugi głos, ale nie potrafię rozróżnić słów. – Jezu, Gwen, gdzie jesteś? Gdzie ty, u diabła, jesteś?

– Na wzgórzu obok domu Grahama. Przyślijcie tu karetkę. Został postrzelony w ramię i ma ranę kłutą w brzuchu. Sprowadźcie policję. Powiedział mi, że moje dzieci są na wzgórzu w domku jego dziadka. Wiesz, gdzie to jest?

Trzęsę się tak bardzo, że aż szczękam zębami. Silnik SUV-a zdążył się rozgrzać, a z nawiewu czuć cudowny podmuch gorącego powietrza. Przyciągam do siebie kurtkę Kyle'a i zarzucam na ramiona. Lewe ramię nadal płonie z bólu, ale po bliższym przyjrzeniu mu się w górnym oświetleniu okazuje się, że śrut nie wszedł na tyle głęboko, by spowodować trwałe uszkodzenie. Za to rana na głowie... Jestem oszołomiona, słaba i mam mdłości. Krwawienie nie ustało. Unoszę dłoń i czuję pod palcami strugę ciepłej, rozwodnionej krwi wypływającej z rozcięcia na skórze, i szukam chusteczek higienicznych, które przyciskam potem do rany. Prawie przegapiam odpowiedź Kezii.

Nie, to nie ona. To Sam. Jest z nią w samochodzie.

– Gwen, jesteś cała? Gwen?

– Nic mi nie jest – kłamię. – Moje dzieci. Synowie Grahama pilnują

domku. Nie wiem, czy są uzbrojeni, ale...

– Nie martw się tym. Już do ciebie jedziemy.

– Graham potrzebuje karetki.

– Pieprzyć Grahama – mówi, a ja słyszę w jego głosie morderczą wściekłość. – Co z tobą?

Chusteczki, które przycisnęłam do rany, zdążyły już nasiąknąć krwią.

– Chyba będę potrzebować szwów. Sam?

– Jestem tu.

– Proszę. Pomóż mi uratować dzieci.

– Nic im nie będzie. Znajdziemy je. Zostań na swoim miejscu. Trzymaj się. Kez zna położenie domku. Już do ciebie jedziemy. Wszystkie jednostki jadą prosto do ciebie.

Kezia siedzi za kółkiem, a ja miałam okazję jechać z nią samochodem. Korzysta z policyjnych taktyk, prowadząc z kontrolowaną zajadłością i olbrzymią prędkością. Spoglądam we wsteczne lusterko. Widzę przednie światła radiowozu pędzącego główną drogą. Widzę, jak skręcają w zjazd Johansenów.

Sam nie przestaje mówić, ale ja jestem zmęczona. Telefon leży na moim udzie, choć nie jestem pewna, w którym momencie go tam odłożyłam. Opieram pulsującą z bólu głowę o szybę. Już nie czuję przebiegających moje ciało dreszczy.

„Znajdźcie moje dzieci”, mówię, przynajmniej w myślach, po czym ogarnia mnie nieprzenikniona ciemność.

Rozdział czternasty

– Gwen? Dobry Boże.

Otwieram oczy. Sam kuca obok mnie i wygląda... dziwnie. Odwraca się i mówi:

– Daj mi apteczkę!

Kezia jest tuż za nim i rzuca mu wielką, czerwoną torbę. Sam szarpie za zapinaną na rzepy klapę i szpera w środku.

– Co ty wyprawiasz? – pytam. Nie czuję się zbyt dobrze, ale prawie przestało mnie boleć. Niesamowite, co może działać odrobina snu. – Nic mi nie jest.

– Mylisz się. – Cisza. Bierze garść bandażu i przyciska ją mocno do mojej głowy, a ból powraca ze zdwojoną siłą. – Możesz to przytrzymać? Trzymaj. – Przyciska moją dłoń do opatrunku i owija wszystko bandażem. – Ile krwi straciłaś?

– Całe mnóstwo. To bez znaczenia. Gdzie jest domek?

– Nie pójdziesz do żadnego domku. – Szukam pistoletu. Sam odbiera mi go bez wysiłku, jednym ruchem opróżnia komorę i magazynek, po czym rzuca je na tylne siedzenie SUV-a. – Nigdzie się nie wybierasz, chyba że do szpitala. Muszą ci zrobić prześwietlenie głowy. Nie podoba mi się ta rana. Możesz mieć złamanie z wgnieceniem kości czaszki.

– Mam to gdzieś. Idę. – Za minutę. W tej chwili wydostanie się z samochodu to dla mnie monumentalny wysiłek. – Dostałeś moją wiadomość?

Posyła mi zdziwione spojrzenie.

– Kiedy?

– Nieważne. – Grahamowi jednak się udało. Rozwalił mój telefon, zanim wiadomość zdążyła zostać wysłana. – Kiedy się zorientowaliście,

że to on?

– Nie zjawił się, żeby wziąć udział w poszukiwaniach – mówi Sam. Sprawdza mi oczy latarką diagnostyczną w kształcie długopisu, co jest wkurzające i boli, a ja staram się odtrącić go ręką. – Kez trochę poszperała. Okazuje się, że nie było go przez cały dzień w pracy w czasie obu porwań, a potem w dni, w które prawdopodobnie pozbył się ciał. Kez przeczuwała coś od dłuższego czasu. Gdy dowiedzieliśmy się, że przyszedł na komendę i zabrał cię ze sobą...

– Dziękuję.

Na jego twarzy maluje się posępna wściekłość.

– W końcu nie dotarliśmy na czas, by wystarczająco ci pomóc.

Unieruchamiam jego dłoń, która bada moją szyję w poszukiwaniu obrażeń, i ściskam ją mocno.

– Sam. Dziękuję.

Patrzemy sobie w oczy przez kilka sekund, po czym Sam kiwa głową i kontynuuje sprawdzanie.

Kezia odłącza się od nas, by sprawdzić, co z Grahamem. Wraca po apteczkę, a wkrótce potem widzę błyskające światła ambulansu. Tu, na prowincji, karetka jest wyposażona w napęd na cztery koła, który umożliwia jej minięcie SUV-a i dotarcie do początku szlaku, gdzie Kezia zajmuje się Grahamem w powodzi świateł reflektorów.

– Wiesz, gdzie jest ten domek? – pytam Sama, który właśnie znalazł kulki śrutu w moim lewym ramieniu. – Proszę. Muszę to wiedzieć. Nic mi nie jest, Sam, zostaw to.

– Wcale nie.

– Sam!

Wzdycha i opiera się do tyłu, kładąc dłonie na udach.

– To długa wspinaczka na szczyt, a ty nie jesteś na siłach, żeby jej podołać.

– Mówiłam ci, że czuję się dobrze. Spójrz tylko. – Wchodzę na najwyższe obroty i wysiadam z samochodu. Udaje mi się utrzymać równowagę. Wyciągam przed siebie ręce. Zero drgawek. – Widzisz?

Jestem lekko zszokowana, gdy bierze mnie w ramiona i przytula, ale jest mi przyjemnie. Czuję się bezpieczna. Ufałam niewłaściwym ludziom i odepchnęłam od siebie nie tych, co trzeba, a to przewraca do góry nogami wszystkie moje dotychczasowe wyobrażenia o samej sobie.

– Wcale nie czujesz się dobrze, ale wiem, że musisz to zrobić. Zrobiłabyś to nawet beze mnie.

– Masz absolutną rację – przyznaję. – Oddaj mi broń.

Nie podoba mu się to. Całuje mnie w czoło tuż pod opatrunkiem i sprawdza go, żeby się upewnić, że bandaże są na swoim miejscu. Potem wchodzi na tylne siedzenie, wkłada nabój do magazynku, składa siga w całość i podaje mi go. Wsuwam broń do kieszeni.

Sanitariusze zajmują się Lancelem Grahamem, a Kezia zostawia go w ich rękach i podchodzi do nas. Spod jej grubej kurtki widać mundur i pistolet przypięty do pasa. Mija nas i podchodzi do swojego radiowozu. Otwiera bagażnik i wyciąga dwie kamizelki kuloodporne. Zakłada jedną przez głowę, a drugą przynosi nam i wręcza ją Samowi.

Sam zakłada ją mnie. Gdy zaczynam protestować, kręci głową.

– Nie. Po prostu nie.

Niech mu będzie. Razem z Kez wydobywają strzelby z radiowozu. Kez ma przy sobie zestaw pierwszej pomocy, który przerzuca przez ramię niczym pas od karabinu. Założę się, że jest wypchany sprzętem survivalowym i amunicją.

Kezia wraca do sanitariuszy, aby z nimi pomówić, po czym wyjmując telefon i dzwoni do kogoś.

– Prester wysłał wsparcie – mówi po powrocie – ale minie trochę czasu, zanim wszystkie ekipy poszukiwawcze zawrócą z trasy i przyjadą do nas.

– Dał nam zgodę na wyjście w teren? – pyta Sam.

Kez unosi brew ze zdziwienia.

– Za cholerę. Kazał nam czekać. Chcecie czekać?

Sam kręci przecząco głową.

– Którędy mamy iść? – pytam.

Sam ma rację. Nie nadaję się do wspinaczki, ale to nie ma teraz żadnego znaczenia. Nie pozwalam, aby narastające zawroty głowy spowolniły moje tempo, choć Sam stale mi się przygląda. Ciężar kamizelki kuloodpornej zapiętej pod puchową kurtką przydusza mnie. Jest mi gorąco i pocę się jak mysz. Nocne powietrze nadal jest lodowate.

Mój organizm osiągnął punkt krytyczny i jedzie na ostatnich rezerwach tylko po to, aby doprowadzić mnie na szczyt.

Kezia wspina się niczym puma, prowadząc nas szlakiem – nie tym, którym szłam wcześniej, ale tym, po którym się ześlizgnęłam. Mijamy głąz, w który uderzyłam głową, a światło jej latarki podkreśla wilgotną, czerwoną plamę mojej krwi. Jest jej naprawdę dużo. Kez nie mówi ani słowa. Sam również niczego nie komentuje, ale przysuwa się do mnie o krok, gdy kontynuujemy wspinaczkę.

Szlak skręca na północny zachód, nadal pnąc się w górę. Błyskawice ustały, deszcz również, ale wiatr zaczyna się nasilać między drzewami, kołyszając czubkami sosen. Mam ochotę się odwrócić i spojrzeć za siebie, na wypadek gdyby Lancel Graham skradał się za mną. „Graham jest w szpitalu. Będzie miał szczęście, jeśli uda im się uratować jego pieprzoną wątrobę”. To jednak nie powstrzymuje mnie od wyobrażania sobie najgorszych koszmarów.

Zaczynam mieć halucynacje. Słyszę, jak ktoś płacze. To Lanny. Słyszę, jak moja córka płacze. Ogarnia mnie rozpacz i przerażenie. Odwracam się do Sama. „Słyszysz to?” Pytanie wisi mi na końcu języka, ale wiem, że niczego nie słyszał.

Tracę kontrolę.

Pół godziny później wychodzimy na wąską półkę pozbawioną drzew. Pod skalnym nawisem widać przycupniętą, malutką chatkę. Z lotu ptaka byłaby praktycznie niewidoczna. Trzeba wiedzieć o jej istnieniu, żeby w ogóle ją znaleźć. Chatka wygląda na bardzo starą. Widać, że była naprawiana, ale konstrukcja ma w sobie ducha staroświeckości.

Kezia kieruje na nią jaskrawy, biało-niebieski promień latarki.

– Kyle i Lee Graham! Wychodźcie natychmiast! Tu oficer Claremont!

Ton jej głosu jest rozkazujący, jak u nauczycielki besztającej uczniów za złe zachowanie. Gdybym była w ich wieku, też by na mnie podziałał.

Przy zasłoniętym oknie widać jakieś poruszenie. Drzwi uchylają się ze skrzypnięciem i słychać wołanie jednego z chłopców.

– Gdzie jest mój tata?

Kezia robi krok naprzód i ruchem ręki każe nam pozostać w tyle.

– Lee? Lee, znasz mnie przecież. Twojemu tacie nic nie jest. Jest w drodze do szpitala. Wyjdź stamtąd. Spójrz, odkładam broń, dobrze? Wyjdź na zewnątrz.

Młodszy z Grahamów wymyka się z chaty. Ma na sobie za dużą kurtkę, jest blady i przerażony.

– Ja wcale tego nie chciałem – mówi w pośpiechu. – Nie chciałem! Nie chcę mieć kłopotów!

– Spokojnie, skarbie, nie będziesz ich miał. Podejdź tutaj.

Kezia przywołuje go gestem ręki, a gdy tylko się do niej zbliża, daje znak Samowi, który wychodzi naprzód, łapie chłopaka za łokieć i przyciąga go do miejsca, w którym stoję. Lee otwiera usta, by zaprotestować, ale kładę mu dłoń na ramieniu i kucam, aby spojrzeć mu w oczy.

– Czy moje dzieci są w środku?

Po chwili oczekiwania kiwa twierdząco głową.

– To nie moja wina – mówi. – Powiedziałem Kyle’owi, że nie powinniśmy tego robić, ale...

– Ale nie mogliście odmówić tacie – dokańczam za niego, widząc, jak ulga na jego twarzy miesza się z bólem. Choć stał na drodze do uwolnienia moich dzieci, mam chęć go przytulić. Nie robię tego, ale wyczuwam, jak bardzo jest zagubiony. – Rozumiem. Wszystko będzie dobrze. Zostań tutaj. Usiądź i nie ruszaj się z miejsca.

Kezia wysuwa się nieco do przodu.

– Kyle! Masz stamtąd natychmiast *wyjść*. Słyszysz mnie? Kyle?

Odwracam się do Lee, który przygarbił się, nie patrząc na chatę i na nikogo.

– Lee, czy twój brat jest uzbrojony?

– Ma karabin. Nie róbcie mu krzywdy! On tylko robi to, co kazał mu tata!

Myślę, że chodzi o coś więcej. Lance Graham powierzył Kyle’owi zadanie podkradnięcia się do mnie w ciemności i obez władnienia. Ciekawe, czy Kyle pomógł swojemu ojcu w czymś jeszcze. Jest dobrze zbudowany jak na swój wiek i przystojny. Był bardzo przydatny i pewnie świetnie się sprawdzał w odciąganiu uwagi kobiet tuż przed porwaniem. Wyobrażam sobie, jak podszedł do tamtej dziewczyny na parkingu cukierni, prowadząc ją w stronę SUV-a swojego ojca.

Ogarnia mnie fala obrzydzenia tak wielka, że przypomina mdłości.

Mówię Kezii, że Kyle ma karabin, a ona kiwa w skupieniu głową. Wyjęła już pistolet z kabury.

– Niech Sam idzie na tyły domku. Nie chcę, żeby Kyle miał jakąkolwiek drogę ucieczki. Ty zostań z chłopcem.

Z tego, co widzę, Sam zdążył już zastosować się do jej polecenia. Porusza się wokół chaty, między jej ścianą a skałami, a ja mam nadzieję, że nie ma tam żadnych węży albo czegoś jeszcze gorszego. Nie wraca, więc zakładam, że muszą tam być jakieś drzwi, które teraz osłania.

– Wchodzę – mówię Kezii.

– Nie ma mowy!

Wyciąga rękę, aby mnie powstrzymać, ale ja idę już w stronę frontowych drzwi. Zasłona w oknie się poruszyła. Kyle z pewnością mnie obserwuje. Zastanawiam się, czy kula wystrzelona z karabinu będzie w stanie przebić się przez kamizelkę. Z tej odległości to całkiem możliwe. Wszystko zależy od kalibru i gramatury pocisku.

Wyjmuję siga z kieszeni. Trzymam lufę skierowaną ku dołowi, nie dotykając spustu, i delikatnie popycham drzwi. Są otwarte. Kyle'owi nie przyszło do głowy, aby zamknąć je po tym, jak jego brat wyszedł.

W środku jest bardzo ciemno, nie licząc pojedynczej migoczącej świecy, stojącej na nieheblowanym stole na drugim końcu pomieszczenia. Chybotliwy płomyk oświetla Kyle'a siedzącego na piętrowym łóżku przy oknie. Trzyma karabin wycelowany prosto we mnie.

W chacie nie ma nikogo innego. *Nikogo*. To na pewno pułapka.

Odwracam się, wrzeszcząc, ile sił w płucach, uciekając przed drzwiami, a pocisk Kyle'a mija mnie o włos. Biegnę w stronę Kezii i widzę, jak stojący za jej plecami Lee przeszedł z miejsca, w którym go zostawiłam, do linii drzew. Zajął idealną pozycję strzelecką. Trzyma w dłoni pistolet, który wyciągnął z kieszeni – ponieważ go *nie przeszukałam, bo to tylko dziecko* – celując w plecy Kezii.

– Lee! – wołam, unosząc broń. – Nie rób tego!

Jest zaskoczony i chybia, dosłownie o milimetr. Kula rozbija szybę w oknie chaty, a Kezia błyskawicznie przypada do ziemi. Zbliża się do niego, wydając z siebie serię donośnych okrzyków „puść broń, puść broń”, a on odrzuca od siebie pistolet. Odwracam się w stronę chaty, ponieważ Kyle nadal siedzi w środku, uzbrojony. Gdzie są moje dzieci? Boże, proszę...

Kyle szarpnięciem otwiera drzwi i celuje z karabinu prosto w moją twarz. Mam czas, by zareagować i strzelić, ale nie robię tego. To jeszcze

dziecko. Skrzywione psychicznie, nienormalne dziecko, ale mimo wszystko *nie potrafię* się do tego zmusić.

Sam taranuje go od tyłu i wciska go twarzą w błoto. Karabin prześlizguje się po ziemi, a Kyle miota się wściekle, wrzeszcząc, żeby go dosięgnąć. Kezia zdążyła zapiąć kajdanki na nadgarstkach jego brata i przygniata go swoim ciężarem ciała, wyjmując kolejną parę. Wydaje z siebie przenikliwy gwizd, a Sam unosi wzrok. Kez rzuca mu kajdanki, które on łapie w powietrzu i unieruchamia chłopaka. Podciąga go do góry i zmusza, aby uklęknął z twarzą przyciśniętą do ściany chaty.

Nie mogę oddychać z powodu krążącego w moich żyłach strachu, którego jednak nie wywołał ani niecelny strzał, ani Kyle i Lee.

Moje dzieci muszą tu gdzieś być. *Muszą.*

Wbiegam do chaty. Jest mikroskopijna, miejsca starcza ledwie na prycę, mały stolik, gruby, wełniany dywanik, otwarte tylne drzwi...

Kopnięciem odsuwam dywanik, a moim oczom ukazuje się kłapa w podłodze.

Biorę świecę ze stołu i ciągnę za uchwyt. Zimne, wilgotne powietrze, które wydostaje się z zewnątrz, sprawia, że płomień dygocze niespokojnie. Chciałabym mieć przy sobie latarkę Kezii, ale tylko przez sekundę. Na dół prowadzi drewniana drabina.

Schodzę.

Mojemu ramieniu nie podoba się ten wysiłek, ale w tym momencie prawie nie czuję bólu. Nadal jest mi niedobrze i kręci mi się w głowie, ale to nieistotne. Nie liczy się nic prócz tego, co znajdę tutaj, pod ziemią.

Trafiam wprost do piekła.

Przekraczam próg przeszłości.

Gdy odwracam się od drabiny, widzę metalowy stojak z wciągarką. Z jego końca zwisa pierścień z grubego kabla.

Pętla.

Wygląda tak samo jak tamta z garażu Melvina. Ale nie chodzi tylko o to. Rozpoznaję półkę z przyrządami po prawej, pełną części, wiertel i imadeł. Rozpoznaję czerwone szuflady na narzędzia ustawione w jednej linii nad stołem warsztatowym.

Odwracając się w stronę drabiny, rozpoznaję tablicę z dziurkami na kołki zawaloną piłami, nożami, śrubokrętami i młotkami. Obok stoi taca z instrumentami medycznymi. I jeszcze jedna, na której znajduje się sprzęt myśliwski służący do skórowania.

Mój wzrok pada na ostatni, perfekcyjny dodatek: dywan. W identycznym stylu jak ten, który Melvin trzymał tuż pod swoimi ofiarami. Absurdalny, typowy dla klasy średniej detal w sali tortur.

Graham odtworzył miejsce rzezi Melvina aż do ostatniego, makabrycznego szczegółu.

Zapach tego miejsca sprawia, że zataczam się do tyłu i opieram ramionami o drabinę, bo *znam ten zapach*. Buchnął z mojego garażu w Wichicie – smród zepsutego mięsa, starej krwi i metalicznego odoru przerażenia. Tutaj czuć dokładnie to samo.

Nie mogę się powstrzymać. Krzyczę. Krzyczę imiona swoich dzieci, a serce rozpada mi się na kawałki, umysł przestaje funkcjonować, a jedyne, czego pragnę, to umrzeć.

Graham nie zamierzał puścić ich wolno. Chciał tylko, abym zobaczyła *to*.

Nadal ściskam w dłoni siga i w jednym potwornym, cudownym przebłysku jasności dociera do mnie, że to idealne zrządzenie losu – umrę tutaj w ten sam sposób co Gina Royal. Patrząc na te same okropności. Odczuwając to samo poczucie całkowitej straty.

I wtedy słyszę, jak mój syn mówi:

– Mamo?

To zaledwie szept, ale jest równie głośny co krzyk. Upuszczam broń, zupełnie jakby parzyła mnie w rękę, i pełnę na czworaka przez podłogę, po dywaniku, omijając ciężką wciągarkę, a tuż za nią, *za nią*, dostrzegam kratownicę wmurowaną w fałszywą ścianę. Jest zamknięta na kłódkę. Wracam na chwiejnych nogach po narzędzia i zrywam łom z tablicy z taką siłą, że reszta przedmiotów spada z hukiem na ziemię. Podbiegam do drzwi. Wciskam rozwidlony koniec pod zamek i szarpnię. Drewno pęka i ustępuje pod naciskiem. Zasuwa zostaje zwolniona.

Podważam łomem drzwi, a w środku widzę Connora i Lanny. *Całych i zdrowych*. W tym momencie opuszczają mnie resztki sił i osuwam się na kolana, a oni zrywają się z miejsca i rzucają na mnie tak, jakby chcieli się we mnie wtopić.

Dobry Boże, co za piękna chwila. Ulga jest tak wielka, że aż sprawia mi ból, ale to ból podobny do przyżegania rany. Krwotok wreszcie zostaje zatamowany.

Nadal kołyszę się z dziećmi w przód i w tył na podłodze tego piekielnego miejsca, gdy znajdują mnie Kezia i Sam. Oboje są zdyszani, przygotowani na najgorsze. „Mój Boże”, myślę na widok twarzy Sama. Właśnie przekroczył próg świątyni, w której jego siostra cierpiała katusze i zmarła, a ja nie jestem sobie w stanie wyobrazić, jakie to musiało być dla niego trudne, zrobić tych kilka kroków, by ominąć wciągarkę i dotrzeć do nas.

Mimo to żyjemy.

Wszyscy wyszliśmy z tego cało.

Rozdział piętnasty

Okazuje się, że krew w moim domu należała do Kyle'a, za co była odpowiedzialna Lanny.

– Usłyszałam, jak się kłóć – opowiada mi, gdy stoimy na zewnątrz w czystym, nocnym powietrzu. Kyle i Lee Graham mają założone kajdanki, a Kezia przymocowała je do haka wbitego w ścianę chaty. Nie umiem sobie wyobrazić, po co komu w tym miejscu hak. Jakoś nie mam na to ochoty. – Chwyciłam nóż, weszłam tam i go dźgnęłam. To znaczy Kyle'a. Załatwiłabym go, gdyby nie fakt, że był z nim jego cholerny ojciec. Zabrałam nas do schronu tak jak nas uczyłaś, ale on znał kod. Przepraszam, mamó. Zawiodłam cię...

– Nie, to ja zawiodłem – odzywa się ledwie słyszalnym szeptem Connor, którego prawie zagłusza wiatr. – Kod był w moim telefonie. Powinienem był o tym powiedzieć. Mogłaś go zmienić.

Teraz wszystko ma sens. Telefon Connora został zabrany przez chłopaków Grahama. Pamiętam jego wahanie tego wieczora, gdy Graham przyniósł go z powrotem, i jak Connor *prawie* powiedział mi coś ważnego. Nie chciał, żebym się na niego wściekła, ponieważ stale mu powtarzałam, by nie zapisywał nigdzie kodów.

Nie mogę pozwolić, by myślał, że to jego wina. Nigdy.

– Nie, skarbie – mówię i całuję go w czoło. – To bez znaczenia. Jestem z was taka dumna. Udało wam się przeżyć. W tej chwili tylko to się dla mnie liczy, rozumiecie? Żyjemy.

Kezia miała w zestawie przetrwania koce ratunkowe z aluminiową powłoką, więc owijam nimi dzieci, by utrzymać ciepłotę ich ciał. Mają mnóstwo siniaków. Nieźle oberwały w trakcie walki. Pytam, czy w chacie wydarzyło się coś, o czym chcieliby mi powiedzieć. Lanny mówi,

że nic takiego. Connor w ogóle się nie odzywa.

Zastanawiam się, czy moja córka mnie okłamuje.

Siadamy na polanie. W końcu zjawia się wsparcie w postaci roju funkcjonariuszy w mundurach komendy policji z Norton, wśród których widzę również Javiera Esparzę. Kiwa mi głową na powitanie, a ja odwzajemniam się tym samym. Zważyłam w niego. To nigdy nie powinno mieć miejsca.

Detektyw Prester osobiście wspiał się na wzgórze. Nadal ma na sobie garnitur, który nigdy nie przetrwa starcia z tym błotem, ale narzucił na ramiona grubą, dwurzędową kurtkę z grubego sukna. Podchodzi do nas bezzwłocznie, a ja zauważam na jego twarzy coś nowego.

Szacunek.

– Jestem pani winien cholernie wielkie przeprosiny, pani Proctor – mówi. – Nic im nie jest?

– Czas pokaże – odpowiadam. – Tak myślę.

Nie wiem, ale muszę wierzyć, że tak będzie. Na pewno będzie ciężko. Z pewnością mają do mnie mnóstwo pytań. Nie umiem sobie wyobrazić, co Lancel Graham naopowiadał im o ich ojcu, ale sądzę, że właśnie to, bardziej niż jakiegokolwiek inne bolesne doświadczenia, sprawia, że mój syn milczy.

Prester kiwa głową i wzdycha. Nie wygląda, jakby miał ochotę zejść do tej piwnicy, ale jestem pewna, że widywał gorsze rzeczy.

– Kezia mówi, że ma pani telefon Grahama. Będzie mi potrzebny jako dowód. To oraz wszystko inne, co pani zabrała.

– Większość rzeczy zostawiłam w samochodzie. Pistolet jest mój. – Znalazłam go na podłodze piwnicy. Nie potrzebuję kolejnych komplikacji. – Proszę. – Wyjmuję telefon z kieszeni.

Ekran jest włączony. Wcisnęłam guzik zupełnie przypadkowo. To tylko ekran blokady, a bez odcisku kciuka Grahama albo numeru PIN nie jestem w stanie go odblokować. Jednak tym, co wmurowuje mnie w ziemię, jest wiadomość, która pojawiła się na ekranie.

Jest od Absaloma, a jej treść to „Chce znać najświeższe informacje”.

Pokazuję ją Presterowi. Nie wygląda na zaskoczonego.

– Kim jest Absalom?

Opowiadam mu o moim hakerze-dobroczynicy. Sojuszniku, który od samego początku mnie zdradzał. Nie wiem, jak go znaleźć, i to również

mu mówię. Podaję mu telefon.

– Teraz moja kolej. Jak pan sądzi, kogo może mieć na myśli?

Prester wyjmuje z kieszeni torebkę na dowody i chowa go do środka. Zamyka ją, po czym mówi:

– Chyba sama się pani domyśla.

Nie chcę wymówić na głos jego imienia. To tak jak z wywoływaniem wilka z lasu. Boję się, że się zjawi.

Wyraz twarzy Prestera staje się mroczniejszy i bardziej ponury, a mnie nie podoba się sposób, w jaki na mnie patrzy, ostrożny i rozważny. Jakby próbował określić, czy jestem na tyle silna, aby znieść to, co chce mi przekazać.

– Chce mi pan coś powiedzieć.

Niczego się już nie boję. Moje dzieci są ze mną. Bezpieczne. Lancel Graham nigdzie się nie wybiera. Możliwe, że jego synów da się uratować, chyba że ta konkretna psychopatia jest dziedziczna.

Prester bierze mnie na stronę. Nie chcę zostawiać Lanny i Connora samych, ale robię kilka kroków w bok i ustawiam się tak, aby cały czas ich widzieć. Zdaję sobie sprawę, że nie chce, aby to usłyszeli.

Mimo to w dalszym ciągu nie czuję żadnego strachu.

– W więzieniu w El Dorado doszło do świetnie zorganizowanej ucieczki. Zbiegło siedemnastu skazańców. Dziewięciu z nich siedzi już w areszcie, ale...

Nie musi nic mówić. Nieubłagana konieczność życia podpowiada mi, co chce przekazać.

– Ale Melvin Royal jest na wolności – dokańczam za niego.

Odwraca wzrok. Nie wiem, co czuję ani co Prester dostrzega w mojej twarzy. Ale jedno wiem na pewno.

Już nie boję się Mela.

Zabiję go. W ten czy inny sposób, wszystko skończy się tak, jak zaczęło się wiele lat temu: z udziałem naszej dwójki.

Pana i pani Royal.

Ścieżka dźwiękowa

Wybieram muzykę dla każdej książki, którą piszę, aby pomogła mi przejść przez ten intensywny proces. *Stillhouse Lake* okazało się wciągającym ćwiczeniem w wynajdywaniu odpowiednich brzmień, które popychały Gwen do działania przez całą trzymającą w napięciu historię.

Mam nadzieję, że spodoba się wam to muzyczne doświadczenie w takim samym stopniu co mnie. Pamiętajcie, proszę, że piractwo uderza w artystów, a serwisy muzyczne nie zapewniają utrzymania. Kupienie singla lub albumu nadal jest najlepszym sposobem na okazanie waszej miłości i uwielbienia, i pomaga artystom tworzyć nowy materiał.

I Don't Care Anymore, Hellyeah

Ballad of a Prodigal Son, Lincoln Durham

Battleflag, Lo Fidelity Allstars

How You Like Me Now (Raffertie Remix), The Heavy

Black Honey, Thrice

Bourbon Street, Jeff Tuohy

Cellophane, Sara Jackson-Holman

Drive, Joe Bonamassa

Fake It, Bastille

Heathens, twenty one pilots

Jekyll and Hyde, Five Finger Death Punch

Lovers End, The Birthday Massacre

Meth Lab Zoso Sticker, 7Horse

Bad Reputation, Joan Jett

Peace, Apocalyptica

Send Them Off!, Bastille

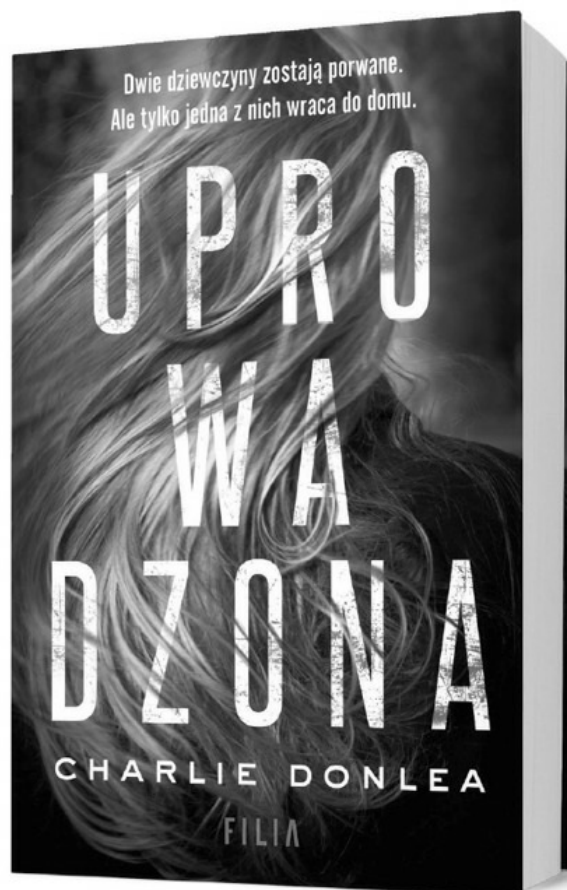
Tainted Love, Marilyn Manson

Take It All, Pop Evil

Podziękowania

Ta książka jak zwykle nie powstałaby bez wsparcia mojego męża, R. Cata Conrada; mojej wspaniałej asystentki i recenzentki, Sarah Weiss-Simpson; oraz obdarzonych anielską cierpliwością, cudownych redaktorek, Tiffany Martin i Liz Pearsons.

Specjalne podziękowania należą się mojej przyjaciółce Kelley oraz pozostałym członkom Time Turners za nieustający doping i wsparcie.



Dwie dziewczyny zostają porwane.
Ale tylko jedna z nich wraca do domu.
Tym razem prawda to dopiero połowa historii.

FILIA

Spis treści

[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[Dedykacja](#)

[Prolog](#)

[Rozdział pierwszy](#)

[Rozdział drugi](#)

[Rozdział trzeci](#)

[Rozdział czwarty](#)

[Rozdział piąty](#)

[Rozdział szósty](#)

[Rozdział siódmy](#)

[Rozdział ósmy](#)

[Rozdział dziewiąty](#)

[Rozdział dziesiąty](#)

[Rozdział jedenasty](#)

[Rozdział dwunasty](#)

[Rozdział trzynasty](#)

[Rozdział czternasty](#)

[Rozdział piętnasty](#)

[Ścieżka dźwiękowa](#)

[Podziękowania](#)

[Reklama](#)

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału: *Stillhouse Lake*

Text copyright © 2017 Rachel Caine LLC

This edition is made possible under a license arrangement originating with Amazon Publishing, www.apub.com, in collaboration with GRAAL, SP. Z.O.O.

Copyright for the Polish edition © 2018 by Wydawnictwo FILIA

Wszelkie prawa zastrzeżone
Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2018

Projekt okładki: Olga Reszelska

Zdjęcie na okładce: David Lichtneker/Arcangel

Redakcja: Paulina Jeske-Choińska
Korekta: Agnieszka Czapczyk
Skład i łamanie: Teodor Jeske-Choiński

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:
„DARKHART”
Dariusz Nowacki
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8075-508-6

FILIA

Wydawnictwo FILIA
ul. Kleeberga 2
61-615 Poznań
wydawnictwofilia.pl
kontakt@wydawnictwofilia.pl

Seria: FILIA Mroczna Strona
mrocznastrona.pl